

Shirley Conran

Koronka II

PROLOG

31 sierpnia 1979

Oto najdroższe piersi na świecie, pomyślała Lili namydlając je starannie. Cienkie, delikatne jak koronka strużki piany opływały jej krągłe ciało. Dotknęła brodawki o barwie cynamonu i zadrżała od uczucia zmysłowej przyjemności. Sięgnęła stopą o wylakierowanych na różowo paznokciach do staroświeckiego kurka z kości słoniowej i dopełniła wannę gorącą wodą. Musnęła gąbką drugą brodawkę; i tym razem jej ciało odpowiedziało lekkim dreszczem, jakby czubki piersi stanowiły część jakiegoś zamkniętego obwodu elektrycznego, łączącego je bezpośrednio z głównym ośrodkiem zmysłów. To porównanie przyszło Lili na myśl, kiedy patrzyła, jak różowe pączki sztywnieją i wynurzają się nad powierzchnię piany o zapachu goździków.

Lili była w doskonałej formie; jej ciało przedstawiało pełną gotowość działania, jak mawiali technicy sprawdzający stan rekwizytów na planie. Jednakże łagodne, aksamitne wypukłości, zaczynające się tuż poniżej kości obojczyków, stanowiły dla Lili coś więcej - były jej dowodem tożsamości, gwarancją zatrudnienia, źródłem utrzymania, a także jej fortuną, bowiem ten krągły jędrny biust był teraz ubezpieczony na siedmiocyfrową sumę przez wytwórnę filmową Omnium Pictures, która właśnie wynegocjowała dla Lili rekordową gażę za rolę Heleny Trojańskiej. Teraz moje piersi są znacznie cenniejsze dla innych niż dla mnie, pomyślała Lili z zadumą. Przez ostatnie piętnaście lat cały jej los zależał od tych właśnie części ciała, które znała równie dobrze jak własne kolana i które wcale nie wydawały jej się od kolan ważniejsze.

Z westchnieniem odrzuciła gąbkę i podniosła się z przepelnionej wanny, nie zwracając uwagi na olbrzymią kałużę rozlewającą się na różowej marmurowej posadzce. Owinąwszy się żółtym ręcznikiem przeszła do salonu. Na tacy śniadaniowej stała miseczka z figami; każdy owoc rozcięty był na ćwiartki ukazując czerwony miąższ. Lili podniosła do ust cząstkę figi i zajęła się przeglądaniem gazet. Rok 1979 jak dotąd nie był najlepszy dla prezydenta Cartera, pomyślała czytając o oblężeniu amerykańskiej ambasady i zakładnikach trzymanyh w Iranie. Dobrze wiedziała, co znaczy nagłe zetknięcie się z przemocą.

Urodzona w Szwajcarii Lili nie znała prawdziwej matki. Mając sześć lat znalazła się ze swoją przybraną rodziną na Węgrzech. Był rok 1956, powstanie skierowane przeciwko komunistycznej władzy uniemożliwiło im legalny wyjazd z kraju; Lili widziała śmierć swoich przybranych rodziców, zastrzelonych przez straż graniczną podczas ucieczki, która tylko jej jednej się powiodła. Z obozu dla uchodźców w Austrii wysłano ją do Paryża, gdzie została adoptowana przez starzejące się bezdzietne małżeństwo. W wieku siedmiu lat stała się praktycznie darmową służącą

państwa Sardeau, zahukanym dzieckiem tęskniącym za miłością, bezpieczeństwem i szczęściem, jakie kiedyś znała i o jakim marzyła.

Nietrudno było amerykańskiemu playboyowi uwieść Lili, jeszcze łatwiej przyszło mu ją porzucić, kiedy okazało się, że dziewczyna jest w ciąży. Wyrzucona z domu przez państwa Sardeau, Lili opłaciła zabieg usunięcia ciąży pieniędzmi zarobionymi pozowaniem nago do zdjęć, które miały ozdobić kalendarz przeznaczony dla kierowców ciężarówek. Z dnia na dzień stała się sławna jako zmysłowa kobieta-dziecko z erotycznych fotografii. Dopiero Jo Stiarkoz, bogaty grecki armator, wyratował zastraszoną, bezradną Lili z rąk wykorzystującego ją „opiekuna” i pomógł jej rozwinać wrodzone zdolności aktorskie i malarskie. Dzięki niemu Lili z nieufnego dziecka rynsztoka, dla którego seks miał niewiele wspólnego z miłością, stopniowo przeobraziła się w kulturalną, świadomą swych walorów piękną kobietę. Kiedy Jo zginął w wypadku samochodowym, Lili szukała pocieszenia w karierze filmowej, a potem wdała się w romans z Abdullahem, królem Sydonii, naftowego państewka nad Zatoką Perską.

Związek przetrwał rok, lecz w końcu Lili miała dość sytuacji, w której przez jednych określana była jako nieoficjalna konkubina, przez innych wręcz jako dziwka z Zachodu. Wróciła więc do swego domu w Paryżu, by od nowa szukać godności, miłości i spokoju. Dotąd jednak ich nie znalazła.

Lili z westchnieniem odrzuciła „Herald Tribune” i rozsuwając rzeźbione cedrowe okiennice wyszła na balkon, zawieszony nad zielonymi wodami Bosforu. Kopuły i ostre wieżyczki stambulskich minaretów błyszczały w przymglonym słońcu sierpniowego poranka. Odgłosy miasta, stłumione i niewyraźne, niosły się nad wodami cieśniny; dzwonki rowerów, okrzyki przechodniów, pobekiwanie kóz mieszały się z szumem ulicznych pojazdów. Lili owinęła się mocniej ręcznikiem; wpatrzona w rozpościerający się przed nią widok chłonęła odgłosy Turcji. Są gorsze miejsca na świecie na poszukiwanie miłości, spokoju i szczęścia.

Po drugiej stronie cieśniny, na azjatyckim brzegu, to samo słońce oświetlało grubą szarą lufę pistoletu Magnum 357 firmy Smith & Wesson, dziewięciomilimetrowy karabin UZI, Kałasznikowa i dwa ręczne granaty. Broń leżała na kulawym stole w niewielkim pomieszczeniu, w którym powietrze miało zapach palonej marihuany. Nie mógł ryzykować przechodzenia ze sprzętem przez odprawę celną, ale od czasu przybycia do Stambułu ściśle stosował się do instrukcji i wszystko poszło gładko. Zamówił od razu dwie kawy w małej kafejce na bazarze, a potem obie odesłał pod zarzutem, że są zbyt słabe. Po paru minutach śniady, ubrany na czarno człowiek pojawił się przy jego stoliku. Szedł za nieznanym przez labirynt wąskich uliczek, potem brudnymi schodami na górę do małego ciemnego pokoju, gdzie okazał swój paszport. Ze skromnej oferty uzbrojenia, jaką mu przedstawiono, wybrał trzy sztuki, zdając sobie sprawę, że nie może mieć zbyt dużych wymagań.

Spore nadzieje wiązał z Magnum 44, które potrafiło sobie poradzić z każdym - kładło trupem na miejscu nawet potężnego mężczyznę. Półautomatyczne UZI było łatwo osiągalne na całym Bliskim Wschodzie, jako że stanowiło wyposażenie izraelskiej piechoty. Ważyło niecałe osiem funtów i było najkrótszym karabinem półautomatycznym (dwadzieścia cali po złożeniu), co pozwalało na ukrycie go w nogawce

spodni. Wyrzucało z siebie sześćset naboí na minutę, mogło również wydawać pojedyncze strzały, a ładowane było typową amunicją dziewięćmilimetrową, najłatwiejszą do zdobycia. Wybrał także Kałasznikowa dla jego poręczności i niezawodności. Był wolniejszy niż UZI, ale dłuższa lufa dawała większą precyzję strzału. Bóg jeden wie, skąd ten egzemplarz wziął się w Stambule, ponieważ był to chiński model z pięćdziesiątego szóstego roku, z drewnianą kolbą i przymocowanym na stałe składanym bagnetem, który mógł się okazać użyteczny.

Obok broni na stole znajdowała się jeszcze kupka naboí, dwa magazynki, zwój nylonowej liny, pół litra rozpuszczalnika w szklanej butelce, rolka trzycalowej białej taśmy chirurgicznej, dwa plany miasta, pompa wodna z kilkoma okruchami przypalonej żywicy w zbiorniku i egzemplarz czasopisma „People”.

Mężczyzna podszedł do okna o porzewiałej metalowej ramie i zaczął obserwować przeciwny brzeg przez mocną wojskową lornetkę. Zobaczył łagodne wzgórza porośnięte cyprysowo-sosnowym lasem. Za daleko, pomyślał i poprawił ustawienie soczewek. Tym razem dojrzał rozmyte zarysy budynków, poznaczone gdzieś wyraźniejszymi sylwetkami minaretów. Nadal nie to, co trzeba. Wreszcie udało mu się nastawić właściwą ostrość, ale jednolicie szarobrazowe domy były tak do siebie podobne, że jedynie większe kształty meczetów, świątyń i pałaców pozwalały się zorientować w obserwowanym terenie. Niecierpliwie sięgnął po turystyczną mapę i przyjrzał się zdjęciu. Znowu zapatrzył się przez lornetkę na przeciwny brzeg, tym razem skupiając się na części wybrzeża bezpośrednio stykającej się z wodą.

Nakierowawszy szkła na most nad Złotym Rogiem dotąd regulował ostrość, aż mógł rozróżnić twarze pasażerów promu, który właśnie odbijał z przystani. Uważnie przyjrzał się wylądowanej łodzi powoli zbliżającej się w jego kierunku, następnie zatoczył lekki łuk w prawo, na lśniąca w słońcu fasadę pałacu, niewielki park porośnięty drzewkami judaszowymi i ruiny wieży. W końcu chrząknął z zadowoleniem, bo udało mu się trafić na duży budynek w kolorze terakoty stojący na skraju wody. Zaczął sprawdzać okno po oknie, od niewielkich kwater na najwyższym poziomie do wysokich francuskich drzwi na pierwszym piętrze, z których część wychodziła na zaokrąglone balkony, zawieszane nad wodą jak białe klatki dla ptaków. Podczas tej obserwacji na jednym z balkonów otwarły się żaluzje i ukazała się Lili owinięta w żółty ręcznik.

Mężczyzna opuścił lornetkę i podniósł do oczu okładkę czasopisma „People”. Te brązowe oczy o kształcie migdałów, gęste czarne loki, wyzywająco sterczące piersi - nie ma mowy o pomyłce. Było lepiej, niż mógł się spodziewać.

Lili wróciła do salonu swojego apartamentu, wzięła do ust jeszcze jedną część figi i przeszła do garderoby, gdzie włożyła na siebie luźną białą koszulę, jedyną rzecz, w której miała szansę przedrzeć się przez tłum Wielkiego Bazaru nie będąc podszcypywaną ze wszystkich stron. Poprzedniego dnia, gdy odwróciła się gwałtownie po takim szczególnie lubieżnym dotknięciu, z nieopisanym zdumieniem stwierdziła, że sprawcą był na oko dziesięcioletni chłopiec. Lili wsunęła stopy w sandały z wężowej skóry, podpięła włosy antycznymi szylkretowymi grzebykami i nałożyła lekki makijaż, jako że, na szczęście, tego dnia nie czekały jej żadne sesje

fotograficzne. Pozostawiła rozrzucone w nieładzie ubrania i kosmetyki, opuściła apartament i zastukała do sąsiednich drzwi.

- To ty, Lili? Wejź, moja droga, czekam, aż to wyschnie. - Pełen przejęcia głos miał lekki akcent z Luizjany. Sandy Bayriver (rodowe nazwisko Flanagan) kończyła właśnie precyzyjną akcję naprawczą. Pole operacyjne zostało oczyszczone i starannie przygotowane, i teraz Sandy, za pomocą specjalnej szybko schnącej siateczki ratowała złamany paznokieć. Dziewczyna o pozycji Sandy nie mogła sobie pozwolić na żadne tego rodzaju uchybienia, musiała zawsze prezentować nieskazitelnie wypielęgnowane dłonie.

Lili spacerowała po wytwornym pokoju. Urządzenie stanowiły meble obite brokatem. Z marmurowego ucha Aleksandra Wielkiego zdjęła tandetną błyszczącą koronę i włożyła ją sobie na głowę.

- Jakim cudem trzyma ci się to na włosach, Sandy?

- Przypinam spinkami, złotko. Raz, kiedy byłam Królową Ostryg, zapomniałam o spinkach i to cholerstwo spadło mi w najmniej oczekiwanym momencie. - Podniosła wzrok na przyjaciółkę. - Dobrze ci w tym, Lili. Może byś mnie zastąpiła w roli międzynarodowej Miss Piękności, a ja bym sobie poszła na zakupy...

- Ty ją zdobyłaś, to ty ją noś. - Lili zarzuciła koronę z powrotem na głowę posągu. Sandy zawsze wykorzystywała okazję, żeby powiedzieć coś miłego, tak jak niektórzy ludzie nigdy nie przegapiają możliwości popisania się złośliwością. Trudno uwierzyć, że brała udział w zażartej walce o tę błyskotkę, pomyślała Lili, patrząc, jak Sandy wkłada czerwone sandały.

- Okulałabym na takich wysokich obcasach. Mają chyba ze cztery cale - zauważyła.

- Cóż, złotko, jestem do nich przyzwyczajona. - Sandy przeszła do łazienki, by ostrożnie ściągnąć podgrzewane lokówki. Jej gęste ciemne włosy kręciły się naturalnie, lecz Sandy wolala mieć na głowie uporządkowany szereg lśniących kędziorów. - Chodźmy poszukać twojej mamuski - zachichotała Sandy, zawsze mająca na uwadze obie towarzyszki podróży.

U szczytu ogromnych podwójnych schodów, prowadzących do głównego holu hotelu Harun al Rashid, Sandy uczepiła się ramienia Lili i zaczęła ostrożnie schodzić po śliskich marmurowych stopniach. Na dole czekała na nie niewysoka, szczupła kobieta w czerwonej jedwabnej sukni.

Judy Jordan, założycielka czasopisma PRZEBOJEM! przeznaczonego dla kobiet pracujących, nie była zachwycona rolą towarzyszki podróży dwóch najpiękniejszych kobiet świata, z których jedna była w dodatku jej odnalezioną po latach córką. Przewodnik ubrany w szerokie czarne szarawary wyprowadził je z eleganckiego, dosłownie obsypanego różami hotelu, który służył niegdyś jako letni pałac królowej, wybudowany tuż nad wodą ze względu na pożądaną chłód.

- Dokąd się dziś wybieramy? - spytała Lili, kiedy wszystkie trzy usiadły już w ocienionej baldachimem łodzi.

- Tam. - Judy wskazała ręką kierunek. - Do pałacu Topkapi, gdzie mieszkali otomańscy królowie. To te ogromne budowle na wzgórzu. Będziecie obie fotografowane w pałacowym haremie.

- O nie, ja na pewno nie - zaproponowała Lili. - Nie mam makijażu. Judy spojrzała na nią myśląc o tym, że cierpliwość jest podstawową cechą niezbędną każdej matce, i powiedziała:

- Lili, wczoraj wieczorem mówiłam ci, że potrzebujemy twoich zdjęć, podobnie jak Sandy. Zresztą, wyglądasz całkiem dobrze.

Rzecz jasna, że Lili wyglądała dobrze. Lili zawsze dobrze wygląda, dodała w myślach Judy. Ja też zawsze dobrze wyglądałam, jak byłam w jej wieku. Teraz, jeśli przestrzegam diety, ćwiczę codziennie i piję wino wyłącznie raz do roku na Boże Narodzenie, też wyglądam dobrze, choć nie aż tak dobrze jak wtedy, gdy byłam w wieku Lili. Judy miała świadomość, że w tej czerwonej sukience od Chloe, z ukośnie odcinanym marszczonym dołem, jej figura nadal sprawia wrażenie dziewczęcej smukłości, a cała postać mimo upływu czasu zachowała wdzięk zabłąkanej sierotki. Nie byłabym zamieszana w całą tę wątpliwą sprawę z wyborem królowej piękności, rozmyślała Judy, gdybym nie była taka splukana, gdyby Lili była bardziej dyskretna, a Tom nie zrobił o jeden ryzykowny krok za dużo.

Istniał jeszcze jeden problem. Po roku matkowania Lili i tygodniu podróży z osiemnastoletnią Sandy Judy zdała sobie sprawę, że należy do innego pokolenia i wprawiło ją to w pewnego rodzaju niepokój. Nie zazdrość, ma się rozumieć, po prostu niepokój. A skoro ona odczuwała niepokój, to i miliony jej czytelniczek musiały czuć to samo. Wykorzystując doświadczenia własnego życia w redagowaniu czasopisma i umiejętnie zdając się na instynkt, Judy zarobiła pierwszy milion dolarów.

Lili okazała się tą bardziej kłopotliwą z towarzyszek podróży, ponieważ według Judy elegancja oznaczała staranną fryzurę i porządne ubranie, a nie drogie ciuchy, które z założenia miały wyglądać niechlujnie, i włosy stylizowane na swobodny nieład. Niemniej jednak od czasu zyskania córki Judy zaprzestała kłótni ze swym redaktorem działu mody, kiedy proponował rozkładówkę z modelkami odzianymi w to, co widywało się na ulicach, lub owiniętymi w jakieś dziwnie udrapowane perkale. Siedząc z plecami odwróconymi w stronę Bosforu Lili serdecznie żałowała, że zapomniała o planowanych zdjęciach. Pochyliła się do matki ze skruszoną miną.

- Przepraszam, że nie pamiętałam. Tak się cieszę, że namówiłaś mnie na tę wycieczkę.

Judy zdobyła się na uprzejmy uśmiech przyjmując przeprosiny. W ich stosunkach zawsze była uprzejmość, ale Judy po prostu nie umiała być inna. Prawdziwa matka nie jest uprzejma - krzyczy na swoje dzieci, złości się, kiedy córka podbiera jej pończochy, by równocześnie wyrzec się nowego płaszcza na zimę po to, żeby córka mogła mieć naprawdę ładną pierwszą wieczorową suknię. Matka pierze swoim dzieciom ubrania, wkłada czas i serce w przygotowanie każdej kanapki na lunch. Matka zawsze pamięta o twoich kaloszach (o tym, byś je włożyła, zdjęła i odstawiła na swoje miejsce), a ty jej nie słuchasz albo złościsz się wzruszając ramionami, ale jej zrzęczenie daje ci poczucie bezpieczeństwa, bo wiesz, że oznacza troskę o ciebie. Codziennie między matką i córką, która przy niej dorasta, występują dziesiątki sytuacji tworzących pełne miłości porozumienie, bliskość podobną do uczucia, jakie daje szczeniakowi wyścielone jego własnym kocykiem legowisko. Bez wątplenia

matka wie, że lubisz ser z koziego mleka, a nie znosisz ciotki Berty. Matka zna twoje ataki gniewu, wie, co je powoduje, i umie im odpowiednio wcześniej zapobiec. Pomędzy Lili i Judy istniała sympatia, szacunek, nawet początek serdecznej przyjaźni, ale obie były świadome, że powinna być miłość, a tego nie było... jak dotąd. Obie żywiły nadzieję, że kiedyś jednak się pojawi.

Lili z drugiego końca łodzi przyglądała się, jak wiatr rozwiewa krótkie jasne włosy matki. Zawsze sobie wyobrażała swoją tajemniczą nieznaną matkę jako cichą, łagodną madonnę, o krągłej figurze opiętej fartuszkami, mieszającą jakieś smakołyki na staroświeckim piecu kuchennym, a kiedy niemal rok temu udało jej się trafić na jej ślad, odnalazła tę olśniewającą, światową kobietę zamiast postaci ze swych marzeń.

Obie, Lili i Judy, prowadziły samotny tryb życia i obie pragnęły to zmienić, więc starały się pełnić swoje role zgodnie z tym, jak według nich powinny się zachowywać matka z córką. Czyniły drobne, czasem nieudolne kroki w stronę nawiązania stosunków, jakie wydawały im się właściwe. Jednak mimo całego wysiłku włożonego w poznanie matki, Lili nie do końca była pewna uczuć, jakie do niej żywiła. Czuliła się aktorką z krwi i kości, jej sława była wynikiem posiadania wrodzonego talentu, potem stopniowo nabywanych umiejętności i wreszcie doskonalenia efektów. Zawsze musiała w życiu postępować zgodnie z wyczuciem, instynktowne reakcje odgrywały u niej ważną rolę, ale nie czuliła się pewnie, kiedy musiała udawać. Nie chciała udawać miłości. Pragnęła prawdziwej matczynej miłości, której zawsze czuliła się boleśnie pozbawiona. Wiedziała, że jej nie dostaje, czuliła to w głębi serca i duszy, ale nie mogła się z tym pogodzić i wciąż szukała po omacku, nie tracąc nadziei. Bała się, że coś może zniszczyć jej związek z matką, na którym tak jej zależało. Wiedziała z własnego aktorskiego doświadczenia i z obserwacji innych osób na planie, że kiedy reżyser każe aktorowi grać uczucie, czasami wynikiem tych usiłowań jest zaprawiona goryczą wściekłość, prowadząca nieodmiennie do łez i załamania. To był jeszcze jeden powód, dla którego Lili obawiała się podświadomie odgrywania miłości do matki. Nie chciała wzbudzić w sobie trudnej do przezwyciężenia urazy za to, że matka ją porzuciła.

Różowe frędzle baldachimu kołysały się poruszone wiatrem. Łódź sunęła po szarozielonej wodzie cieśniny. Lili pochyliła się w stronę Judy.

- Czy po zdjęciach będę mogła pójść na zakupy? Chcę kupić dywan na Wielkim Bazarze.

- Pójdę z tobą, we dwójkę łatwiej się targować. Zapłacisz mniej, jeśli będę stać za tobą z surową miną. Zaproponuj jedną trzecią tego, co zażądają, a zgódź się na połowę.

- Niezupełnie tak to planowałam. Chcę ci kupić prezent, Judy. Chcę kupić dla ciebie najpiękniejszy dywan na całym bazarze.

- To miło z twojej strony, Lili, ale wiesz, że nie trzeba.

Nie zdając sobie z tego sprawy, Lili spodziewała się, że jej prawdziwa matka będzie dokładną kopią szwajcarskiej chłopki, Angeliny, jej ukochanej przybranej matki, i że podobnie jak Angelina będzie biedna. Lili miała nadzieję, że będzie mogła okazać swoje uczucie pomagając matce finansowo. Lubiała sobie wyobrażać, jak zabiera

matkę do najlepszego sklepu w mieście i kupuje jej pierwsze w życiu futro. Ale prawdziwa matka okazała się milionerką. Lili nie rezygnowała jednak z kupowania kosztownych prezentów, co wprawiało Judy w zakłopotanie. Każdy przejaw uczucia krępował Judy, szczególnie jeśli był wyrażony dotykiem. Jej surowi rodzice, pochodzący z Południa baptyści, nigdy się wzajemnie nie dotykali, nigdy nie całowali ani nie przytulali swoich dzieci. W rezultacie Judy zawsze zachowywała dystans w związkach z innymi ludźmi, ponieważ w jej odczuciu dotyk wiązał się z seksem, nie z uczuciem.

Lili wyczuwała samotność, do której matka za nic by się nie przyznała. Judy osiągnęła wszystkie zewnętrzne znamiona sukcesu - była sławna, zabiegano o jej względy, miała wytworne, projekowane specjalnie dla niej ubrania, służbę, sekretarki, mieszkanie w East Side, posiadłość na Long Island, mnóstwo męskich przyjaciół i trzy przyjaciółki. Ale nikogo... naprawdę bliskiego. Może wynikało to z poczucia winy.

Przez wiele lat Judy czuła się winna z powodu porzucenia dziecka, a nawet odpowiedzialna za jego śmierć, winna, że jej życie nie układa się tak, jak sobie kiedyś zaplanowała, a wszystko dlatego, że nie odniosła wielkiego sukcesu w Nowym Jorku.

Choćby Judy nie wiadomo jak próbowała się przed sobą usprawiedliwiać, przy pełnym zrozumieniu i poparciu przyjaciółek, w odczuciu Lili nic nie zmieniało faktu, że kiedy miała trzy miesiące, matka ją porzuciła. Istniało wiele okoliczności łagodzących winę Judy: była zaledwie szesnastoletnią kelnerką, pracującą na czesne za naukę w laboratorium językowym w Gstaad w Szwajcarii, kiedy została zgwałcona. Trzy zamożne przyjaciółki Judy z miejscowej szkoły dla dziewcząt pomogły zapłacić za poród i późniejsze utrzymanie dziecka. Jednak niezależnie od tego, jak bardzo Judy się starała, osiągnięcie sukcesu w interesach, przynajmniej z początku, wydawało się nieosiągalne. W którąkolwiek stronę się zwróciła, trafiała w ślepą uliczkę. Przez cały czas nie opuszczała jej świadomość, że musi osiągnąć cel jak najszybciej, ponieważ, pomijając względy ambicjonalne, nie mogła utrzymać córki nie zarabiając odpowiednich pieniędzy. Początkowy brak powodzenia w interesach sprawiał, że czuła się bezsilna i nie kochana, miała przy tym poczucie życiowej porażki.

Z właściwą młodości arogancją Judy liczyła na szybki sukces jako wynik zdolności popartych ciężką pracą. Nie przychodziło jej do głowy, że ludzie przeciętnie atrakcyjni, choćby dawali z siebie wszystko, po prostu nie otrzymują możliwości, na jakie swoim zdaniem zasługują. A gorzki do przełknięcia jest fakt, że inni, mniej utalentowani i pracowici, mają przed sobą szanse, które ty umiałabyś wykorzystać. Lili cierpiała, bez wątpienia, lecz miała to wszystko, czego Judy brakowało w jej wieku: urodę, dar przyciągania mężczyzn, pieniądze i czas. Czas na zabawę, czas na to, by wyjść wieczorem nie padając z nóg ze zmęczenia, czas dla mężczyzn. Judy pamiętała, jak zastanawiała się wówczas, czy uda jej się osiągnąć powodzenie, dopóki jeszcze zachowa atrakcyjność, czy kiedykolwiek będzie mogła sobie pozwolić na włożenie eleganckiej sukni i pójście w jakieś wytworne miejsca, gdzie miałyby szansę spotkać jakiegoś interesującego mężczyznę.

Może wszystko poszłoby łatwiej, gdyby była choć trochę ładniejsza. Judy wstydziła się, że jest zazdrosna o urodę Lili.

Po drugiej stronie cieśniny, w azjatyckiej części miasta, mężczyzna z lornetką wciąż zawieszoną na szyi rozpychając chłopców sprzedających gumę do żucia i talizmany z koralików ruszył biegiem na prom. Parę minut później szeroki ślad promu przeciął trasę eleganckiej łodzi z trzema sławnymi kobietami na pokładzie, zmierzającej do brzegu, na którym wznosiły się tuż nad wodą bogato zdobione pałace i meczety. W drgającym od upału powietrzu widok budowli zlewał się ze swym odbiciem w wodzie w jedną całość.

Są kłopoty, Judy - powitał je fotograf w pałacu Topkapi. - Podobno nie możemy robić zdjęć w haremie. To niemożliwe.

Ludzie tacy jak Judy Jordan, posiadający odpowiednio długie doświadczenie, nigdy nie używają słowa „niemożliwe”. Kiedy mówiono Judy, że coś jest niemożliwe, unosiła nieznacznie swój kształtny nos i stwierdzała:

- Tylko niemożliwi ludzie używają słowa „niemożliwe”. - Lub po prostu krótko: - Musimy to zrobić.

Teraz powiedziała:

- Musimy robić zdjęcia w haremie. Artykuł już jest napisany, nagłówki ustalone, a film zostanie natychmiast przekazany do Nowego Jorku, żeby go wywołali i zrobili odbitki na piątek. - Odwróciła się do przewodnika z tureckiej obsługi turystycznej. - W czym problem?

- Pomieszczenia należące do haremu są olbrzymie, pani Jordan...

- Nie moglibyśmy w części z nich pstryknąć paru zdjęć? Wszystko zostało ustalone z waszym biurem.

- Musiało zajść jakieś nieporozumienie. Robienie zdjęć jest zakazane z powodu prac konserwatorskich.

- Nie ma chociaż jednego pomieszczenia...

- Proszę zrozumieć, madame. Pałac Topkapi należy do najcenniejszych narodowych zabytków i rząd byłby niepokieszony, gdyby pokazywano pałacowe wnętrza w takim stanie. Wszystkie najpiękniejsze komnaty znajdują się w części udostępnionej dla turystów. Chętnie państwa tam zaprowadzę.

- No dobrze, proszę nas zaprowadzić - zgodziła się Judy. Spojrzała na zegarek obliczając w myślach: godzina na ustawienie sprzętu, druga godzina na zdjęcia. Tak, wystarczy czasu na szybkie zwiedzanie.

- Jak myślisz, pozwolą nam wrócić i obejrzeć wszystko na spokojnie? - Sandy spytała Lili, kiedy przechodziły przez bibliotekę pełną rzeźbionych drewnianych półek inkrustowanych macią perłową i szylkretem.

- Nie. - Lili wsłuchiwała się w zniekształcony obcym akcentem głos przewodnika, opowiadającego historię jakiejś sławnej konkubiny.

- Zawsze tak jest na takich wyjazdach? - nie ustępowała Sandy, nie chcąc przyjąć do wiadomości, że życie gwiazdy wygląda znacznie lepiej z zewnątrz niż od środka.

- Owszem - pozbawiła ją złudzeń Lili. - Nigdy nie ma na nic czasu, chyba że na lotnisku. Niezależnie od tego, gdzie się znajdujesz, oglądasz tylko wnętrza garderoby i studia. Nie możesz iść do dyskoteki, bo następnego dnia miałabyś

podkrążone oczy, nie możesz się opalać, bo na jednych zdjęciach mogłabyś wyjść ciemniejsza niż na innych, nie możesz jeść większości rzeczy, na które masz ochotę, bo albo utyjesz, albo ci zaszkożda, a do tego wszyscy się wiecznie spóźniają i miotają się jak wściekli. Czyż sukces nie jest cudowny?

- Czas się przygotować, dziewczęta - odezwała się Judy. - Będziemy robić zdjęcia w królewskiej jadalni. - Wprowadziła je do niewielkiej komnaty o ścianach i suficie pokrytych złożonymi malowidłami kwiatów i owoców. Fotograf spojrzął z powątpiewaniem na światłomierz.

- Ten cały kwiatowo-owocowy zestaw może wyglądać w druku jak jakaś psychodeliczna sałatka.

- W takim razie zróbmy jeszcze kilka ujęć na zewnątrz, przy bramie haremu, gdzie jest lepsze światło - zaproponowała Judy.

Kiedy sesja zdjęciowa dobiegła końca i rolka filmu została odesłana na lotnisko, Sandy i fotograf zostali na miejscu, żeby swobodnie obejrzyć pałac.

- W końcu, moi drodzy - rzuciła Sandy idąc w stronę pałacowego skarbcza - jak często kobieta ma okazję oglądać rubiny wielkości gołębiego jaja?

Judy i Lili wsiadły do swojej limuzyny, zrzuciły z nóg pantofle i poleciły kierowcy, żeby zawiózł je na Wielki Bazar.

Przy wysiadaniu z samochodu mała torebka z wężowej skóry należąca do Lili upadła na bruk. Wypadły z niej monety, szminka i kilka listów. Lili szybko schyliła się, by je pozbiierać, lecz Judy zdążyła zauważyć kopertę ze znaczkiem poczty lotniczej.

- Nie byłaś dość szybka, Lili - Judy nie mogła się powstrzymać przed tą uwagą. - On wciąż do ciebie pisze?

Lili otworzyła usta, ale zaraz zamknęła je z powrotem bez słowa. Cokolwiek by powiedziała, zabrzmiałoby niewłaściwie. I tym razem Judy nie potrafiła się opanować.

- Myślisz, że nie zdołam rozpoznać pisma mojego kochanka po tylu miesiącach?

- Judy, nie mogę zmusić Marka, żeby przestał do mnie pisać. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego, nigdy nie chciałam...

- Ale on chce, prawda, Lili? I z pewnością nie chce już mnie. - Judy wiedziała, że posuwa się za daleko i powinna zamilknąć, ale kiedy już zaczęła, nie mogła się powstrzymać. Tłumiła to w sobie od dawna. - Lili, nie mów mi, że nie wiedziałaś, że Mark się w tobie zakochał w Nowym Jorku, dosłownie pod moim nosem. Nie możesz udawać, że nie wiesz, jak działasz na mężczyzn... ty, Lili, najślynniejszy na świecie symbol seksu. - Judy wiedziała, jak trafić w czułe miejsce Lili.

- Jesteś niesprawiedliwa, Judy. Za kogo ty mnie masz? Opanowanie Judy gdzieś się nagle ulotniło, ustępując miejsca zazdrości, poczuciu krzywdy i lękowi.

- Za kobietę, która jest zdolna uwieść kochanka własnej matki. Za kobietę, która może znjweczyć interesy matki... mam cię za kogoś takiego.

Lili wybuchnęła gwałtownym płaczem.

- Jesteś okropna! Żałuję, że cię odnalazłam. Wolałabym cię nigdy nie spotkać. Nie chcę cię więcej widzieć. - Odwróciła się na pięcie i zniknęła w kłębiącym się tłumie.

Judy z pochmurną twarzą patrzyła na jej odejście. Ich podniesione głosy, twarze

wykrzywione złością nie wzbudziły najmniejszego zainteresowania otaczających ludzi. Ale one wiedziały, że gra skończona. W ciągu niespełna dwóch minut ten kruchy związek, który obie tak bardzo starały się między sobą wytworzyć, został całkowicie zniszczony.

Mężczyzna z lornetką obserwował ich kłótnię, a potem patrzył, jak Lili wybucha płaczem i odchodzi przez kamienną bramę bazaru. Szybko ruszył jej śladem, rozpychając łokciami ludzką ciżbę, zdecydowany nie spuszczać Lili z oczu.

Gdzie do diabła może się podziewać Lili? Nie powinna była sama wychodzić.

- Samotne wyjścia są dla niej luksusem - przypomniała Sandy, odsuwając się nieco na krześle i opierając stopy na barierce balkonu. Zapatrzyła się na ciężkie czarne chmury gromadzące się ponad wieżyczkami minaretów. - Wiesz, że Lili nie znosi zamieszania wokół swojej osoby. Inne gwiazdy nie ruszają się z miejsca bez swoich agentów prasowych, obstawy, personelu studyjnego, bandy innych gorliwych pomocników i fryzjera, ale Lili tego wszystkiego nienawidzi. Potrafi zrobić efektowne wejście lepiej niż ktokolwiek inny i choć może nie jest Gretą Garbo, nie zależy jej na tym całym zamieszaniu, które ja tak lubię.

- Przecież wie, że za dziesięć minut mamy się spotkać z przedstawicielami agencji.

- Może ona nie chce się spotykać z ludźmi z agencji. Może po prostu damy sobie z tym spokój i pójdziemy coś zjeść? - Sandy podniosła się z krzesła i rozsunęła zamek obcisłego kombinezonu ze złotej lamy. - Lili może do nas dołączyć, jak wróci.

Kiedy Judy próbowała zostawić dla Lili wiadomość, recepcjonista pokazał, że klucz od jej pokoju wciąż tkwi w przegródce.

- Panna Lili wyszła kilka godzin temu. Nie, nie sama. Był z nią jakiś mężczyzna.

- Jaki mężczyzna?

- Nikt spośród gości. Może Turek. Nie pamiętam, jak był ubrany. Zdaje się, że w ciemny garnitur. - W luksusowych tureckich hotelach recepcjoniści posługiwali się nienaganną angielszczyzną.

- To dziwne, nie znamy żadnego Turka poza tymi z agencji - powiedziała Sandy, kiedy zmierzały w stronę jadalni. Judy nie odezwała się.

Zabawiana przez ludzi z agencji wyszukaną konwersacją Judy próbowała dać o niezwykłych, sugestywnych nazwach: „Omdlenie świętego męża” - nadziewane bakłażany z pomidorami, cebulą i czosnkiem, „Królewska rozkosz” - pieczone jagnię z cebulą i pomidorami, „Damskie pępek” - ciasteczka z orzeszkami pistacjowymi i bitą śmietaną. Potem światła przygasły i na parkiet wbiegło sześć pulchnych dziewcząt w jaskraworóżowych przezroczystych strojach. Po tańcu brzucha przysła kolej na połykaczy ognia, a potem na zaklinaczy węży. Dopiero o drugiej nad ranem, kiedy ostatnia kobra wróciła na spoczynek do swego koszyka, Judy mogła wstać i wyjść.

Niepokój powrócił natychmiast, gdy znalazła się w hotelowej recepcji i zobaczyła klucz Lili nadal tkwiący w przegródce.

- To nie jest miasto, po którym dziewczyna może spacerować z obcym mężczyzną - zwróciła się do Sandy, - Nawet gdyby Lili była nie wiem jak wściekła, zostawiłaby dla nas wiadomość. Pomijając wszystko inne, nie chciałaby być poszukiwana przez

miejscową policję, jeśli wybrała się na randkę. - Czując narastające poczucie winy, szybko dodała: - Lepiej nie dzwońmy na policję. Nie ma sensu zwracać na siebie uwagi, a poza tym nie chcemy przecież wyjść na idiotki, jeśli Lili, jeśli ona tylko... - urwała.

- No właśnie - zgodziła się Sandy.

Zaraz po przebudzeniu Judy zadzwoniła do apartamentu Lili. Nie było odpowiedzi. Ubrana w jedwabny czerwony szlafrok Judy pospieszyła do recepcji. Recepcjonista, nerwowy młody człowiek z dziennej zmiany, odmówił wydania klucza do pokoju Lili. Judy zażądała wezwania kierownika hotelu i oboje szybko ruszyli na górę po marmurowych schodach. Zaniepokojona Sandy pełniła wartę przy podwójnych drzwiach do apartamentu Lili.

Przebiegli przez pusty salon i gwałtownie pchnęli drzwi sypialni. Różowe jedwabne zasłony zwisające z baldachimu nad wielkim antycznym łóżkiem podwiązane były złotymi sznurami, ale poduszki w koronkowych poszewkach nie nosiły śladu używania, a nakrycie z szyfonu w kolorze kości słoniowej było tak gładkie, jak zostawiła je pokojówka poprzedniego wieczoru.

Sandy rzuciła się do garderoby i pootwierała szafy.

- Wszystkie jej ubrania są tutaj. - Otworzyła drzwi do łazienki. Przybory do makijażu leżały rozrzucone na marmurowym blacie, tak jak Lili je zostawiła.

Wróciwszy do salonu Sandy zastała Judy klęczącą na dywanie i mocującą się z rulonem zapakowanym w brązowy papier. Po chwili udało jej się wydobyć z paczki piękny ręcznie tkany dywan.

- Lili musiała to kupić po tym, jak się rozstałyśmy na bazarze.

- Może ten mężczyzna, z którym wyszła, to był handlarz dywanów? - zasugerowała Sandy.

- Może spotkała kogoś na bazarze? - głośnie wyraziła swe obawy Judy.

Sandy zawsze mówiła ludziom to, co chcieli usłyszeć.

- Może Lili umówiła się z jakimś przystojnym facetem i postanowiła się trochę rozerwać.

Lekkie pukanie do drzwi poderwało je na nogi. Razem rzuciły się otwierać i Judy pierwsza złapała za klamkę.

- Lili, dzięki Bogu, że jesteś... och! - Za drzwiami stał chłopiec hotelowy z gigantycznym bukietem czerwonych róż.

- A któż to przysyła nam kwiaty, skoro jutro wyjeżdżamy? - zdziwiła się Sandy, odpinając od wiązanki małą kopertę i podając ją Judy. Matka Lili wyjęła bilecik, przeczytała go i z jękiem upuściła na podłogę.

- O nie!

Sandy podniosła kartonik i odczytała na głos:

- Czekać w hotelu na wiadomość od ojca Lili. Musi zapłacić okup. - Odwróciła się wolno do Judy. - No, to już wiemy. Lili została porwana.

Rozdział pierwszy

Stojąc tam, w hotelowym pokoju, i patrząc na wspaniałą bukiet czerwonych róż dołączony do listu porywacza, Judy nie powiedziała ani słowa. To moja wina, pomyślała. I tym razem znowu jestem odpowiedzialna za nieszczęście mojej córki. Dlaczego Bóg nie wysyła jakichś sygnałów ostrzegawczych, kiedy człowiek popełnia pierwsze błędy prowadzące do katastrofy? Namówiłam Lili, żeby towarzyszyła mi w tej podróży, bo tam w domu, w Nowym Jorku, nigdy nie miałam dla niej czasu. Wmawiałam sobie, że to nie moja wina, że nie spodziewałam się odnalezienia dawno utraconej córki. Miałam na głowie wydawanie czasopisma, prowadzenie interesów, zobowiązania dobroczynne, no i kochanka, którym musiałam się zająć. Ale ten artykuł o Lili w PRZEBOJEM! był moim pomysłem. Powinnam była przewidzieć, że napytam sobie nim biedy, że wszystkich nas wpędzi w kłopoty. Szkoda, że nie mogę cofnąć czasu do tego dnia przed rokiem, do naszego pierwszego spotkania w hotelu Pierre.

75 października 1978

Był ciepły październikowy wieczór, lecz mimo to w spokojnym jasnym pokoju hotelowym, którego okna wychodziły na Central Park, w kominku płonął ogień. Blask płomieni oświetlał twarze dwóch kobiet stojących naprzeciw siebie. Judy czuła jakiś dziwny, niemal zwierzęcy magnetyzm emanujący z postaci Lili. Patrząc na ciemne, kręcone włosy Lili, opadające falami na białą grecką tunikę, Judy poczuła nowy przypływ zachwyty urodą tej znanej na całym świecie owalnej twarzy o wydatnych kościach policzkowych, nadających jej wyraz zarówno niewinności, jak i pewnej drapieżności, oraz pięknie oprawionych piwnych oczu, które zawsze błyszczały, jakby lada moment miały popłynąć z nich łzy. Judy wciąż nie mogła uwierzyć, że jej córka, którą dawno uznała za zmarłą, jednak żyje... a już zupełnie nieprawdopodobne wydawało jej się to, że jest nią Lili, najslynniejsza gwiazda od czasów Marilyn Monroe. Trudno było porównać tę zmysłową istotę z postacią, którą Judy zachowała w pamięci, postacią dobrze ułożonej sześciolatniej dziewczynki z włosami splecionymi w warkocze. Judy zawsze sobie wyobrażała, że jej córka byłaby do niej podobna, tymczasem jedyne podobieństwo tkwiło w drobnej budowie ciała. Pozostałe trzy kobiety znajdujące się w pokoju siedziały nieporuszone na swoich miejscach, jakby zahipnotyzowane sytuacją, kiedy Lili wykonała pierwszy krok w stronę Judy. Poganka, odziana w elegancką różową wełnę, mimochodem zauważyła, że Judy i Lili mają identyczne małe dłonie. Pochyliła się do kobiety w garsonce koloru morwy.

- Nie sądzisz, że powinniśmy wyjść? - spytała szeptem Kate, siedzącą obok niej na obitej brzoskwiowym jedwabiem sofie.

Kate Ryan wzruszyła ramionami, niezdolna oderwać oczu od Lili. Przyłapała się na tym, że robi w myślach notatki, jakby przygotowywała jeden ze swoich artykułów, podczas gdy Lili zbliżała się krok po kroku do zastygłej w bezruchu Judy. Kate otworzyła usta, by udzielić odpowiedzi, lecz trzecia z obecnych, elegancka blondynka w niebieskich jedwabkach, położyła palec na ustach. Wszystkie trzy obserwowały matkę i córkę obejmujące się w trochę sztywnym uścisku. Ulegając naturalnej

potrzebie rozładowania napięcia poprzez fizyczny kontakt, matka z córką trzymały się w ramionach, lecz, co zdziwiło Kate, nie wymieniały pocałunków.

Obejmując córkę Judy uświadomiła sobie, że robi to po raz pierwszy od czasu rozdierającej chwili, kiedy oddawała trzymiesięczne niemowlę przybranej matce tamtego ranka przed wielu laty w szwajcarskim szpitalu, gdzie dziecko przyszło na świat. Trzymając teraz Lili przyciśniętą do serca Judy zdała sobie sprawę, że od tamtego dnia obie żyły z uczuciem fizycznej, podobnej do głodu tęsknoty, którą ten uścisk wyrażał, bardziej niż czułość czy nawet wzajemną sympatię. Obie jednak miały świadomość, że ten uścisk wyraża przede wszystkim dobrą wolę.

To moja córka, myślała Judy, czując w ramionach ciepło drżącego ciała Lili. Ta piękna, zmysłowa kobieta wyłoniła się kiedyś z mojego wnętrza. Te szalone piwne oczy i ślicznie ukształtowane policzki były kiedyś częścią mnie, ja je stworzyłam. Spojrzała na złocistą skórę ręki Lili myśląc: oto krew z krwi mojej, kość z kości. Ona nie czuje się moją matką, myślała Lili przytulając do siebie szczupłe ciało Judy odziane w brązowy aksamitny kostium. W sercu Lili rozczarowanie mieszało się z ulgą. Stworzyła sobie romantyczny wizerunek nieznannej matki, bo inaczej musiałaby się pogodzić z brutalną prawdą odrzucenia. Kiedy w końcu odnalazła matkę, oczekiwała, że poczuje się bezpieczna jak dziecko, lecz w oczach Judy dostrzegła cierpienie, strach i poczucie winy, i nieoczekiwanie to ona zapragnęła otoczyć matkę opieką.

Nie zwracając uwagi na obserwujące scenę trzy kobiety, bliska łez Lili przypomniała sobie niepokój i niepewność towarzyszące całemu jej życiu. Teraz rozpoznała je jako tęsknotę, smutną i nieustającą, mimo że była skierowana do kobiety, której Lili nawet nie знаła, do vraie maman, jak Lili nazywała w myślach matkę, kiedy mieszkała w małej szwajcarskiej wiosce w rodzinie miejscowej szwaczki.

- Mamo? - Lili wymówiła to słowo miękko, jakby po raz pierwszy wychodziło z jej ust. Potem powtórzyła jeszcze raz: - Mamo.

Odsunęły się od siebie, roześmiały przez łzy i odezwały się równocześnie:

- Nie tak sobie ciebie wyobrażałam! Potem Judy dodała:

- Jak nas znalazłaś?

- To nie było trudne - odparła Lili. - Wynajęłam detektywa. Odkrył, że moja matka była jedną z czterech nastolatek studiujących w Szwajcarii, a potem szedł po śladzie, dopóki was nie znalazł.

- Zwróciła się do zielonookiej kobiety w morwowej garsonce.

- Ciebie najtrudniej było znaleźć, bo świat jest pełen kobiet nazywających się Katherine Ryan. A kiedy i ciebie już znalazł, nie mógł wykryć, która z was jest tą nastoletnią matką, więc zorganizowałam tę konfrontację. - Zawahała się, przygryzła dolną wargę. - Mam nadzieję, że mi wybaczycie. Mam nadzieję, że zrozumiecie, dlaczego musiałam się dowiedzieć, kim są moi rodzice, kim ja jestem.

Ostatnią rzeczą, jaką Kate spodziewała się poczuć dla tej bogini seksu, był nagły przyływ sympatii i współczucia. Odezwała się miękkiem głosem:

- A my mamy nadzieję, że zrozumiesz, dlaczego Judy nie mogła zatrzymać swojego dziecka. W tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku szesnastolatnia

dziewczyna z biednej rodziny, sama zarabiająca na swoje utrzymanie, nie była w stanie opiekować się dzieckiem.

Judy poruszyła się niespokojnie.

- Czy ty... czy byłaś... czy twoja przybrana matka troszczyła się o ciebie? - Nagle wybuchnęła: - Nigdy jej nie wybaczę, że zabrała cię na Węgry, gdy byli tam Rosjanie.

- Zawsze będę kochać Angelinę - powiedziała z mocą Lili. - Ona mnie kochała i nigdy mnie nie okłamywała. Zawsze powtarzała, że pewnego dnia moja vraie mamam do mnie przyjdzie.

- I przyszła. - Elegancka blondynka w niebieskich jedwabiach przemówiła po raz pierwszy, z wyraźnym francuskim akcentem. - Wiedziałyśmy, że pojechałaś na wakacje na Węgry, a kiedy dowiedziałyśmy się o wybuchu rewolucji, Judy przyleciała do Europy i pojechałyśmy prosto na węgierską granicę. Panował tam okropny chaos, sto pięćdziesiąt tysięcy węgierskich uchodźców przekroczyło austriacką granicę i przebywało w obozach dla przesiedleńców. Odwiedziłyśmy wszystkie z nich, ale nikt nic o tobie nie wiedział. - Maxine pamiętała rozpacz Judy i oskarżenia, jakimi się obrzucała, kiedy wędrowały przez śnieg od chaty do chaty, wpytując coraz to nowych ludzi zajmujących się uchodźcami.

Wspominając swe nieustanne wyrzuty sumienia za porzucenie Lili, za to, że nie zrobiła wystarczająco dużo, by ją odnaleźć, Judy usiadła ciężko na sofie i ukryła twarz w dłoniach. Jej łkanie było jedynym odgłosem zakłócającym panującą w pokoju ciszę.

Kate podniosła słuchawkę telefonu i spytała:

- Zdaje się, że pojawienie się nowego dziecka w rodzinie świętujecie szampanem? Jak sądzicie, będą mieli Krug rocznik czterdziesty dziewiąty?

- Wolałabym, żebyś zamówiła naszego szampana - odezwała się stanowczym tonem Maxine. - Poproś o dużą butelkę Chazalle rocznik siedemdziesiąty czwarty.

Po dłuższej chwili zamieszania i sporej dawce szampana Poganka niespodziewanie spytała:

- Jak prasa przyjmie tę wiadomość? Może powinniśmy zachować wszystko w tajemnicy?

- I tak się musi wydać - stwierdziła Maxine. - Wszystkie jesteśmy powszechnie znane i żyjemy na świeczniku. Nie minie tydzień, a ktoś podsłucha rozmowę telefoniczną albo przechwyci list i sprzeda całą historię tym z „National Enquirer” za jakieś marne pięćdziesiąt dolarów. Przecież ty jesteś dziennikarką... - zwróciła się do Kate.

Judy przypomniała sobie jadowite uwagi, które śmiejąc się czytała na temat Lili, równie złośliwe jak wszystkie plotki o Elizabeth Taylor, Farrah Fawcett czy Joan Collins.

- Same możemy się tym zająć, Lili. Opublikujemy twoją prawdziwą historię, opowiedzianą przez ciebie samą.

- Nie! - Lili sprawiała wrażenie wystraszonej. - Znacie te wszystkie kłamstwa, które na mój temat wypisują. Zaczną to wyciągać od nowa.

- Nie martw się, Lili - pocieszyła ją Kate. - Jestem naczelną redaktorką PRZEBOJEM!, więc będziesz mogła nad wszystkim panować. Opublikujemy tylko to, co zechcesz. - Spojrzała na Judy oczekując potwierdzenia. - Jeśli my się tym zajmiemy pierwsi, zastrzeżemy sobie wyłączność i postaramy się o odpowiedni rozgłos, inni nie będą mieli już ochoty włączać się w tę sprawę.

- A jest o czym pisać - przyznała Lili.

Maxine napełniła kieliszki szampanem i wszystkie cztery kobiety wsłuchały się w cichy głos Lili, snującej opowieść o swym życiu od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku. Słuchały historii paryskiej modelki porno, która stała się znaną na całym świecie gwiazdą filmową. Smutnej historii samotnej, wykorzystywanej dziewczyny, niezdolnej panować nad swym przeznaczeniem, podobnie jak jesienne liście zrzucane z drzew przez wiatr w okrywającym się mrokiem Central Parku.

Była druga nad ranem, gdy Kate weszła wreszcie do swego mieszkania. Stała w drzwiach przestronnego salonu i przecierając zmęczone oczy spojrzała na mężczyznę śpiącego na długiej kanapie pokrytej beżowym zamszem, biegnącej wzdłuż całej ściany. Nad kanapą wisiała kolekcja obrazów i grafik przedstawiających tygrysy. Na podłodze leżała para kapci, skarpetki, zmięty egzemplarz „Wall Street Journal” i srebrna taca z resztkami zimnej pizzy i opróżnioną do połowy szklanką piwa. Tom nigdy nie będzie smakoszem, choćby podała mu nie wiem ile wytwornych posiłków, pomyślała Kate podchodząc do męża i potrząsając nim delikatnie.

- Czas do łóżka, kochanie - szepnęła, kiedy zamrugnął oczami, a potem przyciągnął ją do siebie w niespodziewanie mocnym uścisku.

- Jak poszło, skarbie? Dogadałaś się z Lili?

- Opowiem ci rano. Wszystko jest na dobrej drodze, ale w tej chwili jestem tak wykończona, że marzę tylko o spaniu. Szkoda, że nikt nie wynalazł maszyny z guzikiem, po naciśnięciu którego człowiek znajdowałby się od razu w łóżku, rozebrany, wykąpany i z umyтыми zębami.

- I ze mną.

- Ty stanowiąłbyś dodatkowe wyposażenie. Bardzo kosztowne.

W hotelu Plaża, w oświetlonej miękkim światłem łazience, Maxine otworzyła trzy ampułki, wymieszała ich płynną zawartość i starannie wklepała w delikatną skórę wokół oczu. Użyła różowego kremu do zmycia makijażu, bezbarwnego płynu do zniszczenia martwego naskórka i białej substancji do pobudzenia odnowy komórek podczas snu. Pędzelkiem umocowanym w roztworze syntetycznego kolagenu przetarła zmarszczki na czole, od czasu operacji liftingu widoczne nie bardziej niż żyłki na liściu. Na koniec zrobiła sobie zastrzyk wyszczuplający w prawy pośladek, zgrabnie zaokrąglony i gładki jak brzoskwinia dzięki regularnym zabiegom zwalczania cellulitis. Odwiesiła niebieską sukienkę z jedwabiu i włożyła jedwabny peniuar wykończony na brzegach koronką. Wyszczotkowała włosy wykonując dokładnie sto ruchów szczotką, po czym weszła do łóżka, otworzyła podróżny walizkowy sekretarzyk z brązowej skóry i podyktowała pół tuzina poleceń do przesłania następnego dnia teleksem do swojej sekretarki. Dużym, zaokrąglonym pismem podziękowała Judy za gościnę w Nowym Jorku i ułożyła uprzejmy bilecik do Lili. Zawsze pisała tego rodzaju podziękowania w nocy, kiedy jeszcze odczuwała wdzięczność, choćby było

nie wiadomo jak późno. Maxine nie знаła powodów, które mogłyby usprawiedliwić zaniedbanie ciała, interesów lub należytej uprzejmości.

Poganka wyciągnęła się na staroświeckim mosiężnym łóżku w swoim pokoju w hotelu Algonquin i po raz kolejny próbowała za pośrednictwem numeru kierunkowego połączyć się z mężem.

W Nowym Jorku była druga w nocy, co oznaczało siódmą rano w Londynie, więc przy odrobinie szczęścia powinna złapać Christophera przed śniadaniem. Rozejrzała się po niewielkim, lecz ładnie urządzonej pokoju. Jej różowy płaszcz od Jean Muir leżał rzucony niedbale na paśowym aksamitnym fotelu, a bielizna poniewierała się po dywanie w odcieniu malachitowej zieleni.

- Kochanie, to ty? Jak tam psy? Czy Sophia odrabia lekcje zaraz po powrocie ze szkoły? Pomagasz jej w geometrii?... Wybacz, ale wydaje mi się, że minęła nie doba, lecz tydzień, od kiedy cię widziałam, kochanie... Tak, spotkałam się z Lili, ale nie chcę rozmawiać o tym przez telefon. ...Nie, nie mówiłyśmy o dotacji na twoje laboratorium, kochanie, jesteś jeszcze mniej taktowny ode mnie... nie, po prostu nie było okazji rozmawiać o tym, jak ważne są badania nad rakiem. - Odgarnęła z twarzy gęste mahoniowe włosy i ułożyła swe szczupłe, długonogie nagie ciało w wygodniejszej pozycji na koronkowym pościeliu.

- ...Tak, wiem, że zapomniałam zapakować piżamę, ale nikt tego nie zauważył, kochanie. Schowam się w toalecie, kiedy przyniosą śniadanie. Och, do licha, naprawdę zapomniałam zrobić zakupy? Dzięki Bogu, że mamy Harrodsa i usługi taksówkowe... - Wreszcie ze starannie udawaną swobodą w głosie Poganka spytała: - A jak ty się czujesz, kochanie? - Od czasu jego zawału zawsze martwiła się będąc z dala od niego. - ...Nie, zeszłej nocy prawie nie spałam, wiesz, że nie mogę brać pigułek nasennych ani niczego uzależniającego. Ale dzisiaj jestem dobrze przygotowana na bezsenną noc. Kupiłam sobie znakomitą książkę pod tytułem Skrupuły...

Judy także nie zmrużyła oka tej nocy. Skulona pod futrzaną narzutą z czerwonych lisów w swej wielkiej, luksusowo urządzonej sypialni, niespokojnie błędziła wzrokiem po łososiowych ścianach i podobnych w odcieniu zasłonach z surowego jedwabiu, po pięknych wiktoriańskich obrazach przedstawiających brzoskwinie, winogrona, jabłka i morele. Właściwie była zadowolona, że Griffin jest nieobecny. Musiał wyjechać na parę dni na Zachodnie Wybrzeże w sprawie nowego czasopisma poświęconego urządzaniu wewnątrz, pierwszego z jego licznych przedsięwzięć wydawniczych w San Francisco. Nie dalej niż poprzedniego wieczoru Griffin zadał Judy pytanie, na które czekała od dziesięciu lat. Chociaż Griffin był głównym udziałowcem PRZEBOJEM! i choć byli kochankami od dziesięciu lat, zawsze był między nimi jeden temat, na który nie rozmawiali. Tym tematem była sytuacja rodzinna Griffina. Wszyscy w szerokim kręgu mediów wiedzieli, że sprawa została przesądzona już przed laty, kiedy nie znając jeszcze Judy ten twardy spryciarz Griffin Lowe pokazywał się na mieście w towarzystwie najładniejszych modelek i aktorek Nowego Jorku. Żadna z nich nie miała szans na legalny związek, bo Griffin nigdy nie opuściłby żony i trójki dzieci. Zbyt ciężko pracował na swój wysoki

szczebel w drabinie sukcesu, więc chciał mieć wszystko - pozycję statecznej głowy rodziny i wciąż nowe erotyczne przygody.

Aż nagle, przed kilkoma dniami, żona Griffina odeszła do innego mężczyzny. Wyjechali do Izraela rozpocząć nowe życie w kibucu. Pani Lowe, której cierpliwość wreszcie się wyczerpała, porzuciła swego przystojnego, bogatego, czarującego męża-wiarołomcę.

Następną niespodzianką było to, że Griffin natychmiast po tym poprosił Judy o rękę. Nie była to jednak ostatnia niespodzianka, ponieważ usłyszawszy słowa, na które czekała dziesięć lat, Judy stwierdziła, że wcale nie ma ochoty wychodzić za Griffina. Griffin miał dobrze zakorzeniony nawyk oszukiwania żony, dlatego też nie spieszyło jej się do objęcia zwolnionego miejsca. Stare nawyki trudno wypenić.

Upozowana na łóżku w rdzawym blasku nocnej lampki naga męska sylwetka wyglądała jak alabastrowy posąg. Nieco lisia w wyrazie twarzy rozjaśniła się zmysłowym uśmiechem.

- Nie, skarbie, jest całkowicie bezpiecznie. Lili wyszła odegrać swą największą życiową rolę. - Zaśmiał się do słuchawki. - Wrócę w sobotę... obiecuję, skarbie... możesz z tym poczekać jeszcze te parę dni... lepiej będzie... - Mężczyzna poderwał głowę, kiedy drzwi otwarły się zniemacka i stanęła w nich uśmiechnięta Lili. Szybko rzucił do telefonu: - Przykro mi, to jest apartament numer tysiąc siedemset dziewiętnaście. Obawiam, się, że zaszła pomyłka. - Odłożył słuchawkę i wyciągnął ramiona. Lili ochoczo się w nie rzuciła.

- Miałaś rację, Simon! Było dokładnie tak, jak przewidziałeś! - Zarzuciła mu ręce na szyję i mocno pocałowała w usta. - Wreszcie wiem, kim naprawdę jestem, kim jest moja matka!

Simon Pont był aktorem. Dobrym aktorem teatralnym, potrzebującym obecności widzów, by zaprezentować pełnię swego talentu. Nienawidził filmów i rzadko w nich występował, robiąc to tylko dla pieniędzy. Mieszkali razem od dwóch lat i to Simon pierwszy zaczął namawiać Lili, by odszukała matkę. Ten spokojny, inteligentny trzydziestopięciolatek czuł się na tyle pewny siebie, że traktował Lili ze stanowczą pobłażliwością, rozumiejąc, iż potrzebuje więcej opieki i uczucia, niż większość mężczyzn jest w stanie zapewnić kobiecie. To Simon dawał jej niezbędne poparcie wiedząc, że Lili musi szukać matki po to, by wreszcie ustalić swą tożsamość. Uświadomił jej, że jeśli odnajdzie prawdziwych rodziców, przestanie szukać rodzicielskiego uczucia w mężczyznach, i nie da się wykorzystywać naciągaczom, na kontakty z którymi narażeni są nieuchronnie wszyscy sławni i bogaci ludzie. Teraz Simon przyciskał Lili do swego urodziwego nagiego ciała i lizał jej ucho szybkimi ruchami zwiniętego języka.

- Powiedz mi, kim jest twoja matka, kochanie. Czy to pani Swann?

- Nie, nie Poganka Swann. Judy Jordan. Przyznała się do tego niemal od razu, ale pamiętam, co mi mówiła... Ze zwałą to na tę jedną spośród nich, która jest niezamężna i nie będzie się musiała tłumaczyć mężowi!

Zsunął jej z jednego ramienia biały jedwab i zaczął lekko skubać zębami złocistą skórę. Lili wtuliła się głębiej w jego objęcia.

- Spytałam Judy, kim był mój ojciec... tak jak radziłeś... Wszystkie trzy spojrzały na Judy, więc wiedziałam, że mówi prawdę, że naprawdę jest moją matką.

Simon ściągnął jej sukienkę z drugiego ramienia i delikatnie ujął palcami brodawkę piersi. Lili zadrżała.

- Słuchaj, Simon, ona nie była jakąś bogatą dziwką, która pozbyła się dziecka, bo nie mogła się poddać skrobance. - Nie przerywając, Simon szarpnął za pasek sukienki. - Judy była biedna, pochodziła z rodziny surowych baptystów z Wirginii Zachodniej, była na stypendium w Szwajcarii i przez całe studia dorabiała jako kelnerka. Kiedy to się zdarzyło, miała zaledwie piętnaście lat.

- A za czyją sprawą to się zdarzyło? - Głos Simona brzmiał miękko. - Co z twoim ojcem? Kim on był? - Jeszcze raz pociągnął za pasek i grecka tunika zsunęła się na podłogę. Simon przylgnął do nagiego ciała Lili i gładził ją po włosach.

- To gorsza wiadomość - rzekła smutno Lili. - On nie żyje. Był angielskim studentem, którego poznała w Szwajcarii, ale został wcielony do brytyjskiej armii i zginął walcząc z komunistami na Malajach. Nawet nie wiedział, że była w ciąży.

- Wierzysz w to? - Simon objął Lili mocno i zacisnął dłonie na jej pośladkach.

Zamyśliła się na chwilę.

- Mówiła o tym w jakiś dziwny sposób. Poganka Swann już się odzywała, żeby coś powiedzieć, ale ugryzła się w język.

- A co z jego krewnymi?

- Nie pytałam jeszcze o to. Tyle miałyśmy sobie do powiedzenia. To naprawdę niesamowita historia. Wyobraź sobie, że wszystkie cztery dziewczyny płaciły Angelinie na moje utrzymanie. Judy nie odważyła się przyznać rodzicom. Miała zamiar przyjechać po mnie do Szwajcarii, jak tylko będzie w stanie sama mnie utrzymać. Ale kiedy zniknęłam, była zaledwie dwudziestodwuletnią sekretarką.

- Cieszę się, że nie poszła na zabieg. - Ocierał się o duże, miękkie piersi Lili.

- Nie mogłaby tego zrobić w Szwajcarii w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku. To było nielegalne i niebezpieczne.

- Więc teraz może my założymy rodzinę. - Przesunął palcem po jej kręgosłupie.

- Co? W tej chwili?

- W tej chwili. - Pchnął ją lekko na perłową jedwabną kołdrę. Z Simonem zawsze czuję się bezpiecznie, pomyślała Lili, kiedy zaczął ją całować. Ufała mu. Nie musiał udowadniać jej swojej wyższości, zazdrościć jej czy ją wykorzystywać, bo sam był wziętym aktorem. Poza tym wiedziała, że dobrze jej życzy. Przecież, gdyby było inaczej, po co by ją zachęcał do szukania matki?

Mimo bezsennej nocy Judy nie czuła się zmęczona. Była zadowolona i podniecona.

Napięcie oczekiwania ożywiało codzienne obowiązki związane z planowaniem następnych numerów czasopisma. Teraz jej przyszłość miała się łączyć z przyszłością córki. Sięgnęła do telefonu.

- Dick? - Nie mogła ukryć podniecenia rozmawiając z najsławniejszym fotografem-portrecistą w Nowym Jorku. - Chcę, żebyś zrobił dla mnie pewne szczególne zdjęcie...

Potem zadzwoniła do kwaciarni.

- Macie lilie tygrysie? - spytała drżącym głosem. - W takim razie, proszę przesłać wszystkie, co do jednej, do hotelu Pierre dla panny Lili, z bilecikiem „z miłością od matki”. - Odkładając słuchawkę zastanowiła się nad ostatnim słowem. Przez całe życie matka oznaczała dla niej kogoś takiego jak jej własna rodzicielka, zgorzkniałego i pozbawionego nadziei na odmianę losu. Obraz tej bezwolnej kobiety zdążającej co niedziela do kaplicy mocno wrył się w pamięć Judy. Jedynym problemem, który wydawał się interesować jej matkę, były grzechy i ich unikanie. Kiedy ojciec Judy przyszedł ze sklepu, by oznajmić, że stracił wszystko, matka potrafiła jedynie klęknąć i modlić się. Pogodziła się z nieszczęściem, nawet nie próbując z nim walczyć. Macierzyństwo kojarzyło się Judy dotąd z harówką i zależnością, oznaczało zastąpienie radości życia przez wiarę w karzącą rękę Boga. Lecz teraz, gdy Judy sama była matką prawdziwą matką, i miała córkę stanowiącą tego dowód, macierzyństwo stawało się podniecające. Ranek upływał szybko na przyjemnym oczekiwaniu.

- Jak myślisz, czy pani Jordan ma jakiegoś nowego faceta? - zastanawiała się młoda sekretarka, kiedy starsi członkowie personelu wychodzili, jeden po drugim, z pastelowego gabinetu z wyrazem miłego zaskoczenia na twarzy, ponieważ wszystkie ich propozycje były przyjmowane z bezkrytycznym entuzjazmem.

- Wiesz, że w zeszłym tygodniu Griffina Lowe rzuciła żona - szepnęła starsza asystentka, wstając, by odebrać pocztę. - Przypuszczam, że dlatego jest w takim świetnym humorze. To musi być przyjemne uczucie, kiedy żona twojego kochanka po dziesięciu latach wreszcie ustępuje.

W każdy piątek Kate - redaktor naczelny - i Judy - wydawca PRZEBOJEM! - odbywały konferencję z udziałem całego personelu redakcyjnego. Zawsze działo się to w porze lunchu w gabinecie Judy. Dziesięcioro ludzi, którzy tworzyli pismo, zasiadało na krzesłach i przez godzinę przerzucało się pomysłami ponad długim stołem z zimnymi zakąskami, serem i zestawem napojów chłodzących. Judy doszła do wniosku, że piątkowe spotkania są świetnym sposobem na pobudzenie redakcyjnych umysłów na czas nadchodzącego weekendu i w poniedziałek otrzymywała zbiór notatek precyzujących pomysły sygnalizowane podczas piątkowej burzy mózgów.

Tego dnia Kate przebiegała wzrokiem notatnik, usiłując wykrzesać z siebie zapal mający z kolei wywołać niezbędne zaangażowanie całego zespołu. Dzięki Bogu, następny tydzień miała spędzić już z dala od tego lukrowanego światka, gdzie każda rozmowa kończyła się zachwalaniem nowej szminki. Od czasu wydania jej ostatniego bestsellera upłynęło jedenaście lat, od jedenastu lat nie zrobiła niczego sensownego na własną rękę i teraz nie mogła się doczekać końca miesiąca, kiedy miała zacząć roczny urlop poświęcony na pracę twórczą.

Nagle Kate ze zdumieniem usłyszała pytanie Judy.

- Jakie jest nasze zdanie na temat pracujących matek? - Judy wzięła ze stołu łydę selera i odgryzła jej koniec. - Obawiam się, że za bardzo koncentrujemy się na problemach uczuciowych i seksualnych; nie przyciagniemy dwóch milionów czytelniczek traktując je tak, jakby nie miały na głowie nic ważniejszego niż

osiąganie wielokrotnych orgazmów. Potrzeba nam jakichś poważniejszych przemyśleń na temat podstawowych życiowych problemów naszych czytelniczek. Zespół nie mógł wyjść ze zdziwienia. Sprawy życia rodzinnego nie miały dotąd w ich piśmie racji bytu. Istniało w tej redakcji kilka niepisanych praw, a jednym z nienaruszalnych przykazań była zasada, że na tych wytwornych, błyszczących łamach nie ma miejsca na żadne wzmianki o dzieciach. Obydwie, Judy i Kate, były bezdzietne.

Pierwsza odważyła się zabrać głos młoda asystentka.

- Najnowsze sondaże wykazały, że większość czytelniczek PRZEBOJEM! zamierza kontynuować pracę po założeniu rodziny. - Identycznym jak Judy ruchem podniosła do ust kawałek selerowej naci; pracowała właśnie nad artykułem o „języku ciała” w miejscu pracy, w którym radziła naśladować gesty zwierchników, co miało jakoby wzbudzić ich podświadomą sympatię.

- Zajmijmy się tymi danymi. - Judy odgryzła następny kęs łydgi. - Chcę wiedzieć jak najwięcej o stosunku naszych czytelniczek do dzieci, do opieki nad dziećmi, poznać ich opinię na temat rodzin zastępczych... wszystkie te ważne dane.

Chciałabym, żebyśmy się stali trochę mniej prowincjonalni, bardziej otwarci na świat - ciągnęła Judy w zupełnej ciszy. - Co powiecie na cykl artykułów o sławnych Europejkach? Zaczęlibyśmy, rzecz jasna, od znanych aktorek.

- Nasze czytelniczki na ogół nie identyfikują się z europejskimi gwiazdami filmowymi. - Wspólnik Judy, Tom Schwartz, podniósł wzrok znad kanapki z wędliną. Mrugnął ponad stołem do żony, Kate, która domyśliła się natychmiast, że pomysł zostanie poddany druzgocącej krytyce. Tom mówił dalej: - Na moje wyczcucie nasze czytelniczki są zainteresowane tworzeniem swej nowej tożsamości, a te seksowne aktoreczki zza oceanu reprezentują akurat to, co pragną odrzucić. Nie tego potrzebuje dziewczyna skupiona na zdobywaniu kwalifikacji zawodowych i pozycji w interesach.

Judy już miała zaprotestować, ale uświadomiła sobie, że za bardzo poddała się emocjom. Jeszcze dwadzieścia cztery godziny wcześniej sama uznawała Lili za luksusowe piąte koło u wozu.

Kate żałowała, że Tom zgłosił swój sprzeciw, bo miała ochotę spełnić życzenie Judy i zaproponować artykuł o Lili, nie wtajemniczając zespołu w zakulisową prawdę o całej tej historii. Teraz przyszło jej spierać się publicznie z opinią męża i choć Tom nie był przesadnie wrażliwy na tym punkcie, nie czuła się dobrze w tej roli.

- Zawsze istnieje element ryzyka, kiedy wprowadzamy coś nowego. Ale już zdecydowałam, że w grudniowym numerze zamieścimy duży wywiad z Lili. Redaktorka techniczna miała taką minę, jakby zamiast tartinki z kawiosem przelknęła żabę.

- Jest na to za późno. To nas będzie kosztowało fortunę, chyba że puścisz to w kawałkach. Drukarze musieliby przerabiać cały skład.

- To będzie rzecz na pierwszą stronę, więc damy to, choćby nas nie wiem ile kosztowało - uparła się Kate. - Ma zająć dwie rozkładówki, a na okładkę dostaniemy specjalne zdjęcie Avedona. Jutro. - Kate spojrzała na Judy, a ta potwierdziła skinieniem głowy. Reszta zespołu, szanująca Kate za stanowczość poglądów i profe-

sjonalizm, okazała pewne zniecierpliwienie, ale nie była specjalnie zaskoczona. Doświadczeniu wyniesionemu z pracy w gazetach Kate zawdzięczała nawyk wstrzymywania druku okładki do ostatniej chwili. Zespół wręcz podejrzewał, że krzyżowanie planów po to, by wcisnąć najświeższy materiał, sprawia jej swoistą przyjemność.

- Przedstawimy historię Lili od samego początku - mówiła Kate. - Zgodziła się opowiedzieć nam wszystko o swoich początkach, nawet o tych filmach pornograficznych, w których występowała w wieku trzynastu lat. Wszystko, o czym nigdy wcześniej nie mówiła.

- I nic dziwnego - mruknął ktoś pod nosem.

- Nie moglibyśmy wygrzebać skądś jednego z tych zdjęć z kalendarza? - odezwał się z końca stołu kierownik artystyczny. - Na przykład to ze słonecznikiem w pępku.

Judy potrząsnęła głową.

- Żadnych zdjęć z tamtego okresu. Tylko portret Avedona. - Kate posłała Judy ostrzegawcze spojrzenie, wyczuwając w jej głosie niebezpieczne tony.

- A co z mężczyznami w życiu Lili? - Tom sięgnął po następną krewetkę, zastanawiając się, do czego zmierza jego żona. Tego ranka przy śniadaniu Kate okazywała dziwną niechęć do rozmowy o spotkaniu z Lili.

- Napiszemy o wszystkich - wyjaśniła Kate. - O tym fotografie, który wciągnął ją do filmów porno i wykorzystywał, dopóki...

- Dopóki nie miała załamania nerwowego podczas trasy promocyjnej, którą zorganizowałam dla jej pierwszego poważnego filmu. Nigdy tego nie zapomnę. - Judy stwierdziła, że wspomnienie tego wydarzenia, uznanego za najgorszą porażkę w jej karierze, nagle stało się mniej dotkliwe, lecz okazała stosowne oburzenie na użytek personelu.

- Wszyscy znamy jej kolejne romanse, ale o niektórych chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej. Na przykład o tym greckim milionerze i o królu Abdullahu. A jak stoją sprawy z Simonem Pontem? Mają zamiar się pobrać?

Kate uśmiechnęła się powściągliwie.

- Jeśli mają zamiar, Lili nam to powie. Obiecała powiedzieć nam o sobie całą prawdę, a jestem pewna, że będzie czego posłuchać.

Po lunchu, kiedy opuszczali już kremowo-zielony gabinet, Kate poczuła na ramieniu czyjaś dłoń.

- Zaczekaj chwilę, Kate - usłyszała za sobą głos Judy. - Mam do ciebie słówko... Usiadła na kremowej sofie w stylu art deco.

- Nawet nie próbuj. Nie powstrzymasz mnie. Odpadam. - W głosie Kate wciąż przebijał brytyjski akcent. - Było świetnie, Judy, ale mam już dość pisania o równouprawnieniu i wkładkach antykoncepcyjnych. Chcę wrócić do poważnych spraw.

- Kate, na litość boską, przecież to cholerne czasopismo to był przede wszystkim twój pomysł.

- Możesz je wydawać przez rok z pomocą Pat Rogers... już dawno powinnyśmy były ją awansować. Ja jadę do Chittagong.

- Kate, komu potrzebna jest książka o walkach partyzanckich w Chittagong? Nie sprzeda się nawet w dwóch tysiącach egzemplarzy.
 - Nie o to chodzi. A zresztą mam przecucie, że na tym się nie skończy.
 - A gdzie właściwie jest to Chittagong? - Wywołany świeżym macierzyństwem entuzjazm Judy zaczynał się ulatniać. Jasne, że mogła kierować czasopiśmem z pomocą zastępczyni Kate podczas jej rocznego urlopu, ale miała w planach na tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty dziewiąty rok stworzenie nowego magazynu, przeznaczonego dla pokolenia czytelniczek wychowanych na PRZEBOJEM!, prowadzących już dojrzałe życie, mających rodziny i spore środki finansowe do wydania. Jeśli nie uda jej się powstrzymać Kate, będzie musiała odłożyć te plany na później.
 - W Bangladeszu, we wschodniej części delty Gangesu. Nie zmieniło położenia od zeszłego miesiąca, kiedy ci o nim mówiłam. Judy. Bengalczyki walczą z górskimi plemionami od siedmiu lat. kiedy ustanowiono państwo Bangladesz. Tam w dżungli trwa ludobójstwo. Zginęły tysiące ludzi, ale ponieważ to jest tak niedostępny teren, nikt nie wie, co się dzieje. - Kate zaczynały ponosić nerwy. - To niesamowite wyzwanie, Judy. To ty namówiłaś mnie na zostanie pisarką. Nie napisałabym mojej pierwszej książki, gdybyś mnie do tego nie zmusiła. Bądź kumplem i pozwól mi prysnąć.
- Wychodząc z gabinetu Kate jeszcze na moment wetknęła głowę do środka.
- Czeka tu na ciebie jakiś Tarzan. Kto to jest?
 - Nasz nowy instruktor gimnastyki - wyjaśniła Judy. - Postanowiłam, że będziemy wszyscy poświęcać godzinę na ćwiczenia.
 - Wychodzi z ciebie wredna Irlandka - zaśmiała się Kate. - Nie pozwalasz personelowi wyrwać się nawet na lunch.

Tom lekko trącił Kate pod koldrą.

- Naprawdę chcesz jechać?
- Naprawdę. Jak już wyjadę, Judy wcale nie będzie za mną tęsknić. Ona jest bardziej związana z czasopiśmem niż ja. Między innymi dlatego chcę wyjechać i zrobić coś na własny rachunek. - Leżąc na plecach Kate obserwowała mrugające światelko samolotu, przesuujące się od jednego narożnika okna do drugiego. - Za tydzień będę siedzieć w takim punkciku na niebie.
- Skąd wiesz, czy tu będę, jak wrócisz? Kate odpowiedziała lekkim szturchnięciem.
- Lepiej, żebyś był. - Nie wyjechała wcześniej tylko dlatego, że nie mogła się zdobyć na opuszczenie tego cudownego mężczyzny, który ją kochał nie roszcząc sobie prawa do panowania nad jej życiem, dodawał jej otuchy nie będąc równocześnie protekcyjnym i bezinteresownie podziwiał jej talent. - Ja też będę za tobą tęsknić. Uważaj na siebie.
- Chodź tu do mnie, kobieto.
- A cóż takiego jest po twojej stronie łóżka, czego nie ma po mojej?
- Ja.

Judy podała Griffinowi martini z wódką, oliwką i kostkami lodu i zasiadła w swoim salonie, świeżo urządzone przez Davida Laurance'a w odcieniach turkus, idealnym tle dla blondynek. Judy doprowadzała swego architekta wewnątrz do szewskiej pasji urządzając po kolei każdy pokój z osobna, zamiast powierzyć mu aranżację całego mieszkania.

- Więc kiedy to zrobimy?

- Nie wiem, Griffin.

- Czego nie wiesz? - Zjadł oliwkę. - Wytłumacz mi podczas ubierania. Za dwadzieścia minut musimy być w Sherry Netherland.

Judy szybko przeszła do garderoby, nie tyle z powodu konieczności pośpiechu, co dla uniknięcia rozmowy. Jednak gdy zaczęła wybierać stroje, Griffin znalazł się obok niej i opierając się o drzwi powtórzył pytanie:

- Zdecydowałaś, kiedy chcesz wziąć ślub?

- Jeszcze nie. - Odwróciła się do niego plecami i zdjęła z wieszaka czarny żakiet z cekinami. Pomyślała, że może lepiej mieć to już za sobą i odezwała się łagodnym tonem:

- Może nigdy, Griffin. Tak naprawdę, to nie chcę się dzielić całym moim życiem ani z tobą ani z nikim innym. - Starła się na niego nie patrząc. - Powinniśmy spojrzeć prawdzie w oczy: oboje jesteśmy niezależnymi ludźmi... i chyba dlatego odpowiadam ci jako kochanka. Nie naciskałam, żebyś się rozwiódł i ożenił ze mną...

- Ale czekałem tak długo! Zawsze myślałem...

- Chciałeś chyba powiedzieć, że to ja długo czekałam. Za długo. To się stało moim sposobem życia. Za często musiałam cię usprawiedliwiać, za wiele świąt spędziłam bez ciebie, za wiele wakacji i niedziel... to są najbardziej samotne dni tygodnia, Griffinie.

Patrzyła na Griffina, a na nią patrzyła setka wysokich, ciemnowłosych, zdumionych Griffinów. Cała garderoba, łącznie z sufitem, wyłożona była lustrami. Judy mogła stać pośrodku tego pomieszczenia i obserwować swoje odbicie pod każdym kątem nie wykręcając szyi. Albo, gdy była w nastroju do żartów, ustawiać się tak, by móc obserwować swą postać z wielokrotnością do nieskończoności.

- Czy to naprawdę znaczy, że nie chcesz za mnie wyjść? - Chyba wszystkie kobiety chcą wyjść za męża? Czy to możliwe, że dawała kosza jednemu z najpotężniejszych wydawców w kraju, którego imperium miało w swoim ręku kilka najlepszych czasopism w Ameryce? Wyrzekała się brązowego Rolls-Royce'a, pieniędzy, służby, posiadłości w Scarsdale, pozycji towarzyskiej i fantastycznych przeżyć w łóżku? Griffin zmarszczył czoło. - Co cię dziś napadło? Masz swoje złe dni?

- Nie, Griffinie, to nie napięcie przedmiesiączkowe, tylko zdrowy rozsądek. - Judy postanowiła być stanowcza, nie chować głowy w piasek. - Poza tym, co ja właściwie o tobie wiem, oprócz tego, że masz zwyczaj oszukiwać żonę? Skąd mogę wiedzieć, czy kiedy ja zostanę twoją żoną, nie zapragniesz nadal uprawiać tego podniecającego procederu?

Griffin ostrożnie odstawił drinka na szklaną półkę biepącą wzdłuż lustrzanej ściany.

- Dziwny zarzut po tych wszystkich latach. Jakoś dotąd nie narzekałaś?

Judy przyjrzała mu się bacznie. Uważa, że jest doskonałym kochankiem... i ma rację, pomyślała. Ale dla niego właśnie ta świadomość jest źródłem przyjemności, nie samo przebywanie ze mną. Ta ciągła potrzeba sprawdzania się będzie go zmuszać do flirtowania z innymi kobietami, ponieważ jest nienasycony.

Griffin pocierał bliznę na lewej ręce, co było nieomylną oznaką zdenerwowania.

- Dokąd w takim razie zmierzamy?

- Może do Sherry Netherland? Czemu nie skupić się na interesach, jak zwykle? Nie możemy zostawić wszystkiego tak jak jest? Ty zatrzymasz posiadłość w Scarsdale, ja zostanę tutaj i będziemy się widywać trzy lub cztery razy w tygodniu. I może spędzać razem niedziele.

W rzeczywistości chciała mu powiedzieć: Nasz związek będzie zależał od tego, co będziemy do siebie czuli. Nie chcę, żebyś mnie traktował jak swoją własność. Nie potrzebuję domowego ciepła i poczucia bezpieczeństwa. Choć to ostatnie i tak byłoby wątpliwe. Griffin nie miał zwyczaju zabiegać o uczucia kobiet. Oczekiwał, by jego partnerka była zależna, związana z nim oficjalnie, niezawodna i zawsze na miejscu... czekająca. Griffin potrzebował kogoś na stałe, bo musiał wiedzieć, że w domu zawsze ktoś na niego czeka, niezależnie od tego, co on w tym czasie robi ani gdzie się znajduje.

Nagle Judy uświadomiła sobie, że nie lubi być obiektem męskiej obserwacji podczas przebierania. Otworzyła szafę na buty, niedawno obita czarną skórą, by lepiej pasowała do dywanu.

- Griffin, mam ci coś ważnego do powiedzenia. - Wzięła do ręki parę srebrnych sandałów. - Wczoraj dopadła mnie przeszłość...

- Co się stało? - Czy dlatego zachowywała się tak dziwnie?

- Wiesz, że byłam na stypendium w Szwajcarii. Zaszłam wtedy w ciążę. Dziecko zostało adoptowane.

- Hmm, to było dawno temu. - Teraz, kiedy zrozumiał, postanowił być wielkoduszny.

- To nie powinno nic między nami zmienić. Nie powinnaś się tym przejmować.

Romans, który przez ostatnie dziesięć lat wydawał się Judy najważniejszą sprawą w życiu, nagle stał się bez znaczenia wobec faktu, że miała córkę.

- Griffin, czy możesz mnie wysłuchać? Moja córka żyje i odnalazła mnie.

- Co? - Nadstawił uszu. - Zaraz jutro wynajmę prawników, żeby się tym zajęli.

Założę się, że chce wyłudzić parę dolarów, ale się przeliczyła!

- Griffin, nie chodzi o żadną naciągaczkę. To Lili, ta aktorka... to ta Lili.

- Lili Tygrysią? - Tak była nazywana przez prasę.

- Właśnie.

Griffin namyślał się przez chwilę.

- Musi mieć jakiś powód. Chodzi jej o rozgłos.

- Żeby osiągnąć rozgłos, wystarczy jej pokazywać się publicznie.

- Nie martw się, ja się tym zajmę. Musi mieć w tym jakiś cel. Judy poddała się.

Maxine pochyliła się do przodu wzdychając z przyjemnością, kiedy granatowy Peugeot wspiał się na szczyt łagodnego wzgórza i ujrzała swoje winnice rozpościerające się w dole. Zawsze lubiła latać Concorde'em w niedzielę, gdy nie był

zapełniony. Samochód jechał wolno przez przysypany śniegiem lasek zbliżając się do zamku La Chazalle. Maxine zaczęła w myślach układać listę spraw do załatwienia w nadchodzącym tygodniu, podczas którego wraz z Charlesem mieli się spotkać z zawodnikiem francuskiej reprezentacji olimpijskiej w jeździectwie i pierwszą sympatią Maxine, Pierre'em Borusalem, obecnie trenerem obiecującej młodej narciarki, mistrzyni Europy w slalomie. Odkąd postanowiła, że La Chazalle włączy się w sponsorowanie sportu, bawiło u nich więcej atrakcyjnych kawalerów niż u jakiegóż księżniczki z bajki.

Wjazd samochodu rozproszył stadko gołębi na łukowatym, wysypanym żwirem podejździe; gruchając, ptaki uskakiwały Maxine spod nóg, kiedy w radosnym nastroju zmierzała po szerokich schodach do drzwi, gdzie czekał z powitaniem szef służby i lokaj.

Maxine pobiegła na górę do sypialni.

- Honorine, każ zanieść wszystkie moje bagaże do garderoby - rzuciła przez ramię do pokojówki, ściągając w biegu rękawiczki. - Odeślij biżuterię do sejfu i przygotuj mi kąpiel...

Była już w środku, zanim się zorientowała, że pokój nie wygląda tak, jak powinien. Błękitna atlasowa narzuta, zamiast rozpościerać się idealnie gładko na wielkim empirowym łóżu w kształcie łodzi, niedbale rzucona leżała na podłodze. Na wymiętym prześcieradle spoczywał na wznak jej nagi mąż, Charles, a na nim siedziała rosła ciemnowłosa kobieta, odziana w strzępy zielonego jedwabnego stanika. Charles ścisnął jej piersi tak mocno, że ciało wylewało się pomiędzy palców. Kobieta jedną ręką podtrzymywała falę ciemnych włosów, a drugą, wciśniętą między nogi, pobudzała się do orgazmu.

Maxine stała jak wmurowana na trzęsących się nogach. Pierwszy odruch kazał jej wyjść zamykając za sobą drzwi, wymazać z pamięci widok łóżka, męża i jego kochanki. Oparła się o ścianę szerokiego korytarza obezwładniona szokiem, lecz trzeźwy umysł szybko podpowiedział jej, co ma zrobić.

Maxine nałożyła rękawiczki, pchnęła podwójne drzwi sypialni i podeszła energicznie do skotłowanego łóżka. Chwyciwszy kobietę za włosy ściągnęła ją ze swojego męża.

- Charles, jak śmiesz!?! - krzyknęła z wściekłością. - W naszym łóżku! Nie mogłeś trzymać tej kurwy w Paryżu, razem z całą resztą swoich rozrywek?

Rozdział drugi

17 października 1978

Na nieszczęście dla Maxine ciemnowłosa kobieta nie była prostytutką. Po chwilowym zaślepieniu złością Maxine stwierdziła, że dziewczyna odbywająca stosunek z jej mężem to Simone, jego imponująco wszechstronna osobista asystentka.

- Myśleliśmy, że wracasz dopiero jutro. - Charles sam rozumiał, że trudno przyjąć te słowa za usprawiedliwienie. Wyraz łagodnego zdumienia, zwykle malujący się na jego twarzy, ustąpił miejsca przerażeniu. Dziewczyna odziana w zielone strzępy

wyrwała się Maxine, spokojnie usiadła na brzegu łóżka, ujęła bezwładną dłoń Charlesa i gestem posiadania narzuciła prześcieradło na jego chude nagie ciało.

- Charles ma pani coś do powiedzenia, Madame la Comtesse.

- Asystentka Charlesa patrzyła Maxine prosto w oczy. - No, dalej, Charles, nie pozwól żonie sobą pomiatać.

Przez chwilę mąż i żona spoglądali na siebie w milczeniu, potem Charles chrząknął i wydusił z siebie:

- Maxine, chcę rozwodu.

Nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Nigdy - powiedziała cicho, ze znacznie większą pewnością siebie, niż w istocie odczuwała. Przy dalszych słowach jej głos przybrał wyższe tony.

- Wyrzuć ją z tego łóżka! Wyrzuć ją z tego pokoju! Natychmiast!

- Kolana Maxine drżały, miała wrażenie, że w zwolnionym tempie biegnie po zdradliwej księżycowej powierzchni, kiedy rzuciła się w stronę łazienki i zatraskując za sobą drzwi uciekała od tych dwóch nagich ciał na skotłowanej pościeli.

Następnego ranka asystentka Charlesa zniknęła, a w Chateau de Chazalle zapadła wymowna cisza. Maxine nie otrząsnęła się jeszcze z szoku, ale z pasją przystąpiła do pracy, by zagłuszyć w sobie żal i cierpienie. Zabrała się do nagromadzonej pod jej nieobecność korespondencji, sprawdzała porcelanę i bieliznę. Służba biegła nerwowo po całym zamku wykonując zdwojoną ilość poleceń. Sekretarka Maxine wyszła z gabinetu z przydziałem pracy wystarczającym na miesiąc. Mademoiselle Janinę, związana z Maxine od dwudziestu dwóch lat, знаła przyczynę szaleńczej aktywności szefowej, choć o niczym bezpośrednio nie została poinformowana. Współczuła w duchu Maxine, wiedząc, że znów chodzi o jeden z pożałowania godnych występków hrabiego.

Okolo południa sprawny umysł Maxine miał gotową teorię. Jej czarujący mąż o nienagannych manierach nigdy by się nie przyznał do posiadania kochanki, a co dopiero poprosił o rozwód, gdyby Maxine nie przyłapała ich na gorącym uczynku, a ta suka nie zmusiła go do mówienia. Poniewczasie Maxine zrozumiała, że najmądrzej było wówczas niepostrzeżenie opuścić sypialnię zamykając za sobą drzwi, a potem rozmówić się z Charlesem na osobności, wiedząc, że zgodzi się na każde warunki. Było jednak za późno na tego rodzaju rozważania.

Nie po raz pierwszy małżeństwo Maxine znalazło się w niebezpieczeństwie. Do tradycji należało, że arystokratyczne francuskie pary prowadziły oddzielne życie seksualne, pilnując przy tym zawsze, by nic nie zagroziło trwałości świętego węzła małżeńskiego, domu i, co najważniejsze, dziedzictwa. Jednakże Charles zbyt łatwo angażował się w nowe związki, a Maxine miała zbyt romantyczne podejście do życia, by przystać na ten wygodny układ. Przyjaciele domu byli przekonani, że połączenie upodobania do declasse kochanek Charlesa z bezwzględnością Maxine musi wcześniej czy później doprowadzić do kłopotów.

Po pierwszej poważnej zdradzie Charlesa dopiero interwencja Judy pomogła zażegnać konflikt. Wykorzystując swój jankeski zdrowy rozsądek Judy uświadomiła

Charlesowi, co może stracić. Więc i teraz, jeśli nie będzie sobie mogła sama poradzić z sytuacją, pocieszała się Maxine, nada sygnał SOS do Nowego Jorku, do Judy.

Ziewając Lili podniosła słuchawkę.

- Kto mówi? Paul Kroll? Do Simona? - Ci cholerni reżyserzy myślą, że mogą wydzwaniać do aktorów o każdej porze dnia i nocy. - Paul, czy to nie może poczekać do jutra? W Nowym Jorku jest jedenasta w nocy, a Simon jest pod prysznicem.

- Simon nigdy nie ma nic przeciwko temu, bym dzwonił o dowolnej porze.

- Ale ja mam. Jesteś w Londynie czy w Paryżu? Powiem, żeby do ciebie zadzwonił jutro rano, jak się obudzimy.

- A może już teraz się obudzisz, Lili? - Słowa Paula brzmiały niewyraźnie, zakłócone odgłosami zabawy.

- O co ci chodzi? Przecież nie śpię.

- Otóż nie, moja droga, żyjesz we śnie. - Specyficzny ton jego głosu przypomniał Lili, że Kroll jest homoseksualistą.

- O co ci, u diabła, chodzi?

- Chodzi mi o to, słodka Lili, że tylko ty nie chcesz przyjąć do wiadomości tego, co wszyscy już wiedzą. - Poszczególne słowa zlewały się ze sobą, lecz nuta triumfu pozostawała wyraźna.

- O co ci chodzi?

- O to, że choćby Simon nie wiem jak się starał udawać, jest... on tylko udaje.

Robimy to ze sobą od lat, kochana. Oboje wiemy, że za dobrą rolę aktor jest gotów na wszystko. Ale Simon robi to dlatego, że lubi. Uwielbia to, skarbie. Może się tym nie chwali, ale ten jego długi język trafia w najróżniejsze miejsca. Kiedy ty kręciłaś Cherie, my z Simonem byliśmy w Marrakeszu. Kiedy ty pracowałaś nad Królem Słońce, Simon i ja spędzaliśmy miło czas w Tangerze. Kiedy ty...

Nie mogąc wydusić z siebie słowa, ale też niezdolna rzucić słuchawką zahipnotyzowana odrażającym głosem Paula, Lili słuchała. Łzy spływały jej po policzkach. Mokra ręka Simona wysunęła się ponad jej ramieniem i przejęła słuchawkę. Przez chwilę on także słuchał w milczeniu, a potem krzyknął:

- Zamknij się, Paul, jesteś pijany... bo powiem... wszystko zepsujesz, ty idioto. -

Trzasnął słuchawką i spojrzał przepraszająco na Lili. - Paul nic dla mnie nie znaczy. Ale Lili wiedziała, że Simon kłamie.

Pęki narcyzów i różanych pączków w La Grenouille, półgłosem prowadzone ożywione rozmowy i śmiech przybyłych na lunch gości, w większości eleganckich kobiet, stanowiły miły kontrast z listopadową mgłą za oknami. Na tym tle jeszcze bardziej blada i spięta wydawała się twarz Lili, pochylonej nad restauracyjnym stolikiem w stronę Poganki.

- Nie miałam zamiaru mówić ci o Simonie - odezwała się w końcu. - Ale jestem taka roztrzęsiona, od kilku dni nie potrafię o niczym innym myśleć. Nie chciałam mówić Judy, bo... to by nam jeszcze bardziej utrudniło sytuację, a ja tak chcę, żeby nasze stosunki dobrze się ułożyły.

- Lili, twoja reakcja jest całkowicie zrozumiała - uspokajała Poganka. - Dla każdego byłoby to okropne przeżycie. Przykro mi, że dowiedziałas się o tym w taki sposób, a Simon też nie powinien tak po prostu odchodzić.

- Wydaje mi się, że był zmuszony dokonać wyboru. Chyba wreszcie postąpił uczciwie wobec siebie samego. Nie kłóciliśmy się, tylko oboje siedzieliśmy na łóżku i płakaliśmy. Ale po tym wszystkim, co powiedział mi Kroll, nie mogłam znieść dotyku Simona. Poza tym, że jest homoseksualistą, to jeszcze mnie oszukiwał. Gdy pomyślę, że miałam służyć jako kamuflaż, że mielibyśmy dzieci... tylko po to, żeby Simon uchodził za normalnego mężczyznę...

- Bądź sprawiedliwa, Lili, może on naprawdę pragnął mieć dzieci.

- Nie potrafię być sprawiedliwa, czuję się taka... upokorzona. Zapadła cisza.

Poganka uściśnęła serdecznie dłoń Lili.

- Zapewniam cię, Lili, można z tym żyć. Z wiekiem sama się przekonasz. Musisz się nauczyć przezwyciężać to uczucie, wyzwać się z niego. I choć nie masz ochoty nikomu o tym opowiadać, zawsze pomaga rozmowa z drugą osobą, bo każdy człowiek przeżył kiedyś gorycz upokorzenia, każdy go doświadczył, więc jeśli jest wrażliwy, umie okazać zrozumienie i współczucie.

- Ja dobrze znam to uczucie, ale nie wierzę, że któraś z was czterech, bogatych, cieszących się powodzeniem kobiet zna prawdziwe znaczenie tego słowa.

Po dłuższej chwili milczenia Poganka powiedziała:

- Ja znam. - Jeszcze teraz, po tylu latach, Poganka odczuwała ukłucie zazdrości na wspomnienie dziewiętnastoletniego króla Abdullaha i szczęśliwych chwil, jakie z nim spędzała, do dnia, w którym na życzenie swego dziadka zawarł małżeństwo podyktowane politycznymi interesami, objął rządy Sydonii i licznymi podbojami zyskał przydomek Księcia Podrywacza.

Po śmierci ojca Abdullah pochłonięty był bez reszty politycznymi problemami swojego kraju i ginekologicznymi kłopotami swojej żony, która po serii poronień urodziła martwe dziecko oraz żywego syna, lecz przeżył zaledwie dwa tygodnie. Król Abdullah, jako muzułmanin, mógł posiadać cztery żony. Po czterech bezdzietnych latach, kiedy był bliski znalezienia sobie drugiej żony, mogącej dać mu potomka, doczekał się wreszcie przyjścia na świat syna, Mustafy. Od chwili gdy szczęśliwy ojciec wziął w ramiona maleństwo, Mustafa stał się jedyną istotą na ziemi obdarzoną przez Abdullaha miłością.

W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku Abdullah pilotował własny helikopter, wiozący jego żonę i dziesięcioletniego syna do królewskiej posiadłości myśliwskiej we wschodnich górach Sydonii. Nastąpiła awaria silnika, spowodowana niewłaściwą obsługą, helikopter rozbił się, a ważąca sto pięćdziesiąt funtów łopata śmigła odcięła głowę królowej. Potem helikopter eksplodował wyrzucając Abdullaha daleko w piasek pustyni, skąd ciężko ranny, lecz przytomny patrzył, jak maszyna zamienia się w ryczącą kulę ognia, a z Mustafy zostaje jedynie skręcony czarny szkielet.

Przez trzy lata Abdullah, dręczony żalem i poczuciem winy, rzadko pokazywał się publicznie. Potem spotkał Lili. W ciągu następnego roku, jak pamiętała Poganka,

Lili i Abdullah pozostawali nierozłączni, aż nagle Lili niespodziewanie wróciła do Paryża i swojej kariery.

Poganka spojrzała ponad ukwieconym stolikiem na Lili, jedyną białą kobietę, jaką Abdullah kiedykolwiek otwarcie zabrał do Sydonii. Poganka przypomniała sobie arogancję i władcze maniery Abdullaha, maskujące jego niepewność, a czasami nawet strach. Lili miała to czego nigdy nie otrzymała Poganka... i Lili to odrzuciła, odeszła od Abdullaha.

Poganka nie mogła się powstrzymać przed poruszeniem tej sprawy.

- Skoro już rozmawiamy o upokorzeniu, nie zapominajmy, że to ty upokorzyłaś Abdullaha - zaczęła.

- Wcale nie - sprostowała Lili. - Wcale się nie czuł upokorzony, kiedy jego zachodnia dziwka wróciła na Zachód.

- Dlaczego go opuściłaś?

- Byłam trzymana w pozłacanej klatce, jego dworzanie mnie szpiegowali, nie mieli do mnie zaufania. Byłam niewierną i nie mógł się ze mną ożenić, a Abdullah potrzebuje żony, najlepiej muzułmanki. żeby mu dała potomków. Moja... nazwijmy to „egzotyczna” przeszłość dyskwalifikowała mnie jako materiał na żonę. Mówiąc krótko. Poganko, nie miałam odpowiednich referencji, żeby dostać tę posadę.

- Jednak zaraz po twoim wyjeździe adoptował swego jedynego krewnego, siostrzeńca Hassana, na dziedzica, więc nie wygląda na to, żeby planował powtórny ożenek.

Ostatnio w kolumnach towarzyskich nie ma na jego temat ani słowa.

- Jest zbyt zajęty rewolucją w swoim kraju.

- Nie, Lili, to nie jest rewolucja. Armia Abdullaha walczy z popieranymi przez komunistów partyzantami na południowych wzgórzach Sydonii.

Lili rzuciła Pogance krzywe spojrzenie.

- Wiem o tym, ale większość ludzi nie zdaje sobie sprawy z tego, jak skomplikowana jest w tej chwili sytuacja polityczna w Sydonii. Wygląda na to, że sporo wiesz o Abdullahu.

- Studiowaliśmy w tej samej małej miejscowości w Szwajcarii. Byliśmy z Abdullahem bliskimi przyjaciółmi. - Poganka uznała, że nie ma potrzeby wtajemniczać Lili w szczegóły.

Lili zerknęła na swą rozmówczynię z błyskiem nowego zainteresowania w oku; oeniła w myślach długie nogi Angielki skrzyżowane pod stolikiem, mahoniowe włosy opadające swobodnie nad jasnoniebieskimi oczyma i świetnie skrojony tweedowy żakiet z kremową męską chusteczką wystającą z kieszonki na piersi.

- Co robiłaś po wyjeździe ze Szwajcarii, Poganko? - spytała od niechcenia.

- Przydarzyło mi się coś niezbyt miłego. Wyszłam za nieodpowiedniego człowieka, potem odkryłam, że wcale mnie nie kocha, a ożenił się ze mną tylko dla pieniędzy.

Najzabawniejsze w tej historii było to, że ja wcale nie miałam żadnych pieniędzy.

Odziedziczyłam posiadłość mego dziadka w Komwalii, ale była zadłużona po czubek dachu. Robert nigdy mi nie wybaczył, że nie jestem bogata. Szukałam pocieszenia w wódce. Pomagała mi zapomnieć o Robercie, ale doprowadziła do tego, że prawie cały czas byłam pijana. - Podniosła szklanekę z wodą Perrier. - Masz przed sobą

członkinię klubu Anonimowych Alkoholików. Zapewniam cię, że wiem, co to

upokorzenie, bo sama doprowadziłam do własnego upokorzenia. - Wypiła łyk wody. - Kate mnie uratowała. Zawsze była moją najlepszą przyjaciółką od czasu, jak byliśmy razem w szkole. Nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiła.

Lili, która nawet nie tknęła swojej sałatki z łososia i awokado, powiedziała z nutą zazdrości:

- Jest między wami czterema jakaś nieuchwytna więź, wrażenie ciepła i wzajemnej opiekuńczości. Wyczuwałam to, kiedy byliśmy wszystkie w jednym pokoju.

- To po prostu przyjaźń. - Poganka nabrała na widelec resztkę grzybów ze swojego talerza. - Odkąd byliśmy razem w Szwajcarii, pomagałyśmy sobie, wspólnie przeżywałyśmy nasze wloty i upadki.

- Nie mów mi, że Maxine miała jakieś upadki!

- Może i Maxine jest trochę za bardzo zasadnicza, ale bez wątplenia wie, co to upadek... i upokorzenie. Jej mąż, Charles, nie potrafi... oprzeć się innym kobietom. Maxine znosiła upokorzenie latami, do momentu, aż miarka się przebrała.

Nastąpiła separacja. Judy przyleciała do Francji i odbyła decydującą rozmowę z Charlesem, wytykając mu, co straci, jeśli będzie na tyle głupi, by odejść od Maxine. Od tego czasu jakby się trochę ustatkował. Judy umie być nieprzejednana, jeśli wie, że walczy o słuszną sprawę.

- Jaka była moja matka w młodości?

- Dzielna, jak mały dobosz idący na wojnę. Jej ojciec zbankrutował podczas wielkiego kryzysu. Postanowiła wtedy, że musi jej się powieść za wszelką cenę. Zawsze bardzo ciężko pracowała. W przeciwieństwie do reszty z nas umiała zachować żelazną dyscyplinę. Ta biedna dziewczyna nie miała nawet czasu nauczyć się jeździć na nartach.

- A mój ojciec? Jaki on był? - Niewinnie brzmiące pytanie Lili było w istocie głównym powodem zaproszenia Poganka na ten lunch. - Jak wyglądał?

Cholera, zakłęła w duchu Poganka, nie jestem dobra w zmyślaniu, ale dla dobra Judy muszę się postarać.

- Był... bardzo przystojny. Miał ciemne włosy i niebieskie oczy, i był dobrze wychowany. Był też bardzo nieśmiały, jak większość angielskich chłopców. Judy poznała go wcześniej niż nas, ponieważ pracował jako kelner w Imperialu, tam gdzie Judy, ucząc się zarządzania hotelem. Był dla nas jak brat, wszystkie go lubiłyśmy, ale on był zapatrzony tylko w Judy. - Poganka nie dodała, że choć Judy także go lubiła, zupełnie nie pociągał jej seksualnie. A jeśli dziewczyna nie chce, to nie chce i już. Choćby facet był nie wiadomo jak przystojny, bogaty i odpowiedni na męża, jeżeli nie jest dla niej pociągający fizycznie, nie ma szans. Biedny Nick szalał na punkcie Judy... wyjeżdżając dał jej dwie grawerowane w pączki róż obrączki od Cartiera, ale mimo niewątpliwej sympatii, jaką do niego czuła, Judy nie zdecydowała się na fizyczny związek.

- Judy mówiła, że był sierotą.

Jasne, a co miała mówić, pomyślała Poganka. To pozwoliło uniknąć dalszych pytań ze strony Lili.

- Wszystkie byłyśmy nim oczarowane - ciągnęła Poganka. - Potem wyjechał odbyć służbę wojskową na Malajach, a następną wiadomość, jaką o nim miałyśmy, dotyczyła jego śmierci. Byłyśmy załamane.

Pewne wahanie w słowach i przesadna ostrożność w formułowaniu zdań, tak nietypowe u wylewnej Poganki, nie uszły uwagi Lili. Coś się jednak musi za tym kryć, pomyślała, strzepując okruchy grzanki z białych skórzanych spodni.

- Czy Judy... hmm... miała powodzenie u chłopców, kiedy była studentką?

- Judy? Pracowała tak ciężko, że właściwie nie miała czasu na randki. A czemu o to pytasz, Lili? - Najlepszą formą obrony jest atak, pomyślała Poganka, wytrzymując spojrzenie aksamitnych piwnych oczu Lili.

Ona mnie prowokuje, stwierdziła w duchu Lili, jeszcze raz przekonując się o sile więzi łączącej te cztery kobiety, niemal dotykanej, jak przezroczysta ściana otaczająca tajemnicę jej pochodzenia.

- Rozumiem, że nie było żadnych wątpliwości co do ojcostwa Nicka? - Lili pogratulowała sobie odwagi wypowiedzenia tych słów.

- Jestem przekonana, że nie. - W głosie Poganki brzmiała wyzywająca stanowczość.

Lili zrozumiała, że nie dowie się niczego więcej, mimo iż Poganka mówiła dalej: - To, co przydarzyło się Judy, mogło się zdarzyć każdej z nas. Wszystkie chciałyśmy korzystać z życia, wszystkie miałyśmy nasze pierwsze romanse w Szwajcarii i zwierzałyśmy się sobie ze wszystkiego, więc wydawało nam się całkiem naturalne, że wspólnie będziemy się tobą opiekować, dopóki Judy nie stanie na nogi na tyle, by zapewnić ci dom. Ale kiedy zniknął, utrzymywała się ze skromnej pensji sekretarki.

- W jaki sposób zaczęła prowadzić interesy?

- Pracowała w reklamie i to Maxine namówiła ją na prowadzenie własnej firmy. Zamek La Chazalle był jej pierwszym zleceniem. Judy nie było łatwo się przebić bez doświadczenia, odpowiedniej renomy, bez pieniędzy. Teraz o tym nie mówi, ale dwukrotnie eksmitowano ją z mieszkania, bo nie była w stanie zapłacić czynszu. Była niemal tak biedna, jak obecnie Instytut Badań nad Rakiem. - Poganka doszła do wniosku, że warto przypomnieć, po co właściwie przyjechała do Nowego Jorku. - Mój mąż był taki przejęty, kiedy mu powiedziałam, że zastanawiasz się nad dotacją. Niezbędnie jest im potrzebny nowy mikroskop elektronowy.

Lili poruszyła się niespokojnie na krześle. Zwabiła przecież Pogankę na to spotkanie w hotelu Pierre obietnicą pieniędzy na badania nad rakiem.

- Spytaam mojego agenta, czy nie moglibyśmy zorganizować premiery dobroczynnej mojego nowego filmu w Nowym Jorku. Albo galowego pokazu w Londynie.

- A może jedno i drugie? - Poganka przeszła długą drogę od czasów, kiedy drżąc ze strachu i wstydu prosiła o pierwszy datek.

- Zrobię, co będę mogła - obiecała Lili, dodając: - Żałuję, że Maxine musiała wracać do Francji. Bardzo chciałam was lepiej poznać.

- Poznasz nas z czasem. Ostatnio nie widzimy się zbyt często, ale to nie ma znaczenia.

- Jak to, nie ma znaczenia? - zdziwiła się Lili. Kelner podał im homary.

- Prawdziwy przyjaciel to ktoś taki, z kim nie musisz być na co dzień. W dzisiejszych czasach przyjaźń pomiędzy dwiema kobietami może być trwalsza niż małżeństwo. - Poganka sięgnęła po szczypce.

- O ile obie założą, że oprócz lat tłustych, przyjdą i chude. - Wyssała soczyste mięso ze skorupy. - I że czasami będziesz miała ochotę udusić swoją przyjaciółkę gołymi rękami, a kiedy indziej to ona będzie miała ochotę udusić ciebie. Prawdziwa przyjaźń nie jest czymś niezmiennym, miewa przyływy i odpływy.

- Więc co sprawia, że do siebie wracają? - spytała Lili.

- Po prostu z pewnymi ludźmi czujesz się lepiej, bezpieczniej niż z innymi.

- Dlaczego? - nie ustępowała Lili.

- Cóż... macie podobne doświadczenia, łączy was podobne podejście do życia, tolerancja, zaufanie... i tak dalej. - Poganka gestykulowała kleszczem homara. - Dobra przyjaźń jest taka, jakie powinno być małżeństwo, choć rzadko jest. W dzisiejszych czasach mężczyźni pojawiają się w życiu kobiety i znikają ale kobiece przyjaźnie na ogół wytrzymują próbę czasu. Co więcej, małżeństwa rozpadają się coraz częściej, konflikt pokoleń narasta, a kobiece przyjaźnie to chyba jedyna dziedzina, w której wyniki są zadowalające.

- Co masz na myśli? - Lili słuchała zafascynowana.

- Wiele związków przynosi rozczarowania, bo okazuje się, że odbiegają od oczekiwań, jakie wpojono nam w młodości.

- A jakie oczekiwania tobie wpojono? - Lili skubnęła kawałeczek różowego mięsa.

- Wszystkie nas uczono, że naszym celem w życiu jest zdobycie mężczyzny - zaczęła wywód Poganka. - Więc wszystkie bacznie rozglądałyśmy się wokół siebie, czekając, żeby pojawił się książę z bajki. - Oderwała włókienko mięsa od skorupy. - Kiedy wyszłam za mąż, wydawało mi się, że odtąd będę się pławić w szczęściu. Do głowy mi nie przyszło, że mój książę małżonek okaże się zły i niewierny. Byłyśmy pionierami, tak samo jak tamte kobiety w krytych wozach. - Poganka wytarła dłonie w różową serwetkę.

- Tylko że my byłyśmy pionierami uczuć, a co więcej, nie zdawałyśmy sobie z tego sprawy. - Poganka nie przerywając zauważyła, że Lili prawie nie ruszyła homara. - Tamci pionierzy wiedzieli, kiedy podróżują przez wrogie tereny, słyszeli okrzyki wojenne, widzieli Indian, dosięgały ich strzały. Dzisiaj niektóre z nas się spalają, inne są okaleczone, jeszcze inne niezdolne się poruszać bez oparcia, lecz nasze rany są niewidoczne i często nawet nie wiemy, że stoczyłyśmy bitwę. - Poganka przerwała, bo podano im kawę. - Pionierzy marnie kończą, dopiero następne pokolenie zbiera plony i cieszy się ziemią obiecaną.

- A gdzież do diabła jest ta ziemia obiecana? - spytała Lili.

- Tam, gdzie kobieta i mężczyzna mogą być wobec siebie uczciwi, sprawiedliwie dzielić odpowiedzialność i opierać swój związek na prawdzie, a nie na nierówności i lęku.

- Co masz na myśli mówiąc o lęku?

- Większość związków międzyludzkich w takim czy innym stopniu opartych jest na lęku: że matka będzie na ciebie zła, że nauczyciel się zdenerwuje, że chłopak cię porzuci, że szef cię wyleje z pracy albo że zabiją cię Rosjanie.

- A nierówność?
- Przykładem związku opartego na nierówności może być małżeństwo, na które kobieta decyduje się dlatego, że jest przekonana o własnej nieatrakcyjności, boi się, że zostanie starą panną lub obawia się, że nie zdoła się sama utrzymać.
- A więc jesteśmy pionierami, a to, co odkrywamy, jest lepszym sposobem na życie - podsumowała Lili z zadumą.
- Tak, przynajmniej mamy taką nadzieję.

Piach i kamienie posypały się na głowy amerykańskiego reportera wojennego i trzech sydońskich żołnierzy wciśniętych w dno leja po bombie. Kolejny pocisk wybuchnął na przeciwległym brzegu krateru, przysypując im nogi. Następny trafił prosto w nas, pomyślał Mark, kuląc się na rozgrzanej ziemi. Nie wolno mi wpaść w panikę, nie wolno mi wpaść w panikę, nie wolno mi wpaść w panikę, powtarzał w myślach jak mantrę. Jeśli następny pocisk mnie nie trafi, to będę musiał uciekać, a jeśli wpadnę w panikę, będę miał nogi jak z waty i będę się ruszał tak wolno, że trafią mnie z całą pewnością. Nie wolno mi wpaść w panikę, nie wolno mi wpaść w panikę. Odgarnął z czoła zlepione kurzem ciemne włosy i przetarł oczy piekące od żaru.

Kiedy w górze rozległ się świst następnego pocisku, dwaj żołnierze przy jego boku poderwali się i próbowali wyjść po stromej ścianie krateru. Ziemia osypywała im się spod nóg, pocisk przeorał piasek o parę jardów dalej.

Seria z karabinu dosięgła jednego z nich w szyję, drugiego prosto w pierś, odrzucając obydwu z powrotem w głąb leja. Krew tryskająca z ciała ochlapała dwóch pozostałych; Mark starł kilka czerwonych kropli z aparatu. Szerokie, popękane od słońca usta Marka krwawiły, twarz pokryta była pęcherzami oparzeń, a mały, nieco zadarty nos łuszczył się, bo Mark zawsze zapominał o zabezpieczeniu się przed prażącym słońcem.

Następny pocisk przeleciał nad ich głowami, a piasek wokół leja zawrzał od gradu kul.

- Skoro mam już umrzeć, to przynajmniej jako profesjonalista - mruknął pod nosem Mark, wkładając nową rolkę filmu do aparatu. - Kiedy znajdą moje ciało, dostaną zdjęcia gotowe do druku.

Podczas tych paru sekund, których prowadzący ostrzał mózdzierz potrzebował na przeładowanie, nad krawędzią leja pojawili się trzej Sydończycy - jeden oficer i dwóch żołnierzy. Zsunęli się do środka, padając na ciała martwych towarzyszy broni. Natychmiast pozbierali się na nogi, odsunęli na bok krwawiące ciała i przystąpili do ustawiania wyrzutni rakiet.

Mark zauważył, że młody oficer używa celownika na podczerwień. Przeszło mu przez myśl, że choć raz petrodolary króla Abdullaha zostały sensownie wydane. Oficer sprawiał wrażenie spokojnego i całkowicie skupionego na wykonaniu zadania. Wychowawcy z Sandhurst byłiby z niego dumni. Czy ten opanowany, sprawny młody człowiek wie, że dowodzi samobójczą misją? - zastanawiał się Mark. Major Khalid próbował powstrzymać fotoreportera przed towarzyszeniem temu patrolowi. Teraz, po czasie, Mark zrozumiał, dlaczego major tak gorliwie

przekonywał go, że to rutynowy zwiad, nieciekawym dla zachodniej prasy. Ponieważ większość potyczek na pustyni miała miejsce w nocy, kiedy robienie zdjęć było niemożliwe, Mark uparł się przy swoim pomysłem. Ten zimnokrwisty sukinsyn nie odważył się powiedzieć Markowi, że pluton został wysłany jako mięso armatnie, w celu ściągnięcia na siebie artyleryjskiego ognia partyzantów, bo nie chciał, by jakiś amerykański dziennikarz zgrywał bohatera.

Mark jeszcze raz przetaił obiektyw Nikona, na wyczucie ustawił potrzebne parametry i sfotografował zabitych, skulonych w pyłe krateru jak śpiące dzieci; obydwaj byli zalani krwią, a mniejszy z żołnierzy miał na twarzy wyraźny czerwony odcisk buta. Koncentracja na chwilę wzięła u Marka górę nad strachem i pozwoliła mu uspokoić drżenie rąk; ustawił wysoką ostrość, dzięki której jego zdjęcia wychodziły w druku tak czytelne. Zdjęcia Marka Scotta mogły być rozsyłane drogą kablową po całym świecie, nie zmieniając się przy tym w niewyraźny bohomaz. Uczucie paniki powróciło wraz z pstryknięciem migawki; obserwował żołnierzy, jak próbują namierzyć pozycję wroga, wiedząc, że jest to ich jedyna szansa, by uciec z życiem. Smukła rakietka znalazła się w lufie wyrzutni. Oficer patrzył, jak wylatuje wysokim łukiem.

Z przeciwległego wzgórza znów nadleciał z rykiem artyleryjski pocisk. Lufa wyrzutni w kraterze została obniżona i wystrzelono następną raketę w kierunku stanowiska moździerza, schowanego pomiędzy skalnym nawisem a barykadą z worków wypełnionych piaskiem.

Mark skierował obiektyw na skupione twarze wokół wyrzutni. Ci ludzie nie mieli szans wydostać się z tego miejsca żywi, o ile nie uda im się wycelować rakietę w niespełna półtorastopową przerwę między krawędzią nawisu a workami z piaskiem i unicestwić wroga działem razem z obsługą.

Jeszcze jedna zmiana kąta nachylenia broni, jeszcze jedna rakietka w lufie, jeszcze jeden odrzut przy wystrzale. Tym razem nie było odpowiedzi w postaci wyjącego pocisku.

Sydoński oficer dał rozkaz kolejnego strzału, lecz i teraz też nie było odzewu ze strony wroga.

Upalne powietrze przesycone było dymem i ostrym, słodkawym zapachem walki.

Mark próbował stłumić w sobie uczucie ulgi, tak samo jak wcześniej panikę.

Spokojnie, spokojnie, na litość boską, spokojnie, zostań na miejscu, przeżyj. Mark widywał już ludzi wyskakujących z ukrycia z radością, że udało im się wymknąć z objęć śmierci, koszonych serią wroga, który wiedział, że ostatnia szansa leży w nieostrości przeciwnika.

Młody oficer kazał dwóm - pozostałym czołgać się pojedynczo, korzystając z osłony każdego kamienia, każdego załomu powierzchni, aż znajdą się u stóp wzgórza.

Ruszyli ostrożnie przed siebie. Kiedy znaleźli się dostatecznie blisko gniazda moździerza, jeden z nich wrzucił granat w otwór, z którego wystawała potężna lufa.

Ostrożność uratowała im życie. Wraz z rykiem bólu z otworu wypadło ciało mężczyzny, katapultowane siłą wybuchu. Poprzez kłęby kurzu Mark widział karabin maszynowy obracający się bezwładnie na trójnogu.

- Lepiej wejdźcie od tyłu - odezwał się oficer. - Granaty mogły naruszyć sklepienie jaskini.

Z panującego na zewnątrz skwaru zanurzyli się w otwór, stanowiący część labiryntu połączonych ze sobą wapiennych jaskiń, wypełnionych zapasami nietypowej partyzanckiej broni i materiałów wybuchowych. Było tam ponad sto skrzynek z dwufuntowymi laskami trotylu, obłożonych nylonowymi torbami, z których każda zawierała dwadzieścia cztery laski nitrogliceryny. Obok znajdowała się paczka bezpieczników i druga, z aluminiowymi detonatorami czasowymi, na wpół ukryta za zwojami lontu. W głębi groty znaleźli jeszcze kilka spłonek trotylu i dwa pudełka trotylu w płatkach. Gorący suchy klimat Sydonii zapobiegł rdzewieniu broni, ale nitrogliceryna miejscami przeciekła przez woskowaną osłonę i cały stos mógł wybuchnąć przy lada okazji.

- Po co było się tak męczyć? - Młody oficer odezwał się do Marka poprawną lecz nieco gardłową agielszczyzną. - Jeden papieros załatwiłby za nas sprawę. - Żart nie był najwyższych lotów, ale czterem ludziom ocalałym z plutonu, który jeszcze rano liczył czternaście osób, wydawał się zabawny.

Ostre promienia słońca wpadały przez szczeliny w skale oświetlając połączone ze sobą groty. Mark oglądał zapasy broni. Widząc, że niektóre ze skrzynek mają oprócz angielskich napisy cyrylicą Mark za pomocą wojskowego noża, jedynej broni, jaką kiedykolwiek nosił, obluzował gwoździe. Skrzynka była pełna radzieckich zapalników używanych przy zakładaniu min.

Posuwając się dalej Mark znalazł jeszcze skrzynie Kałasznikowów, chińskie granaty, rakiety typu Katiusza z czterdziestofuntowymi głowicami oraz karabiny maszynowe SG-43. Bardziej odległa od wejścia do labiryntu grota stanowiła zbrojownię pełną radzieckiej broni, która w przeciwieństwie do zachodniego sprzętu była nowa i w doskonałym stanie.

Mark przeszedł do zniszczonego wylotu jaskini, gdzie pośród gruzów i porozrywanych ciał stały szczątki mózdzierza. Leżało tam sześć ciał odzianych w strzępy polowych mundurów armii amerykańskiej. Jeden z ludzi żył jeszcze, choć jego pierś przedstawiała wypełnioną krwią ciemną jamę. Krzywiąc usta z bólu usiłował coś powiedzieć. Wiedząc, że może żyć na tyle długo, by udzielić im cennych informacji, sydoński oficer sięgnął po manierkę i wlał kilka kropli wody pomiędzy spękane wargi rannego. Mężczyzna wymamrotał parę słów; Mark zorientował się, że nie są w języku arabskim. Miał ciemne włosy i oliwkową skórę. Po bliższym przyjrzeniu się brudnej twarzy Mark nabrał przekonania, że ma rysy świadczące o latynoskim pochodzeniu.

- Jesteś Kubańczykiem? - spytał umierającego. Mężczyzna wy dobył z siebie ostatnie w życiu słowa:

Viva... re... revolution.

Czterech spośród sześciu zabitych było Kubańczykami. Jedna z ofiar miała na szyi medalion z wizerunkiem głowy Castro. Pozostali dwaj niewątpliwie byli Arabami; jeden z nich na pasku materiału owiniętego wokół nadgarstka miał wypisaną po arabsku modlitwę.

- Prosił Proroka, żeby kierował jego ręką - wyjaśnił oficer wyrzucając skrawek.

- Najemnicy? - zastanawiał się na głos Mark.

- Jasne - potwierdził młody oficer. - Wywiad ostrzegwał nas, że fundamentalistyczni partyzanci mają sowieckie wyposażenie. Nic dziwnego, że mają też do niego obsługę. Kazał jednemu z żołnierzy znieść uszkodzone materiały wybuchowe do stóp wzgórza; później rzucili na nie granat, niszcząc całkowicie śmiertelny stos. Oczekali do zmroku, by udać się do najbliższej wioski. Nieufnie weszli między zabudowania i tak też zostali powitani, a potem odprowadzeni do naczelnika osady. Podszedł do nich młody chłopiec ubrany na biało. Trzymał mosiężną misę pełną daktyli. Mark odsunął od siebie poczęstunek.

- Będziesz jadł - warknął na niego młody oficer. - Kiedy jesteś wśród moich ludzi, ponoszę za ciebie odpowiedzialność, więc będziesz jadł i pił, kiedy ci każę. Mark przeprosił. Pracując zawsze zapominał o potrzebach własnego organizmu. Pamiętał tylko o dwóch sprawach - zrobić zdjęcia i wrócić żywym.

- Teraz się prześpiemy - zarządził oficer. Mark posłusznie wyciągnął się obok pozostałych żołnierzy na klepisku chaty.

O świcie do wsi przyjechał major Khalid i zabrał Marka ciężarówką pełną rannych. Przygotował się na trudną, niewygodną podróż. Ku jego zdumieniu, po chwili usiadły obok niego dwie wieśniaczki, ubrane na czarno i z zasłoniętymi twarzami, trzymające na rękach mniej więcej siedmioletnią dziewczynkę. Dziecko miało monstrualnie wzdęty brzuch, a złączone nogi owinięte brudnym, postrzępionym bandażem, jak mumia. Najwyraźniej trawiła je wysoka gorączka; przez półprzymknięte powieki widać było białka oczu, a skóra na policzkach była nienaturalnie napięta i sucha.

Kiedy ciężarówka stanęła wreszcie przed szpitalem, Mark pomagał wnosić rannych do budynku. Później zarzucił swój plecak na ramię i skierował się do bramy. Był już prawie na zewnątrz szpitalnego terenu, gdy dogonił go pielęgniarz.

- Niech pan idzie ze mną. - Pociągnął Marka z powrotem. - Zrobi pan zdjęcia. Mark szedł za nim szpitalnym korytarzem. Koło wejścia do izby przyjęć stała siwowłosa szczupła kobieta, bardzo zmęczona, z rękami wbitymi w kieszenie białego fartucha.

- Jest pan fotoreporterem? - zwróciła się do Marka.

- Owszem.

- Komu wysyła pan swoje zdjęcia?

- Do „Time'a", „Newsweeka", wszystkich czasopism europejskich. Moja agencja ma kontakty na całym świecie.

- W takim razie chcę, żeby pan sfotografował tę dziewczynkę. Trzeba to zrobić bez wiedzy jej matki, bo ona by na to nie pozwoliła.

Mark przeszedł za odzianą na biało kobietą do niewielkiej sali, gdzie na noszach leżała dziewczynka w brzuchu wzdętym, jakby była w ciąży. Pielęgniarka ostrożnie rozwijała bandaż krępujący nogi. Mark nie zadawał żadnych pytań, bo z napięcia w głosie lekarki wyczuł, że wszystko, co zobaczy, może być ważne. W milczeniu przygotowywał aparaty. Pielęgniarka wbiła igłę w szczupłą rączkę, odpowiednio wyregulowała kroplówkę i po chwili dziewczynka straciła świadomość. W pomieszczeniu unosił się silny zapach środków dezynfekujących.

Kiedy bandaż został usunięty, Mark zobaczył ropę i krew wylewające się pomiędzy drobnych nóżek. Delikatne dziecięce genitalia pokryte były gęstą masą która miała wygląd przeżutej trawy. Jedna z pielęgniarek zmywała gąbką cuchnącą maż, podczas gdy druga przytrzymywała brudne stopki. Potem rozsunęła uda dziecka; spiczaste kolanka opadły na boki.

Wargi sromowe dziewczynki przekłute były rzędem drugich akacyjnych kolców i zesnurowane mocną czarną nicią. Kiedy zaschnięta masa i resztki krwi zostały zmyte, Mark zobaczył mętną zieloną ropę wypływającą z maleńkiego otworu na końcu zaszytej szpary. Fotografował, jak pielęgniarka przecina nici, po kolei wyciąga rozcięte odcinki szczypcami, a następnie ostrożnie, uważając, by żadnego nie złamać, jeden po drugim wyciąga kolce. Ostatnią rzeczą jaką zobaczył, były okaleczone genitalia dziecka, które ukazały się po wyjęciu ostatniego kolca. Zaraz potem zemdlął.

Otworzywszy oczy w sali pogotowia, Mark sięgnął po nerkowatą miskę i wymiotował resztki ostatniego posiłku, składającego się z daktyli i mleka. Lekarka usłyszała, że odzyskał przytomność, i pojawiła się obok niego.

- Co oni zrobili tej dziewczynce? W życiu nie widziałem czegoś tak koszmarnego - odezwał się wstrząśnięty.

- Zrobili z niej dobry materiał na żonę. - Lekarka nie umiała pohamować wściekłości. - Dziewiczą pannę młodą i uległą żonę. Robią to w większej części Afryki i w prymitywnych środowiskach niektórych krajów arabskich. Obrzezali ją umyślnie okaleczyli jej genitalia. Przede wszystkim wycięli jej lechtaczkę i całe wargi mniejsze. Zona nie mogąca odczuwać przyjemności z seksu nie będzie się puszczać.

- Ale kto to zrobił?

- Pewnie miejscowa akuszerka za pomocą brzytwy, podczas gdy matka i siostry trzymały tę małą. Ma się rozumieć bez znieczulenia. Potem zatarły ranę popiołem lub ziemią dla zatrzymania krwawienia. Następnie zaszyły ją posługując się kolcami i nićmi, jak sam pan widział. Zostawiają maleńki otwór na mocz i krew miesiączkową. Na końcu bandażują nogi, żeby je unieruchomić.

- Dlaczego ma taki spuchnięty brzuch?

- Jest wypełniony czarną, cuchnącą krwią.

- A co się dzieje po wyjściu takiej dziewczyny za mąż?

- A jak pan myśli? Mąż rozcina ją sztyletem, a potem lata po wsi wymachując zakrwawionym ostrzem, żeby wszyscy widzieli, że panna młoda właśnie przestała być dziewicą. Nie muszę chyba dodawać, że tak okaleczone kobiety czują silny ból podczas stosunku. Zdarza się też, że mąż nie przetrnie do końca i przy pierwszym porodzie kobieta pęka jak melon.

- Czy one wszystkie są... operowane w takim wieku?

- Im wcześniej okaleczają dziecko, tym większe jest spustoszenie, bo niemowlęca i młodzieńcza masturbacja uczy orgazmu.

Mark splunął żółcią do miedniczki.

- Co mam zrobić z tymi zdjęciami?

- Fotografie mogą zwrócić uwagę zachodniego świata na to, co się tu dzieje. - Lekarka zdjęła okulary w grubych oprawkach i przetarła zaczerwienione ze zmęczenia oczy. - Byłam jednym z lekarzy, którzy przekazali dowody komisji ONZ, badającej zwyczaj obrzezywania kobiet w krajach arabskich, ale raport został zlekceważony. Jak sam pan wie, jedno zdjęcie jest warte tysiąca słów. Co miesiąc widuję takie przypadki jak ta mała. Niektóre bywają jeszcze gorsze. - Westchnęła ciężko. - Rząd Sydonii, który udaje, że nic nie wie o istnieniu tych praktyk, nie będzie mógł zignorować zdjęcia w amerykańskim czasopiśmie. Nacisk Zachodu zmusi sydoński rząd do podjęcia wreszcie jakichś działań.

- Ma pani na myśli króla Abdullaha? - zainteresował się Mark.

- Nie, nie króla. To Ministerstwo Zdrowia blokuje wszelkie informacje.

Przypuszczam, że ukrywają te fakty przed królem, ponieważ wiele z jego zachodnich reform ma przeciwników.

Mark poczuł szczerą sympatię dla swojej rozmówczyni. Współczucie dla nieszczęśliwych narodów na całym świecie było motorem jego życia; mimo tych wszystkich fotografowanych zwłok, mimo utraconych na polach bitew przyjaciół, uczucia Marka pozostały nie zmienione i równie głębokie, jak przed dziesięciu laty, kiedy jako przepelniony idealizmem nastolatek uciekł na swoją pierwszą wojnę.

Teraz obiecał:

- Przed wyjazdem z Sydonii mam fotografować króla Abdullaha. Postaram się pokazać mu te zdjęcia.

W oczach patrzących na niego zza grubych okularów Mark wyczytał wdzięczność i nadzieję.

Przez szybę wojskowego helikoptera Mark zobaczył na horyzoncie Semirę.

Polityczna stolica Sydonii wyrastała z płaskiej zielonej równiny rzędami białych ufortyfikowanych murów, ciągnących się wzdłuż brzegu jedynej rzeki przepływającej przez kraj. Kiedy helikopter przelatywał nad dachami, Mark dostrzegł królewskie flagi zatknięte na blankowanych wieżach pałacu górującego nad starożytnym miastem. Nawet znajdując się w środku pustyni, major Khalid był w stanie pociągnąć za odpowiednie sznurki i zorganizować dla Marka audiencję u króla Abdullaha. Major chciał, by jego szef osobiście poznał dowody zdobycia wrogiego arsenału, którymi były zdjęcia wykonane przez Marka.

Dwaj adiutanci doprowadzili Marka przed oblicze króla. Abdullah podniósł się zza potężnego antycznego biurka.

- Salaam Alaikum.

- Alaikum a Salaam. - Król Abdullah wolał proste, tradycyjne pozdrowienie zamiast wyszukanych formułek, jakimi zazwyczaj go witano jako czternastego w linii dziedzicznego władcy kraju. - Zostałem poinformowany przez wywiad, że był pan na wschodnich wzgórzach z majorem Khalidem i jest pan jednym z ocalałych po ataku majora na siedzibę partyzantów w Wadi al Hasa. Spójrzmy na te pańskie zdjęcia. Mark był na tyle mądry, by nie wspominać, że major Khalid nie miał nic wspólnego z sukcesem operacji. Rozłożył jeszcze lekko wilgotne fotografie na mahoniowym stole w rogu pokoju. Biorąc z ręki Marka szkło powiększające, król pochylił się nad zdjęciami.

- To naprawdę świetna dokumentacja pustynnej wojny. - Pochylił się niżej. - Jest pan niewątpliwie odważnym człowiekiem, panie Scott. - Przyjrzał się bliżej zdjęciom przedstawiającym sowiecką broń. - W sytuacji, gdy każdy niezadowolony obywatel nazywa się komunistą, nie mogliśmy być pewni sowieckiej infiltracji; podejrzewaliśmy ją, ale nie mieliśmy dowodów. Oddał pan mojemu krajowi wielką przysługę. Dziękuję panu.

Mark postanowił wykorzystać okazję.

- Wasza Wysokość, chciałbym panu pokazać jeszcze parę innych zdjęć.

- Chętnie zobaczę.

Mark szybko zgarnął fotografie potwierdzające rosyjską interwencję w Sydonii i na ich miejscu rozłożył zdjęcia obrzezanej dziewczynki opatrywanej przez pielęgniarki. Abdullah patrzył w milczeniu na bezbronną rozpaloną gorączką buzię dziecka, na okaleczone ciało. Po chwili spytał zduszonym głosem:

- Kto popełnił to okrucieństwo? Jacy żołnierze są odpowiedzialni za tę zbrodnię?

Z twarzy obydwu adiutantów Mark wyczytał, że wiedzą na co patrzą, ale oburzenie Abdullaha nie było udawane.

- Wasza Wysokość, ten okropny czyn nie został popełniony przez partyzantów - wyjaśnił Mark. - To wynik operacji zaszpilenia dokonanej na małej dziewczynce. Zostałem poproszony o zrobienie tych zdjęć przez lekarkę ze szpitala w Dinadzie. Abdullah z mrozącym spokojem przeszedł do skórzanego fotela za biurkiem.

Poprosił Marka, by usiadł i opowiedział mu o tych barbarzyńskich praktykach. Zapisał w notatniku nazwisko lekarki i polecił jednemu z adiutantów wezwać natychmiast ministra zdrowia. Następnie spojrzął spod zmarszczonych brwi na drugiego ze swoich podwładnych.

- Wiedziałaś o tym zwyczaju?

- Tak, Wasza Wysokość. - Adiutant stał wyprostowany jak struna. - Ale to dotyczy tylko prymitywnych chłopek...

- Dziewięćdziesiąt pięć procent ludności naszego kraju to prymitywne chłopstwo. - Głos króla Abdullaha nadal brzmiał spokojnie, ale w oczach czaiła się wściekłość. - Dlaczego nigdy mi o tym nie mówiono? Czy te operacje mają jakieś uzasadnienie?

- Żadnego poza przesadami, Wasza Wysokość - odparł adiutant. - Ale muzułmańscy fundamentaliści je popierają. W Koranie nie ma żadnych wzmianek o tego rodzaju praktykach, lecz niektórzy mędracy w przeszłości uważali tę tradycję za godną podtrzymywania.

- Niech nas Allah zachowa przed zbrodniami wyrządzanymi w jego imieniu. -

Abdullah zwrócił się do Marka: - Co pan ma zamiar zrobić z tymi zdjęciami?

- Zaoferuję je „Time'owi” - odparł bez namysłu Mark. - Z pewnością chętnie wezmą te z sowiecką bronią.

- A co z tymi drugimi? - spytał Abdullah, wskazując na zdjęcia cierpiącego dziecka.

- Też im pokażę, ale mogą ich nie zechcieć wykorzystać, są zbyt szokujące.

Abdullah pokiwał głową zgadzając się z opinią Marka.

- Rozumie pan złożoność mojej sytuacji? Mogę wydać rozkaz natychmiastowego zaprzestania tych praktyk i wszystkie kobiety mnie posłuchają. Jeszcze trzydzieści lat temu Sydończycy nie mogli reperować domów, a mężczyznom nie wolno było

opuszczać wsi bez zgody króla. Prości ludzie nadal są skłonni podporządkować się królewskim rozkazom bez zadawania pytań. Oni nie stanowią problemu. Problem polega na tym, że jeśli wykonam ten dyktatorski gest, fanatycy wykorzystają go, by podżegać do rewolucji. Jeśli ma mi się udać wykorzenienie tego obrzydliwego zwyczaju, musi to wyglądać tak, jakbym spełniał wolę ludu, a nie narzucał mu własną.

- Potrzebuje pan więc, żeby zachodnia prasa wytworzyła wokół tej sprawy odpowiedni klimat?

- Także zachodni politycy, naukowcy i dyplomaci... Wystawiał pan kiedyś swoje prace na wystawie, panie Scott?

- Tak, współpracuję z pewną galerią w Nowym Jorku.

- W takim razie proszę zorganizować wystawę tych fotografii. My oczywiście pokryjemy wszelkie koszty. Nasz ambasador spotka się z panem po pana powrocie do Ameryki.

Boczne drzwi uchylily się na kilka cali. Król Abdullah odwrócił głowę w tamtym kierunku. Zza drzwi wyjrzała para wystraszonych brązowych oczu, a potem do pokoju wszedł dwunastoletni chłopiec. Miał na sobie miniaturową kopię białego wojskowego munduru. Król Abdullah pomyślał w duchu, że jego następcą powinien wchodzić jak książę, a nie wkradać się cicho jak służący.

- Przepraszam, że przeszkadzam, wuju. Myślałem, że już skończyłeś. - Książę Hassan od dwóch godzin czekał za drzwiami, rozdzierany sprzecznymi uczuciami miłości i lęku przed swoim wujem, swym obrońcą i królem, którego miał kiedyś zastąpić na tronie.

Rozdział trzeci

Listopad 1978

Mógłbyś otworzyć drzwi, Zimmer? To pewnie pokojówka z moją suknią. - Lili jak zwykle moczyła się w wannie.

Zimmer wetknął głowę w drzwi łazienki. Reżyserował większość z najlepszych filmów Lili, łącznie ze skandalizującym Q, dzięki któremu stała się międzynarodową gwiazdą.

- Kiedy już skończysz, skarbie, przyjdź tu, bo przyniesiono właśnie małą dżunglę.

- Sprawdź, czy z któregoś drzewa nie zwisa wścibski mały dziennikarz. - Odkąd świat obiegrała wiadomość o jej zerwaniu z Simonem Pontem, Lili znów była prześladowana przez fotoreporterów. Zimmer cieszył się, że na szczęście dla Lili nikt nie odkrył prawdziwej przyczyny zerwania.

Lili ubrana w biały płaszcz kąpielowy, z mokrymi włosami zawiniętymi w brzoskwiniowy ręcznik, weszła do luksusowo urządzonego salonu. Wolno zbliżyła się do doniczki ze wspaniałą orchideą. Z wygiętej gałązki, obsypanej nienaturalnie wręcz doskonałymi, mięsistymi bladożółtymi kwiatami zwisał niewielki aksamitny woreczek zawiązany jedwabnym sznureczkiem. Lili otworzyła go i wyjęła ze środka małe czerwone pudełeczko z firmowym znakiem jubilera. Wewnątrz znajdowała się

para biało-niebieskich brylantowych kolczyków. Kamienie odbijały blade listopadowe światło.

Siedzący na brzoskwińskiej kanapie przy kominku Zimmer aż cmoknął z podziwu.

- To trzecia przesyłka w tym tygodniu... Masz już cały komplet: prezent Madame Pompadour na trzydzieste urodziny, kupiony na aukcji w Monte Carlo w zeszłym miesiącu. Nikt nie może zarzucić Spyrosowi, że się nie stara.

- Zamknij się, mój drogi. - Lili przesłała pocałunek w stronę kanapy i odłożyła pudełeczko na stolik do kawy. - Wiesz dobrze, że Spyros Stiarkoz interesuje się mną tylko dlatego, że byłam sympatią jego brata. Jestem po prostu jeszcze jedną częścią imperium starego Stiarkoza do zagarnięcia. - Lili zaciągnęła mocniej pasek na szczupłej talii. - A poza tym, Zimmer, nie pozwalam ci popychać mnie do tego związku, tylko dlatego, że może ci pomóc w sfinansowaniu nowego filmu.

- Niewiele kobiet dałoby kosza komuś tak bogatemu i wpływowemu jak Stiarkoz.

- Nie dbam o bogaczy i ich wpływy. Po Simonie potrzebuję trochę samotności i odpoczynku. Chcę, żeby mnie zostawiono w spokoju. Nie rozumiesz tego? - Lili usiadła na drugim końcu kanapy i zaczęła wycierać włosy ręcznikiem. - Stiarkoz to kolejny facet uganiający się za mną tylko dlatego, że coś sobie ubzdurał. Umizgi Stiarkoza są tak samo męczące jak namolność fotoreporterów czy tych wszystkich maniaków, którzy wypisują do mnie sprośne listy. Dla nich nie jestem człowiekiem, tylko jakąś boginią seksu z bajki. Dla nich liczy się tylko to, co oni sami czują! Nigdy nie liczą się z tym, co ja czuję, czego ja pragnę.

- Spyros szybko się dowiedział o wyjeździe Simona do Paryża. Od razu próbuje wkraść się w łaski, zanim ktoś inny mógłby się pojawić na horyzoncie.

- Otóż to, Zimmer. - Lili pochyliła się i zmierzwiła pieścizotliwie jego siwiejące blond włosy. - Jestem celem, jestem łupem do zdobycia. To mój życiowy koszmar, cena popularności.

- Z drugiej strony, to ci powinno pochlebiać, Lili. - Zimmer gestykulował drobnymi, starannie wypielęgnowanymi dłońmi, odwołując się do rozsądku Lili. - Ty wiecznie szukasz miłości, Lili, to jest twoim problemem. Zawsze było. Nie możesz znieść tego ich „zakochiwania się” w tobie, bo jesteś bardziej inteligentna niż przeciętna bogini seksu. Nie chcesz ich oczarowywać, bo pragniesz porozumienia, nie żądy. Potrzeba ci ciepła uczuć, a nie żaru namiętności.

- Właśnie. - Lili przestała trzeć głowę ręcznikiem, odrzuciła wciąż jeszcze wilgotne włosy do tyłu. - Seksu mam potąd. - Dotknęła palcem kształtnego nosa. - Mój urok, erotyzm, czy jak do cholery by tego nie nazwać, nie przynosi mi nic poza kłopotami, Zimmer.

- Przynajmniej ze mną nie musisz się o to martwić, złotko.

- Nie, ale za to ile razy wystawię stopę za próg, natykam się na tych twoich śmierdzących piwem goryli. Nie masz pojęcia, jak mnie to denerwuje. Tobie się to wydaje zabawne, ale ja się czasami zastanawiam, czy ktoś mnie kiedyś pokocha bezinteresownie, dla mnie samej, tak jak Angelina, a nie jako gwiazdę lub dlatego, że czegoś ode mnie chce. Tyłu jest drani, Zimmer, którzy chcą iść ze mną do łóżka, a potem lecieć do swoich znajomych, by się pochwalić. Jedni chcą, żebym im rozdawała rajstopy albo rowery, inni mnie namawiają, żebym finansowała ich

zwariowane pomysły. - Odwróciła się twarzą do Zimmera, dotknęła jego ręki. - Dlatego tak mi zależy na nawiązaniu dobrych stosunków z matką. Zimmer nie był typem wrażliwca, ale patrząc w błyszczące ciemne oczy, pomyślał, że trudno winić mężczyznę za to, że ulegają jej urokowi.

- I dlatego nie możemy cię namówić na ten film? Dlatego tracisz czas siedząc w Nowym Jorku i odrzucając wszystkie role, jakie Swifty i ja ci podsuwamy?

- Właśnie dlatego.

- Nie chcę naciskać, Lili, ale proszę cię, przemyśl to jeszcze raz. Mistinguett to cudowna rola, była Marylin Monroe lat dwudziestych, cały Paryż się w niej kochał. To ona dodawała pikanterii występom w Folies Bergere, a jej nogi były znane w całej Europie.

Ty też, Lili, masz fantastyczne nogi, pomyślał Zimmer, ale wolał tego nie mówić.

- Najlepsze Nogi w Firmie to będzie największy musical roku. Blask! Przepych! Tiule! Balety! Cekiny! Pióra! Chcemy zaangażować Richarda Gere do roli młodego Maurice'a Chevaliera.

- Mam wrażenie, że przekroczyłeś budżet jeszcze przed rozpoczęciem zdjęć. - Lili odłożyła brylantowe kolczyki na miejsce i rzuciła czerwone pudełeczko do Zimmera, który zręcznie pochwycił je jedną ręką.

- Do hotelowego sejfu?

- Skoro mamy już pełny komplet, wieczorem zwrócę go Spyrosowi.

- Mój Boże, jak ja nie cierpię kobiet, które są zbyt zasadnicze, by przyjmować biżuterię. Dlaczego się z nim umawiasz, jeżeli nie chcesz mieć z nim nic wspólnego?

- Mam zamiar uprzejmie mu odmówić.

Lili i Stiarkoz siedzieli sztywno w prywatnej łoży, prawie się do siebie nie odzywając, podczas gdy na odległej scenie książę Albrecht tańczył z mściwymi duchami dziewic porzuconych u ołtarza.

- Dlaczego musiałas mi to akurat tu powiedzieć? - syknął Stiarkoz.

- Ponieważ nie chcę ci tego mówić w miejscu publicznym - odparła spokojnie Lili. W rzeczywistości chciała to zrobić w jakimś bezpiecznym, neutralnym otoczeniu. Nie chciała się znaleźć na pełnym morzu, być porwana białym Rollsem do Greenwich w stanie Connecticut czy lecieć na prywatną wyspę, by tam przez pięć dni bez przerwy słuchać jego argumentów. - Spyros, pochlebia mi twoje zainteresowanie, ale moja odpowiedź brzmi: nie. Przykro mi. - Lili nadała swemu głosowi przepraszający ton. Na scenie baletnicy krążyły wytrwale wokół księcia Albrechta, ich różowe pantofelki śmigały lekko po święconej ziemi spowitego mgłą cementarza. - Jesteś bardzo hojny, ale nie mogę przyjąć od ciebie tej pięknej biżuterii.

- Nie dziękuj mi, Lili, chcę ci dać wszystko, czego tylko zapragniesz. - Dotknął jej ręki pomarszczoną dłonią. Lili nie mogła sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł czerpać przyjemność z dotyku tych szponów.

Tam w dole niewdzięczny, wiarołomny książę Albrecht padł osaczony przez mściwe duchy. W łoży popiół z cygara osypał się na dywan w kolorze bordo.

- Jestem ostrożnym człowiekiem, jak sama wiesz, Lili, i starannie rozważam wszystkie swoje decyzje. Co mógłbym ci dać, żeby cię przekonać?

Książę Albrecht zataczał się na deskach sceny, lecz dla Lili przedstawienie było skończone, marzyła już tylko o ucieczce. Odezwała się ze złością:

- Ile razy mam ci powtarzać, Spyros? Chcę od ciebie tylko jednego: żebyś mnie zostawił w spokoju. Dopóki będę zależna od mężczyzny, będę się bała, że sama sobie nie poradzę. Dlatego chcę zacząć wszystko od nowa... sama.

- Gadanie! Wszystkie kobiety udają że są trudne do zdobycia. Skoro nie chcesz się ze mną widywać, to znaczy, że jest jakiś inny mężczyzna.

Lili bezradnie potrząsnęła głową. Perłowe kolczyki zabłysły, odbijając światło.

- Wam, mężczyznom, nie mieści się w głowie, że jeśli kobieta odmawia, to naprawdę nie chce. - Pochyliła się do przodu. - Nie ma nikogo innego. Jediną ważną osobą w moim życiu jestem ja sama. Nie rozumiesz, że w tej chwili nie wiem, kim jestem, ku czemu zmierzam i co mogę osiągnąć? Odnalazłam matkę, poznaję początki swojego istnienia i chcę, by mnie zostawiono w spokoju, żebym mogła się dowiedzieć reszty, to wszystko. Dlatego chcę być sama.

- Sama? Może na dwadzieścia cztery godziny. - Gniewnie zdusił cygaro w rządku białych chryzantem zdobiących łożę.

W białym Rolls-Roysie Stiarkoza Lili przekonała się, że Spyros jest chytrym starym gadem. Nie mogła wyjść ze zdumienia, jak dwaj bracia mogą być tak podobni i tak różni zarazem. Spyros miał takie same błyszczące czarne oczy jak Jo i szorstką rzeczowość w sposobie bycia, ale brakowało mu żywotności i wdzięku brata. Nagle w zaciemnionym, wyściełanym miękkimi poduszkami wnętrzu samochodu Lili zdała sobie sprawę, że Spyros jest bliski rzucenia się na nią, a ona znajduje się w luksusowej skórzanej pułapce. Przypomniała sobie z przerażeniem czyjeś słowa, że jeśli grecki armator upatrzy sobie jakąś kobietę, natychmiast chce się do niej dobrać.

Spyros był bezwzględny, nieokrzesany i bardzo silny. Sięgnął do piersi Lili, rozdierając przód haftowanej szyfonowej sukienki. Drobną perełką z naszyjnika rozsypały się po podłodze. Lili rzuciła rozpaczliwe spojrzenie w stronę lusterka szofera. Nie mogła liczyć na żadną pomoc z jego strony. Udało jej się jednak zepchnąć z siebie Spyrosa.

- Nie muszę cię gwałcić, przekonasz się, że i tak będziesz należała do mnie. Będę o ciebie dbał jeszcze lepiej niż Jo. Umierając zostawił cię bez grosza, czyż nie? Ja ci dam wszystko, co zechcesz, Lili. Twoje miejsce jest na moim jachcie, na „Persephone”, bez żadnych obowiązków poza wydawaniem pieniędzy. - Znowu położył dłoń na jej piersiach, lecz tym razem Lili się nie wzbraniała. Zrozumiała, że jeśli nadal będzie stawiać opór, Spyros może ją zgwałcić. Myślała gorączkowo, jak wydostać się z samochodu.

- Spyros, masz dwa wyjścia: możesz mnie wziąć siłą albo możesz mi dać czas. Dzisiaj jest... nieodpowiedni dzień w miesiącu.

Wpatrywał się jej w oczy nieruchomym, żółtym spojrzeniem. Lili uniosła twarz do jego ust i pozwoliła się trzymać w uścisku, dopóki nie znaleźli się przed hotelem Pierre.

Wręcz pocila się z ulgi idąc długim, jasnym korytarzem; przytrzymywała pod szyją futro z szynszyli, zasłaniając zniszczoną szyfonową suknię. Przy wejściu do windy

zatrzymała się gwałtownie, zawróciła na pięcie i podeszła do lady recepcji. Wręczyła kierownikowi nocnej zmiany czerwone pudełeczko z biżuterią.

- Czy posłaniec mógłby to przekazać lady Swann mieszkającej w hotelu Alonquin? Nic nie mogło rozwścieczyć Spyrosa bardziej niż przekazanie jego brylantowych narzędzi przekupstwa na cele dobroczynne.

Lili stała naga w wyłożonej lustrami łazience i ze złością patrzyła na swoje piersi, na których już zaczynały się ukazywać sińce. Przypomniała sobie, jak wcześnie jej ciało dojrzało, w wieku dwunastu lat, jak bardzo się czuła skrzepowana, kiedy zaokrągliły jej się piersi. Młode dziewczyny zawsze martwiły się swoimi rosnącymi piersiami, wydawały im się albo za małe, albo za duże, lecz jakiegokolwiek by nie były, budziły zainteresowanie. Lili pamiętała, jak nienawidziła spojrzeń obcych mężczyzn, wystających na rogach ulic niechlujnego paryskiego przedmieścia, gdzie dorastała. Nawet jej przybrany ojciec, monsieur Sardeau, zza surowych urzędniczych okularów wodził wzrokiem po jej ciele, kiedy codziennie po lekcjach krzątała się przy pracach domowych.

Odkąd Lili skończyła sześć lat, jej życie stało się pasmem niepowodzeń, spirala nieszczęścia, nad którą w żaden sposób nie była w stanie zapanować. Lili była życiową ofiarą... dopóki nie poznała siły swego ciała, siły tych dwóch sterczących dumnie piersi.

Spytała kiedyś Jo Stiarkoza, dlaczego mężczyźni tak na nie reagują. Dlaczego, nawet kiedy rozmawiają z Lili, nie patrzą jej w oczy, lecz opuszczają wzrok na jej piersi. Co jest tak pociągające w tych dwóch kawałkach ciała?

Jo odparł wówczas ze śmiechem:

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. - Następnie dodał po krótkim namyśle: - Najprzyjemniejsze w damskich piersiach jest to, że się kołyszają. Kiedy się tak trzęsą i skaczą, mężczyzna ma po prostu wielką ochotę je chwycić. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego, to instynktowna reakcja, odruch.

- Ale skąd się bierze? Widząc z daleka grupę robotników kobieta wie, że kiedy się zbliży, zaczną się gapić, a kiedy ich będzie mijać, zrobią ten idiotyczny ruch głową jak na meczu tenisowym w Wimbledonie. Dlaczego tak jest?

- Nie potrafię ci tego wyjaśnić. Mężczyzna nie panuje nad tego rodzaju uczuciami. Ale jeśli kobieta nosi taki stanik, że przeświecają jej sutki i widać to kołysanie, albo jeśli ma na sobie obcisłe ubranie, w którym jej piersi wyglądają tak, jakby chciały wyskoczyć, to wtedy mężczyzna ma wrażenie specyficznej konspiracji pomiędzy nim a tą kobietą ponieważ on chce ich dotknąć i wie, że nie może, a ta nieznajoma kobieta wie, co on czuje.

- Cóż za impertynencka sugestia. A więc się trzęsą... Galaretka też się trzęsie, a faceci nie patrzą na nią takim maślanym wzrokiem.

- Dla każdego mężczyzny kobiece piersi są czymś tajemniczym, zakazanym. A ten kołyszący ruch jest aluzją i obietnicą; piersi zdradzają pewien sekret, przekazują zmysłową wiadomość od kobiety dla mężczyzny.

- Zawracanie głowy - zachnęła się Lili. - Stąd się biorą wszystkie kłopoty. Nie ma żadnej wiadomości. Poza momentami fizycznej miłości piersi tylko przeszkadzają,

na przykład w gimnastyce albo gdy kobieta chce wyglądać elegancko, bo ubrania lepiej leżą na płaskiej figurze. I tylko tyle znaczą dla kobiety jej piersi. Po prostu są i już, jak kolana. Żadnemu mężczyźnie nic nie obiecuję tylko dlatego, że posiadam piersi.

- Może i nie, ale mężczyźni tak to odbierają.

- To jest tylko wymówka facetów dla ich bezczelnego zachowania - prychnęła Lili. - „Sama się o to prosiła”, tak mówią, przerzucając odpowiedzialność za swoje reakcje na kobiety. Podczas gdy kobieta chce być podziwiana i wzbudzać pożądanie... ale tylko u wybranego mężczyzny.

To był typowy nowojorski wernisaż. Z kieliszkami białego wina w dłoniach intelektualistów w dżinsach i intelektualistki w workowatych kreacjach Marthy Graham lub czarnych sukienkach stali odwróceny plecami do wstrząsających fotografii walk w Sydonie plotkując na temat właściciela galerii, krytyków i autora prac. Mark Scott powiedział jeszcze mniej niż zazwyczaj, kiedy gospodarz galerii zaprowadził go od krytyka z „Village Voice” do krytyka z „New York Times’a”. Później odwrócił się do niskiej blondynki uważnie oglądającej zdjęcia przez wielkie okulary o sztykretowych oprawkach.

- Zdjęcia tej małej dziewczynki są szokujące - odezwała się Judy. - Chciałabym się zorientować, co możemy zrobić w tej sprawie w PRZEBOJEM!. Reszta fotografii także mi się podoba. Nie możemy wprawdzie zamieszczać zdjęć z placu boju, ale chętnie zobaczyłabym inne pana prace. Muszę porozmawiać o panu z naszym grafikiem.

Nagle przy jej boku pojawił się wysoki, barczysty mężczyzna o surowej twarzy z miną zdradzającą zaniepokojenie i niechęć.

- Wszystko w porządku, Judy?

- Tak, Tony, wszystko gra. Mógłbyś odebrać z szatni mój płaszcz? Judy odwróciła się z powrotem do Marka.

- Tony jest bardzo opiekuńczy, choć czasami bywa nadgorliwy. Uważa, że za ciężko pracuję, za dużo robię i że ludzie mnie wykorzystują. Obawiam się, że szczególnie go niepokoi, kiedy rozmawiam z przystojnym, młodym człowiekiem.

- Więc porozmawiajmy gdzieś, gdzie Tony nie będzie nas widział. Co pani powie na wspólną kolację?

Codzienne lekcje aerobiku prowadzone przez Tony'ego w PRZEBOJEM! okazały się bardzo udane. Judy nabrała zwyczaju zapraszania swoich przyjaciółek do udziału w ćwiczeniach, zamiast zabierać je do restauracji na lunch.

Kiedy Judy opowiadała Pogance o swoim nowym znajomym, reporterze wojennym, Lili wciągała na siebie kolejno kilka par przybrudzonych getrów, ale wszystkie były dziurawe.

- Zimmer nazywa to moim mieniem przesiedleńczym - zaśmiała się, wygładzając włóczkowe warstwy na obcisłych czarnych rajtuzach. Pochyliła się, by zawiązać tenisówki, przybierając wystudiowaną pozę tancerki z obrazu Degasa.

Poganka patrzyła z uznaniem na piękną smukłą sylwetkę młodej kobiety. Zupełnie nie przejmowała się swoim wyglądem do czasu, aż spotkała Christophera.

Po czterdziestu minutach spędzonych w sali ćwiczeń twarz Poganki nabrała odcienia głębokiej purpury, a jej płuca rozpaczliwie domagały się powietrza. Judy i Lili nawet się specjalnie nie spocily.

- Dzięki Bogu, że z końcem miesiąca wracam do domu... jeszcze trochę, a padłabym trupem - stęknęła Poganka.

Białe spodenki i podkoszulek z podwiniętymi rękawami uwydatniały imponującą muskulaturę Tony'ego. Napięte mięśnie drgały, pęczniały i ślizgały się pod skórą, kiedy demonstrował nowe ćwiczenie stojąc przed rzędem luster, które zajmowały teraz jedną ścianę sali konferencyjnej czasopisma PRZEBOJEM!.

- To ćwiczenie rozwija giętkość. - Pokazał odpowiednie ruchy.

- Stopy rozstawione, skierowane czubkami do przodu. Uginamy kolana, opuszczamy ramiona i rozluźniamy się... nie wysuwaj klatki piersiowej, Poganko. Teraz wysuwamy biodra do przodu i w prawo, do tyłu, w lewo... wykonujemy ruchy okrężne. Inne części ciała pozostają nieruchome. - Z poważną, skupioną twarzą kręcił biodrami.

Ktoś z głębi sali rzucił:

- Idź na całość, Tony. Instruktor znieruchomiał.

- Niezbyt zabawne. To podstawowe ćwiczenie przygotowujące do tańców jazzowych, spotykane także w wielu innych szkołach tańca.

- Zmarszczył brwi. - Nawet wschodnie tancerki, prezentujące klasyczny taniec brzucha, wykonują ten ruch...

Poganka przerwała mu bez namysłu:

- Nie, to nieprawda, Tony. One tak nie rzucają biodrami, to zbyt gwałtowne ruchy. One... jakby to powiedzieć... całe wirują.

Tony nie lubił, jak mu przeczo.

- Żadna dziewczyna nie mogłaby zostać królewską faworytą, gdyby nie umiała potrząsać tyłkiem, a gdyby jej się nie chciało ćwiczyć, zostałyby wychłostana przez główną nałożnicę haremu.

Poganka jeszcze raz wtrąciła z uporem:

- Nie wiem, gdzie studiowałeś filozofię Wschodu, ale źle cię nauczili. Nie ma kogoś takiego jak główna nałożnica. Prawdziwy harem rządzony jest przez matkę króla i głównego eunucha, a żadna żona nigdy nie mogła być bita, ponieważ rozlewanie królewskiej krwi jest niedopuszczalne. Nieposłuszne żony dusi się jedwabnymi sznurami.

Judy była zła, że Poganka drażni się z jej niezbyt lotnym instruktorem.

- Już dobrze, na dziś wystarczy - przerwała. - Skończmy ten bezsensowny spór i przejdźmy do ćwiczeń na wzmocnienie mięśni ud.

Dziewczęta jęknęły i zaczęły się rozciągać na podłodze. Leżąc już na gąbkowej macie, Judy mruknęła do Poganki:

- Jak nie są pedałami, to jedzą korzonki, bo uznają tylko zdrową żywność, albo są robotami z Harvard Business School, czy odbija im na punkcie filozofii Wschodu. Czasem mi się wydaje, że Mark Scott jest jedynym normalnym, przystojnym facetem w Nowym Jorku. I to skromnie mówiąc!

Nieco później, już w szatni, Judy zrobiła Pogance awanturę.

- Słuchaj, Tony nie ma twojego pochodzenia ani wykształcenia, więc nieładnie się z niego nabijać. Może i jest tylko instruktorem gimnastyki, ale za to bardzo dobrym i nie mam ochoty go stracić.

- Kiedyś był tylko instruktorem gimnastyki. - Poganka wyswobodziła się z czarnego trykotu, w którym jej nogi wydawały się o cztery cale dłuższe, a biodra o dwa węższe. - Czy zdajesz sobie sprawę z tego, Judy, że Tony powoli staje się twoim cieniem?

- Może jest trochę za bardzo przejęty swoją rolą, ale to dlatego, że był kiedyś śmieciarzem, strażnikiem w więzieniu i sprzątaczem metra. Jest po prostu wdzięczny, że może teraz pracować w ładnym, czystym biurze, wśród atrakcyjnych kobiet, które go cenią. - Judy starannie wygładziła na sobie kombinezon z jedwabnej koronki w odcieniu kawy. - Poza tym, Tony jest bardzo przydatny, bardzo silny, bardzo chętnie wykonuje dla mnie prace, do jakich kto inny by się nie nadawał. Jest do mnie wzruszająco przywiązany, ponieważ dałam mu tę szansę. Właściwie stał się...

- ...twoim osobistym ochroniarzem - dokończyła Poganka.

- Czy to źle, zważywszy na to, co się w dzisiejszych czasach wyprawia na Manhattanie? - Judy zerknęła na swe odbicie w lustrze.

- Mówiąc szczerze, jeśli już kimś jest, to raczej moim kierowcą. Nie wiedziałam, jak wygodnie jest mieć kierowcę, dopóki nie pojawił się Tony.

- Kierowcy są przydatni, ale potrafią też nieźle się dać we znaki - zauważyła Poganka naciągając czarne rajstopy. - Nigdy ich nie ma pod ręką kiedy są potrzebni, to znaczy późno wieczorem i w weekendy. Musisz ich karmić i często są złośliwi. Chcąc zapewnić sobie naprawdę niezawodny transport, należałoby zatrudnić trzech kierowców, żeby każdy pracował na ośmiogodzinnej zmianie. To byłoby super. Poganka przerwała, wspominając, co powiedział kiedyś jej dziadek, zwalniając swojego kierowcę za złodziejstwo. Pasażerowie często nie pamiętają o zasunięciu szyby pomiędzy przednim a tylnym siedzeniem i tym sposobem kierowca dowiaduje się wszystkiego o życiu swojego pracodawcy. Bo ludzie podróżujący na tylnym siedzeniu zapominają, że kierowca jest człowiekiem, a nie anonimowym, automatycznym robotem, nie bezosobowym mechanizmem w rodzaju kranu. Pogance przypomniały się słowa dziadka, który mówił, że każdy kierowca ma niebezpieczną broń: dwoje uszu.

- Bądź ostrożna - poradziła na koniec przyjaciółce.

Judy podniosła głowę znad biurka, po czym poderwała się z miejsca rozpromieniona.

- Mark! Nie spodziewałam się ciebie przed wieczorem. Za dziesięć minut mam zebranie.

Nie mówiąc ani słowa spojrział na cztery telefony ustawione na biurku, podniósł słuchawkę na najbliższym stojącym i podał ją Judy.

- Chyba to zebranie może się odbyć bez ciebie?

Judy zawahała się, kiedy wszedł za biurko, a potem poczuła, jak prawą ręką dotyka jej pleców, przygarniając ją do swego znoszonego swetra w kolorze khaki. Wzięła od niego słuchawkę.

- Anette, powiedz Tomowi, żeby zaczął zebranie beze mnie.

- Pani Jordan, mam na linii Los Angeles.

Judy zakryła dłonią mikrofon słuchawki i spojrzała stanowczo na Marka.

- Daj mi tylko dziesięć minut, dobrze?

Usiadł w jej białym skórzanym fotelu za biurkiem. Judy skupiła się na rozmowie.

- Swifty? Cześć, jak się masz? Co do ustaleń na rok siedemdziesiąty dziewiąty, to jest kilka punktów, które chciałabym z tobą omówić, zanim sfinalizujemy sprawę. - Przysunęła do siebie grubą teczkę.

Dziesięć minut później Judy, nadal zajęta omawianiem szczegółów, poczuła mocne, zwinne palce przesuwające się w górę po wewnętrznej stronie jej uda, gładzące delikatną skórę, zmierzające ku zgrabnym półkulom pośladków obleczonych cienką koronką. Judy zniechęcająco zacisnęła uda. Nie poskutkowało; zdecydowane palce nie ustępowały, wciskając się głębiej pomiędzy jej uda. Stanowczym, wręcz bolesnym ruchem rozsunęły jej nogi; nadal gładząc jedwabistą skórę, cały czas posuwając się w górę. Mark zacisnął dłonie na krągłych pośladkach Judy i lekko ścisnął, sycąc się jędmością jej ciała pod cienkim okryciem.

Niech cię diabli, Mark, i niech diabli twoje cudowne dłonie, przeklinała w duchu Judy, nachylona nad biurkiem, rozpaczliwie próbując skupić uwagę na skomplikowanych wyjaśnieniach agenta dobiegających z drugiego końca linii. Miała w tej chwili ważne sprawy na głowie. Zastanawiała się, trochę cynicznie, czy upodobanie Marka do odbywania stosunków w jej gabinecie nie wynikało przypadkiem z niechęci do faktu, że kariera zawodowa była dla niej najważniejsza... przynajmniej zgodnie z tym, co powiedziała temu oszałamiającemu mężczyźnie, który tak nieoczekiwanie pojawił się w jej życiu.

Pochyliła się nad biurkiem, żeby zrobić kolejny zapis w notatniku; zuchwałe palce przesunęły się wzdłuż szpary między pośladkami docierając do celu, osłoniętego cienką barierą jedwabiu i koronki. Ich dotyk, lekki jak muśnięcie motyla, dawał wrażenie płomieni liżących jej nogi. Choć resztkami świadomości Judy usiłowała trzymać się rozmowy, cała jej uwaga spłynęła nagle do tej niewielkiej części ciała, którą pieścił. Poczuła, jak palce Marka ostrożnie wkradają się pod cienki materiał i wchodzi między nabrzmiałe wargi. Uklęknął za nią i gorącymi, wilgotnymi ustami całował wewnętrzną stronę jej uda, z początku lekko, potem coraz bardziej gwałtownie, w miarę, jak jego palce sięgały głębiej. Rozsunęła szerzej nogi, poddając się jego dotykowi, tracąc panowanie nad drżącymi kolanami.

- Mark - szepnęła niecierpliwie, kładąc dłoń na słuchawce. - To ważna sprawa! Muszę to załatwić. - Judy wciąż próbowała skoncentrować się na rozmowie.

Mark oderwał usta od jej uda i rzekł:

- Wiem, że musisz, kochana Judy, więc nie przeszkadzaj sobie i niech każde z nas robi to, co musi. - Stał za jej plecami, rozpiął jej sukienkę, pomagając wyswobodzić ręce z rękawów. Sukienka zsunęła się na podłogę. Mark przylgnął całym ciałem do jej pleców i Judy zdała sobie sprawę, że jest nagi i w stanie pełnego pobudzenia.

Wsunął ręce pod delikatny brązowy jedwab i sięgając do jej drobnych piersi wśliznął się w nią wolno, gdy usiłowała zapisać coś w notatniku. Przycisnął ją do siebie, ściskając między palcami twarde sutki. Uwięziona pomiędzy nim a biurkiem,

trzymała słuchawkę przy jednym uchu, podczas gdy Mark zaczął pieścić językiem drugie. Do licha, przecież to, co mówił Swifty, było bardzo ważne... Sterta rzuconych niedbale na podłogę ubrań Marka zalatywała potem i dymem z papierosów, ale jego ciało miało świeży, gorący zapach. Czowała, jak porusza się w niej delikatnie, a jego biodra jednostajnym ruchem naciskają na jej pośladki. Nie była w stanie kontynuować rozmowy; po drugiej stronie linii zapadła pytająca cisza.

- Swifty, może jeszcze raz przejrzę akta i zadzwonię do ciebie?- spytała słabym głosem Judy, kiedy lewa ręka Marka zsunęła się z jej piersi i zanurzyła między nogami. - No dobrze, poddam się.

- Rzuciła słuchawkę, odwróciła się gwałtownie i zarzucając Markowi ręce na szyję pocałowała go w spieczone od słońca usta. Spleceni ze sobą opadli na fotel.

- Przez ciebie, draniu, wywalą mnie z roboty - zachichotała.

- Kłamiesz. - Wciąż tkwił w niej twardo, prawą dłoń trzymając zaciśniętą na jej piersi. - Dyrekcja wie, że przeprowadzasz własne badania. - Pocałował ją łapczywie, wsysając w usta jej język. Sterta papierów zepchnięta z biurka wylądowała na podłodze, za nimi poleciała makieta nowego numeru i popielniczka.

Później wzięli razem prysznic w utrzymanej w srebrnych odcieniach łazience przy gabinecie. Woda spływała po jego muskularnych opalonych ramionach i jej jasnej skórze. W sekretariacie personel wymieniał porozumiewawcze spojrzenia. Po dziesięciu latach spędzonych z tym nudziarzem Griffinem należała się szefowej jakaś miła odmiana.

Rozdział czwarty

2 grudnia 1978

Judy przypięła grudniową okładkę PRZEBOJEM! na ścianie gabinetu. Zdjęcie przedstawiające Judy i Lili wieńczyło serię, wspaniałych sukcesów. Na fotografii Judy była ubrana w prostą, niebieską jedwabną suknię z golfem, a Lili miała na sobie sukienkę z białej piki, z głęboko wyciętym prostokątnym dekoltem, obcisłą górą wielkimi bufiastymi rękawami i marszczonym dołem. Choć trzymały się za ręce i widać było, że łączy je serdeczna zażyłość, wyraźnie zachowały odrębność. Jak obiektyw może wychwycić coś, czego my same do końca sobie nie uświadamiamy, zastanawiała się Judy robiąc krok do tyłu, by lepiej objąć wzrokiem podwójny portret matki i córki. Czuję się bliższa Lili, bardziej związana z nią uczuciowo niż z jakąkolwiek inną osobą w życiu, myślała Judy, jest moją jedyną żyjącą krewną, a równocześnie nie znam jej, jest mi właściwie obca.

Lili weszła do gabinetu Judy w tej samej białej pikowej sukni, w której wyglądała jak hiszpańska infantka. Nie był to może najodpowiedniejszy strój na zimowy poranek na Manhattanie, ale wyglądał świetnie w czarno-białym druku na stronach gazet. Jeśli ktoś chce sprawiać wrażenie, że wręcz wyskakuje z gazety, musi ubrać się do zdjęcia na białe, na czarno lub w pasy, bo wtedy efekt jest najlepszy.

- Jesteś zdenerwowana, Lili? - spytała Judy. Lili wzruszyła ramionami.

- A cóż znaczy jeszcze jedna konferencja prasowa? Cokolwiek byśmy powiedziały, zostanie zapisane, przekręcone i wykorzystane przeciwko nam.

- Nadal uważam, że decyzja Kate była słuszna. - Judy przypomniała sobie, jak Kate, pakując bieliznę do wysłużonej walizki, radziła:

- Najlepsze, co możesz zrobić, żeby rozładować sytuację, to zwołać oficjalną konferencję prasową jeszcze zanim grudniowy numer PRZEBOJEM! znajdzie się w kioskach. Podrzucić gazetom jakiś smakowity kąsek z tej historii, to nie będą kupować niczego od paparazzi, którzy w takim razie zostawią was w spokoju. Lili przeszła przez pokój i nieśmiało cmoknęła matkę w policzek. Nigdy nie całowały się w usta.

- Mam tu coś dla ciebie - powiedziała Judy. Otworzyła szufladę biurka i wyjęła małą fotografię w srebrnej ramce. Było to czarno-białe, niewyraźne amatorskie zdjęcie roześmianego młodego mężczyzny w wełnianej czapce, z bambusowym kijem narciarskim w ręce. - To Nick, twój ojciec. - Wyciągnęła drobne, jakby dziecięce dłonie do Lili. Na każdym ze środkowych palców miała złotą obrączkę z maleńkim pączkiem róży. - Nick dał mi te obrączki, kiedy się żegnaliśmy. Miały mi przypominać, że zawsze mogę na niego liczyć. Odtąd zawsze je nosiłam. Teraz chciałabym, żebyś ty wzięła jedną z nich i pamiętała, że możesz liczyć na mnie.

- I tak na tobie polegałam - powiedziała Lili, pozwalając włożyć sobie obrączkę na szczupły palec. - Maxine była dla mnie taka miła. A Kate i Poganka bardzo mi pomogły po tej sprawie z Simonem. Dzięki nim otrząsnęłam się jakoś z bólu i upokorzenia. - Zawahała się i dodała nieśmiało: - Nigdy wcześniej nie miałam przyjaciółki, nigdy nie czułam się otoczona taką bezinteresowną opieką i miłością. Na korytarzu ktoś krzyknął, a zaraz potem do gabinetu z impetem wpadła Poganka. - Na litość boską, Judy, ochrona w tym budynku za dużo sobie pozwala. Jeden z tych drani przeszukał mi torebkę!

- Daj spokój, siadaj. Lili właśnie mówiła, jaka to ciepła i miła jest nasza przyjaźń. Poganka opadła na kremową sofę.

- Czuję, że będę potrzebowała kobiecego wsparcia, żeby się nauczyć żyć samodzielnie. Po Simonie postanowiłam, że zamieszkam sama i spróbuję stanąć na własnych nogach, bo inaczej nigdy nie poznam swoich możliwości, nie będę wiedziała, na co mnie stać.

- Patrzyła na nie kończące się rzędy anonimowych okien w przeciwnym budynku.

- Jeszcze nie wiem, kim jestem, ale mam dość wmawiania sobie, że tylko miłość nadaje sens mojemu życiu. Judy zapatrzyła się w odległy koniec pokoju.

- Poszukiwanie tożsamości to podróż, którą każdy z nas musi kiedyś odbyć.

- Oszczędź mi tych psychobredni. - Poganka podciągnęła nogi w czerwonych skórzanych butach i oparła je na sofie.

- Walka z przeciwnościami losu bardzo szybko kształtuje człowiekowi osobowość, tak szybko, że nie ma nawet czasu tego zauważyć. - Judy podeszła do drzwi.

- Nie sądzę, abyśmy obie z Lili mogły się z tobą zgodzić... Los niemal zepchnął nas na dno. Żeby utrzymać się na powierzchni, potrzebni są przyjaciele.

Tłum fotoreporterów wypełniał salę konferencyjną PRZEBOJEM!. Zaczął się krzyżowy ogień pytań:

- Jak to jest być matką, Judy? Czy widziałaś wszystkie filmy Lili? Co sądzisz o tych zdjęciach w kalendarzu?

- Kim był ojciec Lili? - spytała nieoczekiwanie dziennikarka z „New York Post”.

- Ojciec Lili był angielskim studentem, którego spotkałam w Szwajcarii - odparła bez zająknięcia Judy.

Poganka wpatrywała się w sufit. Z pewnością kłamstwo Judy miało swoje uzasadnienie, ale nie pora teraz o to pytać.

- W tej Lili nie ma nic poza zgrabną dupką i cyckami - rzucił przez ramię łysiejący fotograf, przepychając się obok Poganki do wyjścia. - Żadna z tych młodych seksownych gwiazdek mnie nie bierze. Wolę już matkę. Ma pięćdziesiątkę, a dalej świetnie wygląda.

- Pani Jordan ma czterdzieści pięć lat - szybko, odruchowo sprostowała rzeczniczka PRZEBOJEM!

- Tak, tak, jasne, dziecko urodziło dziecko.

Judy odczuła pierwszy bolesny skutek nowo odzyskanego macierzyństwa, kiedy prasa straciła zainteresowanie dla niej i skupiła się wokół Lili.

- Czy to prawda, że między panią a Simonem Pontem wszystko jest skończone? Czy wyjdzie pani za Spyrosa Stiarkoza? Czy to prawda z senatorem Ruskingtonem? Czy to prawda, że pani jest w ciąży? Czy to prawda, że umiera pani na raka piersi?

Lili uśmiechała się, robiła poważne miny, odwracała się raz w lewo, raz w prawo, krzyżowała i prostowała nogi, a wszystko dlatego, że oprócz niewątpliwie interesującego ujęcia z Judy każdy fotograf chciał mieć pojedyncze zdjęcie Lili.

- Pojęcia nie mam, po co tu przyszłam - powiedziała Poganka do Toma. - Nikt się nie interesuje ani mną, ani dotacją dla Instytutu obiecaną przez Lili.

Słuchając ich Judy nagle przyłapała kątem oka swoje odbicie w lustrze. Wyglądam na pięćdziesiątkę, pomyślała ze smutkiem. A więc to tak? Zostaje się matką aby zaraz potem przekonać się, że życie już minęło... tak po prostu, ciach i koniec. Jutro dam komuś tę nudną sukienkę. Nikt nie będzie się o mnie rozpisywał tylko dlatego, że mam piękną córkę.

Grudniowy numer PRZEBOJEM! rozchodził się wyśmienicie.

Dzień po ukazaniu się czasopisma w sprzedaży w eleganckim, wybijanym szarym zamszem gabinecie Griffina zebrali się Tom Schwartz, Judy i radca prawny wydawnictwa.

Griffin potarł nos palcem lewej ręki.

- Czy to prawda? - Oddał adwokatowi pismo z sądu.

- To nie ma znaczenia - zaczął prawnik. - W tego rodzaju sprawach prawda nie jest podstawą obrony. Senator Ruskington oskarża nas o zniesławienie.

Judy wychyliła się z obrotowego fotela.

- Nie wydaje mi się, żeby nam to powinno spędzać sen z oczu. Mieliśmy już przypadki takich oskarżeń. To się zdarza na co dzień.

Griffin skierował spojrzenie na prawnika.

- Co stanowi podstawę oskarżenia?

- W historii swego życia, przedstawionej w PRZEBOJEM!, Lili twierdzi, że senator Ruskington próbował ją zgwałcić, kiedy oboje przebywali w nadmorskiej posiadłości księżnej Santigosta w Hiszpanii.

Griffin zrobił zdziwioną minę. Tom pochylił się ku niemu z wyjaśnieniem.

- Przytoczono słowa Lili, mówiącej, że senator wyglądał jak brzydki stary zółw, a zachowywał się jak kozioł nafaszerowany LSD.

Judy uśmiechnęła się pod nosem.

- On naprawdę wygląda jak zółw, a wszystkie prostytutki w Waszyngtonie potwierdzają, że jest starym kozłem. Nasze czytelniczki uwielbiają, kiedy te świętoszkowate dranie dostają za swoje.

- Nie chroni nas Pierwsza Poprawka? Prawnik odchrząknął z zakłopotaniem.

- Nie w tym przypadku, ponieważ senator oskarża panią Jordan o złośliwość.

Twierdzi, że czasopismo PRZEBOJEM! wielokrotnie atakowało go za to, że sprzeciwia się zatwierdzeniu w tym stanie przepisów o równouprawnieniu.

- Owszem, sprzeciwiał się - przyznała Judy. - I oczywiście pisaliśmy o tym.

Parokrotnie krytykowaliśmy senatora Ruskingtona, bo mieliśmy ku temu istotne powody.

- Ile od nas żąda? - spytał trzeźwo Griffin.

- Sześćdziesiąt milionów dolarów - odparł Tom. - Co w praktyce oznacza około pięciu, ale wystarczy, żeby w tej chwili zrujnować czasopismo. Niestety, obecnie nie jesteśmy w najlepszej kondycji finansowej.

Griffin wyjął notatnik oprawiony w krokodylową skórę i coś w nim zapisał.

- W głowie mi się nie mieści - wybuchnęła Judy - żeby jakiś rozpustny stary senator miał nas wykończyć za to, że piszemy prawdę. Tylko dlatego, że ma sprytnego adwokata!

- Judy, wiesz doskonale, że w prawie nie chodzi o prawdę czy sprawiedliwość. -

Griffin był poirytowany jej naiwnością. - Chodzi o przestrzeganie pewnych ustalonych reguł.

- Może by się zniechęcił i dał spokój, gdybyśmy mu kazali udowodnić zarzuty - wtrącił Tom.

- Senator Ruskington był moim dobrym znajomym w Waszyngtonie - powiedział wolno Griffin. - Zakładam, że Lili potwierdzi swoje zarzuty?

Judy rozejrzała się po poważnych minach otaczających ją ludzi.

- Oczywiście, że potwierdzi! - Nagle przestała być tego pewna.

Dwa dni później Judy szybko zmierzała Pięćdziesiątą Siódmą Ulicą w stronę biura Griffina. Zaskakujące było to, że zażyczył sobie oficjalnego spotkania, skoro mieli tego wieczoru zjeść razem kolację. Zresztą, całe zachowanie Griffina było ostatnio dziwne. A może cały czas był taki, tylko ona patrzyła na niego przez różowe okulary, zastanawiała się czekając na zmianę świateł na Madison. Niewykluczone, że to była po prostu męska reakcja na odrzucenie. Po dziesięciu latach wyjaśniania jej, przynajmniej raz w miesiącu, dlaczego się z nią nie ożeni, Griffin ze zdumieniem i złością przyjął tłumaczenie, dlaczego Judy nie chce wyjść za niego.

Od tego czasu zachowywał się dziwnie, szczególnie gdy chodziło o Lili, której nigdy nie nazywał po imieniu, lecz mówił o niej z przekąsem „twoja córka”. Na przykład kiedyś powiedział:

- Zdaje się, że ten pedał, chłopak twojej córki, wyjechał.

Judy czuła, że gdyby nie nowa, trzymana dotąd w sekrecie podniecająca znajomość, jak zwykle łamałaby sobie głowę, czym zawiniła przed Griffinem. Tymczasem, ilekroć Mark zaproponował randkę, przestawało jej przeszkadzać, że Griffin odwołał spotkanie w ostatniej chwili. Gdy Mark się śmiał, przestawało jej zależeć na zdaniu Griffina. Czasami zastanawiała się, czy Griffin naprawdę zdobyłby się na ustalenie daty ślubu, nie mówiąc już o złożeniu przysięgi wierności na całe życie. Jediną cechą jaka łączyła obu mężczyzn, był poważny stosunek do pracy, ale w przeciwieństwie do Griffina, który ani na chwilę nie zapominał o służbowych obowiązkach, w towarzystwie Judy Mark koncentrował się wyłącznie na niej. Najbardziej ze wszystkiego cieszyło Judy coraz silniejsze poczucie wolności, odkąd nie musiała się już podporządkowywać regułom małżeńskiego trójkąta. Tym bardziej więc nie czuła się winna spędzając czas z Markiem. No, powiedzmy, nie czuła się specjalnie winna. Nie na tyle winna, żeby przestać się z nim widywać, przestać go dotykać i pozwalać mu dotykać siebie... Judy owinęła się mocniej prochowcem. Przyszło jej do głowy, że pogoda jest już właściwie odpowiednia na włożenie nowego futra z rysia, kiedy poczuła zapach gorących kasztanów podawanych w budce na rogu Piątej.

Ku swemu zdziwieniu Judy zastała w gabinecie Griffina dwóch prawników.

Po długim wstępie na temat ogólnego wizerunku imperium wydawniczego oraz linii programowej trzymanej przez PRZEBOJEM! Griffin umknął wzrokiem przed spojrzeniem Judy, kiedy jeden z prawników, nachylając się do niej, zaczął:

- Dlatego też, Judy, musisz zrozumieć, że choć robimy to z wielką niechęcią jednak w świetle wieloletnich kontaktów naszej korporacji z senatorem Ruskingtonem...

- Jakich znowu długoletnich kontaktów? - nie wytrzymała.

- To oczywiście, że nie chwalimy się na łamach naszymi powiązaniem z Waszyngtonem, ale powinnaś wiedzieć, że senator bierze pod uwagę naszą pozycję przy rozdzielaniu kontyngentów importowanej celulozy.

Judy zrozumiała ponieważ, że istotnie powinna była się tego domyślić, zrozumiała też, że wydanie nie straciłoby na atrakcyjności, gdyby wyrzuciła ten fatalny fragment o senatorze Ruskingtonie.

- Ponieważ nasza korporacja pragnie się zdystansować od tego wydawnictwa, postanowiono sprzedać nasze pięćdziesiąt procent udziałów firmie Creative Magazines.

- Za jaką sumę? - Oczywiście Judy błyszczały złowrogo zza szklanych okularów. Uświadomiła sobie, że tak właśnie wygląda rewanż Griffina za odrzucone oświadczenia.

- Dwa dziesięć. Dziesięć powyżej rynkowej ceny.

- Możemy wam zaoferować dwa dwadzieścia. - Judy i Tom posiadali po dwadzieścia cztery procent akcji PRZEBOJEM!, pozostałe dwa procent znajdowało się w ręku Kate.

Dwa trzydzieści to zwariowana cena. - Tom był doświadczonym graczem giełdowym.
- Nie rób z siebie idiotki na użytek tego szczura. - Tom wychylił się z biurowego fotela. - Mój Boże, gdyby tu była Kate, ona by ci przemówiła do rozsądku. Wiem, że mieliśmy niezłe zyski w tym roku, ale nie trzymamy ich przecież w skarpetce. Wszystko jest zainwestowane, a całą gotówkę będziemy potrzebowali na proces z tym draniem Ruskingtonem.

Judy jeszcze nie widziała Toma tak zmartwionego. Czowała, że wspólnik coś w sobie dusi. Domyśliła się, o co chodzi.

- Wiem, o czym myślisz, Tom. Myślisz, że gdyby nie moja, lepiej nie mówić jaka, córka Lili, nie znaleźlibyśmy się w kłopotach.

Nie odpowiedział, więc Judy dodała ponuro:

- Ja chyba też tak myślę. Ale wydaje mi się, że nie ma na świecie rodzica, który by czasem tak nie myślał.

- Dzieci! - westchnął Tom. - Człowiek ma nadzieję, że kiedy dorosną, problemy się skończą... ale właśnie wtedy zaczynają się naprawdę poważne.

Tom poklepał Judy po ramieniu.

- Nie ma sensu rozważać tego, co się stało, i szukać winnego. Powinniśmy skupić uwagę na tym, jak się wydostać z dołka. Choć nie sądzę, żeby nam się tym razem udało. Nawet tobie nie uda się wykręcić.

Judy pomyślała, że znaleźli się w jednej z tych sytuacji, kiedy oboje potrzebują moralnego wsparcia, a żadne z nich nie jest na tyle silne, by udzielić go drugiej stronie. Próbowała nadać swemu głosowi optymistyczne brzmienie.

- Czasami zdarzają się cuda.

- Na przykład jakie?

- Och, nie wiem, Tom. Daj mi się zastanowić. Może porwałbyś Lili za dziesięć milionów dolarów, a potem dał mi pieniądze?

Roześmiał się.

- Wybacz, ale nie wiedziałbym nawet, jak się do tego zabrać.

- Mięczak! Jeśli nie mogę się oprzeć na tobie, to na kogo mogę liczyć?

Widząc, że podnosi słuchawkę telefonu, Tom spytał:

- Do kogo dzwonisz?

- Do Curtisa Halifaxa.

- Nie rozumiem, dlaczego Curtis miałby nas poprzeć. Wiem, że jest twoją dawną sympatią, ale nie możesz wymagać, by ten biedny safandula był ciągle Świętym Mikołajem.

Judy rozparła się wygodnie w skórzanym fotelu, przesłała Tomowi promienny uśmiech i zaczęła wykręcać numer.

Wynoś się stąd! - Tony kopnął fotoreportera w brzuch, odrzucając go od limuzyny. Mężczyzna upadł na jezdnię miotając przekleństwa w kierunku Rolls-Royce'a coraz szybciej oddalającego się od lotniska. - Ci faceci są naprawdę namolni - mruknął ze zdumieniem Tony. Samochód jechał do siedziby czasopisma PRZEBOJEM!

Lili sięgnęła po radiotelefon i zadzwoniła do biura redakcji.

- Judy, to okropne! - zawołała. Telefony w limuzynach mają tę dziwną właściwość, że ma się wrażenie rozmowy z zaświatami. - Po prostu nie mogliśmy się ruszyć. Gdyby nie Tony, rozerwaliby mnie na kawałki. Musiałam się zamknąć w szatni i wyjść przez okno, żeby się stamtąd wydostać.

- Czy Poganka mimo to odleciała?

- Tak. Miałaś rację, to był szalony pomysł, żeby ją odprowadzała. Ci fotoreporterzy mnie przerażają. Chyba lepiej będzie, jak wrócę do Europy...

- Nie przejmuj się, Lili. - Głos Judy brzmiał uspokajająco. - Zorganizowałam dla ciebie kryjówkę, dopóki cała ta wrzawa nie ucichnie. Możesz spędzić parę dni w mieszkaniu Marka w Village. Wyślę kogoś do hotelu po twoje rzeczy. Tony dopilnuje, żebyś tam bezpiecznie dotarła, a ja przyjdę później.

Białe poddasze zajmowane przez Marka w Greenwich Village zostało wyposażone przez personel Judy z prędkością i staraniem, które rozczuliły Lili, zwłaszcza kiedy dostrzegła wazon z białymi liliami, świeżo posłane koronkową bielizną łóżko, bogaty zapas olejków zapachowych i płynów do kąpieli w małej skromnej łazience, nie mówiąc już o imponującym wyborze kosmetyków dostarczonych przez stylistkę z PRZEBOJEM!

Tony ostentacyjnie sprawdzał zamknięcie okien w sypialni, zadowolony z nowej roli ochroniarza sławnej gwiazdy. Na kominku płonęły pachnące jałowcem gałęzie, a za przeszkloną ścianą wychodzącą na ogród na dachu widać było drobne, lecz gęsto padające płatki pierwszego śniegu. Z oddali dochodziły stłumione odgłosy miasta.

Lili miała wrażenie, że znajduje się w ciepłym białym gniazdku, a wszelkie niebezpieczeństwa zostały gdzieś daleko.

Wirujący śnieg opadał pomiędzy wysokie budynki, jakby gdzieś w górze rozpruła się wielka poduszka. Lili czuła się bezpiecznie. Odświeżona ciepłą kąpielą w białej obszytej koronką kamizelce i szortach leżała zwinięta w kłębek przed kominkiem, mrugając od gorąca jak drzemiący kot. Po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin miała spokojny umysł i mogła się odprężyć, nic więc dziwnego, że nie usłyszała serii cichych zgrzytnięć otwieranego zamka.

Mark stanął w progu jak wryty. Twarz zeszywniała mu z zimna, a po szyi ciekły strużki wody z topniejącego śniegu. Widział wewnątrz pokoju odbite w lustrzanej ścianie, która biegła wzdłuż całego poddasza, łącząc różne pomieszczenia i poziomy. Przed własnym kominkiem zobaczył jakieś tajemnicze stworzenie, ni to kobietę, ni kota, grzejące się przy ogniu. Domyślił się, że musi to być córka Judy, jego chwilowy gość... ta słynna Lili.

Przez chwilę stał i przyglądał się jej, zdumiony siłą swego nagle obudzonego apetytu. Lili usłyszała stuk kładzionego na podłodze sprzętu i poderwała się wystraszona.

- Mam nadzieję, że ty jesteś Mark - odezwała się z nieśmiałym uśmiechem.

Mark poczuł w środku ssanie, jakby żołądek osunął mu się o kilka piętér w dół.

- Jest w domu coś do picia? - Energicznie ruszył do kuchni, bojąc się, że jeśli nie straci z oczu tej egzotycznej zjawy, to może się na nią rzucić. Podwładni Judy napełnili lodówkę owocami, sałatkami, serem i kilkoma butelkami szampana z Chazalle.

- Proszę. - Mark odwrócił się do Lili, która pospiesznie wciągała na siebie sweter i dżinsy. Podał jej szampana.

Lili z uśmiechem przyjęła kieliszek.

- Masz zamarznęte rzęsy.

Mark położył na tacy puszkę kawioru i bochenek żytniego chleba, po czym zaniósł tacę przed kominek.

- Jak poznałeś moją matkę? - Ostrymi, drobnymi ząbkami Lili oderwała kawałek chleba obłożony kawiozem. Podobała jej się nuta zaborczości brzmiąca w słowach „moja matka”.

- Nie chce mi się wierzyć, że znam ją zaledwie od paru tygodni. Jeszcze nie spotkałem nikogo takiego jak ona. Zakochałem się od pierwszego wejrzenia - mówił Mark. - Spotkaliśmy się na wernisażu wystawy moich zdjęć z Sydonii. Wyglądała jak żywy, ruchliwy mały terier, kiedy tak z błyszczącymi oczyma przebiegała od jednego zdjęcia do drugiego, podczas gdy cała reszta zebranych jedynie popijała i plotkowała. Spodobał mi się jej entuzjizm. Wykorzystuje niektóre z moich prac do ilustrowania artykułów o kobietach--przywódcach.

Przez cały czas potrzebny do opróżnienia sporej puszki kawioru Mark bez przerwy mówił o Judy, a jeśli nawet chwilami rozmowa schodziła na inne tematy, konsekwentnie wracał do matki Lili i problemów, jakie mogą wyniknąć dla ich związku z powodu wyjazdów Marka do różnych części świata, gdzie toczą się wojny.

- Z drugiej strony tak będzie łatwiej, niż gdybym cały czas kręcił się w pobliżu - stwierdził, przełykając ostatnie drobinki kawioru. - Mam szczęście, że Judy odpowiada taki luźny związek tak samo jak mnie. Kiedy nie pracuję, jestem niezdolny; brak aktywności rozstraja mnie nerwowo.

- Dlaczego zostałeś reporterem wojennym?

- Bo nie jestem żołnierzem. - Uśmiechnął się, oświetlony ogniem z kominka. - Pochodzę z wojskowej rodziny. Mój ojciec był pułkownikiem piechoty i dla mnie planowali taką samą przyszłość.

- Więc dlaczego nie jesteś w wojsku? - Lili naląła sobie jeszcze jeden kieliszek szampana.

- Gdybyś dorastała przy moim tacie, dobrze byś się zastanowiła przed wyborem wojskowej kariery. Był w Korei od samego początku, stracił dwa palce u jednej nogi od odmrożeń, ale i tak miał szczęście, to była jego jedyna rana... dopóki się nie zaczęli wycofywać. Młody oficer zwariował w tym zamieszaniu i postrzelił siedmiu ludzi, w tym mojego ojca. Wyszedł ze śpiączki z uszkodzeniem mózgu i od tamtej pory był jak pięcioletnie dziecko. Właściwie innego go nie pamiętam. - Mark pomyślał o wysokiej, przygarbionej sylwetce, krążącej jak duch po przestronnym domu w San Francisco, o niewypowiedzianym smutku matki. - Wojsko zniszczyło mojego ojca, a ja nie pochwalam wojny. Dlatego nie jestem w wojsku.

- Ale to, co robisz, w jakiś sposób czyni wojnę atrakcyjną?

- Nieprawda. Nie ma nic atrakcyjnego w zabijaniu ludzi. Mam nadzieję, że moje zdjęcia oddają to, co w wojnie najgorsze.

Oboje patrzyli w ogień nie odzywając się do siebie.

- Chyba czuję się tak, jakbym miała brata - wyznała Lili. - Wypijmy za braterską miłość.

Lili uświadomiła sobie, że po raz pierwszy w życiu spędziła przyjemne dwie godziny z atrakcyjnym mężczyzną nie obawiając się z jego strony erotycznych zapędów. Na widocznym przez szklaną ścianę dachu zaspą śniegu stawała się coraz grubsza. Zwykle milczący Mark przyłapał się na tym, że paple, co mu tylko ślina przyniesie na język, by wypełnić ciszę, która mogłaby zdradzić jego rosnące pożądanie.

Rozdział piaty

Grudzień 1978

Tom stanął w drzwiach gabinetu Judy.

- Pierwszy list od Kate! - Pomachał lotniczą kopertą. - Pisz, że jest tak, jak na zachodnim brzegu Jordanu: panuje wymuszony pokój. To sposób na inwazję bez inwazji. Tysiące ludzi z górskich plemion zostało wymordowanych, wtrąconych do więzienia bez sądu lub torturowanych. A Kate ma biegunkę.

Judy podniosła głowę znad biurka.

- Akurat takie wakacje były jej potrzebne. - Powróciła do przerwanej rozmowy telefonicznej. - Maxine, oczywiście, że przyjadę. Wymyśl jakiś pretekst dla mojego przybycia, pozwól, żeby sprawa przycichła na parę tygodni, a ja przylecę na weekend w Nowy Rok. Przez wzloty i upadki, pamiętasz?

- Jesteś szalona, Judy. - Tom patrzył na nią z niedowierzaniem, kiedy odłożyła słuchawkę. - Nie możesz teraz wyjechać do Francji, tkwimy po uszy w kłopotach. - Nie będzie mnie tylko przez weekend - uspokoiła go Judy. - Lepiej mi doradz, co powiedzieć temu genialnemu adwokatowi, który rzuci na kolana senatora Ruskingtona?

- Judy, wolałbym, żebyś nie robiła sobie z tego żartów. - Tom był wyczerpany. - Koszty rosną; można by pomyśleć, że ci faceci pisują do siebie na złożonym papierze. Nasze fundusze są na wyczerpaniu, a jeśli sprawa trafi do sądu, co proszę Boga, by nie nastąpiło, i Ruskington wygra, będziemy kompletnie zrujnowani.

- Obiecuj mi, że kiedy nadejdzie ten dzień, chwycisz mnie za rękę i oboje zgodnie rzucimy się z pięćdziesiątego piętra. - Judy otworzyła teczkę z aktami.

- Umowa stoi! - Tom położył jej rękę na ramieniu. - Słuchaj, chcę, żebyś pamiętała, że jeśli sprawy przyjmą zły obrót, wspólnie będziemy się tym martwić. Będę z tobą do końca.

- Dzięki, Tom. A teraz mi powiedz, czego potrzebują prawnicy?

- Musimy udowodnić, że ty osobiście nie miałaś złych zamiarów wobec senatora.

Musimy pokazać, że nie masz wobec niego żadnych uprzedzeń. Nie będzie to łatwe, Judy, bo to nie rozstający się z Biblią baptysta, największa szowinistyczna świnia na ziemi, a do tego twoja córka twierdzi, że próbował ją zgwałcić. Ma więc większość tych cech, których nienawidzisz u ludzi.

- Skoro senator jest bigotem i gwałcicielem, to chyba mam do niego rozsądny stosunek? - zdziwiła się Judy. - On z tym nie pójdzie do sądu, Tom. Po tego rodzaju skandalu byłby skończony w Waszyngtonie.

- Co niby ma do stracenia? Skandal już wybuchnął, a on chce się wybielić. To na nas spadną kłopoty, Judy... takie zamieszanie nie wpłynie dobrze na nakład.

Judy podniosła się z biurka, gotowa rozwiać wątpliwości Toma i dodać mu otuchy.

- Co się z tobą dzieje, Tom? - zaczęła. - Takie pesymistyczne gadanie jest do ciebie niepodobne. Wiesz przecież, że obojętne, czy o kimś dobrze piszą, czy źle, byle w ogóle pisali. Nie stracimy czytelników walcząc w tej sprawie. Wszyscy będą po naszej stronie.

Tom opuścił pastelowy gabinet Judy z przekonaniem, że nikt nie zdoła jej uświadomić, jak poważna jest sytuacja. Jeszcze bardziej niespokojny niż przed wejściem, zabrał dane dotyczące sprzedaży za ostami kwartał i nie pokazał ich Judy, ponieważ świadczyły o wyraźnym spadku popularności. Czyżby osady Judy, przez całe lata szybkie i celne jak zdalnie sterowane rakiety, tym razem zawiodły? Mijając salę konferencyjną zauważył grupkę personelu redakcyjnego oczekującą na codzienne zajęcia z gimnastyki. Judy nigdy nie interesowała się sportem, nie lubiła chodzić tam, gdzie mogła dojechać, więc tym bardziej dziwił jej gorliwy udział, kiedy tylko miała czas, w ćwiczeniach prowadzonych przez Tony'ego. Może w końcu zaczęła odczuwać brzemień wieku?

Godzinę później Judy wetknęła głowę przez drzwi łazienki Lili.

- Wiedziałam, że tu cię znajdę. Mogę wejść?

Lili była niemal po czubak nosa zanurzona w różowej pianie. Zawsze, kiedy potrzebowała pociechy i poczucia bezpieczeństwa, szukała ich w gorącej kąpieli.

- Cały świat oglądał mnie już w wannie, więc nie widzę powodu, żeby moja własna matka nie mogła tego robić - odparła Lili. - Co u ciebie słychać?

- Ten senator nie daje za wygraną. - Judy zastanawiała się, czy powinna przedstawić Lili pełny obraz sytuacji, zagrażającej istnieniu PRZEBOJEM! w związku z niefortunnym wywiadem.

Lili spojrzała na matkę ponad brzegiem wanny.

- Czekałam na odpowiedni moment, żeby ci to powiedzieć, ale wygląda na to, że taki nie nadejdzie.

- Żeby co powiedzieć?

- Przykro mi, że to z mojego powodu macie ten proces.

- Powiedziałaś prawdę, Lili. My podjęliśmy ryzyko. Twoja historia w PRZEBOJEM! zwiększyła nakład. Nie przewidzieliśmy takiej reakcji ze strony senatora i stąd nasze kłopoty, to wszystko. Nie tracimy nadziei, że pójdzie na ugodę.

- Hmm... - prychnęła Lili. - Nie powinno być z nim problemów. Powiedziałaś ci, że podtrzymam wszystko, co powiedziałam i co wy wydrukowaliście. Nie będzie miał ochoty spotkać się ze mną w sądzie. - Lili sięgnęła po szampon. - Nie będzie chciał, żeby jego wyborcy się dowiedzieli, że facet, którego umieścili w Waszyngtonie, jest lubieżnym starym kozłem. - Zanurzyła głowę w pachnącej goździkami wodzie, a po chwili wynurzyła się ociekająca wodą, z otwartymi szeroko oczyma i gładko przylegającymi włosami, podobna do foki.

- Czy on naprawdę był taki wstrętny, jak go opisałaś? - spytała Judy po sekundzie wahania.

- Zależy, co dla kogo jest wstętnie - odrzekła wolno Lili. Przypomniała sobie, jak parę miesięcy po śmierci Jo gościła u księżnej Santigosta w jej nadmorskiej rezydencji na wybrzeżu Malagi. Lili wciąż przeżywała żal po stracie Jo Stiarkoza i Zimmer doradził jej, by się trochę rozerwała przyjmując jedno z licznych zaproszeń, jakie zwykle otrzymują sławne osobistości.

Dwa pierwsze dni pobytu były rzeczywiście udane. Pozostali goście w liczbie dwudziestu dwóch osób byli głównie znajomymi księcia, który nie był specjalnie bogaty i uzupełniał dochody służąc jako pośrednik, ułatwiający swoim zleceniodawcom atrakcyjne kontakty z ewentualnymi partnerami do interesów. Towarzystwo pływało, ślizgało się na nartach wodnych, niektórzy latali na spadochronie nad wodą. Ponieważ na tę ostatnią rozrywkę zdecydowała się nawet żona pewnego jubilera, mimo że była babcią, a tego rodzaju wyczyn miał być pierwszym w jej życiu, Lili także uznała, że to nic trudnego i pozwoliła się zapiąć w spadochronową uprząż. Wzięła solidny rozbieg przez całą długość pomostu i nagle znalazła się w powietrzu, piętnaście jardów nad małą motorówką która ją ciągnęła. Spojrzała w dół, poczuła ucisk w żołądku i przestraszyła się, że zaraz zwymiotuje. Wiedziała, że cierpi na zaburzenia równowagi, więc nigdy nie stawała blisko balustrady balkonu czy mostu, ale nie odczuwała żadnych dolegliwości w samolocie, toteż nie przyszło jej do głowy, że coś takiego może się zdarzyć. Dziesięciominutowy lot był torturą, ale wreszcie motorówka dobiła do pomostu i Lili opadła na błękitne wody Morza Śródziemnego. Pomocnik z łodzi pomógł jej zdjąć szelki i zajął się zbieraniem dryfującej czaszy. Czując nieopisaną ulgę Lili unosiła się na wodzie z rozpostartymi ramionami, zbyt słaba, by płynąć do brzegu. W tym właśnie momencie zbliżył się do niej łysiejący senator z Ameryki, którego Lili prawie nie знаła.

- Niesamowite wrażenie, co? - odezwał się niespodziewanie. - Dobrze się czujesz, moja droga? - dodał, widząc niewyraźną minę Lili.

- Tak... Nie... Sama nie wiem... proszę... - Głowa Lili znalazła się pod falą morską woda zalała jej usta. - Może mi pan po... pomóc dopłynąć do brzegu?

- Obejmij mnie rękami, moja droga. - Lili posłusznie wykonała polecenie i poczuła, że przylega do niego całym ciałem; następnie mężczyzna leżał na niej w wodzie. Jak przez mgłę Lili pomyślała, że przecież nie tak to robią ratownicy. Po chwili, która jej się wydawała wiecznością, mężczyzna sapnął:

- Chyba lepiej nam pójdzie, jak mnie puścisz i będę cię trzymał od tyłu.

Ratownicy zwykle pływają na plecach, odpychając się tylko nogami, ponieważ obie ręce mają zajęte - jedną obejmują ofiarę przez obojczyk, a drugą podtrzymują jej podbródek nad poziomem wody. Senator stosował nieco inną metodę ratowniczą. Nie różniła się od typowej sposobem płynięcia i używania nóg, ale trzymał Lili ułożoną na własnym ciele, zaciskając mocno dłonie na jej piersiach.

Znalazłszy się wreszcie na brzegu, Lili położyła się w cieniu na odpoczynek. Po godzinie, doszedłszy do siebie, poszła podziękować senatorowi Ruskingtonowi za pomoc i postanowiła położyć się wcześniej spać. Uznała incydent za zakończony. Obudziło ją dziwne wrażenie. Otworzyła oczy. Przez żaluzje wpadały do pokoju srebrne smugi księżycowego światła. Wciąż oszołomiona snem Lili zadrżała;

stwierdziła, że kołdra została ściągnięta z łóżka. Poczwała w ciele dziwne ciepło, jakiego nie zaznała od czasu śmierci Jo. Budziła się powoli, stopniowo odzyskując świadomość. Koszula nocna nie zakrywała dolnej połowy jej ciała. Lili czuła, że coś dziwnego dzieje się między jej nogami. Wrażenie przypominało ciepły dotyk języka cielaka liżącego rękę. Dotarło do niej, że przy łóżku klęczy jakiś mężczyzna i rozchylając palcami jej krocze, liże jej lechtaczkę. W momencie, kiedy zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, jego ręka wsunęła się pod nocną koszulę i dotknęła jej piersi. Brodawka stwardniała i uniosła się w odruchowej reakcji na pobudzenie. Lili krzyknęła z przestachu i próbowała usiąść, ale ręka na piersi pchnęła ją mocno z powrotem na poduszkę. Mężczyzna nagle znalazł się na niej całym ciałem. Był nagi, czuła na brzuchu jego sztywny członek. Krzyknęła jeszcze raz, ale zamknął jej usta pocałunkiem.

Nie mogę uwierzyć... to jakiś koszmarny sen... nie, to nie jest... to pewnie włamywacz... Mężczyzna oderwał wargi od jej ust i kiedy odchylił się trochę, gotowy w nią wejść, cały czas boleśnie uciskając jej piersi, Lili rozpoznała jego twarz w świetle księżyca.

- Sprawiało ci przyjemność, jak trzymałem cię w wodzie, co? - dyszał. - Nie powstrzymywałaś mnie, chciałaś tego, ty mała dziwko.

To był ten łysiejący amerykański senator, który pomagał jej dopłynąć do brzegu.

Lili krzyknęła głośno. Równocześnie sięgnęła do jego jąder widocznych pod sterzącym członkiem i przekręciła dłonią z całej siły. Mężczyzna zacharczał, wstrzymał oddech i skręcił się z bólu. Lili ucieszyła się, że zapamiętała ten stary, stosowany przez prostytutki sposób obrony.

Udało jej się wysunąć spod tłustego, bezwładnego ciała. Dopadła drzwi, pchnęła je i pobiegła szerokim korytarzem do bocznych schodów dla służby. Pokonała trzy podesty i rzuciła się do drzwi na samym dole. Znalazła się w holu wejściowym, skąpanym teraz w księżycowej poświacie. Weszła do łazienki i przesiadła tam resztę nocy trzęsąc się z zimna, póki nie dobiegły jej odgłosy porannej krzątający służących. Dopiero wtedy wróciła do swojej sypialni.

Trudno było uwierzyć, że to okropne wydarzenie w ogóle miało miejsce. Łóżko było wprawdzie rozkopane, lecz poza tym nic nie wskazywało... Lili podbiegła do skrawka granatowego jedwabiu w czerwone kropki wystającego spod łóżka. Był to pasek od męskiego szlafroka. Lili zamknęła drzwi na klucz, sięgnęła po telefon stojący przy łóżku i poprosiła o połączenie z księżną... jak tylko Jej Książęca Mość się obudzi. Dodała, że sprawa jest niecierpiąca zwłoki.

Po upływie dwóch godzin pulchna księżna zjawiała się w sypialni Lili w haftowanym jasnopopielatym peniuarze, którego wykończenie musiało zabrać chińskim szwaczkom całe miesiące.

Lili wylała przed nią swe żale, okazała dowód rzeczowy w postaci paska i na koniec spojrziała z nadzieją w okrągłe oblicze gospodyni, szukając w nim współczucia.

Trzymając w rękach pasek księżna powiedziała:

- Moja droga, senator Ruskington jest bardzo wpływowym człowiekiem, mój mąż ma nadzieję załatwić z nim... pewne sprawy. Cały ten pobyt został właściwie zorganizowany na jego cześć. Przypuszczam, że miałaś po prostu zły sen. A jeśli

nawet to nie był sen, moja droga, to cóż, ostatecznie nie przytrafiło ci się nic... co nie zdarzało ci się wcześniej. Pewien dżentelmen był oszołomiony twoją urodą a przy tym może wypił trochę za dużo. Nie sądzę, żeby rano pamiętał to, co według ciebie miało miejsce. Wszystko sprowadzi się do jego słów przeciwko twoim. Może nawet twierdzić, że zaprosiłaś go do swojego pokoju, a w takim przypadku czegoś może dowodzić jakiś pasek od szlafroka?

Księżna wstała i uprzejmym, lecz chłodnym tonem zwróciła się do rozgniewanej Lili, która nie mogła uwierzyć własnym uszom:

- Wydaje mi się, moja droga, że najlepiej dla wszystkich będzie, jeśli natychmiast wyjedziesz.

Gwałt nigdy nie jest przyjemny - powiedziała Judy, podając wychodzącej z wanny Lili frotowy płaszcz kąpielowy. - Zwłaszcza jeśli wszyscy uważają, że sama się o niego prosiłaś.

Prawie pięć i pół mili, zauważyła Debra Halifax pedałując niestrudzenie. Mimo iż dobiegała czterdziestki, miała figurę dwunastoletniej dziewczynki. Przez jaskraworóżowy kombinezon przeświecały wszystkie zębra, kiedy pochyliła się nad podświetlanym licznikiem wbudowanym w kierownicę roweru. Na specjalnej klawiaturze można było wybierać wcześniej zaprogramowane „przejażdżki”, od lekkiej pięciominutowej wycieczki po najtrudniejszy półgodzinny program, który według jej męża przypominał pokonywanie na rowerze Gór Skalistych.

Chociaż zegar w sali gimnastycznej wskazywał ósmą trzydzieści rano, Debra już drugi raz tego dnia przerabiała zwykły dzienny zestaw ćwiczeń, kiedy w progu stanął jej mąż, Curtis. Miał na sobie szyty na miarę szary garnitur, jedwabną białą koszulę, a w ręce trzymał aktówkę z błyszczącej skóry. Jest coś obscenicznego w kobiecie, która sama umyślnie się wyniszcza, pomyślał Curtis, patrząc na strużki potu przecinające kostium w miejscu, gdzie kiedyś jego żona miała biust. Cały obecny wygląd Debry stanowił żalostną karykaturę uroczej istotki, z którą się ożenił: jej głowa przybrała małpi kształt, na twarzy pojawiły się głębokie zmarszczki, a na skroniach widać było wyraźnie zarys kości czaszki. Curtis rzucił okiem na licznik i stwierdził, że jego żona po raz drugi tego ranka pokonuje Góry Skaliste.

- Debra, proszę cię...

- Nie mów ani słowa więcej, bo i tak nie posłucham.

- Padniesz w końcu.

- Mowy nie ma. Robię to dla zdrowia.

- Z pewnością nie ma takiej potrzeby...

- Wiesz, jaką mam przemianę materii. Wystarczy, że spojrzę na liść sałaty, a już przybieram na wadze.

Curtis zrezygnował z dalszych perswazji.

- Zobaczymy się wieczorem u Peabodych, kochanie. - Pożegnał się całując ją w czubek głowy. Ani na moment nie przestała pedałować.

Już w samochodzie Curtis zastanawiał się, co mógłby zrobić, żeby nadać jakiś sens życiu swojej żony. Wyciągnął rękę, żeby uchylić okno, ale ze złością przypomniał

sobie, że nie wolno mu tego robić. Każdego dnia Curtis wyruszał z Chestnut Hill do banku o innej godzinie. Hawkins, jego kierowca, podjeżdżał pod dom tylko na telefoniczne wezwanie szefa służby, a do tego obaj, Curtis i Hawkins, nosili płaszcze z kuloodporną warstwą pod podszewką, najnowszy substytut kuloodpornej kamizelki. Jeszcze bardziej niż Curtis nowym systemem bezpieczeństwa wyczerpany był jego personel. Musiał zebrać ich razem i wyjaśnić, że firma ubezpieczeniowa uparła się na zastosowanie programu pełnego zabezpieczenia osób na kierowniczych stanowiskach, a on, jako prezes banku, był zmuszony uczynić zadość jej żądaniom.

Przybywszy do banku, Curtis, któremu nie wolno już było korzystać z osobistej, wykładanej mahoniem windy, dołączył do swoich pracowników w publicznej kabinie. Wsiadł na czterdziestym ósmym piętrze i długim korytarzem, pomiędzy rzędami wczesnoamerykańskiego malarstwa prymitywnego udał się do swojego gabinetu, gdzie nad antycznym biurkiem wisiały portrety jego ojca i dziadka, tak że każdy człowiek stojący naprzeciw Curtisa chcąc nie chcąc patrzył na trzy pokolenia Halifaxów.

- Dzień dobry, panno Brady. - Sekretarka Curtisa wręczyła mu kartkę zawierającą listę spotkań przewidzianych na ten dzień. - Jak zwykle rezerwacja w klubie Filadelfia, ale tym razem na dwie osoby, jeśli można. Przez godzinę proszę nie łączyć żadnych telefonów.

W tym imponującym otoczeniu Curtis miał niewiele do zrobienia. Niezależnie od tego, jak beznadziejnym idiotą okazałby się Curtis Halifax III, fundamenty rodzinnej fortuny pozostawały niezachwiane. Wszyscy członkowie zarządu byli mądrymi ludźmi, pochodzącymi za starych anglosaskich rodzin osiadłych na Wschodnim Wybrzeżu.

Służyli wiernie ideom, których uosobieniem była rodzina Halifaxów - najlepszej historycznej tradycji Ameryki: samodzielności, roztropności, ciężkiej pracy i republikanizmowi.

Dziadek Curtisa postanowił kiedyś, że pewnego dnia rodzina Halifaxów da Ameryce prezydenta. Mądrego, szlachetnego i ostrożnego człowieka, który poprowadzi kraj z powrotem ku dawnym wartościom i surowym zasadom właściwym ich klasie.

Wzniął obydwu synów w podobnie znakomite rodziny i był rozczarowany, kiedy od swoich dwóch dorodnych chłopców doczekał się tylko jednego wnuka, Curtisa, jedyne kandydata do wypełnienia dziadkowych ambicji. Senior Halifax uparł się, by żona Curtisa pochodziła z równie nienaganego środowiska i zadbał o to starannie, wybierając do tej roli Debrę, kiedy wnuk miał zaledwie dziewięć lat.

Debra urodziła się w jednej z najbogatszych filadelfijskich rodzin; jej pochodzenie, koligacje i lista przodków przyprawiały o zawrót głowy... może nawet zbyt gwałtowny. Z czasem Curtis zaczął podejrzewać, że wewnętrzna niespójność Debry wynika z nadmiaru błękitnej krwi w żyłach i że to, jak na ironię, uniemożliwi spełnienie marzeń dziadka.

Curtis z westchnieniem opadł na skórzany fotel odwrócony tyłem do portretów. Wiedział, że ich rozczarował. Nie spełnił politycznych nadziei swoich przodków, a przez Debrę stawał się bardziej ciężarem niż podporą swej partii. Oparł stopy na

wykładanym zieloną skórą blacie biurka i wziął do ręki listę spotkań na ten dzień. Widniało na niej tylko jedno nazwisko - pani Judy Jordan.

Tony wiozł Judy do Filadelfii jej kremowym Mercedese 350SL z opuszczanym dachem. Prowadził szybko, ale był dobrym kierowcą, więc Judy zawsze czuła się bezpiecznie, kiedy zasiadał za kierownicą. Podczas całej trwającej dwie godziny podróży Judy robiła notatki. Wyjeżdżała do Francji tylko na weekend, ale nie chciała zostawiać żadnych nie załatwionych spraw. Tony nie przerywał jej skupienia. Nauczył się rozpoznawać nastroje szefowej. Wiedział, kiedy jest w dobrym humorze, kiedy chce głośno pomyśleć nad jakimś projektem, kiedy potrzebuje wsparcia, rozpoznawał także te rzadkie momenty, kiedy myślała o czymś intensywnie i nie lubiła, żeby jej przerywać.

Mercedes zahamował przed bankiem Halifaxow. Tony wyskoczył zza kierownicy i otworzył przed Judy drzwi. Mimo nieco spiętej twarzy, wyglądała bardzo pociągająco w fioletowym zamszowym płaszczu z kolekcji Calvina Kleina i ciemnofioletowych zamszowych botkach.

Jednakże jej efektowny wygląd w niczym nie zmienił wyników spotkania. Po przeszło godzinnej, utrzymanej w tonie wzajemnych komplementów kłótni Curtis Halifax wychylił się zza wielkiego mahoniowego biurka i klasnął w wąskie, nerwowe dłonie. Judy patrzyła na tego wysokiego, dobrze zbudowanego jasnowłosego mężczyznę i przeszło jej przez myśl, że prawdopodobnie nigdy w życiu nie miał na sobie kupionego w sklepie garnituru.

- Wiem, że jesteście... starymi przyjaciółmi i z powodu naszej... szczególnej... zażyłości zrobiłem dla ciebie, co mogłem w przeszłości, ale tym razem nie mogę ci pomóc. Rada nadzorcza tego nie przełknie.

- Mógłbyś przynajmniej jeszcze raz spróbować. - Judy z wysiłkiem nadawała swemu głosowi przekonujące brzmienie. - Jeśli przedstawimy nasze wyliczenia na następny rok, rada się przekona, że mamy jedynie przejściowe problemy.

- Judy, nie bądź niemądra. Miesiąc temu wykorzystałem wszystkie środki, żebyś mogła wykupić Griffina, a teraz prosisz mnie o więcej.

- Niespokojnie bawił się automatycznym złotym kalendarzem od Cartiera. - Żaden bankier przy zdrowych zmysłach nie zainwestuje pieniędzy w wynik procesu sądowego. Poza tym, jak ci już mówiłem, moje prywatne fundusze włożyłem w długoterminowe lokaty. Tym razem naprawdę muszę ci odmówić, Judy.

- Nie bardzo lubię, jak mi się odmawia, Curtis - powiedziała Judy z lekkim uśmiechem, wpatrując się w jego wyblakłe niebieskie oczy.

- To jest cios poniżej pasa, Judy, dobrze wiesz o tym. - Westchnął z rezygnacją. - Nie zmuszaj mnie, bym się czuł winny.

- Przykro mi, Curtis, ale PRZEBOJEM! to całe moje życie i jestem zrozpaczona. Nie znasz w Waszyngtonie nikogo, kto mógłby trochę nacisnąć senatora Ruskingtona?

- Obawiam się, że nie. - Curtis zaczynał mieć dość tej sytuacji.

- Nie mam tego rodzaju znajomości. - Drzwi otwarły się nagle. Judy i Curtis ze zdumieniem spojrzeli na szczupłą blondynkę o pięknej, choć nadmiernie wychudłej twarzy, ubraną w ciemne futro z nerek ozdobione bukietem fiołków.

- Curtis, kochanie, postanowiłam ci zrobić niespodziankę! - zaczęła wesoło. Zorientowawszy się, że nie jest sam, dodała: - Och, mam nadzieję, że nie przerwałam ważnej narady.

Curtis odruchowo wstał z fotela.

- Nie, Debro. Oczywiście, że nie. Sądzę, że nie znasz Judy Jordan. Moja żona, Debra Halifax.

- Miło mi panią poznać. - Debra posłała Judy zdawkowy uśmiech i przestała się nią interesować. - Curtis, kochanie, idę na lunch z ciocią Emily, wpadłam tylko, żeby ci powiedzieć, że zmieniłam zdanie. Nie chcę na dziś wieczór szmaragdów, do krepy lepiej pasuje kolor czerwony. Każ Perkinsowi przynieść ze skarbca rubiny, dobrze? - Z miną małej dziewczynki przesłała mężowi pocałunek. - Muszę lecieć. - Jeszcze raz uśmiechnęła się do Judy i opuściła gabinet.

Na moment zapadła cisza, a potem Judy odezwała się z nutą zazdrości:

- Zawsze łatwo poznać stare pieniądze. To musi być cudowne nie musieć się o nic martwić.

- Debra wcale nie ma tak beztroskiego życia, jak się ludziom wydaje. Wiesz o tym, Judy.

- Szkoda, że twoi krewni tak się co do niej pomylili. Mając mądrą żonę, mógłbyś być teraz prezydentem.

- Nie mów tak, Judy. Nigdy mi nie wybaczysz? Nie potrafisz zapomnieć o przeszłości? Nie chciałabyś się znaleźć na miejscu Debry.

- O, czyżby? - Pozornie lekki ton Judy zdradzał, że nadal czuje się odrzucona przez tego potężnego człowieka z wielkimi możliwościami, zobowiązaniami i... pieniędzmi.

- Nie miałabym nic przeciwko posiadaniu wspaniałych strojów Debry, jej wytwornych przyjęć i tego, że wystarczy jej kiwnąć palcem, by mieć wszystko, co zechce. Tylko dlatego, że odziedziczyła fortunę. Cała reszta przyszła już sama... nie wyłączając ciebie, Curtis.

- Judy, nie bądź złośliwa. Naprawdę chciałbym ci pomóc i wiesz, że zrobiłbym to, gdybym mógł. Pieniądze to nie wszystko. Wiesz, że Debra także ma swoje problemy. Na biurku zadzwonił telefon. Samochód czekał przed budynkiem, żeby ich zawieźć na lunch. Curtis wstał.

- Judy, zapomnijmy na godzinę o Debrze i pieniądzach - poprosił. - Przecież mamy wiele innych ważnych spraw do omówienia...

Odpowiedziała najbardziej uwodzicielskim ze swoich uśmiechów.

Było już dobrze po północy i służba dawno poszła spać, kiedy Judy dotarła wreszcie do Chateau de Chazalle. Maxine, odziana w wykończony koronką peniuar z szarego jedwabiu ucałowała ją serdecznie i zaproponowała:

- Zejdźmy na dół do kuchni, zrobimy sobie po filiżance gorącej czekolady, tak jak wtedy, gdy byłyśmy w szkole.

W przypominającej nieco jaskinię zamkowej kuchni Maxine wybrała nieskazitelnie wypolerowany miedziany rondel i zawinęła rękawy peniuaru. Roześmiała się niespodziewanie.

- To mi przypomina wieczór przed moim ślubem, kiedy matka udzielała mi rad. - Nalała mleko z emaliowanego dzbanka. - Powiedziała mi na przykład, że kiedy późno w nocy po przyjęciu będę gotować czekoladę, powinnam zdejmować futro, bo inaczej poplamie sobie mankiety. - Maxine zamieszała pianę na powierzchni i rozlała czekoladę do porcelanowych kubeczków. - To jedyna rada dotycząca życia małżeńskiego, jakiej mi udzieliła. Niezbyt przydatna w tych okolicznościach. Niespodziewanie Maxine ukryła twarz w dłoniach. Ciężkie jasne włosy zasłoniły jej czoło. Wybuchnęła płaczem. Judy objęła ramionami drżące plecy przyjaciółki i czekała, aż rozdzierające łkanie ucichnie.

- Co ja mam teraz zrobić, Judy? - rozpaczła Maxine. - Charles wyprowadził się do swojego pokoju. Nie patrzy na mnie i nie rozmawia ze mną. Czuję się taka upokorzona, odepchnięta.

- Jaka ona jest? - przerwała spokojnie Judy. - Blondynka? Piękna? Szczupła?

- Ależ nie. Nie ma stylu, żadnej subtelności. To ten typ kobiety, która nosi czarny stanik pod białą bluzkę - prychnęła Maxine.

- Musi mieć coś, czego Charles potrzebuje. Wygląda na to, że jest zdecydowana go zdobyć.

Maxine siedziała sztywno z obrażoną miną. I dobrze, pomyślała Judy, nie poradzi sobie z sytuacją, jeśli będzie pogrążona w rozpacz. Musi poczuć złość.

- Jestem pewna, że ta dziwka umyślnie zorganizowała to wszystko - odezwała się po chwili Maxine. - Wysłałam z hotelu wiadomość teleksem, podając Charlesowi termin przylotu. Wiedziała, że wracam. Założę się, że nie przekazała Charlesowi wiadomości. On nie znosi scen i zawsze dotąd był bardzo dyskretny. Nie mogę się nadziwić, jak zdołała go wciągnąć do łóżka w naszym domu.

- Może go do tego zmusiła - podsunęła cicho Judy. - To klasyczne posunięcie sprytnych kochanek. Może Charles lubi być czasami do czegoś zmuszany?

- Ale dlaczego Charles miałby... - zaczęła protestować Maxine, lecz urwała, gdy zorientowała się, co Judy ma na myśli. Zapewne ta kobieta podobała się Charlesowi właśnie dlatego, że była taka władcza. Maxine przypomniała sobie to śniade ciało podrygujące energicznie na jej mężu. Nie mogła sobie natomiast przypomnieć, kiedy ona sama ostatni raz przyjęła tę pozycję kochając się z Charlesem. Czuli się w tej pozycji dziwnie obnażona, wstydziła się zarysu drugiego podbródka i tego, że wygląda od dołu na tęższą niż jest w istocie... Łatwo osiągająca zaspokojenie Maxine uświadomiła sobie nagle, że z lenistwa przerzuciła na Charlesa całkowitą odpowiedzialność za to, co się działo pod niebieskim jedwabnym baldachimem... bo lata całe upłynęły od czasów, gdy dobierał się do niej w innych miejscach, co tak bardzo lubił przed ślubem.

Odsunęła od siebie kubek.

- Nie wierzę, że naprawdę chce się z nią ożenić. Nie może tego zrobić... zniszczyłby cały interes w przeciągu roku. Proszę cię, Judy, pomóż mi.

- Może to Charlesowi trzeba pomóc - zasugerowała Judy. - Pomóc dostrzec wyjście z sytuacji, w której wcale nie miał ochoty się znaleźć. Miałam już do czynienia z takimi drapieżnymi kobietami.

- Pociągnęła łyk czekolady. - Swoją drogą, po jaką cholerę ją zatrudniłaś?

- Poproszono nas o udzielenie porad rządowi chińskiemu w związku z rozwojem produkcji szampana w ich kraju, a ta suka jest Magistrem sinologii.

Maxine siedziała przy ozdobionej złotymi kolumienkami toaletce, należącej kiedyś do cesarzowej Józefiny. Światło pochmurnego lutowego poranka, wzmocnione przez odbłask śniegu na parapetach, było bezwzględne. Antyczne lustro o matowym, szarym połysku ukazywało twarz nadal pięknej, lecz bardzo niespokojnej kobiety. Byłam przecież dekoratorką wewnątrz, pomyślała Maxine, dlaczego u licha zaprojektowałam szarą sypialnię? Dlaczego pozwoliłam, żeby dobry gust wziął górę nad wrażliwością? Co mówiła moja ciotka Hortense? Żadna kobieta po trzydziestce nie powinna nosić nic szarego.

Maxine nie rozstawała się ze zwykłym biurowym notesem, dzięki któremu mogła zawsze zapisywać swoje uwagi i przysyłać je personelowi przez mademoiselle Janinę. Teraz wyciągnęła notes z szuflady toaletki i zanim przyszła pokojówka, zdążyła dokończyć projekt nowego urządzenia sypialni.

- Dzisiaj nie włożę soboli, Honorine, są za ciemne i takie ciężkie - powiedziała, kiedy starsza kobieta w czerni zbliżyła się do szafy z futrami. - Dawno nie miałam na sobie rudych lisów. A na wieczór proszę przygotować różowego Saint Laurenta, tego z czerwoną halką.

Mając pod opieką tylko dziesięcioro gości Maxine zorganizowała niewyszukany program: polowanie na kuropatwy na terenie posiadłości, konna przejażdżka po winnicy, karty i rozmowy dla tych, którzy będą woleli zostać w cieple, a w niedzielę polowanie na jelenia w sąsiednim majątku.

Charles jako pierwszy zszedł na śniadanie do żółtego chińskiego pokoju.

Wyglądał pociągająco i bezradnie z wyrazem skromności i onieśmienia na twarzy; jak Maxine wyjaśniła Judy, to właśnie niewinne, lekko nieobecne spojrzenie, którym przypominał Cary Granta, sprawiało, że podobał się dziewczętom. Teraz z wyraźnym poczuciem winy stał w swojej ulubionej pozie z rozstawionymi stopami, odwrócony plecami do trzaskającego w kominku ognia.

Następny pojawił się ziewający Guy Saint Simon w granatowym tużurku.

- To rokokowe łóżko wymaga nowego materaca, Maxine. Maxine zauważyła, że Guy zaczyna tyć, a konopne włosy tracą gęstość nad czołem, ale lekko haczykowaty rzymski nos i szerokie zmysłowe usta pozostały nie zmienione. Wciąż nie mogła uwierzyć, że jej przyjaciel z dzieciństwa przeobraził się w jednego z najsłynniejszych dyktatorów mody we Francji, właściciela sieci butików „Krótka Seria”.

Guy wyciągnął z kieszonki na piersi okulary w prostokątnych oprawkach, założył je na nos i wziął się do czytania „Le Monde”. Powoli schodzili się pozostali goście, wybierali potrawy z podgrzewanych srebrnych półmisek stojących na mahoniowym kredensie i siadali wokół stołu.

Wysoki mężczyzna, zajmując miejsce obok Maxine, zwrócił się do niej z promiennym uśmiechem:

- Maxine, dla ciebie czas zatrzymał się w miejscu.

- Tak samo jak dla ciebie, Pierre - zrewanżowała się Maxine, myśląc w duchu, że jest to bliskie prawdy. Życie w ostrym alpejskim klimacie nadało twarzy jej pierwszego kochanka stałą ciemnobrązową opaleniznę, na tle której odcinały się

jasno zmarszczki wokół oczu. Mocno skręcone jasne włosy nie straciły gęstości, a sylwetka nadal była młodzieńcza i wysportowana.

Ostatnia zeszła na śniadanie Judy. Pierwszym jej odruchem tuż po przebudzeniu był telefon do starego przyjaciela, obecnie szefa paryskiego biura „Time'a”.

- Nie mogę ci zdradzić, dlaczego o to proszę - zaczęła poufnie - ale szukam pracy dla dziewczyny z tytułem magistra sinologii. Chodzi mi o posadę wymagającą częstych wyjazdów, a może nawet objęcia stanowiska za granicą.

Tego popołudnia, kiedy reszta towarzystwa polowała, Judy zdążyła wygrać cztery rozdania, nim wreszcie Guy rzucił w nią kartami z okrzykiem:

- Nic się nie zmieniłaś przez te dwadzieścia lat. Z tobą się nie da grać. Wy, Amerykanie, macie bzika na punkcie wygrywania. Zawsze chcesz być pierwsza. My tu we Francji rozumiemy, że ważniejsze jest to, by mieć najlepszy styl. - Mimo iż przyjmował pozę niedbałego światowca, Judy wiedziała, że tajemnica sukcesu Guya leży w obsesyjnym dbaniu o jakość wyrobów i w nadludzkiej pracy.

Judy wzięła do ręki czerwony przycisk do papieru i udawała, że chce nim rzucić w Guya, który ze śmiechem podniósł rękę w geście obrony.

- Wiem, że nie ciśniesz we mnie tą bryłą ametystu. Kate dała ją Maxine w prezencie ślubnym. - Przestał się śmiać. - To był piękny ślub. Nie mogę znieść, że Maxine jest dziś taka smutna. Zawsze wiem, kiedy Charles się łajdaczy, bo Maxine zaczyna się wówczas fatalnie ubierać. Te smętne kolory i brak jakiegokolwiek biżuterii... Powinna raczej odplacić Charlesowi pięknym za nadobne, zamiast pozwalać się dręczyć.

Pojawił się szef służby.

- Telefon do mademoiselle Jordan, do odebrania w bibliotece. Judy dała się zaprowadzić do wykładanego boazerią pokoju, gdzie w otoczeniu ciszy, kurzu i zapachu starych skórzanych foteli dowiedziała się, że uniwersytet w Montpellier otrzymał właśnie w spadku antyczne chińskie wyroby z jadeitu oraz ceramikę i poszukuje odpowiednio wykwalifikowanej osoby do oceny i skatalogowania zbioru, gotowej pracować w Muzeum Narodowym w Pekinie. U siebie w domu załatwiłabym tę sprawę trzema telefonami, pomyślała z westchnieniem Judy i spytała Maxine, czy zna kogoś, kto ma znajomości na uniwersytecie w Montpellier. Po kilku-minutowym szperaniu w notesie z adresami Maxine stwierdziła:

- Jedyna nadzieja w Ghislaine, mojej kuzynce, która jest żoną rektora z Grenoble. Trzeba było skontaktować się jeszcze z czterema osobami, wykonać sześć telefonów i stracić całe popołudnie, by odkryć, że uniwersytet w Montpellier od trzech miesięcy bezskutecznie poszukuje chętnego do objęcia tego stanowiska i że jest zachwycony ofertą.

Przy kolacji Judy napotkała spojrzenie Maxine pomiędzy bukietami zdobiącymi stół. Dyskretnie pokazała jej na migi, że wszystko jest na dobrej drodze.

Nie wiem, jak ci dziękować - mówiła później Maxine, zrzucając aksamitną czerwoną suknię wieczorową i sięgając po atlasowy peniuar w kolorze bladego turkus.

- Cudze problemy są zawsze łatwiejsze do rozwiązania niż własne. - Judy uśmiechnęła się do odbicia Maxine w lustrze. - Szczególnie problemy miłosne.

Wszyscy je mamy.

- Masz jakies z tym swoim nowym facetem? Ma zdaje się dwadzieścia dziewięć lat, tak? - Maxine zawiązała pasek i rzuciła przyjaciółce spojrzenie spod opuszczonych rzęs. - Jak to jest, Judy, kochać się z dużo młodszym mężczyzną?
- Maxine, mówisz jak bohaterka opery mydlanej. Jest pewna różnica, i to nawet spora, ale nie polega na tym, co sobie wyobrażasz. Ważne jest nie to, że kobiety idą do łóżka z młodszymi od siebie mężczyznami, tylko to, że nie boją się swego wieku. Kobietom często nie udaje się rozwinąć w sobie poczucia własnej tożsamości przed osiągnięciem wieku trzydziestu czy nawet czterdziestu lat. Dopiero wtedy przekonują się, kim właściwie są i jakiego mężczyzny im potrzeba. - Przerwała, popadając w chwilowe zamyślenie. Po chwili dodała: - Tak czy owak, wiek nie odgrywa roli w naszym związku. Pasujemy do siebie z Markiem, ponieważ oboje jesteśmy indywidualistami i szanujemy wzajemnie swoją odrębność. On ma kobietę, która podziwia jego talent, rozumie jego zobowiązania i nie chce go zagarnąć na własność. A ja mam cudownego kochanka, który nie wymaga codziennie gorącej kolacji.
- Ja i tak sama nie gotuję, więc to by mi nie robiło różnicy.
- Młodzi mężczyźni oczekują czego innego niż ci, którzy pamiętają drugą wojnę światową tak samo dobrze jak rewolucję seksualną.
- Czym się różnią? - Maxine wygładziła falbankę pod szyją.
- Starsi nie lubią żeby kobieta rozwijała skrzydła, bo mogłaby nimi zawadzić o ich własne. Młodszy mają w sobie żyłkę przygody i chcą kobiety, która nie tylko będzie schlebiać ich próżności, lecz także rozwijać własną osobowość. To właśnie lubią w starszych kobietach i to szanują.
- A nie boisz się przyszłości, Judy? Tego, że będziesz wyglądać staro, zostaniesz porzucona, upokorzona?
- To może się przytrafić kobiecie w każdym wieku. Koniec każdego związku jest bolesny, zawsze też można się spodziewać kopniaka w... dumę.
- Mężczyznom znacznie więcej uchodzi na sucho niż kobietom - westchnęła Maxine.
- Nie od dziś wiadomo, że mężczyzna może być pociągający w każdym wieku. Teraz dopiero odkrywamy, że dotyczy to również kobiet. Kobiety zawsze większą wagę przywiązują do wyglądu, ale wszyscy znamy piękne kobiety, które są nudne. Fascynacja nie ma nic wspólnego z pomarszczoną jak u żółwia skórą na szyi, tylko z młodym duchem. Maxine pochyliła się do lustra.
- Uważasz, że mam skórę na szyi jak żółw?
- Maxine, doprawdy nie wiem, czy chodzi ci o schlebianie próżności, czy o pracę nad sobą - roześmiała się Judy.

Mark, opiekuj się Liii pod moją nieobecność. - Tak brzmiały ostatnie słowa Judy skierowane do kochanka przed wyjazdem z Nowego Jorku. Był przerażony. Kiedy Judy była obecna w jego życiu i w jego łóżku, Mark był w stanie opanowywać swe narastające uczucie do Liii, lecz bez Judy był zdany na pastwę gwałtownej żądzy, jaką Lili w nim budziła. Nie lubił tracić kontroli nad swoimi uczuciami. Złapał się na tym, że niechęć do własnej słabości przenosi na jej sprawczynię. Ze złością w

głosie wytknął Lili, że robi w mieszkaniu bałagan. Na poparcie swoich słów wskazał rozrzucone w salonie kosmetyki i zaścielające podłogę przed kominkiem czasopisma.

- Nic na to nie poradzę. - Lili była zdziwiona. - Siedzę tu całymi dniami. Nie mogę wyjść ze względu na fotoreporterów.

- Och, nie przesadzaj, nie ma powodu obawiać się wyjścia z domu. Jeśli będziesz unikać eleganckich części miasta i trzymać się miejsc, gdzie nikt nie będzie oczekiwał ujrzenia gwiazdy filmowej, nie będziesz mieć żadnych kłopotów.

Lili spojrzała na niego wyzywająco.

- Chodź - zdecydował się Mark. - Udowodnię ci to.

Zabrał ją na lunch do maleńkiej orientalnej knajpki i słuchał cierpliwie opowieści Lili o roli Mistinguett, którą jej zaproponowano.

- Sama nie wiem, czy mam ochotę ją zagrać. Może i jestem międzynarodową gwiazdą, ale do tej roli potrzebna jest świetna tancerka. Śpiewu i tańca jest bardzo dużo i nie jestem pewna, czy sobie z tym poradzę. Boję się wygłupić. Jak myślisz, mam przyjąć tę rolę?

- Nie mnie powinnaś o to pytać, Lili. Jestem przekonany, że twój agent najlepiej będzie umiał ci doradzić. Czemu z nim nie porozmawiasz? - Podając Lili bambusowy kubek pomyślał, że Judy nigdy nie prosi go o rady w sprawach zawodowych. Rozpaczliwie szukał porównań, które mogłyby wypaść na korzyść Judy.

Potem Mark zabrał ją do Metropolitan Museum, żeby obejrzeć obrazy Rembrandta, a jeszcze później spacerowali po brudnych zaułkach Central Parku. Pod wieczór śnieg znowu zaczął padać, więc nie namyślając się długo wstąpili do włoskiej restauracji na najbliższym rogu ulicy.

- Czy wiesz - zaczął Mark - jak wyłudzić darmową butelkę wina we włoskiej restauracji? Nie wiesz? Tak też myślałem. - Powiedział kelnerowi, że Lili obchodzi tego dnia urodziny, na co z kuchni wynurzył się gruby padrone, odcisnął wilgotne pocałunki na obu jej policzkach i postawił na stoliku butelkę włoskiego wina musującego - na koszt firmy.

- Robiłeś to kiedyś z Judy? - spytała Lili.

- Nie, nie robiłem tego od czasu, jak byłem dzieckiem. - Mark nalał wina do kieliszków. - Nie martw się, wliczę tę butelkę w napiwek. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! Judy nie lubi chodzić do włoskich restauracji. Mówi, że jedzenie jest zbyt kuszące. Jest bardzo zdyscyplinowana, jak sama wiesz. To jest jedna z rzeczy, które mi się w niej podobają.

- A te pozostałe? - Lili schrupała gałązkę kopru.

- Jest ich wiele. Poza tym, że Judy jest mądra i stanowi miłe towarzystwo, podoba mi się jej profesjonalizm, jej energia, wycucie i doświadczenie...

- Jej pozycja i jej wpływowi, interesujący znajomi? - dodała uszczypliwie Lili.

- Jasne, dlaczego nie? Mówiłem już, że jest tego sporo. Lubię w niej także to, co innym się może nie podobać. Potrafi być ostra i zgryźliwa, ale świadczy to jedynie o szczerości. Kobiety nie mogą zrozumieć, że mężczyzna nie zakochuje się z powodu tego czy innego szczegółu. Nie zdarza się, że podobają mu się piersi, ale biodra nie, albo oczy tak, a nos nie. Nie podoba mu się dowcip, ale docenia krytycyzm.

Mężczyzna zakochuje się w całości, jaka by ona nie była. Tylko że kobiety nie patrzą

na siebie w taki sposób. Wciąż się martwią tym, co chciałyby w sobie zmienić. Judy nie traci na to czasu. Podoba mi się też sposób, w jaki mi pomogła.

- Jaki? - Lili była zaskoczona.

- Dała mi pewność siebie. Na długo przedtem, zanim poznałem Judy, mieszkałem z pewną modelką. Czułem się przy niej, jakbym był statystą i w końcu mi się znudziło. - Nappełnił ponownie kieliszek Lili. - Choćby młody chłopak wyglądał na nie wiem jak pewnego siebie, zawsze wątpi w swoje możliwości. Dobrze jest czuć poparcie kogoś, kogo opinii i doświadczeniu można zaufać... i kto przy tym nie jest moją matką. - Roześmiał się. - Judy bała się, że jej uczucia do mnie mają macierzyńskie zabarwienie, ale wcale tak nie jest. Zresztą, mam już jedną cudowną matkę, więc nie potrzebuję drugiej.

- Czy ona nie czuje się samotna, kiedy ty wyjeżdżasz? - spytała Lili.

- Nie wiem. - Nigdy nie przyszło mu nawet do głowy, że wspaniała, samodzielna, rozsądna Judy może się czuć samotna. Mimowolnie znowu porównywał te dwie kobiety. Lili jadła łapczywie, Judy delikatnie wybierała z talerza najmniejsze kęsy. Lili zanudzała go swoim niezdecydowaniem w związku z rolą Mistinguett, Judy nigdy nie mówiła o interesach, kiedy byli razem.

W niedzielę rano Mark nauczył Lili przyrządzać popcorn, ale czuł się nieswojo w ciasnej kuchni, naprzeciw Lili i jej zwierzęcego magnetyzmu. W niedzielę po południu wybrali się do małego chińskiego teatrzyku lalkowego. Wąskie ławki zajęte były przez hałaśliwe rodziny. Właściciel zaprosił Marka na własną ławkę i usadził ich pomiędzy dzieckiem o buzi okrągłej jak księżyc w pełni a swoją babką. W takim otoczeniu, uwolniona od męczącego obowiązku bycia gwiazdą, Lili ujawniła cały swój wrodzony wdzięk i naturalność. Mark patrzył, jak bierze dziecko na kolana, żeby lepiej widziało smoki i rycerzy walczących o dziewice o małych stopach. Reszta rodziny zagadywała, uśmiechała się i kiwała głowami z aprobatą, a dziewczynka zasypywała okruchami ciastek różowy zamszowy kostium Lili i ciągnęła ją za włosy. Nieźle, jak na międzynarodowy symbol seksu, pomyślał Mark.

Maxine trzęsła się na wysokim siedzeniu antycznego wyścigowego powozu, jadąc przez las w ślad za myśliwymi. Policzki szczypały ją z zimna. Trochę się bała. Zaraz potem, jak wjechali w wilgotny las, trzy dorodne rude jelenie przecięły błotnistą drogę daleko przed czołem polowania. Psy gończe zaczęły się szarpać na smyczach, ujadając z wielkim podnieceniem. Myśliwi na koniach, jaśniejący złotymi obszyciami na kołnierzach kurtek, ruszyli za chartami. Czysty dźwięk starych mosiężnych rogów rozniósł się po lesie.

Pierre, silną ręką trzymając niespokojne konie, odwrócił się do Maxine. Przy każdym zakolysaniu się wysokiej ławki na wielkich czarnych sprężynach Maxine czuła nacisk jego uda pod grubym futrzanym okryciem osłaniającym im nogi od zimna.

- Jest tu może jakiś skrót? Nie chcemy przecież utknąć na tym mokrym trakcie. - Pierre otarł się mocnym udem o nogę Maxine. Wiadomość odebrana i zrozumiana, pomyślała Maxine, i powiedziała:

- Jeśli skrećisz w tę drogę między bukami, to możemy do nich dołączyć u stóp wzgórza.

Konie kłusowały dziarsko. Pierre nachylił się nad Maxine i niespodziewanie szybko pocałował ją w usta. Równie szybko Maxine pomyślała: Dlaczegoż by nie? Flirtuje ze mną przez cały weekend, a mnie się to podoba. To w końcu pochlebające, kiedy pierwszy kochanek daje do zrozumienia, że propozycja pójścia razem do łóżka jest nadal aktualna. Byłam wierna Charlesowi przez dwadzieścia lat, a nagrodą okazała się ta dziwka w mojej sypialni.

Maxine czuła się dowartościowana, podniecona i trochę niespokojna, a przecież na tym właśnie polega urok flirtu.

- Tam trochę dalej jest stodoła - rzuciła, kiedy mijali wysokie drzewa z resztkami brązowych liści na gałęziach.

- Doskonale - odrzekł Pierre. Oboje wiedzieli, że zaproszenie zostało odczytane i przyjęte.

Maxine drżąc z napięcia czekała przy wysokiej drewnianej stodole, kiedy Pierre okrywał konie derkami i zawiązywał lejce na uchwycie powozu.

- Przechowują tu siano - odpowiedziała Maxine; Pierre wyniósł naręcze dla koni, mrużąc pod nosem:

- To je powinno zająć na dłuższy czas.

Odwrócił się i przyglądał jej się przez chwilę. Gdy tak stali naprzeciw siebie, ujął jej twarz w dłonie i mocno pocałował w zziębnięte wargi.

- Wdrapmy się na górę, tam będzie ciepło.

Chwycił ją za rękę i zaczęli się wspinać po szeleszczących belach siana. Pierre zarzucił futrzany pled z powozu na słodko pachnące siano i pochylił się nad Maxine. Z początku była sztywna, ale wkrótce napięcie ustąpiło i poczuła dziwną miękkość w całym ciele. Wziął ją w ramiona, a kiedy przywarł do niej całym ciałem, Maxine zdrząła od dawno nie odczuwanego dreszczu przyjemności. Jej rosnące pożądanie miało smak zakazanego owocu.

- Nie mogę ustać, kolana mi się trzęsą - szepnęła.

- Mnie też.

Równocześnie upadli na siano. Wsunął ręce pod jej kurtkę z rudych lisów. Pomogła mu odpiąć zatrzaski. Podciągnął w górę jej sweter i rozchylił koronkowe miseczki stanika.

- Maxine, twoje piersi nic się nie zmieniły. - Drażnił językiem brodawki, przesuwając się od jednej do drugiej, skubiąc zębami różowe wierzchołki. Maxine wydała zmysłowy pomruk, czując, że jakaś magiczna nić musi wiązać brodawki z pachwinami.

To jest to, powiedziała sobie w duchu Maxine, ta chwila, kiedy pragniesz tylko tak leżeć i dać się beczynnemu unosić tej fali przyjemności. Ale może to właśnie była przyczyna zdrad Charlesa? Zawsze oczekiwała, że to on będzie się nią zajmował; ona była bierna i nieśmiała do tego stopnia, że nikt znający Maxine poza łóżkiem nie mógłby w to uwierzyć. Gdyby nie była zbyt pulchna, gdyby miała idealną sylwetkę, pewnie by się nie wstydziła i nie była taka powściągliwa. Wtedy nie miałyby nic

przeciwko temu, żeby miotać się w erotycznych podrygach po całym łóżku. Ale była zbyt pulchna, więc się wstydziła.

Pierre ścisnął jej piersi razem i przejechał językiem przez dołek utworzony pośrodku. Jak ja się mam nim zajmować, kiedy on się zajmuje mną, zastanawiała się Maxine. Nie potrafię się skoncentrować na dwóch rzeczach równocześnie. Gdy on całuje moje piersi i doprowadza mnie tym do szaleństwa, nie umiem myśleć, działać, jestem w stanie jedynie czuć.

- Teraz moja kolej - powiedział Pierre, jakby czytając w jej myślach. Przewrócił się na bok i rozpiął pasek u spodni. Maxine dotknęła twardego, potężnego ciała.

Pierre delikatnym, lecz zdecydowanym ruchem przesunął jej głowę w dół. Maxine zaczęła lizać różowy koniec jego członka, który wymykał jej się, kiedy chciała wziąć go w usta. Chwyła członek, mając nadzieję, że uścisk chłodnej dłoni nie zmniejszy jego objętości. Bała się też, by go niechcący nie ugryźć. Osłoniła zęby wargami i ułożyła usta w ryjek. Członek bez oporu wsunął się głębiej. Zmartwiła się, że w żaden sposób nie zmieści się w całości. Pierre zmienił nieco pozycję.

- Poruszaj ręką i ustami równocześnie, w tym samym rytmie. Rozciągnięty błogo na skórzanym posłaniu Pierre wykonywał nieznaczne, bezwiedne ruchy biodrami. Chyba idzie mi nie najgorzej, ucieszyła się Maxine. Obwiodła językiem zgrubienie u nasady żołądki. Pierre jęknął z zachwytu i podrzucił biodrami. Maxine wypadła z rytmu, wystraszyła się, że zaraz się zakrztusi, lecz poczuła, jak Pierre kładzie jej dłoń na głowie i naciskając regularnie pomaga odzyskać właściwe tempo. Nagle poczuła się pewna i zadowolona z siebie.

Później Pierre troskliwie okrył pledem jej krągłe, białe ciało i pod przykryciem wtulił się w jej ciepłą miękkość.

- Marzyłem o twoich piersiach przez dwadzieścia lat. A ty myślałaś kiedyś o mnie? Maxine pomyślała, że musi to być typowy dialog odbywany przez Francuzów po stosunku, więc starała się udzielić równie miłej odpowiedzi.

- Oczywiście. Przecież każda kobieta pamięta swego pierwszego kochanka. - Pierre odchylił pled i złożył jej hołd pocałunkiem wymierzonym w miodowozłote włosy łonowe.

- A co słyhać u twojej żony, Pierre? - spytała Maxine ze szczerym zaciekawieniem.

- Widać, że nie jesteś przyzwyczajona do popełniania cudzołóstwa, Maxine. Zasada pierwsza, to nigdy nie wspominać o żonie, ale skoro już pytasz... Ona ma bzika na punkcie dzieci, a obowiązki małżeńskie wypełniamy w każdą sobotę.

To tak jak my z Charlesem, pomyślała.

~ Chyba nie chodzi ci tylko o sponsorowanie twojej narciarki, co? ~ spytała Maxine i natychmiast pożałowała tej bezceremonialności.

~ Nie, chodzi mi o ciebie. Naprawdę. - Pocałował ją czule. - Jeśli sie jest najlepszym, nietrudno o sponsora... a wierzę, że moja uczennica będzie najlepsza. Mam nadzieję na kontrakt z La Chazalle, bo wtedy mielibyśmy okazję widywać się dwa lub trzy razy do roku... przynajmniej.

- Przynajmniej - powtórzyła Maxine, ostrożnie wyciągając mu z włosów źdźbło siana. Już się zaczęliśmy zastanawiać, czy się w ogóle pokażecie - powitał ich jeden z myśliwych, kiedy powóz wytoczył się na polanę.

- Pojechaliśmy na skróty i zgubiliśmy drogę - odkrzyknął Pierre z niewinną miną. Jakim cudem Maxine mogła zablądzić we własnej posiadłości, dziwiła się Judy zerkając ukradkiem na Charlesa, który siedział na schlapanym błocie siwku. Zmarszczone brwi świadczyły, że zastanawia się nad tym samym. Judy wiedziała, że zważywszy na okoliczności nie mógł sobie pozwolić na odgrywanie zazdrosnego męża. Ale dlaczego Maxine była na tyle głupia i wybrała najgorszy moment, krzyżując plany Judy wobec Charlesa? O ile w ogóle istniała możliwość ich przeprowadzenia, ponieważ Judy rozpaczliwie szukała okazji, by porozmawiać z Charlesem w cztery oczy, ale on najwyraźniej starannie jej unikał. Nic dziwnego, że Judy była zaskoczona, kiedy zaproponował jej podwiezienie na lotnisko, by mogła zdążyć na Concorde'a. Gdy ruszyli drugim żwirowym podjazdem, Charles odezwał się wreszcie:

- Postanowiłem dać ci jednak okazję do przedstawienia argumentów... bo przecież po to tłuksłaś się przez Atlantyk na jeden weekend. Nienawidzę babskich spisków! - Przyspieszył gwałtownie, opony zapiszczały na zakręcie. Judy przypomniała sobie, jak fatalnym kierowcą jest Charles. - Nie rozumiem, jakim prawem Maxine oczekuje, że będę zachowywał pozory, skoro ona pod moim nosem wygłupia się ze swoją dawną sympatią, co wszyscy wczoraj widzieli.

Może jednak Maxine nie była aż tak głupia, by otwarcie flirtować z Pierrem, pomyślała z nadzieją Judy.

- Jestem święcie przekonana, Charles, że Maxine nawet by na niego nie spojrzała, gdybyś jej tak nie skrzywdził. Dlaczego to robisz? Osiągnąłeś wiek, w którym musisz sprawdzać swoją męskość?

- Nie mylisz przypadkiem seksu z artretyzmem? Czemu się nie zajmiesz swoimi sprawami, Judy?

- Maxine jest moją sprawą, twoją zresztą także, Charles. Chyba rozumiesz, że ta twoja asystentka nie posiada ani wyczucia, ani stylu, nie mówiąc o wychowaniu, które by jej pozwoliły zarządzać zamkiem czy organizować pobyty gości. Ludzie kojarzą wytworny urok Maxine z twoim szampanem. Występowała w filmach reklamowych nadawanych na całym świecie. Przekonasz się, że znacznie łatwiej zmienić żonę niż publiczny wizerunek.

Charles wjechał na autostradę i zwiększył szybkość.

- Żonę też nie tak łatwo zmienić... Prawnicy dali mi to już do zrozumienia. Nie musisz się martwić, Maxine będzie miała mnóstwo pieniędzy.

- Ona ich nie chce. Ona chce ciebie.

- Spodziewasz się, że w to uwierzę, po tym, jak widziałem ją dzisiaj z tym nadskakującym półgłówkiem?

- Nie znam drugiej kobiety, która byłaby tak długo wierna mężowi. Wiesz, że Maxine cię kocha. Ty też ją kochasz. Bawi cię jej towarzystwo. Przywiązałeś się do niej jak niemowlę do swojego kocyka, no i jest matką twoich dzieci. Nikt by ci tego nie rzucił w twarz, poza mną.

Jechali w milczeniu zalaną deszczem autostradą. Judy postanowiła spróbować jeszcze raz. Odezwała się łagodnym tonem:

- Wydaje mi się, że byłeś zmuszony postąpić wbrew swej woli. Sądzę, Charles, że tak naprawdę to chciałbyś cofnąć czas o miesiąc.

Cisza.

- Więc jak mam się z tego wyplątać? - spytał wreszcie Charles patrząc przed siebie, bo skręcali właśnie na lotnisko.

- Musisz zebrać się na odwagę i powiedzieć tej kobiecie, że nie masz zamiaru nic zmieniać w swoim życiu. Może będziesz musiał jej zapłacić... nazwijmy to - odszkodowanie. Roczna pensja powinna wystarczyć. Do tego załatwić jej inną posadę, bardziej prestiżową. Daj jej jasno do zrozumienia, że może zyskać pieniądze i pracę albo nic.

- Wy, Amerykanki, jesteście bezwzględne.

- To, co nazywasz bezwzględnością, to w rzeczywistości rozsądek i zdecydowanie, niezgoda na bycie wykorzystywaną. Mam nadzieję, że i ty potrafisz być bezwzględny, Charles.

Jeszcze tego wieczoru Judy usłyszała wycie policyjnych syren na Piątej Alei, gdzieś daleko w dole.

- Dłużył mi się ten weekend bez ciebie - mruknęła sennie, kiedy Mark otoczył ramieniem jej wąską talię i przyciągnął ją mocno do siebie pod jedwabną kołdrą w kolorze cynamonu.

- Co robiłeś rano po przebudzeniu, Mark?

- Nic specjalnego, pogoda była okropna. Zabrałem Lili do paru restauracji.

- Średnia przyjemność. - Judy przyłgnęła do niego zachęcająco.

- Owszem. - Mark uświadomił sobie nagle, że te dwa dni były cudowne. Gdy spędził z Lili czterdzieści osiem godzin, pierwotne, czysto fizyczne pożądanie uległo przeobrażeniu. Przypomniawszy sobie jej entuzjazm, porywczosć, ataki złości, chwile smutku, śmieszności. Wszystko to wydało mu się niezwykle pociągające.

Mark poczuł dotyk języka Judy i odruchowo wsunął rękę pomiędzy jej uda.

Pamiętał, jak kiedyś powiedziała, że kiedy mężczyźni czują się winni, kochają się ze szczególną czułością bo nie chcą żeby kobieta się domyśliła, co zaszło, a siebie samych pragną przekonać, że nic wielkiego się nie stało. Mark zaczął pieścić Judy z wielką gorliwością robiąc wszystko, by nie wyczuła, że zamiast jej drobnych jędrnych pośladków pragnął dorodnego, krągłego zadka Lili; zamiast małych piersi Judy z różowymi sutkami wołał złociste piersi Lili o dużych ciemnych brodawkach; zamiast sympatycznej twarzy z zadartym nosem chciał mieć przed sobą ciemne oczy Lili zamglone rozkoszą i jej pełne usta szepczące jego imię, kiedy będzie w nią wchodził.

Rozdział szósty

Marzec 1979

Poganka leżała w łóżku wsłuchując się w zwykłe poranne odgłosy; turkot wózka londyńskiego mleczarza, brzęk butelek, gwizdanie kosa rozzłoszczonego porywistym marcowym wiatrem, ciężkie stuknięcie o wycieraczkę, kiedy „The Times” wpadł do

skrzynki przez szparę na listy, nieco lżejsze, gdy „British Medical Journal” wylądował w tym samym miejscu, cichy szelest wpychanych przez otwór listów. Na dole owczarek Buster II wydawał z siebie ostrzegawcze warknięcia, ilekroć jamnik Fritz naruszył jego terytorium.

Sophia musiała się już obudzić, pomyślała Poganka, słysząc rockową muzykę dobiegającą z sutereny. Siódma rano, a ona już hałasuje. Wreszcie Poganka usłyszała odgłos, na który cały czas podświadomie czekała, świadczący o przebudzeniu się męża. Słyszała kroki na podłodze jego garderoby, melodie Mozarta gwizdane podczas golenia, potem skrzypienie schodów, kiedy schodził do kuchni. Przy całej gamie zgrzytów i pobrzękiwaniach łańcucha stary zegar dziadka wybił siódmą. Potem zapadła cisza, dopóki Poganka znów nie usłyszała kroków Christophera na schodach, skrzypnięcia otwieranych drzwi do sypialni... i oto stał przed nią, z siwymi włosami jeszcze wilgotnymi od prysznic, zgrabnie balansując tacą ze śniadaniem.

- Chyba nam się skończyła marmolada.

- Christopher, kochanie, nigdy ze mnie nie będzie dobra gospodyni, chyba już to zauważyłeś. - Poprawił jej pod głową koronkowe poduszki, wziął z tacy „The Times'a” i usiadł w nogach łóżka.

- A ja myślałem, że brak marmolady jest częścią spisku, mającego mnie zmusić do rozwodu.

Poganka nalala herbatę do filiżanek.

- To, że zawsze najpierw zabierasz się za gazetę, w Wielkiej Brytanii stanowi właściwie podstawę do rozwodu. - Bładożółta bawełniana koszula nocna zsunęła jej się z ramienia, a grzywa mahoniowych włosów opadła na oczy, kiedy wychyliła się, by podać mu herbatę.

- Kiedyś myślałem, że możesz uciec z jakimś żigolakiem. - Christopher wbił zęby w grzanekę. - Kiedy kardiolog mi powiedział, że kochanie się może mnie zabić, moją pierwszą myślą było: „Jak długo Poganka to wytrzyma?”

- Dzięki Bogu, że z czasem zmienił zdanie - mruknęła. - Ale i tak zawsze cię kochałam głównie za błyskotliwe prowadzenie rozmowy. - Nigdy nie powiedziała Christopherowi, jak bardzo go kocha. Bała się zapeszyć. Christopher był światłem przewodnim jej życia, jej bezustanną troską głównym tematem jej myśli. Jedynie miłość męża zdołała zmienić Pogankę z dążącej do samozniszczenia, zagubionej nieudacznicy z wyższych sfer w światową kobietę, znaną z niepowszedniego wdzięku. Jak na ironię, widząc lady Swann w pięknej sukni, wspartą na ramieniu starszego, spokojnego męża, ludzie uznawali, że to ona jest stroną dominującą w tym związku, gdy w istocie podstawą beztróskiego uroku Poganki było zrównoważenie emocjonalne Christophera.

Przez pierwsze tygodnie małżeństwa Poganka i Christopher uprawiali bogate i według Poganki rewelacyjne życie seksualne. Gdy pierwszy zawał męża zakończył tę fazę ich związku, znacznie bardziej martwiła się możliwością utraty męża niż końcem udanych wspólnych przeżyć w łóżku.

- Seks jest jak opera, kochanie - mówiła Christopherowi. - Niektórzy się zachwycają a ja mogę bez niej żyć. - Naprawdę potrafiła się bez niej obejść.

- Jesteś gotowa na dowcip dnia? Chrupiąc grzanekę Poganka skinęła głową.
- Jeśli wierzyć, że Matka Boska była dziewicą, to Jezus Chrystus musiał być kobietą ponieważ dziecko dziewicy mogło posiadać wyłącznie chromosomy X! - Wybuchnął gromkim śmiechem.

Mina Poganki świadczyła o tym, że nie rozumie żartu.

- Nie pamiętasz mojego wykładu z genetyki? Kobiety posiadają tylko chromosomy X, a mężczyźni zarówno X jak i Y. Nie można urodzić chłopca bez chromosomu Y. A nie można mieć chromosomu Y bez spermatozoj. A spermatozoj nie można mieć bez mężczyzny. Wyraz twarzy Poganki się nie zmienił.

- Widzę, kochanie, że masz niewielkie szanse na Nagrodę Nobla w dziedzinie genetyki. Pamiętasz, jak przepowiedziałem, kiedy byłaś w ciąży, że oczy Sophii na pewno nie będą brązowe, ponieważ kolor oczu dziecka zależy od genów rodziców?

Niebieskoocy rodzice nie mogą mieć dziecka o brązowych oczach. Jeszcze grzanekę?

- Jutro rano, kochanie, poproszę o dowcip, który będę w stanie zrozumieć bez doktoratu z nauk medycznych.

Poganka oparła się na poduszkach, wypiła łyk herbaty i wzięła się za przeglądanie poczty. Jako pierwszą otworzyła kopertę ze stemplem Nowego Jorku.

- Pół miliona dolarów! - Wyprostowała się, pomachała kopertą i rzuciła ją mężowi. - Sam zobacz. To od Stasha, agenta Lili. Takiego zysku spodziewają się z premiery i chcą całość przekazać fundacji. Do tego jeszcze dostaniemy pieniądze za biżuterię Spyrosa.

- Tygrysia Lilia chce dołączyć do drużyny.

- Chyba tak, to miłe. Mimo tej całej sławy miała ciężkie życie. -Poganka opadła z powrotem na koronkowe poduszki. - Zawsze jest nieufna, podejrzewa ludzi, że ją wykorzystują... co rzeczywiście ciągle się zdarza. To okropne. Lili ma może trochę zbyt wielkopańskie maniery, ale poza tym jest urocza.

- Z całą pewnością jest hojną przyjaciółką. - Christopher pocałował Pogankę w czubek głowy. - Muszę uciekać. Trzymaj kciuki za nowy lek przeciw zapaleniu wątroby typu B. Albo spełni oczekiwania, albo będziemy mieli epidemię.

Włączając starego Rovera w strumień pojazdów zmierzających w kierunku południowym, Christopher pomyślał, że Poganka jest chyba jedyną znaną mu kobietą, która potrafiła obdarzyć szczerym współczuciem taką wyuzdaną gwiazdę jak Lili. Może Poganka ją rozumiała, bo obie pod oszałamiającą powierzchownością kryły brak pewności siebie, rozmyślał stojąc w korku pomiędzy dwiema ciężarówkami.

Jakaś furgonetka z pieczywem włączyła się na przodzie w sznur pojazdów, po czym gwałtownie z powrotem wróciła na dawny pas. Christopher stłumił w sobie wybuch gniewu. Piraci drogowi stanowili klasyczne źródło stresu; nie było sensu skracać sobie życia z powodu czyjejś fatalnej jazdy.

Poranna mgła kłębiła się nad wodami rzeki, kiedy kolumna samochodów wolno przesuwała się wzdłuż nabrzeża Tamizy, by zwiększyć prędkość po wydostaniu się na pas szybkiego ruchu. Może jednak się nie spóźnię, pomyślał Christopher, nadal uwięziony pomiędzy dwoma potężnymi tirami.

Nie zdążył zauważyć, że furgonetka z pełną szybkością minęła światła, wykonała nie sygnalizowany skręt w prawo i uderzyła czołowo w latarnię na kamiennej balustradzie biegnącej wzdłuż Tamizy.

Christopher usłyszał zgrzyt metalu i brzęk tłuczonego szkła, a potem głośniejszy huk, kiedy nadjeżdżający samochód wbił się w tył furgonetki. Nadepnał na hamulec w tym samym momencie, gdy jadąca przed nim pomarańczowa ciężarówka stanęła w miejscu, sycząc powietrzem z pneumatycznego systemu hamulcowego.

Zużyte tarczowe hamulce samochodu Christophera nie były tak sprawne i zorientował się natychmiast, że nie zdoła uniknąć uderzenia w tył ciężarówki.

Kierowca zielonego tira jadącego za nim zareagował zbyt wolno i najechał na tył starego samochodu Christophera. Siła uderzenia wbiła auto w potężną pomarańczową skrzynię. Rover zwinął się w harmonijkę, jakby był zrobiony z papieru. Kolumna kierownicy uderzyła w klatkę piersiową Christophera zgniatając mu żebra i serce na miążgę.

Odwieziono go do szpitala Świętego Stefana i umieszczono na oddziale intensywnej terapii.

Dwadzieścia minut później Poganka, wciąż w bladożółtej nocnej koszuli, trzymała bezwładną rękę męża.

- Obawiam się, że stan jest beznadziejny, lady Swann. - Doktor uznał, że może mówić otwarcie do żony lekarza. - Nawet gdybyśmy otrzymali organ do przeszczepu, nie byłoby go w czym umieścić... klatka piersiowa została całkowicie zmiażdżona. Jak przez sen Poganka podpisała zgodę na odłączenie aparatury podtrzymującej funkcje życiowe, kolejną na wykorzystanie szczątków Christophera do celów medycznych i w końcu trzecią, umożliwiającą działanie przedsiębiorcy pogrzebowemu. Było jej bardzo zimno i ku swemu przerażeniu, czuła złość. Jak on mógł to zrobić? myślała. Jak śmiał mnie teraz opuścić? A potem pomyślała jeszcze: Jak mogę nawet myśleć takie straszne rzeczy?

Oskarżenie o spisek matki z córką? A cóż to do diabła jest? - pytała w biurze PRZEBOJEM! Judy, zastanawiając się, czy aby dobrze zrozumiała słowa Toma.

- To, co słyszałaś - odparł. - Zarzucają wam, że obie z Lili uknułyście złośliwy spisek, żeby zniszczyć polityczną karierę senatora Ruskingtona.

- Przecież to śmieszne - zachnęła się Judy; wysokie obcasy wbijały się głęboko w brzoskwiniowy dywan, kiedy nerwowo przechadzała się po gabinecie.

- Oczywiście, że śmieszne. - Tom nie tracił cierpliwości. - Ale zarzut konspiracji jest wredny, Judy. To najbardziej niejasny i śliski teren w systemie prawnym. Zwykła rozmowa, nawet przez telefon, może być uznana za spiskowanie, jeśli znajdą się odpowiednie dowody. Fakt, że Lili wprowadziła się do ciebie, może się okazać fatalny, jeśli sędzia się do niego przyczepi. Mówiąc szczerze, niedobrze, że pozwoliłaś jej u siebie zamieszkać.

- Mamy z Lili mnóstwo do nadrobienia. Mój Boże! To jakaś farsa - złościła się Judy. - Kiedy Lili udzielała tego wywiadu, prawie jej nie znałam.

- Możesz to udowodnić? - przerwał Tom. - Musisz dziś przejrzeć wszystkie swoje papiery i poszukać w nich czegoś, co moglibyśmy przedstawić na piątkowym przesłuchaniu na poparcie twoich słów.

Judy odwołała wszystkie spotkania na to popołudnie i zabrała się do czytania ogromnego stosu dokumentów. Później jeszcze opróżniła prywatne archiwum, szuflady biurka, torebkę i aktówkę, szukając czegokolwiek przydatnego w tej sprawie. Skończyła o ósmej wieczorem, zupełnie wykończona całodziennym nerwowym napięciem.

- Niech szlag trafi tego starego hipokrytę - warknęła do Toma, wkładając kurtkę z rysiów. - Senator Ruskington zmarnował mi cały dzień pracy, że nie wspomnę już o wydarciu od nas ostatniego centa.

Tom pokiwał głową.

- Ta sprawa nas rujnuje, Judy. Będziemy musieli natychmiast dokonać cięć w wydatkach, ilu tylko się da, nawet tych najmniejszych.

- Co to znaczy - nawet w najmniejszych?

- Czy naprawdę potrzebny nam instruktor gimnastyki? Nie moglibyśmy zwolnić Tony'ego?

- Jeśli już musimy się ograniczać, to poszukajmy tańszej drukami. To będzie najłatwiejszy, najszybszy sposób zaoszczędzenia.

- I zgodzić się na gorszą jakość? Mówisz tak tylko dlatego, że jesteś wściekła, Judy.

- Ale to da naprawdę spore oszczędności, a nad jakością będę czuwać jak sęp.

Możemy podpisać kontrakt warunkowy z zastrzeżeniem dotyczącym jakości druku.

A to, co płacimy Tony'emu, to kropla w morzu pieniędzy, jakie wydajemy na

adwokatów. - Klepnęła dłonią w czapkę z rysiego futra. - Zajęcia gimnastyczne są korzystne dla kondycji zespołu. Jestem po nich zbyt zmęczona, by leżeć w nocy bezsennie martwiąc się tym cholernym senatorem.

- Ty? Leżeć bezsennie? - zdziwił się. - A cóż się stało z niezawodną pewnością siebie Judy Jordan?

- Nigdy nie byłam taka silna, jak ci się wydawało. - Głos Judy przybrał niższe tony.

Po raz pierwszy Tom zdał sobie sprawę z tego, jak głęboki jest niepokój Judy, i natychmiast zaczął ją pocieszać. Zartobliwym ruchem zmierzwił jej włosy. - Już nieraz bywaliśmy w opałach, Judy, a nadal jesteśmy na szczycie.

- No to będziemy dłużej spadać. Znikąd współczucia. Wszyscy oczekują, że będziesz jak skała. Czy Henry Kissinger przeplakał kiedyś bezsenną noc?

- Ty masz przynajmniej Marka - przypomniał jej Tom. - Mnie jest ciężiej bez Kate.

- Nie chcę obciążać Marka moimi życiowymi kłopotami.

- Czy to znaczy, że boisz się to zrobić? Boisz się, że on kocha tę wspaniałą Judy Jordan, podziwianą przez świat, a nie prawdziwą kobietę, jaką znam ja?

- Mark lepiej sobie radzi z wielkimi moralnymi zagadnieniami niż z przyziemnymi kłopotami. Nie mogę rozmawiać z nim o interesach, bo on ich nie rozumie. Nie rozumie, że w sądzie nie chodzi o sprawiedliwość, tylko o przestrzeganie pewnych zasad.

Tom z sympatią położył dłoń na ramieniu Judy, obleczonym puszystym futrem.

- Jakoś przetrzymamy tę bitwę.

- Skoro już mówimy o bitwie, co słyhać u Kate?

- Twierdzi, że problem jest o wiele poważniejszy, niż się spodziewała. To już nie jest wojna plemienna, tylko systematyczne ludobójstwo. Rząd Bangladeszu próbował zasiedlić wzgórze Chittagong własnymi obywatelami, wyrzucając stamtąd pokojowo usposobionych buddyjskich chłopów. Próbują pozbawić Kate wizy.

- Pomyśleć, że zanim Kate wyjechała, nie wiedziałam nawet, gdzie leży Chittagong. Judy pożegnała się z Tomem i ruszyła przed siebie długim korytarzem. Zobaczyła światło pod drzwiami sali konferencyjnej i otworzyła drzwi. W środku był Tony; błyszczący od potu, w szortach i kamizelce, ćwiczył przed lustrem serię szybkich obrotów i wymachów nogami.

- Jeszcze tu jesteś, Tony!

- Yhm. Przygotowuję nowe ćwiczenia na jutro. - Zrobił wysoki podskok. - Jak myślisz, czy dziewczętom się spodoba? Wydaje mi się, że są już na to gotowe. Powinny sobie poradzić. Jak myślisz?

Każdy, kto poświęcał pracy jeszcze więcej czasu niż ona, zyskiwał natychmiastowe uznanie Judy.

- Zatrudnienie ciebie było najlepszym posunięciem w moim życiu, Tony - zawołała, kiedy mijał ją w efektownym piruecie. Przy każdym obrocie z czoła spadały mu krople potu. Zakończył ćwiczenie przyjmując pełną ekspresji pozę - klęczał na podłodze z rozpostartymi ramionami, po czym wstał dysząc ciężko.

- Zatrudnienie się u ciebie było najlepszą rzeczą, jaką w życiu zrobiłem. Widziałaś moje zdjęcie w czasopiśmie „New York”? Mama pokazuje je wszystkim sąsiadom.

- Fantastycznie, Tony. Wszystkim się spodoba. Dziewczeta doceniają twój wysiłek. Tony otarł twarz ręcznikiem.

- Mówisz serio? Naprawdę im się to podoba?

- Jasne. I ty także, Tony. Dziwi cię to?

- Wiesz, tyle zainteresowania ze strony kobiet... może się człowiekowi przewrócić w głowie.

- Daj spokój - roześmiała się Judy. - Za takim ciałem dziewczyny musiały latać stadami.

- Wcale nie, kiedyś byłem typowym słabeuszem. Przede wszystkim dlatego zacząłem ćwiczyć.

- Trzeba przyznać, że nadrobiłeś zaległości, Tony. - Judy odwróciła się do wyjścia. - Nie siedź do późna.

- Mowy nie ma, zabieram dziś mamę na kolację.

- Wspaniały pomysł, Tony. Bawcie się dobrze.

Nie można by ich jakoś uciszyć? - burknęła matka Tony'ego. Elegancko ubrani goście restauracji przekrzykiwali się ze śmiechem, wymieniając przywitania i plotki pomiędzy stolikami. Kelnerzy sunęli cicho po wykładanej białymi kaflami podłodze roznosząc tace z jedzeniem.

- Tu przychodzą ludzie ze świata mody, mamó. - Tony miał nadzieję, że matka nie narobi mu wstydu. - Chciałem cię zabrać w ładne miejsce.

- Ładne! Mówisz o tych starych rupieciach dookoła? - Szyderczy śmiech wyrażał jej opinię o wystroju sali, w którym dominował chromowany metal i kożłęca skóra,

przeniesione do tego wnętrza z liniowca „Mauretania”, pływającego obiet d'art lat trzydziestych.

- Więc skoro masz już pracę, to możesz wyrzucać pieniądze!- matka Tony'ego wzięła do ręki wytworne menu. - Mogłabym to wszystko ugotować za jedną dziesiątą ceny! My z ojcem nigdy nie zmarnowaliśmy ani centa. Tak, to dopiero był oszczędny człowiek.

Tony jakoś nie zapamiętał tej oszczędności. We wspomnieniach z dzieciństwa tkwił obraz ojca bijącego matkę; Tony chował się wówczas pod wystrzępioną ceratą okrywającą kuchenny stół.

- Co będziesz jadła, mamo? Ja mam zamiar spróbować sałatki z krabów.

- Sałatka z krabów! A cóż to za jedzenie? Przecież lubisz kurczaki, Tony.

Tony przypomniał sobie liczne tłuste plamy na kuchennej tapecie. Każda z nich znaczyła miejsce, w które ojciec cisnął talerzem. Pieczone kurczaki najłatwiej było pobierać z podłogi. Tony nie znosił pieczonych kurczaków.

- Dobrze, mamo, zamówię kurczaka. A ty, na co masz ochotę?

Małe czarne oczka wwierciły się w kartę, z trudem odczytując nazwy potraw.

- Zjem hamburgera. Dlaczego nie pozwolisz mi nic przygotować w swoim nowym apartamencie, Tony?

Wiecznie krytykowała jego mieszkanie. Odparł szybko:

- Mam remont. Wszędzie pełno mokrej farby. - Tony nie mógł zrozumieć, dlaczego ta niska, wiecznie skrzywiona kobieta, mająca czterdzieści parę lat, lecz wyglądająca o dwadzieścia starzej, każdą próbę sprawienia jej przyjemności wykorzystuje jako pretekst, by go krytykować.

- Dlaczego sam nie robisz remontu? - Pomachała mu kartą przed nosem. Tony uniósł rękę, jakby się chciał zasłonić przed ciosem.

- A więc jesteś teraz zbyt ważny, żeby pomalować własne mieszkanie!

- zadrwiła. - Zawsze byłeś leniwy, wiecznie się tylko objąłeś. Siedzieli w milczeniu, dopóki nie podano jedzenia. Matka Tony'ego podejrzliwie nakłuła hamburgera widelcem.

- To mięso jest surowe!

- Jest po prostu soczyste, specjalnie je tak przyrządzono, mamo. -Tony poczuł, że robi mu się niedobrze, kiedy matka gderała i gderała podnosząc głos coraz bardziej, aż ludzie od sąsiednich stolików zaczęli odwracać głowy w jej stronę. Tak wyglądały wszystkie posiłki w dzieciństwie Tony'ego. Narzekała bo ojciec zawsze się spóźniał, a on odgrywał się narzekając najedzenie. Rozpętywała się kłótnia. Głosy były coraz wyższe, podnosiły się pięści, krzyki przechodziły w dziki wrzask, a na koniec jedzenie lądowało na ścianie. Posiłki były jedyną sytuacją, kiedy rodzina nie mogła uniknąć bycia razem, więc wykorzystywali ją na wzajemne atakowanie się, poniżanie, a często i ranienie, trafiając w swoje najczulsze punkty z dokładnością zdalnie sterowanych rakiet.

- Mamo, nie mów tak głośno - poprosił Tony.

- Ładnie się odzywasz do matki!

- Mamo, próbuję tylko zapewnić ci trochę rozrywki. - Kolejny raz Tony zastanawiał się, czy kiedykolwiek w oczach matki będzie dorosłym.

- Nie przerywaj mi, albo pożałujesz, że się w ogóle urodziłeś!

- Tony miał ochotę zwymiotować. W środku imponująco rozwiniętego ciała poczuł się znowu małym chłopcem, przerażonym nieprzewidywalnymi, sadystycznymi wybuchami matki. Małym chłopcem dręczonym bezzasadnym, dziecięcym poczuciem winy. Codziennie mały Tony słyszał ten jazgotliwy głos i śmiertelnie wystraszony chował się w najciemniejszych kątach mieszkania, żeby matka nie odkryła jakiegoś przewinienia w rodzaju plamy z masła na koszuli, nie dokończonych lekcji czy zaniedbania obowiązków domowych, stanowiącego powód do bicia.

Tony otworzył drzwi swego mieszkania i wyrzucił do śmieci torbę z domowymi ciastkami od matki. Jeszcze jedna pożywka dla karaluchów. Włączył na wideo film Captain Blood, rzucił się na nigdy nie ścielone łóżko i spojrzał na nocny stolik, na którym w srebrnej ramce stała podpisana fotografia Judy.

- Jak jej nigdzie nie zabieram, to ją zaniedbuję. Jak zabieram, to wyrzucam pieniądze! - poskarżył się z goryczą.

Czy ten Spyros nigdy nie zrezygnuje? - Lili wyjęła brylantową bransoletkę z dostarczonego właśnie kosza pełnego orchidei i rzuciła ją na krytą niebiesko-różowym jedwabiem sofę Judy. - Gdybym zatrzymała te wszystkie bransoletki od niego, mogłabym się już nimi obwiesić po łokcie.

- Szczęściara, co, Mark? - Judy wzięła do ręki lśniący pasek klejnotów, rozłożyła na śniadej dłoni i podziwiała.

Mark wzruszył ramionami nie odrywając oczu od trzaskających na kominku polan.

- To świecidełko mogłoby przez parę lat żywić afrykańską wioskę.

- Nie bądź taki przemądrzały! - Lili chwyciła bransoletkę i rzuciła ją Markowi. - Daj ją swoim Afrykańczykom - zarządziła. - Ja jej nie chcę, bo wiem, że to nie prezent, tylko próba przekupstwa. - Lili prychnęła ze złością. - Kiedy jeden z małych prezencików od Spyrosa pojawia się w koszu z kwiatami, obdarowana powinna paść plackiem na ziemię i płakać z wdzięczności. Zamawia te bransoletki u Cartiera hurtem, po kilka sztuk naraz. Dla niego są jedynie przedmiotem handlu.

- Jak paciorki i lusterka? - podsunęła Judy. - Używane przez konkwistadorów do wykupienia złota Azteków?

- Właśnie. - Lili miała na twarzy dziwny makijaż; przez całe popołudnie próbowała wymalować się na podobieństwo Mistinguett. Zdjęcie stanowiące wzorzec leżało na niskim stoliku z czerwonego marmuru, pośród rozrzuconych kosmetyków.

- Lepiej zmyj z twarzy te malowidła, bo spóźnisz się na koncert.

- Judy chwyciła mosiężny pogrzebacz i poprawiła wystające polano.

- Racja. - Lili wstała, przeciągnęła się i ruszyła do łazienki.

- Czy te przybory do makijażu nie będą ci przypadkiem potrzebne? - zawołała za nią Judy, co miało znaczyć „zabieraj ten bałagan z mojego salonu”.

- Ona ma skłonności do niechlujstwa, powinnaś zobaczyć, w jakim stanie zostawiła moje mieszkanie - odezwał się Mark.

- Cóż znaczy trochę nieporządku? Lili chciała się do mnie wprowadzić po to, żebyśmy się mogły lepiej poznać. - Dotknęła lekko długich, opalonych palców Marka. Delikatnie odsunął rękę.

- Tom mi powiedział, że trzymanie tu Lili to igranie z ogniem. Może ujemnie wpłynąć na wynik procesu.

Judy starannie odłożyła pogrzebacz na miejsce.

- Nigdy się dobrze nie poznamy, jeżeli będziemy się spotykać jedynie przy restauracyjnych stolikach czy w hotelach. - Odwróciła się, kiedy w drzwiach stanęła Lili w pięknej ciemnozielonej sukni z jedwabiu i kolczykach z opalami.

- Wychodzę.

Jeszcze długo po trzaśnięciu drzwi wejściowych w salonie unosił się zapach goździków. Mark żałował, że i on także nie może wyjść. Klasyczna pułapka, pomyślał z rezygnacją: jeśli wyjdę, Judy będzie się czuła odepchnięta, a jeśli zostanę, dojdzie do wybuchu. Siedzimy sobie i popijamy Perrier na uczuciowej bombie zegarowej. Ukradkiem wciągnął w nozdrza zapach goździków. Przed oczyma stanęło mu złociste ciało Lili wychodzącej z wanny.

Otworzywszy drzwi własnym kluczem Lili weszła do mieszkania i zaczęła rozpinąć aksamitny zielony płaszcz. Nie poszli jeszcze spać... słychać było ożywiony głos Judy.

- ...Ale dlaczego, Mark? Dlaczego przez cztery godziny na różne sposoby próbujesz mnie namówić, żebym poprosiła moją córkę o wyprowadzenie się stąd?

- Na miłość boską, czy ty nic nie rozumiesz, Judy? - Nie zauważona Lili słyszała błagalny ton Marka; zastygła w bezruchu z dłonią na sprzączce płaszcza.

Judy nagle zrozumiała.

- No jasne! Chyba byłam ślepa! Kochasz się w niej, prawda, Mark? - Jej głos stał się twardy. - Musiałam być ślepa!

- Nie chciałem cię zranić, Judy.

- Oj, to szkoda, złotko, bo właśnie to zrobiłeś - rzuciła mu w twarz. - Mężczyźni zawsze mówią, że nie chcą cię zranić, kiedy wymierzają ci śmiertelny cios.

- Nie chciałem też zranić Lili. Ona mi ufa. Nie chcę rujnować jej życia ani twojego, ani twoich stosunków z Lili. Swojego życia też nie chcę rujnować. - Mark starał się nie podnosić głosu. - Dla Lili jestem jedynym facetem, który nie próbuje jej ściągać majątek.

- Tyle tylko, że właśnie to miałbyś ochotę zrobić, co? - zakpiła Judy.

Po krótkiej pauzie Mark powiedział cicho:

- Skoro chcesz prawdy, to nie sądzę, żeby jakiś mężczyzna potrafił się oprzeć wyjątkowej zmysłowości Lili.

Lili spojrzała na swoje odbicie w ciemnym rokokowym lustrze. Co to jest, pomyślała, co takiego w sobie mam, co rzuca ten urok, to przekleństwo, na każdego mężczyznę, którego spotykam? Co to jest? Nie potrafię tego dostrzec. Dlaczego nie mogę tego po prostu wyłączyć?

Jakby czytając w jej myślach, Judy w salonie krzyknęła:

- Ja w niej nic nie widzę, ani żadna inna kobieta. I tym bardziej wkurzające jest widzieć, jak wy, mężczyźni, wszyscy robicie z siebie głupców z powodu Lili.

Patrząc na siebie w lustrze Lili uświadomiła sobie, że jest zmęczona rolą symbolu seksu, ma dość uznawania jej za zabawkę dla mężczyzn, dość tego, że jest idolką obu płci - nieznanymi mężczyznami, bo jej pożądamy i nieznanymi kobietami, bo chciałyby być

takie jak ona. Lili zrozumiała, że jej zabójczy urok jest przede wszystkim zabójczy dla niej samej.

- Czy Lili wie, co do niej czujesz? - Judy usiłowała zachować spokój; musiała poznać odpowiedź na to pytanie.

- Nie. I nie chcę, żeby wiedziała.

- A co ona czuje?

- Myślę, że mi ufa. - Zrobił pauzę. - Wydaje mi się, że traktuje mnie jak brata.

- Czy my dwoje żyjemy aby w tym samym stuleciu? - krzyknęła Judy. -

Rzeczywiście, braciszek się znalazł!

- Nie mam zamiaru niszczyć tej namiastki uczuć rodzinnych, jaką Lili kiedykolwiek miała.

Judy przerwała mu z goryczą:

- Cudownie. - Jej głos pobrzmiwał szyderstwem. - Tracę moje czasopismo, pieniądze, pracę, a teraz ty próbujesz zrobić wszystko, żebym straciła córkę i kochankę za jednym zamachem. I jakby tego było mało, jesteś pełen współczucia dla niej, nie dla mnie.

- Słuchaj, nie chcę Lili. Chcę ciebie. - Mark także podniósł głos do krzyku. - Ale chcę cię takiej, jaka byłaś dawniej.

Judy wyczytała w jego słowach ból i uwierzyła, że mówi prawdę. Widać uczucie do Lili przyszło wbrew jego woli.

- Tobie trudno współczuć, Judy. - Mark w końcu dał upust złości.

- Zmieniłaś się od czasu, jak cię poznałem. Byłaś taka miła. Ambitna, pracowita, przebojowa i twarda - zgoda. Ale miła. Byłaś uprzejma dla ludzi i silna. Dawałaś mi oparcie i wiarę we własne możliwości.

- Teraz ja potrzebuję oparcia - przyznała się Judy, nagle przestraszona i bezradna. Mark wreszcie był w stanie ocenić jasno swoje uczucia i ubrać je w słowa.

- Wygląda na to, że straciłaś wiarę w siebie, Judy.

- Co masz na myśli?

- Nie poznaję cię już. Sama mnie uczyłaś, że wiary w siebie nie nakłada się co rano jak jedwabnej koszuli, żeby zrobić wrażenie na innych. Wiara w siebie to świadomość, czego potrafi się dokonać, a czego nie. Chyba o tym zapomniałaś. Co się z tobą stało?

- Co się ze mną stało? - Judy nagle odzyskała spokój. - Boję się, że skończę jak moja matka, karmiąc kota, obserwując sąsiadów i czekając. Nie chcę być taka jak ona. Siedzieć bezczynnie przez całe życie, czekając, aż się skończy.

- Wiele by można powiedzieć o takim życiu. - Teraz Mark był zły. - Ale taka kobieta przynajmniej nie jest zazdrosna o własną córkę. - Nie mógł się oprzeć chęci zranienia nagle bezbronnej Judy.

- Powiedziałaś kiedyś, że zazdrość jest karą za przywiązywanie zbyt wielkiej wagi do wyglądu. Mówiłaś, że zawsze będą na świecie młodsze, piękniejsze kobiety. Powtarzałaś, że zazdrość nigdy nie będzie dręczyć kogoś, kto wierzy w siebie.

- Więc teraz wiem, że się myliłam! - krzyknęła Judy. - Chcesz wiedzieć, jak to jest, zostać matką w moim wieku i dowiedzieć się przy tym, że dziecko jest jedną z najpiękniejszych kobiet na świecie?

Ukryta w holu Lili nie chciała słyszeć ani słowa więcej, ale nie mogła odejść. Niezdolna się poruszyć, jak żaba w świetle reflektorów, zastygła w bezruchu. - Naprawdę chcesz wiedzieć, jak to jest, być matką Lili? - ciągnęła Judy. - Tak, jakbym się stopniowo stawała nikim! Jakbym się stawała niewidoczna. Powoli tracę tożsamość! Szybko natomiast tracę interes, który budowałam przez dwadzieścia lat. Tracę pracę, pozycję, pieniądze. Stoję w obliczu finansowej i zawodowej katastrofy. A rozpaczliwie boję się przegranej... bo jestem matką Lili. - Głos jej się załamał. - Wszystko wymyka mi się z rąk, jestem przerażona, Mark. - Wreszcie, zbyt późno, otwierała duszę przed swoim kochankiem.

Lili nie zauważona pobiegła do swojego pokoju. Miała twarz mokrą od łez. Nie mogła dalej słuchać, jak dwoje ludzi, na których jej najbardziej zależało, niszczy swój związek... z jej powodu.

Judy siedziała przy śniadaniowym stoliku pijąc swój codzienny odżywczy napój. Składał się z soku pomarańczowego, łyżeczki miodu i całego surowego jajka, a smakował lepiej, niż można by się spodziewać z opisu. Siła przyzwyczajenia kazała jej wstać jak zwykle o szóstej, choć tego ranka nie miała wiele do zrobienia, bo Mark wyprowadził się poprzedniego wieczoru, upychając swoje rzeczy do płóciennej torby. Był zmęczony i zły, że Judy nie chciała zrozumieć jego trudnej sytuacji. We własnym odczuciu Mark został ofiarą fałszywego oskarżenia o brak lojalności, choć starał się być szczerzy i wierny.

Nieskazitelną, pewną siebie Judy, ten dzielny mały dobosz, nagle zmieniła się w roztrzęsioną, załamaną kobietę i Mark po prostu nie umiał sobie z tym poradzić. Chciał jej pomóc, ale nie potrafił. Czuł, że jego obecność ją denerwuje, więc wyszedł. Wydawało się to lepszym rozwiązaniem niż czekająca ich całonocna kłótnia. Na odchodnym powiedział:

- Dbaj o siebie, Judy. - Zniknął za drzwiami, pozostawiając Judy pograżoną w gorzkich rozmyślaniach nad tym, dlaczego ludzie zawsze mówią: „dbaj o siebie”, kiedy sami nie mają już zamiaru o nas dbać. Nigdy w życiu tak bardzo nie potrzebowała mężczyzny, a teraz, kiedy tak chciała liczyć na Marka, on ją opuścił. Miał nadzieję, że uda mu się wyjechać służbowo do Nikaragui. Równie dobrze mógłby pojechać na Księżyc.

Akurat w chwili, gdy Judy skończyła pić swój odżywczy napój, zadzwonił Tom z biura PRZEBOJEM!

- Złe wieści, Judy - ostrzegł na wstępie.

- Wal śmiało, wytrzymam - odpowiedziała ich starym żartem, wymyślonym specjalnie na ciężkie czasy.

- Judy, nie jestem w stanie dłużej się wykręcać. Trzymałem z dala wierzycieli, jak długo się dało, ale ten numer, że czek już został wysłany, dłużej nie przejdzie. To już nie są tylko problemy z gotówką. Musimy coś wymyślić, i to szybko, Judy.

Tylko że już nic nie zostało do wymyślenia, pomyślała z goryczą Judy, podnosząc słuchawkę drugiego telefonu, który właśnie zadzwonił. Odezwał się Stash, agent Lili. Ze słuchawkami po obu stronach głowy, Judy powiedziała:

- Dzień dobry, Stash, chcesz rozmawiać z Lili? Wydaje mi się, że jeszcze śpi.

- Nie, chcę rozmawiać z tobą. - Miękki akcent Stasha zdradzał środkowoeuropejskie pochodzenie.

Judy rzuciła do drugiej słuchawki:

- Zadzwoń do ciebie później, Tom. Wróciła do rozmowy ze Stashem.

- O co chodzi, Stash?

- Czy czasopismo PRZEBOJEM! chciałoby być jednym ze sponsorów wyboru Międzynarodowej Miss Piękności w tym roku?

- Propozycja brzmi interesująco - rzekła Judy ostrożnie. - A na czym by to miało polegać?

- Chcą, żebyś była jedną z jurerek w Miami, a potem pojechałaś ze zwyciężczynią do Stambułu i Egiptu, skąd rozpoczyna się światowe tournee.

- Nie przywiązujemy w PRZEBOJEM! zbyt wielkiej wagi do tego rodzaju konkursów. Uważamy, że nasze czytelniczki mają na głowie ważniejsze sprawy niż dobór szminki. - Judy posłużyła się gotową formułką. - Tak czy inaczej, nasz program sponsorowania jest już na ten rok zamknięty. - Lata doświadczenia nauczyły Judy nigdy nie odmawiać wprost, nawet kiedy zwracano się do niej o pieniądze.

- Tu nie chodzi o dotację, nie musiałabyś wkładać ani centa. Oferują ci spory pakiet akcji w zamian za publikacje w czasopiśmie i firmowanie sprawy swoim nazwiskiem. Chcą zmienić klimat wokół konkursów piękności tak, by żadna kobieta nie mogła ich uznawać za poniżające.

- Jestem wdzięczna za propozycję, Stash, ale nie mogę wyjechać z Nowego Jorku.

- W dzisiejszych czasach można się znaleźć w Nowym Jorku w dwanaście godzin z każdego miejsca na ziemi, a twoje czasopismo pracuje w sześciotygodniowym cyklu, to nie gazeta codzienna...

Judy zastanowiła się przez chwilę. Stash wspomniał przecież o pieniądzach. Wzięła głęboki oddech i starannie kryjąc emocje, powiedziała:

- Zawsze liczyliśmy się z zainteresowaniami przeciętnych Amerykanek i ich ambicjami, a konkursy piękności niewątpliwie są jednym z najciekawszych zjawisk naszego wieku. Zakładając, że termin będzie odpowiedni, przypuszczam, że byłoby to w interesie nas wszystkich, choć być może będę musiała wracać, jeśli wynikną jakieś... służbowe problemy.

Po omówieniu szczegółów ze Stashem, Judy zadzwoniła do Toma.

- Cześć, tym razem chyba naprawdę będziemy mogli wysłać czek.

Kupiła od razu, tak jak mówiłaś. - Stash bez pukania wszedł do sypialni Lili. Był jak zwykle w płaszczu z wielbłądziej wełny i czarnych skórzanych rękawiczkach. Judy dawno wyszła do biura; Stash wiedział, że nikt nie może ich podsłuchać.

Lili pojękiwała rytmicznie. Japoński masażysta szybkimi naciśnięciami kciuków przebiegał tam i z powrotem wzdłuż jej kręgosłupa.

- Czy ci od konkursu są zadowoleni? - spytała. Masażysta odwrócił ją na plecy.

Stash spojrział na ciało Lili z aprobatą, wyrażającą zawodowe uznanie. Wiedząc, ile Lili potrafi zjeść, nieufnie sprawdził jej wagę, potem obejrzał ręce szukając ewentualnych śladów po igle, zmarszczonej skóry wskazującej na używanie środków

moczopędnych lub obrzmięń zdradzających picie. Tego rodzaju kontrole należały do obowiązków agenta. I tym razem, jak zwykle, rozśmieszyły Lili.

- Mówiąc szczerze, musiałem ich długo namawiać. Powiedzieli, że nie potrzeba im do szczęścia żadnego kobiecego czasopisma - wyznał Stash.

Lili ziewnęła.

- Jeśli chcą, żebym zasiadała w jury, to muszą wziąć PRZEBOJEM! na sponsora. - Japończyk zaatakował prawe udo Lili. - Och, Stash, zdecydowałam się wziąć jednak rolę Mistinguett.

Stash był zaskoczony.

- Myślałem, że nawet końmi nie odciągnę cię w tej chwili od matki! - Spoważniał. - Czas się wziąć z powrotem do pracy, Lili. Oboje wiemy, że nie dostanę procentu, jeśli przez sześć miesięcy nie będziesz pracować, ale nie możesz zniknąć z oczu na tak długo. Wiesz, jak kapryśna potrafi być publiczność i jak szybko o wszystkich zapomina.

- Owszem, ale myślałam, że zbliżenie z matką jest ważniejsze niż pieniądze czy sława. Teraz wiem, że najlepsze, co mogę zrobić dla matki, to wyjechać stąd.

- Dobrze, w takim razie zaaranżuję spotkania w Omnium. - Był bardzo zadowolony. To była nie tylko wielka rola dramatyczna, lecz także świetna okazja do pokazania muzycznych i tanecznych zdolności Lili. Będzie musiała szybko się przygotować, ale to był jedyny problem.

Lili usiadła na stole do masażu i wyjęła szylkretową spinkę chroniącą jej jedwabiste włosy przed zabrudzeniem stosowanym podczas masażu olejkami.

- Przyjemnie będzie spędzić lato w Anglii - powiedziała bez specjalnego przekonania. - Chociaż nie rozumiem, dlaczego właśnie w Anglii chcą kręcić film o francuskiej gwiazdce wodewilu.

Stash wzruszył ramionami.

- Może chodzi o sprawy podatkowe, może Omnium ma tam zablokowane jakieś fundusze, a może to wspólne przedsięwzięcie...

Rozdział siódmy

Marzec 1979

Z kaplicy Trelawney wyniesiono trumnę sir Christophera; na wieku leżała pojedyncza czerwona róża od Poganki i bukiet białych stokrotek od ich piętnastoletniej córki Sophii.

Mimo fatalnej pogody Poganka uparła się na przejście konduktu pogrzebowego z murowanej rezydencji do rodzinnej kaplicy. Od strony wybrzeża wiał ostry kornwalijski wiatr, przyginając do ziemi krzewy rododendronów, szarpiąc czarnym welonem Poganki i niemal wrywając parasole z rąk żałobników.

Poganka zdecydowała się na tradycyjny pogrzeb, co było powodem gwałtownej rodzinnej kłótni, kiedy Selma, współpracowniczka jej matki zauważyła, że skoro większość organów Christophera w stanie głębokiego zamrożenia oczekuje na sekcję w wykonaniu studentów medycyny, nie bardzo jest sens grzebać to, co pozostało.

Poganka wiedziała, co skłoniło Selmę do tej cynicznej uwagi. Selma pomogła jej matce zmienić zadłużony dwór w dochodowy ośrodek rekreacyjny. Mimo stosowania różnych podstępów nie udało jej się pozbawić Poganki prawa do dziedziczenia i nie mogła się pogodzić z myślą, że pewnego dnia cała posiadłość i cały interes będą należały do Poganki.

- Kochane, nie przyjeżdżajcie, chcę być sama - powiedziała Poganka stanowczo do Maxine i Judy. Stała więc teraz samotnie nad grobem męża. Deszcz uderzał w czarne płachty parasoli, kiedy trumnę opuszczano w żyzną, czerwoną kornwalijską ziemię.

Poganka wciąż nie mogła uwierzyć, że Christophera już nie ma, że po szesnastu latach jej szczególnej troski, spowodowanej stanem jego serca, mąż został zmieciony z powierzchni ziemi przez chwilę nieuwagi nieostrożnego kierowcy. Po latach prowadzenia badań nad rakiem zespół Christophera był bliski triumfalnego przełomu, lecz jemu zabrano radość z sukcesu, a jej zabrano męża.

Poganka czuła się dziwnie oddzielona od rzeczywistości, jakby obserwowała scenę pogrzebu ze szczytu małego siedemnastowiecznego kościółka. Wszyscy zebrani nad grobem, także ona sama, sprawiali wrażenie kukiełek. Kiedy ksiądz zaintonował żałobną pieśń, Poganka targana podmuchami wiatru zastanawiała się, czy jest jakiś złowrogi powód tego, że trawa na cmentarzu jest zawsze taka gęsta i zielona; małe żółte punkciki tojadu były ledwo widoczne w zwartej murawie.

Przy boku Poganki stała Sophia i cicho płakała w jedną z olbrzymich chusteczek ojca.

- Wybacz, mamó, ale nie mogę przestać płakać.

- Nie szkodzi, kochanie. Tatuś nie miałby ci tego za złe. Dlaczego ja nie płaczę, zastanawiała się Poganka. Zamrugła oczami próbując wywołać łzy, ale nie pomogło. Przecież powinnam płakać, mówiła sobie, straciłam jedynego mężczyznę, który mnie kochał. Próbowała myśleć o chwilach największej czułości spędzonych z Christopherem, lecz łzy nie chciały popłynąć. Śmiertelnie ranni żołnierze na polu bitwy często nie czują bólu. Podobnie niektóre wdowy nie mogą płakać. Choć mogą się wydawać zadziwiająco opanowane, wręcz obojętne, są jedynie znieczulone szokiem.

Nagły poryw wiatru wywinął na zewnątrz płótno parasola i zdarł jej z głowy czarny aksamitny kapelusz wraz z welonem. Niech diabli wezmą Boga, pomyślała, za to, że zabrał Christophera nie pozwalając mu dokończyć dzieła. Jak Bóg śmiał mi to zrobić?! Jak mógł? Tak się starałam. To niesprawiedliwe. Nie może się spodziewać, że się z tym pogodzę. Niby dlaczego? Zrobiłam tyle dobrego. (To znaczy, nie zrobiłam zbyt wiele złego... mniej niż inni ludzie.) Czego On jeszcze chce? Dlaczego właśnie mnie tak doświadczył?

Gdy żałobnicy rozjechali się do domów, Poganka wybrała się na swoje ulubione miejsce na szczycie urwiska.

Stary owczarek, Buster II, sapał przy jej nodze przedzierając się przez uschłe paprocie. Poganka usiadła na wymytej deszczem drewnianej ławce i przywołała w pamięci chwilę, kiedy się po raz pierwszy spotkali. Christopher siedział tutaj; ciemna postać odcinała się wyraźnie na tle szarego nieba. Poganka poczuła się

całkowicie bezbronna, jak duże dziecko. Nie czuła nic, ani żalu, ani bólu. Była odrętwiała. W głowie miała chaos; myśli rozpięzchały się we wszystkich kierunkach, jak spłoszone stado zwierząt. Przed oczyma stawały jej natrętne obrazy: przypominała sobie guzowate stopy męża, piegi na jego łysinie pojawiające się pod wpływem słońca i denerwujący zwyczaj głośnego chrupania miętówek. Poganka myślała: Jak Christopher śmiał mnie opuścić? Była oszołomiona i przestraszona własnymi odczuciami. Wydawało jej się, że znalazła się w bezkresnym czarnym tunelu... w dolinie rozpacz.

Przez następne trzy tygodnie Poganka była zadziwiająco spokojna odbywając narady z prawnikami, administratorami i księgowymi. Potem zaczęła zapominać różne rzeczy. Sekretarka Christophera dyskretnie wzięła na siebie zorganizowanie mszy żałobnej w kościele Św. Bartłomieja w Smithfield, po tym jak odkryła, że Poganka zapomniała zaprosić większość z bliskich przyjaciół męża.

Co rano Poganka słyszała odgłos wsuwanej przez szparę w drzwiach gazety i zastęgała w pełnym nadziei oczekiwaniu. Myślała wówczas: To nieprawda, to się nie stało. Bóg by na to nie pozwolił. Niczym sobie na to nie zasłużyłam. To musiał być zły sen. Christopher na pewno goli się w teraz w łazience.

- Czemu ja jestem cały czas taka okropnie zmęczona - narzekała do Sophii. - I dlaczego w tym domu jest tak zimno. - Siedziała owinięta starym perskim kożuchem przed buzującym kominkiem. - Christopher był taki wstrętny, nie pozwalając założyć ogrzewania.

Sophie postanowiła zachować dla siebie uwagę, że podczas gdy reszta Londynu cieszy się wyjątkowo pogodną wiosną, w ich salonie termometr wskazuje dwadzieścia pięć stopni.

Dwa dni później Sophia wróciwszy ze szkoły w St Paul zastała matkę bladą, lecz opanowaną, kopiącą dół w rogu ogrodu. Martwe ciało Bustera leżało pod platanem.

- Zapomniałam zabrać smycz i ten głupi pies pobiegł za kotem... prosto pod koła motocykla. Bóg jeden wie, czym zasłużyliśmy na dwie śmierci na drodze w ciągu miesiąca. Zresztą czas Bustera i tak dobiegał końca, miał prawie dwadzieścia lat. Życie wydawało się Pogance czymś nierealnym. Żyła we śnie, z którego miała nadzieję wkrótce się obudzić. Wszelkie działania były bezcelowe. Ludzie się nie liczyli. Nic nie miało sensu. Po co żyć?

Następnego dnia policja zatrzymała stare MGB Poganki, jadące z prędkością prawie stu mil na godzinę ruchliwymi ulicami Landbroke Grove. Nie potrafiła sobie przypomnieć numeru rejestracyjnego swojego samochodu.

- Mam w pamięci tylko te wielkie czarne dziury, panie oficerze - wyjaśniła, ale on wyraźnie nie zrozumiał. Dureń.

- Naprawdę uważam, kochanie - powiedziała tego wieczoru do Spohii - że twój ojciec mógł wybrać lepszy moment, żeby nas opuścić. Nie mam pojęcia, jak chciał zadysponować pieniędzmi z premiery. W jego papierach nie ma też żadnych wskazówek, kogo wybrać na nowego dyrektora fundacji. Dlaczego, do licha, ja mam się tym wszystkim zajmować? Niby co mam z tym zrobić? - Krążyła nerwowo po różowym pokoju z wzorem horensji na tapecie zastanawiając się, z kim mogłaby porozmawiać. Z kim będę pracować? Z kim będę się dzielić myślami? Kto zna moją

przeszłość, moje dowcipy, moje obawy? Z kim mam spędzić Boże Narodzenie? - Co ja mam teraz zrobić? - dokończyła głośno.

- Mówisz jak babcia - powiedziała ostro Sophia, mając nadzieję, że ta niewybaczalna obelga wstrząśnie Poganką i z rozpaczającego automatu na powrót uczyni trochę narwaną ukochaną matkę. Poganka puściła słowa córki mimo uszu. Włączyła telewizor i z pudełkiem czekoladek w rękę oglądała jakiś prymitywny teleturniej. Sophia wybiegła z pokoju wybuchając płaczem. Czarna otchłań paniki zaczęła ogarniać Pogankę, kiedy usłyszała, że Mona z Chipping Norton wygrała stolik na kółkach, urządzenie do masażu twarzy i wielką figurę Kaczora Donalda. Co się ze mną dzieje, zastanawiała się Poganka. Dlaczego nie mogę zapanować nad własnymi myślami? Patrząc na Monę, która piszcząc z radości zawisła na szyi równie radosnego męża, Poganka myślała: Dlaczego nie mogę się zachowywać tak, jak bym chciała? Dlaczego wciąż o czymś zapominam? Kiedy Mona, nie mogąca sobie przypomnieć nazwiska plantatora orzeszków, który zamieszkiwał w Białym Domu, została bezceremonialnie wyproszona ze sceny, Poganka przestraszyła się, że ogarnia ją szaleństwo. Może powinna pójść jutro do lekarza? Nie wiedziała, że cierpi na klasyczne objawy osierocenia, że przedziera się do wyjścia przez tunel śmierci. Następnego dnia rozejrzawszy się po kuchni postanowiła jednak nie szukać porady lekarza. Nie ma sensu ratować tak bezużytecznej istoty jak ja, zdecydowała, przechodząc z szoku w depresję. Doktorzy są dla kobiet naprawdę chorych, a nie takich, które nie mają w sobie dość dyscypliny, by się pozbierać do kupy. Rozglądała się po przytulnej kuchni, patrząc na wiązki rozmarynu i tymianku z Trelawney zwisające z sufitu, mocno zużyte garnki, ręcznie wyrabiane ceramiczne dzbanki, koszyk brązowych kornwalijskich jajek i drugi, pełen świeżych jarzyn. Delikatny porcelanowy serwis obiadowy z różową obwódką, odziedziczony w dniu ślubu, stał w rzędach na półkach kredensu. Jaki jest sens w upiększaniu kuchni, zastanawiała się. To przecież tylko warsztat obróbki żywności, wyposażony w piękną porcelanę. Talerze kiedyś w końcu rozpadają się na kawałki, choćby się nie wiem jak je lubiło. Wszystko w końcu się rozpada. Poganka wyjęła z kredensu jeden z deserowych talerzyków, otworzyła okno, wyrzuciła talerzyk i patrzyła, jak się rozbija przy wejściu do piwnicy. To właśnie stało się ze mną, pomyślała. Moje życie jest rozbite jak ta chińska porcelana.

Pół godziny później Sophia stała w kuchni i patrzyła na puste półki kredensu.

Otwierając drzwi wejściowe widziała stos potłuczonej porcelany.

- Mamo, chcę pojechać na ferie do Jane do Toskanii. - Wyzywającym ruchem odgarnęła z twarzy kosmyki kasztanowatych włosów, prowokując matkę do zainteresowania się nią, do tego, by się odezwała: „O nie, nie pozwalam! Zostaniesz ze mną”.

- Jak chcesz, kochanie - rzuciła Poganka z roztargnieniem.

- Mamusiu, nie mogę cię już takiej znieść. Wyjeżdżam - krzyknęła Sophia. Poganka nie zareagowała, kiedy córka rzuciła się do swojego pokoju, upchnęła w płóciennej torbie dwie bluzki i magnetofon i wybiegła z domu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Dom nagle wydał się dziwnie cichy i pusty. Poganka wyjęła z kuchennej szafki butelkę brandy i przyłożyła ją do ust. W sobie, w środku, również czuła pustkę.

Jestem nic niewarta, nikomu na mnie nie zależy i nikomu już nie będzie zależało. Nie chcę żyć. Życie jest moim wrogiem, śmierć przyjaciółką. Przyszłość jawi się czarno i beznadziejnie i jest przerażająca.

Do północy wypija jeszcze zapasy ginu, whisky i wermutu znalezione w barku, a na koniec likier z wrzosowego miodu. Potem zwymiotowała do kuchennego zlewu.

Wreszcie pomyślała: „Nie pozwolę, żeby się to powtórzyło”. Zadzwoiła do klubu anonimowych alkoholików, żeby się dowiedzieć terminu najbliższego spotkania w krypcie kościoła na Trafalgar Square.

No, zaczynamy... pchaj we mnie, mocniej... mocniej... Do licha, schowasz ty to? - Dźgnął Lili wyprostowanym palcem w żołądek. Lili przymknęła oczy i z całej siły wciągnęła mięśnie brzucha.

- Bardziej płaska już nie będę - syknęła przez zaciśnięte zęby.

- Masz za bardzo napiętą szyję, rozluźnij się. - Trener jeszcze raz przygiął Lili nogi do piersi i oparł się na nich całym ciężarem.

- Jak z tobą skończę, będziesz miała plecy jak Makarowa. Dobrze, wystarczy. Teraz ciężarki.

Lili przeszła przez salę ćwiczeń do specjalnie przygotowanego łóżka. Na zewnątrz strugi deszczu uderzały w szybę świetlika. Miała serdecznie dość zimy w Nowym Jorku.

- Lepiej ci idzie na zajęciach z baletu?

- Nauczyciel posługuje się mną do demonstrowania figur. - Lili zapięła w kostkach czarne skórzane pasy z ciężarkami.

Trener nie miał powodu jej nie wierzyć. Jeszcze miesiąc temu Lili była w bardzo słabej formie, lecz zaskoczyła go umiejętnością szybkiej koncentracji i wytrzymałością. Przyzwyczajony do trenowania zawodowych tancerek, rzadko spotykał się z takim zdyscyplinowaniem u aktorki. Wiedział, że może być wobec niej wymagający, bo będzie się buntować i starać jeszcze bardziej, podczas gdy większość jej koleżanek wpadała w histerię i więcej ich nie oglądał.

- Jeszcze się nie nadajesz do Folies Bergere, Lili. - Pchnął ją na łóżko do ćwiczeń, gdzie ułożyła się na prawym boku podkurczając prawą nogę, a lewą wyciągając prosto przed siebie.

- Dobrze, w górę i na dół pięćdziesiąt razy - zarządził trener.

- Nadal masz za słabą lewą nogę. - Poprawił ułożenie jej bioder i obserwował, jak wytrwale macha nogą.

- Spójrz, zmieniasz się. - Pomógł jej wstać i pokazał w lustrze długie cienkie pasma mięśni uwydatniające się na jej udach, dołki w pośladkach i napiętą skórę pod piersiami, gdzie formowały się silne mięśnie brzucha. Wszystko szło jak najlepiej. Do maja Lili miała być w odpowiedniej formie do roli w Najlepszych Nogach.

Budynek starego londyńskiego kina został specjalnie udekorowany na okoliczność rockowego koncertu. Wyglądał teraz jak gigantyczna czerwona paczka obwiązana srebrną wstążką. Czerwona folia opakowania łopotiała na wietrze, niebezpiecznie napinając nylonowe linki, które przytrzymywały ją na właściwym miejscu. Przy

każdym porywie wiatru liny uderzały głośno o wielką żółtą planszę z napisem: ANGELFACE HARRIS: W PREZENCIE. TOURNEE PO ANGLII ZACZYNA SIĘ DZISIAJ. BILETY NA 5 KWIETNIA SPRZEDANE.

Eddie pomyślał z zadumą, że życie agenta było o wiele łatwiejsze w starych dobrych czasach punka, kiedy wprawdzie wszyscy byli splukani, ale wierzyli w to, co robia, a jedyne, co musiał organizować znający się na publiczności agent, to aresztowanie jednego z członków zespołów na początku tournée - wtedy zabawa rozkręcała się sama.

Kiedy zbliżył się do garderoby gwiazdy, drzwi nagle otwarły się z hukiem i na korytarz wypadła dziewczyna z podbródkiem zalanym krwią.

- Ty pieprzona krowo - wrzeszczała, odgarniając kosmyki czarnych włosów z pobladłej twarzy. Wstała podtrzymując się ściany i obciągnęła skórzaną minispódniczkę na szczupłutkich udach. - Ty pieprzona gruba londyńska dziwko! - Dotknięciem ręki sprawdziła srebrny łańcuszek, zwisający z lewego nozdrza. Drugi koniec łańcuszka zaczepiony był w uchu, a środek zwisał luźnym łukiem przez lewy policzek. - Co ty sobie, do kurwy nędzy, wyobrażasz?

Pomarańczowa plastikowa torba z przegródkami wyleciała za nią przez drzwi garderoby. Upadając na podłogę otworzyła się i ze środka wysypały się farby, kłębki brudnej waty, błyszczące pudry i żele w kilkunastu jaskrawych kolorach.

- Jestem jego żoną, skarbie, lepiej, żeby nikt o tym nie zapominał!

- W progu ukazała się drobna kobieta ubrana w sięgające ziemi futro z białych lisów.

- Więc zabieraj stąd swój chudy tyłek, zanim zrobię ci coś złego.

- Czy to żona z tego tygodnia, czy może z poprzedniego? -zadrwiła dziewczyna w mini. - A może chodzi o jeden z tych wyjątkowych związków Angelface'a i czeka cię cały miesiąc małżeńskich więzów? Ktoś powinien zorganizować wielki zjazd byłych wybranek Angelface'a... najlepiej na stadionie Wembley.

Zapadła chwila pełnej napięcia ciszy, po czym Maggie, czwarta żona Angelface'a Harrisa, zrobiła krok na sześciocalowych obcasach srebrnych kowbojskich butów i podniosła filigranową rączkę do twarzy dziewczyny. Nie wymierzyła jej jednak policzka, tylko zaczepiła dwa palce o srebrny łańcuszek biegnący od nosa do ucha i mocno pociągnęła. Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie; krew trysnęła jej z nosa zalewając cały przód ubrania szerokim strumieniem.

Eddie przeklinając ruszył biegiem przed siebie, odepchnął Maggie i zaprowadził krwawiącą mocno dziewczynę do małego pomieszczenia za sceną, gdzie dwaj ochotnicy z Czerwonego Krzyża z braku innego zajęcia oddawali się lekturze.

Eddie wyciągnął radiotelefon z tylnej kieszeni spodni.

- Kev... dziewczyna od makijażu miała wypadek. Podjedź samochodem do tylnych drzwi i zabierz ją do szpitala. Pod drzwiami garderoby Angelface'a jest mały bałagan. Niech ktoś to przyjdzie posprzątać.

Wszedł do garderoby i kiwnął dłonią do Angelface'a, który stał przed lustrem kończąc nakładanie makijażu. Miał na sobie jedynie baletowy ochraniacz - niewielką elastyczną miseczkę zakrywającą genitalia, przytrzymywaną na miejscu tasiemką biegnącą pomiędzy wklęsłymi pośladkami.

- Wszystko w porządku? - Angelface uniósł anielskie brwi, otworzył szeroko niewinne błękitne oczy i odłożył egzemplarz „Daily Mail”. Mimo smug czerwonej farby na policzkach jego twarz miała wyraz łobuzerskiej zadziorności. Eddie obrzucił wzrokiem białe, umięśnione ciało i zaczął się zastanawiać, na czym polega sekret legendarnej, nie przemijającej młodości Angelface'a. Na czymkolwiek on polega, chciałbym mieć trochę tego dla siebie, powiedział sobie w duchu Eddie. Angelface wcisnął się w czerwono-srebrny pasiasty kostium, a potem nałożył na wierzch szeroki srebrny kołnierz naszywany błyszczącymi szkiełkami, wystający daleko poza szczupłe ramiona. Tym sposobem Angelface miał sylwetkę kulturysty.

Sekretem muzycznej kariery Angelface'a było rzecz jasna to, że zawsze trzymał się, jak pijawka, ducha rock and rolla, który stanowił mieszankę czarnego amerykańskiego bluesa i amerykańskiej muzyki country. Angelface należał do oryginalnych muzyków rockowych z lat pięćdziesiątych. W latach sześćdziesiątych zmienił wizerunek i występował jako solista zespołu Ciemne Anioły. Za każdym razem, gdy rock and roll brnął w ślepią uliczkę, kariera Angelface'a wisiała na włosku. W 1967 pogrzebał go rock psychodeliczny, ale już w 1977 Angelface znalazł się z powrotem na topie, a na łamach czasopisma „Rolling Stone” zastanawiano się, ile razy jeszcze ten uroczy stary szarpidrut potrafi się odradzać na nowo, ponieważ Angelface wypłynął znowu na fali punk-rocka, tym razem w czarnej skórze nabijanej ćwiekami.

To w zasadzie całkiem proste, pomyślał Eddie. Za każdym razem, gdy kolejne pokolenie odkrywa rock and rolla, poznaje przy okazji Angelface'a. Był o dwa lata starszy od Micka Jaggera, a wyglądał tak samo efektownie i szczupło jak w dniu, gdy pierwszy raz stanął w światłach rampy.

Maggie zapięła na nadgarstkach męża błyszczące srebrne mankiety, a potem przymocowała srebrne skrzydełka do jego butów, jakby odziedziczonych po Fleshu Gordonie. Angelface pochylił się do lustra i parę razy niepewnie przeciągnął po brwiach czarnym tuszem.

- Nie znoszę sam sobie robić makijażu, Maggie - warknął do obłoków białego futra kryjących jego nadaśnaną żonę. - Wolalbym, żebyś trzymała ręce z daleka od tej dziewczyny, dopóki nie skończy z moją twarzą. Wiesz, że nigdy nawet nie tykam takich wycirusów jak ona.

- Brudna suka, zachlapała mnie krwią - mruknęła żona ścierając gąbką kroplę krwi z białego futra. - No dobrze, to ja lecę do fryzjera zrobić się na bóstwo na dziś wieczór.

Po jej wyjściu Angelface wciągnął do środka początki brzucha i jeszcze raz zerknął w lustro. Czasami miał wątpliwości, czy Maggie jest zupełnie normalna. Dziewczyny wprawdzie zawsze były chętne i pod ręką, ale Maggie przesadzała z okazywaniem zazdrości. W zeszłym tygodniu podpaliła włosy innej dziewczynie tylko dlatego, że dotknął jej tyłka schodząc za sceny. Jedno pstryknięcie zapalniczką i dziewczyna nadawała się do szpitala. A w tym tygodniu rozrywa tej małej nos na połowę. Cholera wie, co może jej strzelić do głowy następnym razem? Rozmyślając nad tym niepokojącym problemem Angelface podniósł słuchawkę i wykręcił numer do Nowego Jorku.

- Judy? Tak, to znowu ja. Nareszcie cię złapałem. Słuchaj no, nie rzucaj słuchawkę, bo wynajmę prawnika, żeby się zajął tą sprawą... Powiem ci, po co dzwonię. W „Daily Mail” piszą, że za miesiąc Lili ma kręcić film w Anglii. Mówiłem ci już, że nie wierzę... Wiesz dobrze, że nie mogłem ci pomóc, kiedy dziecko się urodziło, bo byłem tak samo bez pieniędzy jak ty, ale dzisiaj to co innego, Judy. Dzisiaj jestem wart jedenaście milionów i chcę poznać moją córkę. Chcę poznać Lili. Co to znaczy - nie mogę. Mam do tego prawo. Nie mów mi, że nie mam do niczego prawa. Trochę za późno mówić mi, że nie jestem jej ojcem, a zresztą i tak ci nie wierzę, Judy... więc nie wciskaj mi znowu tego kitu o nieregularnych miesiączkach i pomyleniu daty. Mam dobrą pamięć, Judy, pamiętam, że za mną szalałaś. Judy, miałem nadzieję, że będziesz miła, ale skoro nie jesteś, to ci powiem. Po pierwsze, wiem, że jestem jej ojcem. Przecież jest do mnie podobna, nie? Po drugie, mam zamiar się z nią spotkać w tajemnicy przed tobą... bo chcę się przekonać, czy mnie lubi, zanim powiem jej tę wielką nowinę. Nie powstrzymasz mnie, Judy, więc przestań się wydzierać, bo pożałujesz. To wszystko, co ci miałem do powiedzenia. - Angelface rzucił słuchawkę na widełki.

Na Manhattanie Judy rzuciła słuchawkę na widełki.

W sąsiednim pokoju ktoś ostrożnie, cichutko odłożył słuchawkę drugiego aparatu.

Lili z furją przebiegła przez kawiarnię, wyrwała mężczyźnie z ust zapalonego papierosa i uderzyła go w twarz. Rozwścieczony zuchwalstwem mężczyzna zabrał jej papierosa z wydętych ust. Lili z powrotem mu go odebrała, więc pchnął ją na podłogę pod stare pianino, obrzucając wyzwiskami, kiedy próbowała się podnieść. Potem chwycił ją za ramię i gwałtownym szarpnięciem przyciągnął do siebie w słynnym apaszowskim tańcu Mistinguett. Lili kopnęła partnera; on wymierzył jej brutalny cios w głowę. Znowu upadła na podłogę i znowu się pozbierała. Napłuła mu w twarz, na co on zerwał z niej spódnicę; tańczyli odgrywając małżeńską kłótnię. Na koniec Lili padła do nóg partnera w akcie masochistycznej namiętności.

- Cięcie! - krzyknął Zimmer. Obsługa techniczna i obserwujący scenę tancerze lekkimi brawami wyrazili swe uznanie. Zwierzęca, magnetyczna zmysłowość Lili nasyciła apaszowski numer niezbędną ekspresją.

- Zimmer! - zawołała Lili, wciąż rozciągnięta na podłodze zainscenizowanej francuskiej kawiarni. - Naprawdę muszę uderzyć go tak mocno?

- Jasne - odkrzyknął Zimmer. - Ta scena musi być mocna i brutalna. Chodzi w niej o odwieczną walkę płci. Musisz go bić mocno, bo bijesz w imieniu wszystkich ciemżonych kobiet na ziemi, pamiętaj! Na dzisiaj koniec, dziękuję wszystkim.

Zimmer skinał głową.

- Akcja! - Rozległ się klaps.

Trzydzieści sześć dziewcząt w cielistych rajstopach, podnosząc trzyjardowe białe strusie pióra, schodziło po lustrzanych schodach; wysokie diademy z piór kołysały się przy każdym kroku.

Na szczycie schodów ukazała się Lili. Miała na sobie skrawek wyszywanego świecącymi kamykami tiulu, równie błyszczący pas cnoty i ogromny niebieski pawie ogon.

- Cięcie! - wrzasnął Zimmer. - Co ty masz na nogach?
- Rajstopy - odkrzyknęła Lili w czarną czeluść za rzędem oślepiających reflektorów.
- Zmień je, nogi mają błyszczeć! - złościł się reżyser. - Pięć minut przerwy dla wszystkich!

Znalazłszy się z powrotem w garderobie Lili zdjęła z nóg siatkowe rajstopy.

- Powinna była cię posłuchać, Guy. - Guy Saint Simon był osobistym kostiumologiem Lili zatrudnionym przy realizacji Najlepszych Nóg.
- Wścieka się, bo jest bardzo przejęty - łagodził Guy. - Ten film jest najdroższy ze wszystkich, jakie dotąd nakręcił. Chce, żeby twoje nogi miały ten lśniący, gładki wygląd z lat dwudziestych. Spróbujmy przymierzyć jedwabne.

Ostrożnie wciągnęli na nogi Lili trzy pary jedwabnych rajstop. Lili zapięła błyszczący pas cnoty, Guy przymocował we właściwym miejscu pawie ogon i oboje spojrzeli w lustro.

- Moje nogi wyglądają teraz jak parówki! - zmartwiła się Lili.
- Mistinguett musiała mieć nogi jak patyki, żeby móc nakładać trzy warstwy - przyznał ze smutkiem Guy.

Lili jeszcze raz ruszyła w dół po schodach.

- Cięcie! - rozdarł się znowu Zimmer. - Twoje nogi wyglądają jak saucissons.
- Życzyłeś sobie autentycznego kostiumu Mistinguett - broniła się głośno Lili. Technicy zaczęli ziewać z nudów, kiedy ogłoszono kolejną przerwę. Lili odpięła niewygodny ogon i podbiegła do krawędzi sceny. Piersi podskakiwały pod sztywnym od świcidełek stanikiem.
- Gdzie jesteś, Guy? - Wypatrywała w mroku projektanta. - Chodź szybko, mam pomysł. - Umieszczone w podłodze światła rzucały dziwne cienie na twarz Lili i obleczone lśniącym jedwabiem nogi, kiedy pochyliła się do przodu, by lepiej widzieć.
- Czyż ona nie wygląda jak z wczesnego obrazu Toulouse-Lautreca? - mruknął do swego gościa Zimmer, który kolekcjonował francuskie malarstwo o tematyce teatralnej.
- Yhm - potwierdził Angelface Harris. - Tego karła. Angelface zrezygnował z nienagannego brytyjskiego akcentu.

Używał niepoprawnej składni i nieprawidłowo artykułował samogłoski. Jak wielu piosenkarzy, nie wymawiał głoski h i naśladował pseudoproletariacki akcent ze wschodnimi naleciałościami.

Angelface siedział nieruchomo i nie odzywał się, kiedy Lili odgarnęła włosy do tyłu i jeszcze raz zawołała na kostiumologa. Była najpiękniejszą dziewczyną, jaką w życiu widział. I najbardziej seksowną, dodał w myślach, patrząc na prześwitujące przez błyskotki ciało.

- Czy ktoś ją pieprzy? - spytał nagle Angelface.

Nie może się doczekać, żeby się do niej dobrać, pomyślał Zimmer wzruszając ramionami.

- Nie mam pojęcia. Nie możesz się z nią dzisiaj zobaczyć. Nie wolno jej rozpraszać. Lecz Angelface nie kierował się żądzą. Przeciwnie, poczuł nagle gwałtowną chęć zmiążdżenia każdego, kto ośmieliłby się pieprzyć jego córkę.

Po dwudziestu minutach, z piórami znów wystającymi z właściwego miejsca, Lili po raz kolejny ruszyła schodami w dół. Jej nogi błyszczały dzięki cienkiej warstwie olejku.

- Znakomicie - pochwalił Zimmer, gdy Lili dotarła na czoło sceny i zaczęła śpiewać C'est Paris... do kołyszącego się nad jej głową mikrofonu. Mocny, trochę gardłowy głos roznosił się po pustej widowni; zyrandol zawirował, a trzydzieści sześć tancerek powiewając ogonami z piór ruszyło po scenie.

- Ona umie śpiewać. - Angelface aż się uniósł na krześle ze zdziwienia. - Ma doskonałą frazę. Ma w głosie tę szorstkość, jaka na ogół nie zdarza się młodym dziewczętom. To jest mocny, zmysłowy głos, wcale nie przesłodzony. - Angelface nie spodziewał się, że Lili będzie umiała śpiewać. Wiedział tylko, po kim odziedziczyła głos.

- Cięcie! - krzyknął gniewnie Zimmer. - Mikrofon w kadrze. Praca posuwała się dalej. W przeciwieństwie do reszty zespołu Lili brała udział w prawie każdej scenie i kiedy zdjęcia zakończyły się wreszcie o dziewiątej wieczorem, była zbyt wyczerpana, by słuchać jakichkolwiek uwag. Lewa powieka zaczęła jej leciutko drgać, jak zawsze przy wielkim zmęczeniu. Mimo to Zimmer pojawił się w jej garderobie z plikiem notatek.

- Chodzi o twój śpiew, Lili.

- Przykro mi, że nie wzięłam tego wysokiego g — pospieszyła z usprawiedliwieniem.

- Zdarza mi się to, jak jestem zmęczona.

- Całe twoje śpiewanie jest niedobre. Mistinguett miała głos jak betoniarka. Ty śpiewasz za dobrze. Chcę, żebyś chrypiała!

Trzy miesiące lekcji śpiewu... Po co się tak przejmowałam?

- Jeśli chcesz, żebyś śpiewała jak Louis Armstrong, możesz zdubbingować mój głos betoniarką.

Miesiąc później kręcili plenery i Lili nie musiała się już wysilać, by nadać swojemu głosowi chrypiące brzmienie, bo sam ochrypl z przeforsowania. Z gardłem owiniętym szalikiem, by ochronić je przed wilgotnym powietrzem majowego wieczoru, Lili spacerowała samotnie po polach.

Bolały ją mięśnie łydek, a nadwerężone ścięgna boleśnie zaprotestowały, kiedy przechodziła górą przez wysoką bramę.

Lili była fizycznie wyczerpana, ale miała powody do zadowolenia. Na półmetku film prezentował się obiecująco, choć była świadoma, że o sukcesie nie można mówić, dopóki nie zobaczy się na ekranie końcowych napisów. Film może zostać zniszczony w obróbce, źle zdubbingowany albo paść ofiarą wewnętrznych rozgrywek filmowej mafii i nigdy nie doczekać się premiery. Jednakże zdjęcia szły dobrze i taka też była atmosfera na planie. Wszyscy wiązali z przedsięwzięciem duże nadzieje. Zimmer nie był już taki spięty jak na początku, a tego dnia zdobył się nawet na powściągliwą pochwałę. Znów stawał się tym miłym, życzliwym kolegą, który pierwszy dostrzegł w Lili prawdziwą aktorkę i potrafił wydobyć z niej więcej możliwości niż każdy inny reżyser.

Jaskółki latały na tle zaróżowionego zachodem słońca nieba, gdy Lili dotarła do błotnistej drogi. Po obu stronach płynęła rowami woda, skarpy były porośnięte

niebieskimi dzwonekami, a z gałązek paproci skapywały kropelki wody. Anglia jest piękna, kiedy deszcz przestaje padać, pomyślała Lili przystając, by poprawić chustkę na głowie. Wysłuchana w świergot jaskółek nie zwróciła uwagi na ciche brzęczenie w oddali, dopóki nie przeszło w ryk i zza zakrętu naprzeciw niej nie wyskoczył jakiś czarny kształt, rozpryskując spod kół wodę i błoto. Lili krzyknęła z przestachu i uskoczyła na skarpe.

Samochód minął ją i zatrzymał się kilkadziesiąt jardów dalej. Wyskoczył z niego mężczyzna w brudnym kombinezonie. Biegł w stronę Lili, wołając:

- Nic się nie stało?

- A właśnie, że się stało! - odkrzyknęła ze złością, kiedy się do niej zbliżył. Ten osioł mógł ją przecież zabić.

- Najmocniej przepraszam. - Pomógł jej wstać. Jęknęła z bólu. Zaczęła wyciągać gałązki jeżyny z włosów, a on w tym czasie ciągnął: ~ Nie spodziewałem się nikogo na tej drodze, to prywatny teren.

W tej okolicy jest zawsze pusto w maju... nawet w sezonie zjawiają się tu tylko turyści. Jesteś na wakacjach?

- Nie, pracuję i nie mogę sobie pozwolić na złamanie nogi. Czemu nie patrzysz, gdzie jedziesz? - Lili zrobiła parę kroków i znowu jęknęła, kiedy ból przeszył jej lewe kolano. Wykonała jeszcze jeden krok i stanęła. Człowiek w brudnym kombinezonie podtrzymał ją za ramię.

- Lepiej cię odwiozę - zaproponował.

- Nie, dziękuję, poradzę sobie. - Mocno utykając ruszyła przed siebie, żywiąc w duchu nadzieję, że przez tego idiotę nie będzie musiała przerwać pracy nad filmem. Zrównał się z nią. Przejechał brudną ręką po jasnych włosach rozmazując sobie błoto po twarzy.

- Tak mi przykro. Przysięgam, jestem dobrym kierowcą. Sprawdzałem tylko, z jaką prędkością mogę go puścić przez zakręt, bo potrzebuje jeszcze paru przeróbek w skrzyni biegów.

Wyglądałby całkiem nieźle, gdyby się umył, pomyślała Lili mimo bólu. Właściwie to wyglądałby bardzo dobrze, gdyby wytarł ten smar i błoto z twarzy.

- Proszę, pozwól mi się odwieźć do domu... przynajmniej tyle mogę zrobić.

Ładne niebieskie oczy, długie proste rzęsy, duży piegowaty nos... Lili zgodziła się. Niska kabina samochodu była surową metalową skorupą pełną rozchodzących się w różne strony przewodów i kabli.

Jechali bardzo szybko.

- Czy ten samochód nie może jechać wolniej? - Dlaczego się zgodziła, żeby ten wariat ją odwoził? Firma ubezpieczeniowa natychmiast zerwałaby kontrakt z Omnium, gdyby ktoś z nich ją teraz zobaczył.

- Na niskich biegach nie chodzi jeszcze najlepiej - tłumaczył się kierowca. - To prototyp. Cały czas nad nim pracujemy, nie powinienem był wyprowadzać go z garażu. Mogłabyś nikomu nie wspominać, że go widziałas?

Samochód zatrzymał się przed hotelem Lili, sławnym osiemnastowiecznym zajazdem. Mężczyzna spytał:

- Jak długo zostajesz w Rose and Crown?

- Jeszcze parę tygodni. Gram w filmie, który kręcą we dworze.

Jak się nazywasz?

- Gregg Templeton. A ty?

- Hmm... Elizabeth Jordan.

Nie ruszył się z miejsca, żeby pomóc jej wysiąść, a Lili nie otwierała drzwi. Nastąpił ten niezręczny moment, kiedy żadne z dwojga ludzi, którzy dopiero co się poznali, nie ma odwagi zrobić pierwszego kroku, nie chcąc spotkać się z odmową. W końcu Gregg zdecydował się odezwać:

- Zobaczą cię jeszcze, Elizabeth?

- Trudno będzie, nie dają nam nigdy wolnego - odparła zgodnie z prawdą. - Może dasz mi swój numer telefonu, to zadzwonię do ciebie, jak będę miała wolną chwilę. W którym warsztacie pracujesz, Gregg?

- Eagle Motors w Whitechurch. Dam ci numer do hali obsługi. - Zapisał numer na odwrocie koperty i pomógł jej wysiąść z samochodu. Znow syknęła z bólu.

- Potrzebna jest łyżka do butów, żeby się z tego wydostać.

- Proszę cię, zapomnij, że mnie w ogóle w tym widziałas.

- Obiecuję, twój szef o niczym się nie dowie.

Gregg najpierw zrobił zdziwioną minę, a potem uśmiechnął się szeroko.

W niedzielę po południu Gregg podjechał po Lili poobijanym Jaguarem XK150 z opuszczanym dachem, tak brudnym w środku, jakby hodowano w nim kury. Po chwili szybkiej jazdy minęli szczyt wzgórza i zobaczyli w dole Lyme Regis, odległe urwiste brzegi jaśniejące złotem i bielą oraz malowniczą półkolistą przystań zatłoczoną rybackimi kutrami.

- Moglibyśmy wypłynąć w morze? - Lili wskazała ręką kilka łodzi przy końcu starego, kamiennego falochronu.

- Czemu nie? Wypożyczymy motorówkę.

Po godzinie spędzonej na wodzie wrócili na piechotę do miasta, w przeszklonej sali śniadaniowej zjedli świeże bułeczki z dżemem truskawkowym i kremem śmietankowym. Podając swoją filiżankę do napełnienia Gregg zobaczył, że Lili przygląda się jego brudnym paznokciom.

- Matka zawsze mnie upomina... - Uśmiechnął się. - Pij szybciej, bo muszę cię odwiedzić do domu.

I, ku rozczarowaniu Lili, odwiózł ją do hotelu. Pomachał dłonią na pożegnanie nie umówiwszy się na następną randkę.

Lili rozejrzała się po owalnej kremowej sali recepcyjnej w londyńskim Ritzu.

Eleganckie kobiety przechadzały się po różowym dywanie, wymieniając pozdrowienia między stolikami rozstawionymi w cieniu wielkich palm. Za ich plecami szemrała cicho fontanna z figurą olbrzymki o dziwnie surowym wyrazie twarzy.

- Teraz, kiedy zaczęłam spełniać dobre uczynki, rola wesołej wdówki dosyć mi się podoba. - Lili słuchała wesołego paplania, świadoma, że wesołość Poganki jest wymuszona. - Organizowanie twojej gali wypełnia mi czas i nie pozwala siedzieć bezczynnie. Jeśli ci to odpowiada, Lili, możemy wynająć teatr na Drury Lane na ostatnią niedzielę lipca.

- Będę musiała wszystko uzgodnić ze Stashem, moim agentem. On się porozumie z choreografem, który reżyseruje całą ceremonię, i uzgodnią datę ze śpiewakami, tancerzami i orkiestrą. - Lili dołała sobie herbaty; ten dziwny angielski zwyczaj wchodził człowiekowi w krew. - Pamiętaj o tym, że rozstaliśmy się po zakończeniu zdjęć do Najlepszych Nóg i niełatwo będzie zebrać wszystkich na jedno przedstawienie dla celów charytatywnych.

- Mam wspaniały komitet zajmujący się organizacją wieczoru - entuzjastowała się Poganka, zauważając przy tym, że Lili jest dziwnie nieobecna duchem. Poganka poczuła znowu ten dziwny ból w piersiach. Lekarz twierdził, że to tylko jeszcze jeden objaw żalu. Zapewnił, że depresja, kłopoty z pamięcią i nienormalne zachowania nie są niczym niezwykłym w takich przypadkach. Poruszył również inną delikatną kwestię pytając, czy „brakuje jej męża również w nocy”.

- Jeśli nie może pani spać - doradził taktownie - proszę sobie włączyć radio na BBC World Service.

Wydaje mu się, że przyzwoite kobiety nie uprawiają samogwałtu, pomyślała wówczas Poganka. Jednak następnej nocy o trzeciej nad ranem przypomniała sobie jego radę, przekręciła gałkę radia, złapała przyjemną muzykę Mozarta, ułożyła się z powrotem na poduszkach i była bliska zaśnięcia, kiedy radosny rzeński głos zaczął ją namawiać do kupienia biletów na koncert rockowy w Croydon. Poganka z niechęcią przestawiła radio na inną stację, nadającą spokojne utwory Sibeliusa. Tym razem nie zdążyła się nawet wygodnie ułożyć, gdy muzyka ucichła i rozległy się wiadomości czytane po holendersku. Patrząc na pierwsze promienie świtu za oknem, wcale nie podniecona, lecz marząca o chwili snu Poganka sięgnęła po książkę Sheili Kitzinger na temat kobiecego seksualizmu. Książka sama otworzyła się na rozdziale poświęconym masturbacji.

Lili poruszyła się niespokojnie na złożonym krześle w sali recepcyjnej Ritza.

- ...I co ja mam w związku z tym zrobić? - spytała. Poganka zamrugła oczami.

- Przecież już ustaliliśmy, z czym wystąpisz na galowym koncercie. Ma to być przedstawienie oparte na niektórych scenach z filmu o Mistinguett.

- Nie, nie to mam na myśli. - Lili machnięciem ręki zbyła temat galowego koncertu. - Chodzi o to, co mam zrobić w związku z Greggiem? Jak sądzisz, może nie powinnam była patrzeć na te jego brudne paznokcie? Myślisz, że był skrępowany? Może byłam zbyt nachalna? Myślisz, że jutro to jeszcze za wcześnie, żeby do niego zadzwonić?

- Lili, nie możesz się wdawać w romans z jakimś wioskowym mechanikiem tylko dlatego, że jest jedynym mężczyzną, jakiego poznałaś w ciągu ostatnich pięciu lat, który nie wariuje, żeby iść z tobą do łóżka. - Poganka wypila łyk Earl Greya. - Nie przyszło ci do głowy, że może dlatego pragniesz tego człowieka, bo on nie pragnie ciebie?

- Sama nie wiem, co myśleć - wyznała Lili rozmarzonym głosem. - Wiem tylko tyle, że Gregg traktuje mnie jak normalną istotę.

Poganka uniosła mahoniowe brwi.

- Miałaś na sobie to co teraz, kiedy go poznałaś? - Jeśli tak, to Poganka nie mogła sobie wyobrazić faceta, który by nie pragnał Lili owiniętej kilkoma warstwami białoróżowej wełny. Wszystkie ubrania Lili sprawiały wrażenie, że zostały uszyte w

Paryżu przez Japończyków, którzy nigdy nie słyszeli o spódnicach, bluzkach i sukienkach.

- Nie, nie to - pospieszyła z wyjaśnieniem Lili. - Brnęłam przez błoto w starym płaszczu przeciwdeszczowym, bez makijażu i do tego w chustce na głowie... Powiedz, co mam zrobić, żeby go jeszcze zobaczyć?

- Masz jego numer, więc zadzwoń.

- Och nie, tego nie mogę zrobić! Nie chcę wyjść na zbyt... Jeśli ktoś jest nam obojętny, pomyślała Poganka, to nie ma nic prostszego, jak podnieść słuchawkę i wykrecić numer, lecz jeśli nam na nim zależy, możemy tylko siedzieć wpatrując się w telefon i modlić się, by zadzwonił.

- Skoro jest mechanikiem, to może kup sobie taki samochód, który będzie wymagał doglądania - zaproponowała.

- Masz na myśli coś w rodzaju Porsche'a?

- Nie, nie Porsche, wręcz przeciwnie.

Ma się rozumieć, nie można wymagać takich udogodnień, jakie są w nowszych modelach, ale nasza gwarancja obejmuje wszystkie sprzedawane u nas samochody - informował gruby sprzedawca w tweedowym ubraniu. - Co pani sądzi o tym MGB GT... bardzo obecnie cenionym przez kolekcjonerów?

- Nie, ten nie. - Lili rozglądała się po hali zastawionej wyeksploatowanymi maszynami rolniczymi, porozbijanymi sportowymi wozami i staroświeckimi limuzynami, starannie utrzymanymi przez leciwe byłe właścicielki. - Chcę kupić najtańszy samochód, jaki pan posiada.

- W takim razie może być Riley. - Jeszcze jedna z tych klientek, żałujących grosza na porządne auto. - Bardzo bezpieczny model, to ten, madam.

Lili pokręciła głową odmownie.

- Jutro spodziewamy się świetnego Forda Granady. - Sprzedawca cmoknął ustnikiem fajki, co miało podkreślić wiarygodność informacji.

- Niestety, to jest mój jedyny wolny ranek. - Zwykle już o piątej rano wzywano ją na makijaż. - Może ten? - Wskazała na małego Morrisa wymalowanego w różowopomarańczowe kwiaty i jakieś znaki kabalistyczne oraz słowa „miłość” i „pokój”; żadne z malowideł nie zdołało ukryć rdzy na drzwiach.

- Mówiąc szczerze, madam, to byłby dość ryzykowny zakup. Przyjeliśmy go zamiast gotówki od hippisowskiej komuny z Uttoxeter i nadaje się właściwie tylko na części.

- Nic na nim nie zarobię, pomyślał sprzedawca, już lepiej ją zniechęcić. - Na ten samochód niestety nie możemy dać żadnej gwarancji, madam.

- Świetnie - niespodziewanie ucieszyła się Lili. - Biorę go.

Dziesięć mil za miastem mały Morris wydał z siebie przeraźliwy zgrzyt, zatrząsł się i stanął. Zachwycona Lili przeszła następną milę do najbliższej budki telefonicznej.

Po godzinie Gregg skończył grzebać pod pokrywą silnika.

- Spróbujmy się przejechać. - Wyjął z kieszeni brudną szmatę i wytarł ręce. - Ale nie sądzę, żeby ten grat jeszcze długo pojeździł.

Wlekli się w milczeniu rozmokłymi wiejskimi drogami, aż nagle Lili dojrzała huśtającą się na wietrze tablicę przy białym, krytym strzechą budynku.

- Maggie i Stump! U nas we Francji nie ma pubów. - Rzucanie aluzji stanowiło dla Lili ciekawe nowe doświadczenie.

Chwytnie aluzji okazało się też nowym doświadczeniem dla Gregga.

- Chciałabyś się wybrać w niedzielę?

W najbliższą niedzielę, po wizycie w pubie, siedzieli w krytym blachą wiejskim kinie i oglądali Spartacusa. Padał deszcz i nie mieli gdzie się podziać. Na następną niedzielę Gregg wynajął kuter i udało im się złowić dwa groźnie wyglądające homary.

- Zabierzmy je do mojego hotelu i poprośmy, żeby nam przyrządzili na kolację - zaproponowała Lili. Ciężka sprawa. Jak tak dalej pójdzie, do Bożego Narodzenia nie będą się jeszcze nawet trzymać za ręce. Wyczuła, że niezdarne Angliki nie wie, jak zrobić następny krok.

- Z twoją nogą już wszystko w porządku? - spytał, gdy jechali wzdłuż wysokich, oplecionych wiciokrzewem płotów.

Lili podciągnęła do góry irchową spódnicę i ze skupioną miną zbadała swoje udo.

- Prawie.

- To dobrze. - Nie oderwał oczu od drogi.

Minęli trawnik przed hotelem i podjechali pod kuchenne drzwi. Kiedy stanęli u progu, obsypał ich deszcz bladoróżowych płatków. Podnosząc głowę Lili spojrzała na gałęzie kwitnącej jabłoni.

- Och, biedactwo... jest uwięziony! - Pokazała na wystraszonego rudego kotka siedzącego na końcu cienkiego konaru.

- Głupi kocur. Przede wszystkim nie powinien być tam włączyć. - Gregg, jak większość ludzi ze wsi, podchodził do zwierząt bez sentymentów. - Moglibyśmy wejść do tamtego pokoju? - Wskazał okno znajdujące się blisko uwięzionego zwierzęcia.

- Ależ tak, to okno klatki schodowej. Codziennie rano koło niego przechodzę - przypomniała sobie Lili.

Wbiegli na dębowe schody. Lili otwarła okno, lecz Gregg nie mógł dosięgnąć kota. Za każdym razem, gdy wychylał się z okna, kot cofał się na gałęzi i miauczał głośno. Koty zawsze się cofają, jeśli się je chce złapać, pomyślał Gregg, nie mając najmniejszego zamiaru ryzykować skręcenia karku dla tego głupiego zwierzęcia. Cofając rękę poruszył lekko palcami. Zaciekawiony kot zbliżył się i wtedy Gregg go złapał.

- No chodź, kotku, już po strachu. - Trzymając zwierzę za skórę na grzbiecie wręczył je Lili, która natychmiast upuściła na schody ruszającą się torbę z homarami i przytuliła kotka do piersi. Zwierzątko uczepliło się pazurkami jej białego bawełnianego swetra.

- Pogłaskaj go - zachęciła, przyciągając rękę Gregga do kota. Jego dłoń była znacznie większa niż całe zwierzątko. Lili stanęła na palcach, zamknęła oczy i mocno pocałowała Gregga w usta.

Po chwili odezwała się nieco drżącym głosem:

- Mój pokój jest na końcu korytarza.

W sypialni Lili dębowe belki podtrzymywały ukośny sufit, opadający w stronę dwóch niewielkich, obramionych kamieniem okien. Perkalowe zasłony dobrano

kolorem do dywanu w żółte kwiaty, zaścielającego ciemny błyszczący parkiet. Po jednej stronie kamiennego kominka wisiał miedziany przyrząd do ogrzewania pościeli, a po drugiej rząd grafik o tematyce myśliwskiej. Całą tę kiczowatą, przeznaczoną dla turystów dekorację psuło typowe dla angielskich hoteli prymitywne łóżko, nakryte śliską zieloną kołdrą.

Gregg rozchylił Lili usta i wpił się w nie. Przesuwając wolno dłonie po jego plecach czuła drgające mięśnie. Między nogami zrobiło jej się gorąco z pożądania. Miękkie suche wargi Gregga muskały jej szyję; kiedy przesunęły się niżej, Lili usłyszała, jak szepcze jej imię.

W łóżku Lili stwierdziła, że Gregg stracił wcześniejszą niezręczność, choć z pewnością nie jest zbyt doświadczony. Wstrzymywała oddech, gdy pieszczota stawała się zbyt szorstka, pilnowała się jednak, by go nie spieszyć. Czuła drżenie jego palców, rozchylających perłoworóżowe płatki warg sromowych i wsuwających się ostrożnie do środka.

Jak powinienem to robić, wejść w nią od razu, czy najpierw włożyć trzy palce? Czy przypadkiem jej nie skaleczę? - zastanawiał się Gregg. Mruczając z zadowolenia Lili nasunęła się na jego dłoń. Gdzie to do diabła jest? Poruszając palcami szukał małego twardego wzgórek lechtaczki. Wreszcie czubki palców trafiły we właściwy punkt, jakby czubek ołówka pod miękką, śliską skórka. Pod wpływem jego dotyku Lili wygięła się w łuk niczym skaczący pstrąg. Mam, ucieszył się. Nie będę musiał prosić o instrukcje.

Po chwili Lili jęknęła namiętnie:

- Teraz, teraz... - Ostrożnie położył się na niej. Z westchnieniem i uczuciem przyjemności przyjęła go w siebie. Zaczął się poruszać mocnymi powolnymi pchnięciami. Łóżko chwiało się i skrzypiało przy każdym ruchu. Z perkalowych falbanek wzbijały się kłęby kurzu.

Lili czuła się, jakby płynęła, spadała, traciła przytomność, kiedy Gregg zagłębiał się w niej rytmicznie, całując lekko prześwitujące przez skórę błękitne żyłki na jej szyi. Zmysłowy zapach jego świeżego potu stał się mocniejszy, kiedy Lili zaczęła przyciągać go do siebie przy każdym pchnięciu, równocześnie zaciskając w środku mięśnie wokół jego członka, jakby chciała go w siebie wessać. Westchnienia, jęki i ciche, podobne do ptasiego kwilenie wypełniły zwykle cichy pokój.

Nagle Gregg wyprężył się wyginając do tyłu plecy i krzyknął:

- Ten cholerny kot!

Przestraszone zwierzę skryło się najpierw pod łóżkiem, a potem odważnie wskoczyło na nocny stolik, mruczając jak miniaturowa maszyna do szycia. Następnie z obnażonymi pazurami wskoczyło na gołe plecy Gregga.

Gregg zamachnął się na kota, omal nie spadając przy tym z łóżka.

Zielona kołdra zsunęła się na podłogę, a kot ukrył się pod rzeźbioną dębową magielnicą. Lili usiadła i zlizwała maleńkie kropelki krwi z pleców Gregga.

- Wybacz maleństwu - poprosiła miękko. Ich ciała, rozbudzone i gorące, połączyły się znowu.

- Lili, Lili, och, Lili - dyszał Gregg, gdy rytm jego ruchów stał się szybszy i bardziej gwałtowny. Zorientowała się, że jej partner osiąga szczyt, nic nie jest w stanie go powstrzymać, nie słyszy jej, świadomy jedynie unoszenia się na tej fali, która...
Z wielkim hukiem łóżko rozpadło się na kawałki.
- Chyba ziemia się poruszyła - usłyszała głos Gregga z głębi pobojuwiska.
Morze miało stalowy kolor, niebo purpurowo-szary, a ciężkie czarne chmury kłębiły się nisko, kiedy przedzierali się przez ulewę ku końcowi mola.
- Nie ma szans na wypłynięcie dziś łodzią! - krzyknął Gregg poprzez strumienie deszczu i rozpylonych w powietrzu drobinek morskiej wody.
- Dlaczego Anglicy lubią akurat to wszystko, od czego się moknie i marznie? - odkrzyknęła Lili walcząc z porywistym wiatrem.
- Musisz przyznać, że jest parę rzeczy, które lubię robić w ciepłe. - Gregg przytulił ją do siebie i pocałował w mokre słone usta. Guziki ich płaszczy przeciwdeszczowych zaczęły się o siebie.
- W porządku, zrozumiałam aluzję. Wracamy.
Zawrócili i chyląc głowy przed nawałnicą ruszyli w stronę kamienistej plaży.
Fotoreporter zaklął pośliznąwszy się na oplatających kamienie wodorostach.
- Chodź tutaj, Gregg - zawołał. - Tylko jedno zdjęcie... Kim jest twoja przyjaciółka?

Rozdział ósmy

Początek czerwca 1979

Na widok fotoreportera Lili przybrała kamienny wyraz twarzy, lecz Gregg spokojnie ustawił się do zdjęcia nie zdejmując dłoni z jej ramienia.
- Niech to będzie naprawdę tylko jedno zdjęcie, Erie - odezwał się przyjaźnie. - Mam dziś wolne. To jest Elizabeth Jordan.
- Jak się spisuje Spear, Gregg? - Mężczyzna sięgnął do niechlujnego płóciennego worka po jeszcze bardziej niechlujny notes.
- Całkiem nieźle. W przyszłym tygodniu będziemy się ścigać w Silverstone.
- Przypuszczam, że sir Malcolm skacze z radości. Masz zamiar pojechać na Le Mans?
- Owszem, jest zadowolony - odpowiedział Gregg. - Ale to, czy się zakwalifikujemy na Le Mans, zależy od jazdy w Silverstone.
Ku wielkiemu zdumieniu Lili dziennikarz podniósł torbę ze sprzętem, schował notes i oddalił się plażą.
- Przykro mi, kochanie, ale obawiam się, że przez większość czasu ja jestem jedyną osobistością w mieście. Ten fotograf był z Dorset, z „Echa”.
W tym momencie Lili przypomniała sobie, że na hotelowym łóżku Gregg nazywał ją prawdziwym imieniem.
- Gregg, rozpoznałeś mnie! - powiedziała oskarżycielskim tonem. Poczucie bezpiecznego szczęścia zaczęło znikać jak dziecięcy zamek z piasku splukiwany przez morze. Okłamywał ją.
- Oczywiście, Lili. Twoją twarz znają wszyscy. Każdy by cię rozpoznał, mimo chusteczki.

- Myślałam, że będziemy mieć większe szanse na udany związek, jeśli nie będziesz wiedział, kim jestem. Kiedy nadchodzę, wszyscy porządni chłopcy gdzieś się chowają, a na powierzchni zostają sami dranie.
 - Jest w tym coś, bo wprawdzie na mniejszą skalę, ale mam podobny problem. - Gregg pomógł jej przejść przez śliskie głązy. - Ja też cię okłamałem i to z tego samego powodu. Naprawdę nazywam się Eagleton, nie Templeton.
 - Aha, więc jesteś właścicielem garażu?
 - Zgadza się.
 - O co pytał ten dziennikarz, co to jest Spear?
 - Samochód. Omal cię nim nie przejechałem. Jestem kierowcą rajdowym i projektuję samochody. - Zmierzali w kierunku parkingu przez jasną, pokrytą drobnymi kamykami plażę. Pomógł jej wsiąść do poobijanego XK150.
 - Przejąłem Eagle Motors w zeszłym roku, gdy ojciec przeszedł na emeryturę. Firma chyliła się ku upadkowi, ale zdołaliśmy powstrzymać ten proces. - Wyjechał poza szare od deszczu miasto na otwartą przestrzeń. - Spear to pierwszy nowy samochód, jaki udało nam się wyprodukować od dłuższego czasu. Najpierw robimy model wyścigowy, żeby przyciągnąć jak najwięcej uwagi, a potem startujemy z wersją drogową; to było właśnie to auto, którym o mało cię nie rozjechałem.
 - Przecież to była jakaś blaszana puszka na kółkach! - Lili przypomniała sobie pierwszą przejażdżkę z Greggiem, po której bolały ją wszystkie kości. Widząc cień zniecierpliwienia na jego twarzy szybko dodała: - Jak będzie wyglądać wykończony?
 - Ta „blaszana puszka” będzie się spisywać lepiej niż Porsche i zyska sobie większą sławę niż Mercedes. - Jechali przez ciemny, ociekający wodą bukowy las. - Ma pojemność czterech litrów, silnik z turbodoładowaniem o mocy osiemset koni mechanicznych i napęd na cztery koła. Może osiągać prędkość prawie dwieście trzydzieści mil na godzinę.
 - Jakiego będzie koloru? - spytała Lili po krótkiej pauzie.
 - Czarny, bo tak sobie życzą sponsorzy. - Gregg odbił kierownicą omijając ciężarówkę z bydłem. - Pojawiając się na trasie pełnię funkcję żywej reklamy. Cała nasza operacja jest finansowana przez sponsorów.
- Samochód mknął przez wrzosowiska.
- W latach pięćdziesiątych Eagle Motors należał do czołowych producentów europejskich. - Okrążyli podnóże płaskiego pagórka.
 - Mój ojciec miał kiedyś tytuł Mistrza Europy w sportach samochodowych, ale trudno się żywić sławą Lili. Musiałem mieć jakieś trzy lata, kiedy tato zbankrutował. Pierwsze, co w ogóle pamiętam, to jak komornicy zabierają mój trzykołowy rowerek. Zabrali wszystko, co mieliśmy. - Gregg przyhamował za ciężarówką z sianem.
 - Postanowiłem sobie, że wrócimy na szczyt, tylko tym razem wydatki nie będą mogły przekraczać dochodów. - Wyprzedzili ciężarówkę. - Skoro udało mi się już ponownie zaistnieć na torach wyścigowych, mam zamiar wypuścić na rynek nowy samochód sportowy. Wygląda na to, że możemy liczyć na wsparcie finansowe ze strony rządu. Tylko najpierw muszę udowodnić, na ile mnie stać.
 - Deszcz ustał, kiedy wjechali na zwirowany podjazd pod wysokimi wiazami.

- Dokąd jedziemy?

- Do mojego domu - odparł Gregg. - Mieszkam nad warsztatem.

Warsztat produkcyjny Eagle mieścił się w przerobionej dawnej stajni za wielkim, brzydkim edwardiańskim domem z czerwonej cegły. W przestronnej hali pod wybieloną ceglana ścianą stało kilka czarnych samochodów wyścigowych w różnych stadiach montażu. Z nie ukrywaną dumą Gregg wskazał na groźną maszynę z klinowatym przodem.

- Wczoraj został pomalowany.

- Wygląda znacznie lepiej niż ten, którym mnie chciałeś rozjechać - przyznała Lili, kiedy otworzył drzwi lśniącego, podobnego do czarnej pantery auta.

- Posiada pewną wyjątkową właściwość. - Poklepał maskę. - Potrafi manewrować na boki, jak krab, przy parkowaniu w mieście.

- Poglądził czule lśniące czarne drzwi, otwierające się do góry i zaprosił Lili do środka. Schylając się przy wsiadaniu Lili pomyślała, że samochody muszą szczególnie działać na mężczyzn, pociągają ich nie mniej niż kobiety. Kobietom trudno to zrozumieć, bo dla nich w samochodzie nie ma nic zmysłowego, jest tylko środkiem transportu lub symbolem zamożności.

- Niezły, co?

Lili zrozumiała właściwe znaczenie niedbałego zwrotu. Uświadomiła sobie, że zakochuje się w mężczyźnie, który już jest zakochany... w samochodzie.

Następne dziesięć minut spędzili jeżdżąc z rykiem silnika po podjeździe obsadzonym laurowymi krzewami i parkując bokiem. Samochód posiadał hydraulicznie uruchamiane piąte koło i sterowany komputerem napęd na cztery koła. Gregg był dumny jak ojciec.

- Chciałabyś się przejechać? Mamy tu plac do ćwiczeń. - Samochód zerwał się jak wielka czarna pantera, płynnie zatoczył krąg, wyrzucając spod kół kamyczki żwiru. W końcu Gregg zaparkował starannie przed drzwiami warsztatu.

Lili wysiadła na miękkich nogach i ze skurczem w żołądku. Gregg podał jej rękę mówiąc:

- Pytanie tylko, czy Spear będzie gotowy do wyścigu na trzysta trzydzieści mil w Silverstone. Gdyby się tam sprawdził, mamy cichą zgodę na wstęp na Le Mans w przyszłym miesiącu. Trzymaj kciuki.

- Dlaczego Le Mans jest takie ważne? - spytała Lili prostując obolałe nogi.

- Bo to jeden z najtrudniejszych, najpoważniejszych sprawdzianów dla samochodu.

Le Mans to całodobowy test wytrzymałościowy, trwa dzień i noc. Będziemy potrzebowali co najmniej dwunastu stanowisk z kanałem, żeby zatankować i dokonać koniecznych poprawek - wyjaśniał Gregg. - Jest jeszcze dwóch kierowców, będziemy się zmieniać za kierownicą. Samochód właściwie nie zatrzymuje się na dłużej niż dwie minuty i jest poddawany niesamowitym przeciążeniom. Sama więc widzisz... - Stracił z maski jakiś pyłek. - Jeśli Spear sprawdzi się w Le Mans, zostanie natychmiast poważnie potraktowany przez ludzi z branży wyścigowej... i przez rząd.

W warsztacie mechanicy w brudnych kombinezonach, które kiedyś z pewnością były białe, uwijali się między na wpół zmontowanymi autami. Lili strzepnęła chustkę od deszczu.

- Dlaczego pracują w niedzielę?

- Pracowaliby przez całą dobę, gdyby było trzeba. Bawimy się z tym po to, żeby wygrać - powiedział Gregg, kiedy mijali mechanika włączającego jakieś urządzenie do prądu. - Jeśli znajdę się na torze w Le Mans, będzie to zasługą pięćdziesięciu ludzi, w większości pomagających bezinteresownie. - Musieli przekroczyć parę nóg wystającą spod jakiegoś podwozia. - Zespół zajmuje się wszystkim, od ręcznego wykonywania niektórych części, do kupowania mi kanapek na trasie. - Minęli kolejną postać w kombinezonie pochyloną nad silnikiem. - Zespół pojedzie nocą zawieźć wszystko na wyścig. Zawsze brakuje czasu, ale gdyby zaszła potrzeba, pracowaliby nawet w bolońskich dokach. - Gregg zatrzymał się przy końcu hali i z sympatią spojrzął na przyszczatego chłopaka w okularach mocującego sworzeń. - Większość z nich robi to dla przyjemności, bo nie mam czym im zapłacić. Chcą widzieć Eagle na najwyższym podium, tak jak wtedy, gdy tato był mistrzem. - Gregg lekko trącił butem parę nóg wystających spod jeszcze jednego czarnego podwozia. - Z psychologicznego punktu widzenia pierwszy wyścig jest najtrudniejszy, Gregg - odezwał się głos spod samochodu. Nogi się poruszyły. Po chwili okazało się, że należą do niskiego korpulentnego mężczyzny o miłej rumianej twarzy z haczykowatym nosem. - Jezu, jak tam zimno, stopy mi zdrętwiały. Chodźmy na górę do domu na szklaneczkę sherry, ale najpierw przedstaw mnie tej uroczej młodej damie. - Sir Malcolm wyciągnął do Lili pociemniałą od smarów rękę.

W mieszkaniu na górze było chyba jeszcze chłodniej niż na zewnątrz. Lili z pewnym ociąganiem zdjęła biały trencz, spoglądając zazdrośnie na grubo bezkształtny dzianinowy żakiet, który miała na sobie matka Gregga. Pili sherry rozmawiając o planowanym wyścigu w Silverstone. Co chwila przerywały im telefony od kierowców, sponsorów, ochotników czy wreszcie od londyńskiej gazety, która prosiła o krótką wypowiedź do kolumny plotek na temat tego, w czym sypia Gregg. Lady Eagleton, kobieta o szarych oczach, podobnych do oczu syna, choć nieco wyblakłych, nie okazała irytacji.

- Po trzydziestu latach małżeństwa nauczyłam się nie stawać nigdy pomiędzy mężczyzną a samochodem - powiedziała do Lili, kiedy Gregga odwołano do warsztatu, a sir Malcolm odpowiadał na kolejny telefon. - Cieszę się, że cię poznałam, moja droga. Miałam wrażenie, że Gregga bardziej interesują samochody niż dziewczęta. Czasami mi się wydaje, że wyścigi samochodowe to nie sport, tylko choroba.

- Nie martwi się pani o niego? - Lili z trudem postrzymywała się od szczekania zębami z zimna. Ponieważ był już czerwiec, Brytyjczycy uważali, że jest lato, niezależnie od tego, co wskazywał termometr.

- Człowiek uczy się żyć z niepokojem. Po latach. Mój mąż przeżył wypadek przy szybkości prawie dwustu mil na godzinę.

- Lady Eagleton wzruszyła ramionami. - Ryzyko śmierci na torze wynosi dla Gregga jeden do siedmiu. Ale co roku wprowadzane są nowe środki bezpieczeństwa. Po prostu nie pozwalam sobie na myślenie o tym.

Co mówiłaś? - Lili pomyślała, że Silverstone jest najbardziej hałaśliwym miejscem, jakie sobie można wyobrazić. Gregg w luźnym białym ognioodpornym kombinezonie siadł za kierownicą Speara. Tor wyścigowy w Silverstone wyglądał jak skrzyżowanie stacji benzynowej z supermarketem położone na terenie zakurzonego miejskiego parku. Za plecami tłumu ciągnącego się wzdłuż szerokiego, pokrytego specjalną nawierzchnią toru wielkie tablice świetlne zachwalały różne towary w rodzaju proszków do prania. Każdy samochód biorący udział w wyścigu, każdy kierowca, mechanik, każda furgonetka przewożąca lody oblepione były reklamami. Lili czuła, że wszystkie jej zmysły bronią się przed tym zgiełkiem dźwięków, kolorów i zapachów.

- Zobaczymy się za trzy godziny - krzyknął Gregg przez ognioodporną kominiarzkę. Odwrócił się do swojej załogi i Lili wiedziała, że o niej zapomniał.

Dwie minuty później Gregg nałożył kask na głowę i ubrana w białe kombinezony obsługa dopchała Speara na miejsce startu.

Spear, jak większość pozostałych samochodów, ruszył wolniej niż maszyna ustawiona na przodzie, a potem dodał gazu w zakręcie.

- Czy to normalne, John? - Lili spytała psychologicznego doradcę Gregga, szczupłego brodatego człowieka mówiącego z nowojorskim akcentem.

- Tak. Nic się nie martw, idzie świetnie, nawet lepiej niż na próbach w zeszłym tygodniu. - Zaprowadził ją do oszklonej budki nad punktem obsługi, gdzie hałas trochę mniej dawał się we znaki.

- Nie powinniśmy mieć tym razem żadnych kłopotów.

Lili nie rozumiała, jakie kłopoty mógł wcześniej sprawiać Spear. Ostatecznie była to bardzo droga maszyna, a do tego od kilku tygodni pracowało nad nią szesnastu mechaników, sprawdzając każdą śrubkę i niańcząc tak czule, że brakowało tylko jeszcze karmienia piersią. Nie chciała zadawać głupich pytań na temat Gregga, ale nie przejmowała się zbyt swoją niewiedzą w obliczu tego rudobrodego wikinga. Spytała tylko:

- Dlaczego w tych samochodach tyle rzeczy się psuje?

John próbował wyjaśnić kwestię w paru słowach, w miarę zrozumiałych nawet dla kobiety.

- Samochód wyścigowy to skomplikowana maszyna. Jeździ zawsze na granicy możliwości. Większość problemów związana jest z takimi sprawami jak napięcie, wysokie temperatury, regulacja przepływu paliwa. A ponad tym wszystkim jest jeszcze błąd człowieka. - Odwrócił się patrząc na Lancię, która wtoczyła się do sąsiedniego boksu, ciągnąc za sobą pióropusz czarnego dymu bijącego z rury wydechowej. Mechanicy rzucili się na swoje stanowiska jak piloci myśliwców. John pokiwał głową. - Ta Lancia wyjechała na tor przygotowana najlepiej, jak tylko było można, ale jeździ setki, może nawet tysiące mil non stop z prędkością ponad dwieście mil na godzinę. Podobnie jak koń wyścigowy jest przygotowywana

wyłącznie pod tym kątem. Żeby osiągnąć szybkość konieczną do zwycięstwa, samochód bezustannie ociera się o granicę swoich możliwości. Nieuniknione są więc kłopoty.

Samochód prowadzący minął stanowiska obsługi, widoczny jedynie jako zielono-pomarańczowa smuga. Lili zadała ostatnie pytanie, z którym nosiła się już od paru tygodni:

- Co sprawia, że jest się dobrym kierowcą John?

- Błyskawiczny refleks, zdolność koncentracji i opanowanie. To zabawa dla młodych. Kierowca staje się wolniejszy, kiedy dobiega trzydziestki, choć trzeba też mieć odpowiednią dojrzałość i mocne nerwy. Kiedy ci faceci suną po torze, ich mózgi pracują jak komputer, a ciałem są całkowicie sprzężeni z maszyną wyczuwają każde jej drgnienie. Do tego, rzecz jasna, dochodzi współzawodnictwo z przeciwnikiem, więc muszą dopasować taktykę do warunków, tak by go pokonać.

- Zawsze wygrywa największy śmiałek?

- Na tym torze nie ma żadnych śmiałków. Dobry kierowca nigdy nie podejmuje zbędnego ryzyka. To nie są zawody dla amatorów wszyscy tu są chłodno kalkulującymi zawodowcami. Znają niebezpieczeństwo i nie popisują się bezmyślną brawurą. - Wręczył Lili parę czarnych słuchawek, po czym wrócili do boksu, gdzie przesiadła następne dwie i pół godziny, ogłuszona rykiem silników i oszołomiona wyziewami spalin i rozgrzanej gumy. Odgłos silników zagłuszał komunikaty podawane przez głośniki po każdym okrążeniu. Hałas był tak wielki, nieustanny i wyczerpujący jak w dyskotecie ostrzeliwanej przez artylerię.

- Gregg właśnie zrobił najszybsze okrążenie, jakie zanotowano dla samochodu startującego po raz pierwszy w tak wielkim wyścigu - wrzasnął radośnie John wprost do ucha Lili. Poczowała, że jej ból głowy trochę ustępuje, kiedy rozpoczęto się ostatnie pół godziny wyścigu.

Nagle załoga Gregga chwyciła narzędzia; wszyscy patrzyli wyczekująco w lewą stronę.

Ukazał się Spear. Wjechał cicho do boksu i stanął.

Gregg wysiadł z maszyny; mechanicy stłoczyli się z tyłu.

Dopiero po dziesięciu minutach Gregg zauważył Lili. Podeszedł do niej z wyrazem zniechęcenia na twarzy.

- Ta cholerna skrzynia biegów nawaliła - powiedział ze złością. Nagle Jack, mechanik, który obliczał coś w notatniku, podniósł palec do góry. Gregg rozjaśnił się w uśmiechu. Dziennikarz z telewizyjnej redakcji sportowej podsunął mu pod nos mikrofon.

- A więc następny przystanek w Le Mans, co, Gregg? Na dwudziestoczworgodzinny wyścigu na wytrzymałość?

- Tak, to zawsze było moim pragnieniem.

- Masz zamiar świętować dziś wieczorem? Podobno Lili wydaje na twoją cześć przyjęcie?

- Jeśli tak, to właśnie zepsułeś niespodziankę, kolego.

Nie rozumiem, dlaczego tu przyszliśmy, zwłaszcza że nikt nas nie zapraszał. - Maggie Harris przyglądała się gościom hałaśliwego przyjęcia. Wszyscy młodzi mężczyźni z grupy rajdowców mieli na sobie dżinsy od Armaniego, jedwabne koszule firmy Cerutti i uczone ramienia sobowtóry Farrah Fawcett Major. Nie ma się czym przejmować, oceniła Maggie, wyzbywając się obaw. Zerknęła na swój biały satynowy kostium - po obu bokach, od pachy do kostek, miał dwucalowe rozcięcie zesnurowane białymi skórzanymi troczkami biegnącymi przez nagie ciało. Maggie tupnęła nogą obutą w srebrny kowbojski but.

- Nie znam żadnego z tych rajdowców, Angelface, ty zresztą także nie. - Odwróciła się na srebrnych obcasach. - Chodźmy stąd. Nie czuję się tu dobrze. Nie wygląda na to, żebyś miał śpiewać.

Zaczęła się przepychać przez tłum gości do wyjścia, lecz Angelface powstrzymał ją mocnym chwytem za ramię.

- O nie, nie zrobisz tego! Oczekuję, by moja kobieta mi towarzyszyła, nawet gdybym miał się wpraszać na siłę. - Jego szczupła twarz o zapadniętych policzkach miała ostry wyraz, charakterystyczny dla gwiazd rocka z lat sześćdziesiątych. Angelface Harris jest twardy, tak twardy, jak może być tylko ktoś, kto przez dwadzieścia lat jeździ po świecie śpiewając rock and rolla, pomyślała Maggie patrząc w sławne niebieskie oczy błyszczące spod zmierzwionej szopy czarnych włosów. Jego głos miał zwodniczo łagodne, gardłowe brzmienie, kiedy powiedział: - Więc zamknij się, złotko, i spróbuj się dobrze bawić.

- Zabieraj łapy! - Maggie rozejrzała się szybko i postanowiła jednak nie robić awantury. Było na to zbyt wcześnie i zbyt tłoczno. Poza tym, nawet jeśli był niewiernym draniem i trochę za dużo sobie pozwalał, to i tak był najprzystojniejszym mężczyzną w tym towarzystwie, więc jeśliby stąd wyszła... Cóż, nie chciałaby go zostawiać z tymi wszystkimi dziewczynami prosto od fryzjera, zwłaszcza że miał na sobie swoje najlepsze skóry. Nabijane ćwiekami czarne skórzane wdzianko Angelface'a przylegało idealnie do ciała, marszcząc się jedynie lekko na zgięciach, jak skóra iguany.

- Zostań tu i zachowuj się przyzwoicie - syknął do Maggie Angelface. - Pójdę po drinki.

Zniknął w tłoku koło baru, gdzie Lili witała swoich gości. Przepychał się wytrwale, dopóki nie stanął twarzą w twarz z gospodynią.

Przyjął swoją ulubioną pozę ze sceny; lekko rozstawione nogi, Słowa przechylona na jedną stronę, dłoń zaciśnięta na kołnierzu skórzanej, rozpiętej do pasa kurtki. Lili zatrzepotała rzęsami robiąc minę typową dla gospodyni przyjęcia, która nie może rozpoznać swoich przyjaciół, kiedy są odświętnie ubrani.

- ...O, witam.

Angelface wpatrywał się w nią ze swoim starym, wypróbowanym, uwodzicielskim uśmiechem, który pomógł mu sprzedać czterdzieści albumów.

- Czemu się tak na mnie gapisz? - Lili cofnęła się o krok; suknia z różowej tafty zaszeleściła. - Czyżby mi nagle zęby wypadły? Coś nie tak z moją twarzą?

- Ab...solut...nie wszystko w porządku. - Z wdziękiem londyńskiego ulicznika z lat sześćdziesiątych zaczął nucić przesadnie modulowanym głosem: - Musiałaś być ślicznym dzieckiem...

Wszyscy przestali nagle udawać, że nic nie widzą i nadstawili uszu. Angelface obrzucił Lili jeszcze jednym zniewalającym spojrzeniem.

- Założę się, że już kiedy zaczynałaś chodzić do przedszkola, wszystkich małych chłopców w sobie rozkochałaś...

Otoczył Lili ramieniem zgniatając taftowe falbanki; odwrócili się przodem do gości poruszając się we wspólnym rytmie. Lili uśmiechała się, wyraźnie nadal nie rozumiejąc sytuacji. Nie wiedziała, że Gregg zna tego słynnego gwiazdora rocka.

W tym momencie czujna Maggie ruszyła przez tłum mamrocząc pod nosem:

- To dlatego przyszliśmy. Pali się do tej zarozumiałej dziwki. Dotarła do męża, gdy zakończył piosenkę przy wybuchach śmiechu i aplauzie widowni. Angelface przedstawił ją Lili miękkiem przyjaznym głosem, w którym Maggie bezbłędnie rozszyfrowała groźbę.

- Bardzo mi miło cię poznać, Lili. - Uśmiechnęła się promiennie i szepnęła w ucho Angelface'a:

- Wynośmy się stąd... I to szybko.

Angelface ostentacyjnie ucałował Lili na pożegnanie i dostojnie zaczął schodzić po schodach z filigranową jasnowłosą żoną kurczowo uczepioną czarnego skórzanego ramienia.

- Gdyby moja żona tak się zachowywała, oddałbym ją do poprawczaka - szepnął Lili do ucha Gregg. - A gdyby spojrzenia mogły zabijać, leżałabyś już pięć stóp pod ziemią.

Lili wzruszyła złocistymi ramionami i zajęła się gośćmi.

Widzę, że świetnie sobie radzisz, Tereso. - Lili pochyliła się nad stolikiem paryskiej restauracji i wygładziła plisowany szyfonowy kołnierz u czerwonej garsonki od Saint Laurenta, którą miała na sobie jej rozmówczyni.

- Nie najgorzej - przyznała Teresa. - Ta praca nie jest taka straszna jak kręcenie filmów porno. Pamiętasz, Lili, jak zimno było zawsze w studiu Serge'a?

- Specjalnie wyłączał ogrzewanie, żeby nam stały sutki.

- Ciii! - syknęła ostrzegawczo Teresa. Kelner podał im dwa srebrne talerze obłożonych lodem ostryg. Lili nachyliła się do Teresy i spytała konspiracyjnym szeptem:

- Powiedz mi, jak to jest pracować dla madame George? Nadal musisz się spotykać ze starymi facetami? - Lili bardzo chciała się zbliżyć do jedynej znajomej z czasów wczesnej młodości. Teresa była dla niej miła, nauczyła ją twardych reguł, rządzących życiem eleganckiej dziewczyny na telefon.

- Szkoda, że nie możesz zostać dłużej, Lili, i obejrzeć biura. Tres chic, alors, przylecieć do Paryża tylko na lunch. - Z apetytem przełknęła ostrygę. - Praca dla madame George przypomina pracę w dobrze zorganizowanej agencji modelek. W biurze jest sześć dziewcząt - siedzą przy telefonach i umawiają spotkania. My czekamy na tyłach biura, w różowym salonie, rozmawiamy, gramy w karty,

oglądamy telewizję, dopóki nie jesteśmy wzywane. - Kolejna ostryga zniknęła w błyszczących ustach. - Wszyscy kierowcy madame George są zbudowani jak czołgi, więc nie zdarzają się kłopoty, a księgowość jest skomputeryzowana i zawsze dostajemy wypłatę siedemnastego. Opłaty za nasze usługi są z góry ustalone, a dziewczęta podzielone na kategorie. - Starannie przyprawiła następną ostrygę. - Po tym numerze z ministrem wszyscy proszą o mnie, więc należę do kategorii A, co oznacza własnego kierowcę, własny apartament, służącą i kredyt u Saint Laurenta. - Jacy mężczyźni tam przychodzą? - Lili była naprawdę zainteresowana. Teresa wzięła do ust ostatnią ostrygę, sprawdziła szminkę na ustach, uśmiechnęła się i zamówiła następną porcję. - Madame George jest we Francji instytucją, jak Luwr czy Crillon. Każdy cywilizowany mężczyzna wie o madame George, obojętnie czy jest gwiazdą filmową politykiem czy fizykiem jądrowym. Wszyscy do nas przychodzą. - Różnią się czymś od klientów z ulicy? - Klient jak klient. Jedni są czyści, inni brudni, jedni sprawiają kłopoty, inni nie, z jednymi idzie szybko, z innymi wolniej. - Teresa wzruszyła ramionami. - Jeśli mają gotówkę, wszyscy są jednakowo dobrze traktowani, miło i dyskretnie, przez dziewczęta od madame George. - Nie byłaś specjalnie dyskretna w sprawie tego ministra. Coś ty z nim właściwie robiła, zepsuta dziewczyno? - Biedny Maurice zawsze potrzebował trochę... pomocy. - Teresa zrobiła wymowny gest. Lili wybuchnęła śmiechem. - Madame George mówiła, że dostał za swoje, bo zawsze się spóźniał z zapłatą. Gdybyśmy wtedy nie były wszystkie w hotelu, mogłaby to jakoś wyciszyć. Widziałaś moje zdjęcie w „Le Figaro”? - Owszem. - Lili pochyliła się nad bukietem kremowych róż i dodała ściszym głosem: - Właśnie dlatego chciałam się z tobą zobaczyć.

Lili sama nie wiedziała, dlaczego się boi, kiedy Gregg jeździł w kółko prototypem drogowej wersji Speara po próbnej trasie, cały czas mrucząc do siebie pod nosem: - Trochę za duży luz... Nadal trochę za ciężko idzie przy wychodzeniu na prostą... Nie podoba mi się trzeci bieg...

Wycie silnika ustawionego na wysokich obrotach raziło uszy Lili, włosy i ubranie przesiąkały tłustym zapachem spalin, a od niewygodnego siedzenia bolały ją wszystkie kości. Nie miała ochoty włączać się w towarzyskie życie ludzi związanych z torem i nie mogła zrozumieć, dlaczego Gregg woli jeździć w kółko po torze, niż być z nią w łóżku. Zawsze znajdowała się jakaś wymówka. Nie robił tego przez dwa dni z powodu wyścigu, po wyścigu był zbyt wyczerpany, a do tego prawie co drugą noc spędzał w warsztacie, schylony nad jakąś tłustą kupą zepsutego żelastwa.

- Nie mogłabym ja poprowadzić? - spytała nieoczekiwanie. Gregg odpowiedział śmiechem.

- Mówię poważnie, Gregg. Umiem prowadzić sportowe samochody. W Paryżu mam Porsche'a. - Nachyliła się i lekko przejechała paznokciami po wewnętrznej stronie jego uda. - Załaskotam cię na śmierć, jeśli mi nie pozwolisz. Gregg poruszył się na miejscu z uśmiechem.

- Było nie było, ta wersja Speara jest przeznaczona dla zwykłych kierowców, takich jak ja! - Lili sięgnęła po poważny argument.

Gregg w końcu ustąpił.

- Lekko naciskaj na pedał gazu, przyspieszenie jest bardzo gwałtowne. - Objął jej kontrolki na desce i zamienili się miejscami. Lili wrzuciła pierwszy bieg. Maszyna skoczyła do przodu jak polujący lampart, ruszyła podjazdem i wtoczyła się na porośniętą z obu stron krzewami trasę. Z początku Lili czuła się, jakby samochód był dzikim zwierzęciem, porywającym ją na swoim grzbiecie, lecz kiedy oswoiła się z siłą, jaką mogło wyzwolić każde naciśnięcie pedału gazu, jazda zaczęła jej sprawiać przyjemność. Pędzili między kwitnącymi na różowo żywopłotami. Wiatr wpadał przez pozabawione szyb boczne okna. Lili ostentacyjnie przerzuciła na luz, kiedy zjeżdżali ze zbocza płaskiego wzgórza.

- Uważaj, tu jest niewidoczny zakręt! - krzyknął Gregg. Wjechali w niego, zanim zdążył dokończyć. W tym samym momencie zobaczyli, że droga jest zablokowana przez stado czarno-białych krów.

Lili szarpnęła kierownicą, próbując trafić w wolny przesmyk za stadem. Zbyt mocno nacisnęła na hamulec. Samochód wpadł w poślizg na błotnistej drodze, z nieprzyjemnym chrzęstem uderzył w skarpe, przewrócił się na dach, przejechał jeszcze kawałek po błocie i wreszcie zatrzymał się przed przerażonym stadem.

- Nic ci się nie stało, Lili? - zawołał Gregg, kiedy zawiśli głowami w dół na pasach w pogniecionym wraku Speara.

Lili, chyba nie mówisz poważnie! - zdziwiła się Maxine. - Szef służby powiedział mi, że potrzebujesz dodatkowej sypialni. Czy ty i Gregg... no, wiesz...

- Nie na dwa dni przed wyścigiem. - Lili zrobiła minę wystarczającą za komentarz, wzięła do ręki srebrną szczotkę i odwróciła się do lustra. - A ponieważ chodzi o Le Mans, będę musiała żyć jak zakonnica przez cały tydzień. Musiałam obiecać, że go nie będę uwodzić, bo zagroził, że jeśli nie, to zamieszka w przyczepie z resztą załogi Speara.

Gregg był uczuciowy, namiętny, czuły i silny, lecz prawie każdą wolną chwilę spędzał w tym cholernym garażu, opętany tymi cholernymi samochodami.

Ach, ci mężczyźni, pomyślała Maxine, dziwnie podniesiona na duchu wyrazem pięknej twarzy Lili. Charles był tak samo beznadziejny. Minęły już całe tygodnie, odkąd ta dziwka Simone wyjechała, a mąż Maxine nadal sypiał w swoim pokoju. Jej sypialnia została urządzona na nowo w zmysłowych odcieniach bordo, a na ścianach zawisły prowokująco obnażone piękności Fragonarda. Charles nawet ich jeszcze nie widział. Maxine nie wiedziała już, co robić dalej. Rozmawiali ze sobą uprzejmie, może nawet zbyt uprzejmie, jednak atmosfera nadal była napięta.

- Poznałam go dzięki Spearowi i dzięki Spearowi prawie go nie widuję - westchnęła smutno Lili. - Pojawiłam się w niewłaściwym momencie jego życia. W tej chwili musi całą energię, uwagę i wysiłek poświęcić mojemu rywalowi, Spearowi. Ma zresztą i inny powód. - Lili zaczęła wolno szczotkować długie czarne włosy. - Jest jeszcze poobijany po naszym wspólnym wypadku, powinien oszczędzać kostkę.

Ponieważ to była moja wina, więc nie mogę narzekać, zwłaszcza teraz, kiedy cała jego przyszłość zależy od tego wyścigu w Le Mans.

Z daleka dobiegł odgłos silnika. Wystraszone gołębie poderwały się z tarasu. Lili podskoczyła w miejscu upuszczając szczotkę.

- To musi być Gregg!

Jak oceniają paliwo, Jack? - spytał niespokojnie Gregg. Główny mechanik, z oczami czerwonymi z niewyspania, wrócił właśnie do przyczepy po przedstawieniu Speara do kontroli, która odbyła się na rynku Le Mans. Spędził tam osiem godzin.

- W ogóle się nie czepiali, ale gorzej poszło z rozmiarami wgłębienia na stopy.

Żabojady przez godzinę czołgały się dookoła, mierząc je na wszystkie strony.

Skończyło się na tym, że pomiary zrobiono w inny sposób.

- Oni są strasznie sztywni, jeśli idzie o przepisy. Posłałeś Johnie Walkera? - Nie chcieli być zdyskwalifikowani jeszcze przed rozpoczęciem wyścigu.

- Dwie skrzynki. Załatwiły sprawę. - Jack klepnął go w ramię. Wyposażenie załogi obejmowało dodatkowo trzy skrzynki szkockiej whisky, która miała wygładzić drogę Speara przez labirynt drobiazgowych francuskich przepisów.

- Lepiej nie ryzykować dyskwalifikacji - postanowił Gregg. - Możemy poprawić to wgłębienie przez noc.

Lili wróciła sama do Chateau de Chazalle, a Gregg pracował do późnej nocy z mechanikami. Do następnego ranka układ kierowniczy i skrzynia biegów Speara zostały rozebrane na części, sprawdzone i z powrotem złożone.

W czwartek po lunchu zapanowała panika, kiedy odkryto, że sprzęgło jest odchylone o jedną dwudziestą piątą cała od osi, co wystarczało, by zablokować cały system. Ludzie pracowali szybko, ale nie dość szybko. O zmierzchu wytoczyli auto przed garaż.

- Nic się nie da z tym zrobić. - Piegowata twarz Gregga była blada. - Musimy wykonać przejazd próbny na takim, jaki jest, a potem w nocy popracować jeszcze nad sprzęgłem.

Lili spróbowała wytłumaczyć Greggowi, że jeszcze jedna nie przespana noc w przyczepie z załogą uniemożliwi mu w ogóle wystartowanie w rajdzie. Niechętnie przyznał jej rację. Tym sposobem kierowca Maxine podwiózł go pod drzwi zamku tuż przed północą w piątek.

- Udało się! - wykrzyknął triumfalnie Gregg, biegnąc do Lili po dwa schody naraz. - Odtąd wszystko pracuje na naszą korzyść, zakwalifikowaliśmy Speara. Bierzemy udział w wyścigu, a to jest najważniejsze.

- Co zrobiliście z tym sprzęgłem? - spytała Lili, kiedy siedzieli razem w żółtym pokoju śniadaniowym. Gregg rzucił się na gorący gulasz i chrupiące francuskie pieczywo.

- Jack sobie z nim poradził - odpowiedział z pełnymi ustami. - Wyjątkowy z niego facet, pracuje za darmo, z czystej miłości do mechaniki precyzyjnej. W dzisiejszych czasach praca w wielu warsztatach to montaż, nie mechanika. Nie wykonują niczego, nie muszą posiadać żadnych specjalnych umiejętności. Jak coś się zepsuje w samochodzie, po prostu wyciągają wadliwą część i wkładają nową. Ale w Spearze każda śrubka musi być dokręcona idealnie. Wiesz, że na Mlusanne Straight

puściłem kierownicę przy ponad dwustu milach na godzinę i prawie tego nie poczułem?

Lili podniosła jego dużą, poplamioną smarem rękę i złożyła na niej pocałunek.

- A po co ktoś miałby zdejmować ręce z kierownicy przy prędości dwustu mil na godzinę?

Księżyc rzucał miękkie czarne cienie na nieruchomy srebrny piasek. Poprzez wysokie płomienie strzelające z obozowego ogniska król Abdullah widział szyje i kiwające się głowy wielbłądów, odcinające się na tle nieba. Rozsiadłano je na noc i związano im nogi, żeby nie uciekły. Poza dżipem, helikopterem i lekkim samolotem najpewniejszym środkiem transportu na pustyni nadal pozostaje wielbłąd, pomyślał Abdullah. Wielbłąd je bardzo niewiele, wystarcza mu picie raz na pięć dni, potrafi przetrzymać dwadzieścia dni bez wody, jeśli w tym czasie znajdzie pastwisko, i może dźwigać na grzbiecie do stu pięćdziesięciu funtów ładunku.

Plemię Hakem spędziło większą część dnia ścigając się na wielbłądach po pustyni.

Abdullah wygrał główny wyścig. Teraz świętowano królewskie zwycięstwo.

Plemienny poeta, siwobrody starzec w białej szacie, improwizował pochwalne strofy w blasku płomieni z suszonego wielbłądziego łajna i śmieci. Ilekroć w wierszu wspomniane było imię Abdullaha, zebrani wokół ognia ludzie wznosili okrzyki i strzelali na wiwat.

Płomienie rozświetlały podnieconą twarzyczkę siedzącego naprzeciw króla dwunastoletniego księcia Hassana, siostrzeńca Abdullaha i zarazem jego następcy. Abdullah przywiózł Hassana do osady plemienia, którym w przyszłości miał rządzić.

Było to już czternaste takie miejsce odwiedzane przez księcia w tym miesiącu.

Abdullah odbywał tego rodzaju oficjalne wizyty tylko u najbardziej wpływowych szejków swego królestwa i wykorzystywał je do rekrutacji żołnierzy. Wolność jego kraju zależała od lojalności wojska. Walka była ceną, jaką płaciły małe zacofane naftowe państewka za to, że były strategicznie ważne dla Zachodu.

Poeta skończył. W nocnej ciszy rozległy się ostre, porywcze głosy rozprawiające o przebytych walkach, dawnych wielbłądach, minionych polowaniach. Żółte płomienie oświetlały pociągłe twarze siedzących wokół ognia mężczyzn, ich długie czarne włosy i czarne oczy błyszczące jak usiane gwiazdami niebo w górze. Tej nocy mieli spać na piasku wokół ognia, chronieni od chłodu jedynie przez czarne płaszcze.

Beduini, tacy jak ci z plemienia Hakem, gardzili wygodami.

Myśląc o codziennych zajęciach, papierkowej robocie, spotkaniach z ambasadorami, ministrami, szefami departamentów i dowódcami wojsk, Abdullah odczuł nagłą radość z bycia pomiędzy tymi twardymi, prostymi, odważnymi ludźmi, żyjącymi pośród pustyni, gdzie jeden dzień nie różnił się niczym od drugiego i gdzie czas nie rządził ludzkim życiem.

Zapowiedziano główny punkt programu; pustynni wojownicy podążyli za swym suwerenem do trzydziestojardowego namiotu z czarnej kozłej skóry. Książę Hassan potknął się przy wejściu i o mało nie upadł. Abdullah spojrzął na zmęczone dziecko w chwili, gdy ubrany na biało ochroniarz pomagał mu złapać równowagę. Wewnątrz

luksusowo urządzonego namiotu młodzi chłopcy częstowali przybyłych lepkiemi daktylami i figami. Z oryginalnie zdobionych mosiężnych dzbanków nalewano do maleńkich czarek kawę, mocną i czarną, zaprawioną nasionami kardamonu. Król Abdullah pozwolił, by trzykrotnie napełniono mu filiżankę, tak jak nakazywał zwyczaj, a potem przyniesiono mu uroczyście miskę wielbłądziego mleka, jeszcze ciepłego po udoju i trochę słonego w smaku. Kiedy Abdullah kończył je pić, szejka plemienia Hakem poderwał się i wygłosił tradycyjną mowę powitalną gęsto przetykaną przesadnymi komplementami, pochlebstwem i górnolotnymi pochwałami. Dziękował Allahowi za Niewolnika Bożego, co oznacza po arabsku imię Abdullah, wychwalał jego czyny i życzył mu wiecznego życia. Zajęło to sporo czasu. Król Abdullah spojrzał na księcia Hassana. Chłopiec nigdy się nie skarżył i posłusznie spełniał wszystkie swoje książęce obowiązki, tyle że posłuszeństwo nie było specjalnie użyteczną cechą u przyszłego króla. Czy Hassanowi wystarczy siły ducha, żeby panować nad takimi ludźmi jak tu obecni? Abdullah zastanawiał się nad tym, patrząc na otaczających go porywczych, twardych ludzi pustyni. Abdullah nie kochał swego siostrzeńca. Od śmierci jedyne go syna Mustafy, nikogo nie kochał i nikomu nie ufał. Nie zamierzał się poświęcać nikomu i niczemu poza krajem, interesami swoich ludzi i swoją armią. Matka Abdullaha umarła przy porodzie i wciąż odczuwał jej śmierć jako bolesną stratę. Zamordowanie ojca wzbudziło w nim jedynie lodowaty gniew. Wiedząc, że jego własne życie jest w ciągłym niebezpieczeństwie, nabrał przekonania, że zaangażowanie się w związek uczuciowy z drugą osobą uczyni go bezbronny wobec zamachu.

Wewnątrz namiotu rozłożono dywany i mnóstwo haftowanych poduszek. Czujny wzrok Abdullaha uważnie śledził otoczenie, choć głowa pozostawała nieporuszona i dumnie uniesiona. Śniada skóra ciasno opinała kości czaszki, a dumne czarne brwi schodziły się nad nosem, zagiętym nad szerokimi wargami jak dziób jastrzębia. Chłopcy w białych strojach wnieśli do namiotu wielkie srebrne tace; na każdej znajdował się podkład z ryżu, na nim całe jagnię pieczone na węglu drzewnym, nadziewane mieszanką cynamonowego ryżu, rodzynek, orzechów i migdałów. Przy każdej tacy siedziało ze skrzyżowanymi nogami ośmiu mężczyzn; odrywali kawałki jagnięcego mięsa i maczali je w jogurcie, a ryż ugniatali palcami w małe kulki, zawsze tylko prawą ręką jako że lewa, nieczysta, używana była do czynności higienicznych.

Następnie, również na srebrnych tacach, wniesiono słodkie ciastka nadziewane kozim serem i polane gorącym syropem. Rozległa się melodia grana niewprawnie na klarncie i fletach; bębny głośno podawały rytm. Stanowiła wstęp do tańców i śpiewania tradycyjnych pieśni, będących jednostajnym zawodzeniem, bez rytmicznych lub harmonicznym podziałów, bezustannym powtarzaniem jednej frazy.

Generał Suliman pochwycił spojrzenie króla z drugiego końca namiotu, dyskretnie skinął głową i stanął za księciem Hassanem, gotów eskortować go, kiedy będzie przedstawiany plemieniu Hakem. Patrząc na pociągłą surową twarz Sulimana, Abdullah uzmysłowił sobie nagle, jak dziwnym zbiegiem okoliczności było to, że syn szejka plemienia Hakem towarzyszył mu w Królewskiej Akademii Wojskowej w

Sandhurst. Razem z Sulimanem siedzieli przy długich wypolerowanych mahoniowych stołach lśniących od sreber, kryształów i kandelabrow, gdzie każdy pojawiał się w galowym mundurze, a orkiestra regimentu grała fragmenty Oklahomy!. Abdullah uświadomił sobie, że pomiędzy jego wschodnim a zachodnim życiem istnieje przepaść. Przypomnił sobie rowerowe przejazdy z Sulimanem z jednej klasy do drugiej i nie kończące się musztry na placu defilad odbywane w ciężkich czarnych butach. Razem z Sulimanem zdobywali umiejętność dowodzenia plutonem piechoty. Ubrani w polowe mundury razem przeprawiali się przez rzeki, przedzierali się Land Roverami przez góry nocą i wyskakiwali z samolotów w ciągu dnia. We dwójkę zdobyli tytuł najlepszych jeźdźców i najlepszych strzelców w Sandhurst, co było o tyle zrozumiałe, że obaj jeździli konno po pustyni i strzelali od niepamiętnych czasów. Obaj potrafili w pełnym galopie ustrzelić kuropatwę, podobnie jak większość żołnierzy siedzących dziś w tym wytwornym namiocie. Muzyka ucichła nagle, kiedy Abdullah wstał i wygłosił rytualną mowę skłaniającą plemię Hakem do złożenia przysięgi dozgonnej wierności jego dynastii i jego następcy. Abdullah gestem nakazał Hassanowi wstać. Chłopiec wstał, zachwiał się i runął na antyczny dywan.

Rozległ się krzyk trwogi. Generał Suliman poniósł chłopca, lecz młody książe leciał u przez ręce, nieprzytomny i blady. Twarz Abdullaha pozostała bez wyrazu, kiedy nakazał generałowi Sulimanowi odprowadzić księcia do namiotu kobiet.

Szejk Hakem padł Abdullahowi do stóp demonstrując swoje poddanie.

Przez dziesięć minut w namiocie nikt się nie poruszył, dopóki Suliman nie wrócił i nie przekazał królowi do ucha pocieszającej wieści. Okazało się, że książe Hassan jedynie zemdłał, przemęczony bezustannym podróżowaniem i licznymi ceremoniami, w których brał udział w ciągu ostatniego miesiąca.

Po namiocie natychmiast rozszedł się szmer ulgi.

Kiedy Abdullah obmywał rękę w srebrnej misie, żaden z otaczających go członków plemienia nie zauważył, jak głęboki jest niepokój króla. Książe Hassan bezustannie chorował w Port Regis, gdzie chodził do angielskiej szkoły. Albo to dziecko było ofiarą stopniowego podtruwania, albo nie nadawało się na króla.

Był upalny czerwcowy dzień, słońce prażyło betonową trybunę toru w Le Mans. Żandarmi co jakiś czas przechadzali się przez tłum, pilnując, by gapie nie wchodzili w niedozwolone miejsca. Ryki potężnych silników niosły się na dużą odległość przez niskie laski otaczające tor, kiedy samochody zajmowały miejsca startowe. Na zatłoczonej trybunie hałaśliwa grupka powiewała narodową flagą angielską i czarnymi flagami z emblematem Eagle.

- Gdzie jest Gregg? - Maxine wyteęzała wzrok, lecz nie mogła dojrzeć Speara na starcie.

Lili pobiegła do boksu obsługi, gdzie mechanicy szybko, w milczeniu pracowali nad Spearem.

- Pompa paliwowa wysiadła! To przez ten cholerny upał - krzyknął Gregg poprzez ryk startujących pojazdów. - Stracimy okrażenie.

Lili patrzyła, jak samochody ruszają jadąc zwartą grupą za prowadzącym przez całe wstępne okrążenie. Następnie wycie silników przeszło w crescendo i rozpoczął się właściwy wyścig. Przed końcem pierwszego okrążenia Spear wśliznął się na tor. Przed końcem drugiej godziny Spear znajdował się na dziesiątej pozycji. Gregg triumfalnie wyskoczył z kabiny z okrzykiem:

- Boże, to auto jest piękne!

- Kto prowadzi? - dopytywała się Lili, kiedy zmiennik Gregga sadowił się za kierownicą. Straszliwy upał, zapach spalin, okrzyki tłumu i jednostajny hałas silników oszałamiała ją do tego stopnia, że nie była w stanie orientować się w przebiegu wydarzeń.

- Nannini na Lancii, idzie na całego. - Gregg wydał radosny okrzyk, bo Spear przyczaił się za zielonym BMW Sauber C7 i jard po jardzie zaczął go wyprzedzać. Po pięciu minutach kierowca Porsche'a jadącego w drużynie Canon stracił panowanie nad kierownicą i zderzył się z innym Porsche'em, który wypadł z trasy na trawę, a potem wrócił na tor tracąc tylko miejsce w klasyfikacji.

Pod koniec czwartej godziny Spear przesunął się na szóste miejsce. Lili patrzyła, jak samochód wtacza się do boksu ze zniszczonym obciążnikiem na prawym przednim kole. Mechanicy wychodzili z siebie, żeby zmienić koło w ciągu dwudziestu sekund.

- Teraz rozumiesz, dlaczego mamy tyle zapasowych? - Gregg przygotowywał się do zajęcia miejsca za kierownicą. - Ten wyścig to dla samochodu naprawdę ciężka próba.

Dla kierowców także, pomyślała Lili, po raz pierwszy w życiu umierając z niepokoju o bezpieczeństwo drugiej osoby. Wyścig nagle przestał być nudny, nie był też dla niej emocjonujący. Przerażał ją. Lili czuła jedynie lodowaty strach, obserwując, jak Mazda 717 na moment zajechała drogę Spearowi, a potem oba samochody, już z daleka od siebie, zginęły jej z oczu.

Pod koniec piątej godziny podwójny karambol na Mulsanne Straight wyeliminował obie drużyny Aston Morrisa i Gregg znalazł się na drugim miejscu z sekundową stratą do prowadzącego Porsche'a.

Na trybunie zapanowało ożywienie. Lili usłyszała z głośników nazwę Eagle Motors.

- Co się dzieje? - krzyknęła do Charlesa.

- Jest na prowadzeniu - odkrzyknął jej podekscytowany Charles.

- Porsche przepadł!

Gregg miał świadomość, że za nim jedzie jeszcze osiem samochodów Porsche 956s.

To one zawsze miały najwięcej do powiedzenia w wyścigach wytrzymałościowych dzięki doskonałej niemieckiej mechanice. Na torze Le Mans samochód mógł ulec zniszczeniu w rękach kierowcy; metal mógł pęknąć, guma się ścierała, plastik się topił. Przez dwadzieścia cztery godziny jazdy na granicy możliwości samochód mógł się po prostu rozpaść na kawałki. Tylko najlepsi byli w stanie przetrwać Le Mans.

Kiedy Gregg zredukował, spodziewając się zakrętu w prawo na Tetre Rouge, trzeci bieg wydał mu się jakiś dziwny. Andretti w Porsche'u zbliżał się do niego od tyłu.

Gregg poczuł mrowienie w lewej kostce i miał trudności ze skoncentrowaniem się na zakręcie.

A potem mrowienie zmieniło się w przeszywający ból, usłyszał straszliwy chrzęst gniesionego metalu, świat zawirował mu przed oczyma, a jodły z otaczającego tor lasku wyszły mu na spotkanie. Spear wyleciał z trasy.

Diabelskie szczęście! - Charles opadł na aksamitny fotel.

- Rozbija się przy prędkości dwustu siedemdziesięciu mil na godzinę i nic mu nie jest poza skręconą kostką.

Przez okno zamku słychać było słodki śpiew słowika. Zapach rosnących pod oknami lip wypełniał bibliotekę. Zmęczona emocjami i gwarem Maxine zrzuciła żakiet i usiadła na obitej niebieskim brokatem sofie.

- Co za gorąca noc!

Przez chwilę panowała cisza. Służba poszła już spać; w bibliotece panował półmrok, rozjaśniony tylko lampką do czytania. Maxine westchnęła.

- Charles, jestem zmęczona. Mógłbyś poczekać, aż Lili wróci ze szpitala? Narobiła straszego zamieszania, ale szczerze się niepokoiła o Gregga. Zaczynam ją lubić. Może rzeczywiście ustatkuje się przy Greggu.

- On wygląda na porządnego chłopaka.

- Odpowiedniego dla Lili. - Maxine ziewnęła. - Jeśli zostanie mistrzem Europy, nie będzie musiał żyć w cieniu sławy Lili. A ponieważ zajmują się różnymi dziedzinami, ich ambicje nie powinny sobie nawzajem przeszkadzać.

- Nie będzie się czuł przez nią zagrożony. - Charles pokiwał głową. Wolno przeciągnął się w fotelu.

- Nie rozumiem, dlaczego mężczyźni uważają, że kobieta, która osiągnęła w życiu sukces, stanowi jakieś zagrożenie. - Maxine zsunęła z nóg białe sandały. - Kobiętom nie przeszkadzają sukcesy mężczyzn. - Uniosła nogi i zaczęła poruszać palcami. - Kobiety uważają, że sukces czyni mężczyznę jeszcze bardziej atrakcyjnym.

Maxine wyprostowała nogi i zaczęła gimnastykować zmęczone kostki wykonując obroty stopami. Nawet po dwudziestu latach małżeństwa Charles nie mógł oderwać oczu od długich, kształtnych nóg Maxine. Świetnie zdawała sobie z tego sprawę, prezentując mu je w przyćmionym świetle lampy.

Zawsze praktyczna Maxine uświadomiła sobie, że w sytuacji, gdy ktoś znajomy ociera się o śmierć, człowiek weryfikuje swoją skalę wartości. Kiedy wrócili ze szpitala, do którego zabrano Gregga po wypadku, Charles był dla niej znacznie miłszy niż w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Maxine delikatnie masowała sobie teraz lewą łydkę, myśląc przy tym: Nie rozwiążemy sytuacji, dopóki on mnie nie przeprosi, a przecież on mnie nigdy nie przeprosi. Ale może okazać, że jest mu przykro, jeśli dam mu szansę i nie będę się na nim odgrywać. Podciągnęła lekko spódnicę i zaczęła masować lewe kolano. Odezwała się cicho:

- Charles, przepraszam. - Lepiej było poddać się i osiągnąć cel, niż trwać w uporze przy swoich racjach, nie zyskując niczego.

- Za co przepraszasz, Maxine?

- Za wszystko.

Charles natychmiast znalazł się przy niej.

- Kobiety sukcesu zawsze mają na sobie za dużo ubrania - szepnął jej do ucha. Wsunął szczupłe dłonie pod sukienkę, rozpiął stanik i zaczął szybkimi, jaszczurczymi ruchami języka pieścić kremowe ciało żony.

Rozdział dziewiąty

Czerwiec 1979

Cjdzies w oddali lśnił w popołudniowym czerwcowym słońcu Potomac. Znudzeni policjanci usiłowali rozsunać na boki grupkę feministek pikietujących ambasadę Sydonii, by zrobić przejście dla wysiadającego właśnie z Rollsa Abdullaha. Król w towarzystwie generała Sulimana przeszedł pospiesznie obok transparentów głoszących: „Arabowie uciskają kobiety”, „Islam to gwałt”, „Dość opresji” i zniknął w drzwiach rezydencji.

- Wystawa Marka Scotta okazała się wielkim sukcesem. - Jego Wysokość zdjął białe rękawiczki i rzucił je na srebrną tacę podsunętą przez służącego w burnusie. - A artykuł wstępny w „Washington Post” o obrzezaniu był dokładnie tym, czego oczekiwałem.

- Jeśli poprze nas Światowa Organizacja Zdrowia, za dziesięć lat ów zwyczaj będzie już tylko niemiłym wspomnieniem - powiedział Suliman. - Jutro Wasza Wysokość ma spotkanie z koptyjską lekarką która prowadzi kampanię przeciwko obrzezaniu kobiet w Egipcie. Zostawiłem odnośny raport na biurku Waszej Wysokości.

- Jakie wnioski?

- Kobiety Sydonii same powinny wystąpić przeciw podobnym praktykom. Mężczyźni może byliby i skłonni uznać, że dziewczyna nie musi dowodzić dziewictwa, dokonując gwałtu na własnym ciele, ale jak przekonać kobiety, że mężczyzna zaakceptuje nie okaleczoną pannę młodą? To ich obawy uniemożliwiają jakikolwiek postęp.

Abdullah westchnął.

- Co jeszcze?

- Specjalista od chorób dziecięcych czeka w sali audiencyjnej, potem Wasza Wysokość wydaje bankiet, tutaj w ambasadzie - generał usunął się na bok robiąc przejście Abdullahowi, który ruszył w stronę sali audiencyjnej. Przywitało go tam dwóch schludnie ubranych dżentelmenów w szarych garniturach. Na twarzy króla pojawiło się zdumienie.

- Spodziewałem się tylko pana, doktorze.

- Mój kolega, doktor Margolies, jest specjalistą od chorób psychicznych wieku dojrzewania.

Abdullah uniósł brwi.

- Po zbadaniu księcia Hassana - zaczął wyjaśniać lekarz - uważam, że fizycznie nic mu nie dolega. Siostrzeniec Waszej Wysokości jest zdrowy.

- Dlaczego więc ciągle choruje? Opuścił już tyle godzin lekcyjnych. Dyrektor ostrzega, że mogą być kłopoty z przyjęciem go do Eton, a jeszcze dwa lata temu był doskonałym uczniem.

- Może zbyt doskonałym, Wasza Wysokość - wtrącił psychiatra. - Książę Hassan sprawia wrażenie cichego, dobrze wychowanego, pilnego chłopca, jest jednak nienormalnie spokojny jak na dwunastolatka. Nie okazuje żadnych oznak żywotności ani ciekawości. To zachowanie typowe dla dziecka wychowanego w domu, gdzie panuje zbyt autorytarna atmosfera.

- Co to ma wspólnego z jego chorobą?

- Książę Hassan wydaje się... krótko mówiąc, książę wydaje się uciekać w chorobę.

- Jeśli mój siostrzeniec symuluje z powodu lenistwa, zostanie ukarany.

Dziewięć miesięcy w roku książę Hassan spędzał w Port Regis, brytyjskiej szkole dla chłopców z internatem w Dorset, w czasie wakacji natomiast doskonalił swą wiedzę w zakresie historii dwudziestego wieku, strategii wojskowej, taktyki i nowoczesnej państwowości. Tylko godzinę dziennie mógł poświęcać na zabawy, co oznaczało tresowanie sokołów z sokolnikiem z królewskich stajni. Z obawy przed porwaniem i próbami zabójstwa zabraniano mu zabaw z rówieśnikami.

- Książę Hassan nie symuluje, Wasza Wysokość - odezwał się doktor Margolies. - Jego bronchity i choroby zatok są autentyczne, nie sposób zaprzeczyć fizycznym objawom.

- Nie rozumiem więc, o czym panowie mówicie. Czy mój siostrzeniec jest chory, czy nie?

- Przypadłości psychosomatyczne są pod każdym względem niedomaganiem fizycznymi, choć ich przyczyny nie są natury organicznej. Przewlekłe choroby powodują, że książę trafia do szkolnego szpitalika, gdzie ma troskliwą kobiecą opiekę.

Jego Wysokość słuchał wyjaśnień psychiatry całkowicie zbity z tropu.

- Podejrzewamy, że w ten sposób natura rekompensuje sobie to, czego księciu nie dostaje, a co jest niezbędne dla dwunastoletniego dziecka: szuka ono miłości i opieki kobiety.

- To zrozumiałe, że mój siostrzeniec odczuwa brak matki - odparł zaskoczony Abdullah. - Siostra umarła pięć lat temu, ale w pałacu chłopiec stale przebywa z kobietami.

- Nie mówimy o służących, Wasza Wysokość - wyjaśnił doktor Margolies. - Książę Hassan czuje się samotny, zaczyna właśnie dojrzewać, wchodzi w okres, w którym matka pomaga chłopcu stawać się mężczyzną. Chłopiec w tym wieku popełnia błędy, potrzebuje zrozumienia i akceptacji, ochrony. Bez nich nie rozwinię w sobie potrzebnej mu żywotności i ciekawości świata, dwóch rzeczy niezbędnych dorosłemu mężczyźnie.

A szczególnie królowi, pomyślał Abdullah. Żadne plemię Beduinów nie może być rządzone przez słabeusza.

O północy przygnębiony Abdullah opuścił w towarzystwie Sulimana salę bankietową i ruszył przez wysłane bogatymi dywanami korytarze w stronę swojej sypialni. Nie udało mu się zdobyć poparcia koniecznego do walki z fundamentalistyczną partyzantką panującą nad jedną czwartą terytorium Sydonii. Mając zakładników w Iranie, Stany Zjednoczone nie chciały angażować się otwarcie

w żadnym z krajów Bliskiego Wschodu i ryzykować tym samym pogorszenia i tak napiętej już sytuacji politycznej.

Dzisiejszy bankiet, który miał ułatwić negocjacje, okazał się katastrofą. Stary ambasador powinien odejść na emeryturę. Natychmiast. Wino musiało być fatalne, bo amerykańscy goście ledwie go spróbowali, nie ruszyli też ciężkich orientalnych dań. Abdullah słyszał nawet, jak jeden z zaproszonych powiedział do drugiego: - Nie dość, że raczą nas tłustym ryżem i nie dogotowaną baraniną, to jeszcze wszystko wystygło w czasie tych cholernych przemówień.

Trzy Amerykanki czuły się niezręcznie pośród milczących Arabów, nie nawykłych do prowadzenia konwersacji z kobietami. Atmosfera w niczym nie przypominała nastroju męskiej jowialności czy niewymuszonej gościnności. Abdullah postanowił, że jego następny ambasador w Waszyngtonie powinien mieć wykształconą, inteligentną żonę, która będzie potrafiła zorganizować życie towarzyskie w ambasadzie, jak czynią to żony zachodnich dyplomatów. Słyszał, że połowice niemieckich ambasadorów otrzymują pensje za pomoc, jakiej udzielają swoim mężom. Po dzisiejszym wieczorze zrozumiał, dlaczego.

Kiedy na początku tygodnia szejik Jamani z Arabii Saudyjskiej wydał bankiet na cześć Abdullaha, sprowadził kucharza z paryskiego Crillonu, białe trufle z Włoch i kwartet smyczkowy z Wiednia. Na tym tle jego ziomkowie wypadli dzisiaj jak dzikie, prehistoryczne plemię. Sulimanowi nie trzeba było nic mówić; wiedział i bez tego, co czuje Abdullah. Był jedyną osobą, która rozumiała, dlaczego ów bon vivant zamienił się w ponurego ascetę. Po latach upartej determinacji, latach walki przeciw komunistycznej infiltracji kraju, po latach prób przeistoczenia rodaków w dwudziestowieczne, nowoczesne społeczeństwo, Abdullah był najzwyczajniej w świecie zmęczony. Był też samotny i wyizolowany, nie ufał żadnemu mężczyźnie, a większość kobiet przyprawiała go o ziewanie.

Pożegnawszy Sulimana podniósł słuchawkę czerwonego telefonu. Załatwił sprawę zmiany ambasadora w Waszyngtonie, po czym zajął się oficjalnymi dokumentami z całego dnia. Na samym spodzie znalazł grawiurowane zaproszenie z przypiętą do niego krótką informacją wywiadu na temat lady Jennifer Swann. Zmarszczył brwi ze zdziwienia, gdy rozpoznał charakter pisma na zaproszeniu.

Poganka przeglądała poranną pocztę siedząc przy biurku zarzuconym ulotkami, programami galowych koncertów, otwartymi kopertami, rodzinnymi fotografiami w srebrnych ramkach, starymi numerami „Konia i psa”; wśród tego galimatiasu królowała nadjedzona przez mole królicza łapka. Raz jeszcze przeczytała bilecik z czerpanego papieru ozdobiony purpurowym herbem.

W imieniu Jego Wysokości Abdullaha, króla Sydonii, z zalem muszę poinformować, że Pani zaproszenie na królewską galę na rzecz Anglo-Amerykańskiego Instytutu Onkologicznego, mającą się odbyć w dniu 31 lipca, nie może zostać przyjęte.

Terminarz Jego Wysokości nie pozwala mu przybyć w tym terminie do Anglii i uczestniczyć w wieczorze.

Jednocześnie Jego Wysokość ma zaszczyt zaprosić Panią na wyścigi do Ascott w Dniu Pań, gdzie w zakładach cheshamskich pobiegnie jego jednolatka Reh al Leil.

Pod listem widniał zamaszty podpis królewskiego koniuszego. Nie zapraszała przecież Abdullaha na galę. Poganka raz jeszcze sprawdziła listę gości. W tej samej chwili zadzwonił telefon.

- Tak, mówi lady Swann... Och, naprawdę?... Halo?... Ma się rozumieć, że jestem zaskoczona... tak, właśnie dostałam... - Obróciła kopertę. - Oczywiście, z radością spotkałabym się z Waszą Wysokością, ale obawiam się, że to niemożliwe... Nie, nie noszę już żałoby, ale nie mogę być na wyścigach w przyszłym tygodniu.

Od śmierci Christophera Poganka odrzucała wszystkie zaproszenia.

- ...nie, absolutnie nie. Jestem bardzo zajęta przygotowaniami do gali dobroczynnej... Życie wdowy nie jest tak puste, jak mogłoby się wydawać... jest tylko... jest... - Zbita z pantalą szukała jakiegoś wykrętu. - Nie mam po prostu stosownej sukni. Wiesz, jak człowiek musi się ubrać na wyścigi w Ascot... Och, dobrze, Abdullahu, będę.

Odłożyła słuchawkę, myśląc, że po raz pierwszy nazwała siebie wdową. Nie brzmiało to tak strasznie. Wstała i spojrzała w lustro nad kominkiem; wokół oczu rysowała się już siateczka kurzych łapek.

Od chwili, gdy poznali się na studiach w Szwajcarii, Poganka potrafiła zawsze rozbroić Abdullaha, sprawić, że roześmiany, odprężony, zapominał o sztywnym i oficjalnym sposobie bycia. Na mocy jakiegoś przedziwnego założenia, traktował ją zawsze tak, jakby stanowiła jego własność. Była jego pierwszą miłością, a on jej. Nigdy nie przestał jej uwodzić, nawet wtedy, gdy wyszła za Christophera i nieodmiennie odrzucała jego awanse. Choć ich znajomość nie wykroczyła poza przyjaźń, Poganka nie opowiadała się mężowi ze spotkań z Abdullahem. Widywali się w Dorchesterze: ubierała się wtedy z niezwykłą u niej dbałością i chociaż byli tylko przyjaciółmi, wiedziała, że Abdullah nie potrafi myśleć o kobietach inaczej, jak tylko przez pryzmat seksu, i tak ich spotkania były zawsze podszyte erotyzmem. Patrzyła na swoje odbicie w lustrze pełna nadziei, pochlebiona i lekko przestraszona.

W godzinę później odezwał się dzwonek przy drzwiach. Na progu stał posłaniec od Fortnuma i Masona ze stertą pudeł z sukniami. Zza jego pleców wychynęła twarz zastępcy szefa działu konfekcji, gotowego przywieźć następną partię strojów, gdyby okazało się, że lady Swann nie wybrała nic z pierwszej.

Wahała się między zielono-białą suknią z szyfonu i utrzymanym w pastelowej tonacji jedwabnym kostiumem. Szef działu zaczął prezentować kapelusze. W skrytości ducha była przekonana, że w kapeluszu wygląda cudownie i romantycznie, kiedy jednak decydowała się w końcu któryś włożyć, czuła się zawsze sztucznie i głupio. Koniec końców wybrała najskromniejszy. Widząc w jej dłoniach mały, biały marynarski berecik, szef działu konfekcji zrobił niewyraźną minę, po czym podał jej słomkowe cudo z dużym rondem, przypominające w formie rybacki kaptur; jego głęboki, ochrowy kolor świetnie harmonizował z mahoniowymi włosami i jasną cerą Poganki. Szef działu konfekcji z aprobatą pokiwał głową. W rybackim westerze każdej kobiecie jest do twarzy.

Ona się chyba niepokoi? - zapytała Poganka Abdullaha, obserwując stąpającą niespokojnie po padoku spoconą kasztankę.

- Czy to nie naturalne, że panna denerwuje się przed pierwszym występem? -
uśmiechnął się Abdullah. - Pamiętam, że potrafiłaś być czasem naprawdę niezdolna
jako debiutantka.

Poganka roześmiała się i raz jeszcze spojrzała z powątpiewaniem na klaczkę.

- Popatrz, zachowuje się, jakby już stawała do wyścigu. - Kasztanka tańczyła
niespokojnie wokół stajennego, na jej szyi pod poprzęgiem zebrała się biała piana
potu.

- Nie postawisz na nią?

- Nie, jeśli nie przestanie tak się zachowywać. Będzie wykończona jeszcze przed
startem - pokpiwała Poganka. - Nie ma wielkich różnic między młodymi końmi
biegnącymi na krótkich dystansach, dlatego zwykle stawiam na dżokeja, jak
większość graczy. Daję piątkę na Lestera Piggotta, jadącego na siódemce.

- Złota Gondola - Abdullah zajrzał do programu wyścigów. - Faworyt. Nie
zaryzykujesz? - Poczula lekkie dotknięcie jego dłoni.

- Wiesz, że zawsze byłam tchórzem.

Uśmiechnął się i pstryknął palcami. Podszedł koniuszy.

- Lady Swann pragnie postawić pięć funtów na faworyta.

- Abdullah, daj spokój. Żartowałam. Ma się rozumieć, że postawię na twoją klaczkę.
Kiedy tylko dżokej jej dosiadł, Reh al Leil zrzuciła go na ziemię. Obstawiano sto do
siedmiu.

Inne konie szły na start stępa, tylko kasztanka pognęła galopem, pokryta białą
pianą z szeroko rozdętymi nozdrzami. W boksie startowym zarżała w głos, ponownie
zrzuciła dżokeja opóźniając start o całe dziesięć minut. Kiedy w końcu otworzyła się
maszyna startowa, Reh al Leil, pięć jardów w tyle za innymi końmi, popędziła w
przeciwnym kierunku niż reszta gonitwy.

- Gdzieś ty ją na Boga znalazł? - zainteresowała się Poganka, śledząc idącą lekko
przodem Złotą Gondolę.

- W Kentucky - odparł uprzejmie Abdullah.

Po pierwszym okrążeniu Reh al Leil była ostatnia. Na trzecim okrążeniu biegła już
w połowie stawki i wyraźnie nabierała pędu.

Na ostatnim okrążeniu Złota Gondola szła trzecia. Reh al Leil przy gromkich
krzykach z trybun wysforowała się na prowadzenie i przysła pierwsza.

- Dobrze, że nie postawiłam na faworytkę, straciła dziś mnóstwo pieniędzy - śmiała
się Poganka, gdy szli w stronę boksu zwyciężczyni. - Ruszała się tak wolno, jakby
naprawdę była złotą gondolą.

- Nowoczesne gondole zaopatrzone są zwykle w silniki.

- Jakże to nieromantyczne. Czy w Wenecji były kiedykolwiek jakieś złote gondole? -
zapytała Poganka, kiedy przyglądali się okrytej derką Reh al Leil.

- Tak, są do tej pory. Nie byłaś nigdy w Wenecji?

- Nie - odparła. - Jak typujesz w następnej gonitwie? Och, spójrz tam, Królowa
Matka. - Poganka wykonała dworski dyg, co okazało się dość kłopotliwe ze względu
na wąską spódnicę jedwabnego kostiumu.

Poszli w kierunku białych barier na końcu toru.

- To moja ulubiona część rytuału Ascot - oświadczyła rozmarzona Poganka, przyglądając się koniom przygotowywanym do powrotu do domu. Stajenny zdjął osłony z podków Reh al Leil. Abdullah nagrodził konia kilkoma marchewkami. Jego Wysokość jest na górze - poinformował Pogankę następnego dnia staruszek portier, prowadząc ją w kierunku bocznych schodów. Kobiety czy też „wizytujące damy”, jak je nazywano u Blacka, mogły wchodzić tylko do niektórych pomieszczeń klubowych, z głównej klatki schodowej nie miały prawa korzystać. Ściany podupadłej jadalni pełne były obrazów przedstawiających folbluty. Między stolikami poruszały się ospale podstarzałe kelnerki.

- Widzę, że nic się zmieniło - powiedziała Poganka, witając się z Abdullahem.

- Nic się nie zmieniło - odparł z uśmiechem. - Jedzenie jest tak samo podłe jak zawsze. - Skinął przyjaźnie głową przechodzącemu koło ich stolika ministrowi obrony. Wychowany w Eton i Sandhurst miłośnik wiejskich sportów i orędownik tradycji, Abdullah czuł się w Blacku jak w domu. Jego druga natura, dumnego Araba, sprawiała, że nie znosił dusznej atmosfery przywilejów i uprzedzeń klasowych przepełniającej szacowne sale, gdzie politycy, sędziowie, duchowni popijali markowego szampana ze srebrnych wiader, drzemali w skórzanych fotelach i choć uprzejmi, czuło się, że woleliby zdecydowanie nie zadawać się z brudnymi dzikusami ze Wschodu.

W pierwszych latach ich przyjaźni, gdy często umawiali się na lunch w Blacku, Poganka i Abdullah odkryli, że jeśli chcą zjeść przyzwoity posiłek, powinni zamawiać jedzenie pochodzące z włości członków klubu: rybę, dziczyznę i tajemnicze jarzyny, jak kozibród czy koper morski.

Abdullah obserwował Pogankę, która maczała szparagi w roztopionym maśle. Zamówiła później pstrąga z młodymi ziemniakami, groszkiem i sałatką z ogórków. Kiedy podano maliny, jadł je palcami, podnosząc do ust pojedyncze owoce. Jak taki surowy człowiek może mieć tak delikatne usta, zastanawiała się Poganka. Jego wargi zdawały się równie aksamitne jak nozdrza Reh al Leil. Poczowała lekki dreszczyk flirtu. Zdała sobie sprawę, że od chwili, gdy usiadła przy stoliku, Abdullah ani na moment nie oderwał od niej oczu.

Kiedy kelnerka sprzątnęła srebrne miseczki po malinach, ich ręce znalazły się o ułamek cala od siebie na adamaszkowej serwecie. Abdullah rozprostował dłoń; Poganka poczuła ciepłe dotknięcie jego palców.

- Nie mam zamiaru bawić się z tobą w ciuciubabkę - zaczął powoli - i nie chcę, żebyśmy znowu coś popsuli. Potrzebuję cię, potrzebuję prawdziwego partnerstwa.

- Nie sądziłam, że u was w Sydonii myśli się o prawdziwym partnerstwie, wydawało mi się, że zawieracie małżeństwa ze względów politycznych - wymamrotała Poganka. Była zdenerwowana, mówiła szybko, łykając słowa, i natychmiast pożałowała tego, co powiedziała.

- Kochana Poganko - odparł Abdullah, myśląc, że chętnie by jej przyłożył - nie jesteśmy w Sydonii.

- Będą państwo pili kawę, sir? - przerwała ich rozmowę kelnerka.

- Może wypijemy kawę w moim apartamencie w Dorchesterze? - zaproponował Abdullah.

Poganka siedziała przez długą chwilę bez słowa, z na wpół otwartymi ustami, zdjeta nagłym przerażeniem.

- Proszę, Poganko - zmusił się do wypowiedzenia słowa, które wymawiał bardzo rzadko.

- Czemu by nie? - usłyszała własny głos.

Cóż ja na Boga robię, zadawała sobie pytanie, gdy schodzili na parter. Jestem wdową. Od wieków z nikim się nie kochałam. Przyzwyczaiałam się do Christophera. Zupełnie zwariowałam. Nie jestem już tą dziewczyną, którą zapamiętał. Rozmyśli się, kiedy zobaczy mnie bez ubrania. Arabowie traktują kobiety jak osły, a Abdullah już raz mnie zranił. Powinna trzymać się z daleka od niego. Jeśli się z nim związę, znowu mnie zrani. Była przerażona, natrętne wspomnienia napępiały ją lękiem. Bała się poniżenia, jeszcze bardziej publicznego rozgłosu.

W głowie Poganki zapaliło się czerwone światło, odezwał się sygnał alarmowy.

Kiedy zeszli po zniszczonych schodach, Abdullah wyprzedził ją, zastąpił drogę, wziął w ramiona i pociągnął za filar.

- Nie próbuj się rozmyślić, ty mały tchórze - szepnął, dotykając ustami jej ust.

Poczuła na wargach koniuszek jego języka, namiętny, zapraszający. Rozbrojona, przywarła do niego.

- Chodźmy stąd - rzucił.

W drzwiach klubu zatrzymał ich policjant.

- Przepraszam, sir. Nikt nie może opuścić klubu. Dostaliśmy informację o podłożonej bombie. Proszę wrócić do wnętrza i pilnować, by pani nie zbliżała się do okien.

Ulica przed klubem była zamknięta białymi taśmami. Policyjny transporter powoli usuwał wszystkie samochody, z wyjątkiem jednego, niebieskiego Forda, stojącego na prawo od wejścia. Na końcu ulicy, koło złowieszczego wyglądającego ambulansu, zebrała się grupka policjantów.

- Co robimy? - zapytała Poganka, rozczarowana niemal do łez, a jednocześnie przejęta uczuciem ulgi. Kilku rozochoconych alkoholem członków klubu zawrócono właśnie od drzwi. Z głośnymi komentarzami, prowadzeni przez zaczerwienionego biskupa, ruszyli z powrotem w stronę baru.

Abdullah odciągnął Pogankę od wyjścia. Ujął jej dłoń, przycisnął do policzka, potem zaczął całować i lizać palec po palcu gorącym językiem.

- Pragnąłem cię przez lata i bomba IRA mnie nie powstrzyma.

- Abdullah, przestań mówić bzdury. Nigdzie się nie ruszymy. Możemy tu utknać na całe godziny.

Pocałował raz jeszcze wewnątrz jej dłoni, mocno przyciskając usta.

- Idź bocznymi schodami na samą górę. Spotkamy się w sali bilardowej.

W sali bilardowej na ostatnim piętrze Blacka było cicho niczym w katedrze. W sączących się przez szpary zielonych aksamitnych zasłon promieniach słońca wirowały pojedyncze pyłki kurzu. Na środku, w zielonym półmroku stały dwa stoły bilardowe, gładkie, ciężkie, z płytek kamiennych. Poganka rozejrzała się wokół; lśniąca drewniana posadzka, wąska ławka obita czarną skórą biegnąca wokół ścian.

- Abdullah, nie możemy. Nie tutaj, nie na stole! - zaprotestowała.

- Możemy - odparł, zamykając drzwi na klucz. Przyciągnął ją do siebie i zaczął całować, długo, delikatnie. Pchnął ją lekko; poczuła na udach kant stołu. Powoli zdejmował z niej suknię, całował każdy kawałek obnażanego ciała. Widział białą, prostą bieliznę. Uniósł lekko Pogankę i położył na stole. Poczuła przez halkę zimny lupek pod sukniem stołu. Wędrował ustami od obojczyka ku delikatnej skórze na żebrach. Rozmarzona, śledziła własne reakcje, zapalała się jak słońce wschodzące nad Alpami, oświetlające najpierw różowym blaskiem szczyty gór i spływające złocistymi promieniami w doliny. Nagle zdała sobie sprawę, że od lat nie czuła tak żywych emocji.

Zaczął całować jej piersi, potem poczuła mgiełkę ciepłego oddechu na wzniesieniu brzucha. Przez głowę przemknęło jej skojarzenie z delikatnymi, aksamitnymi nozdrzami konia i groźną siłą zwierzęcia. Czuła koniuszek języka Abdullaha wokół pępka, na podbrzuszu, po chwili na powrót w ustach, na gołym ciele ostry materiał jego munduru, chłód metalowych guzików.

- A jeśli zniszczymy stół?

- To będzie zniszczony. - Zaczął rozpinąć pasek przy spodniach.

- Abdullah, proszę. Ktoś może tu przyjść.

- Zastanie zamknięte drzwi, wielka rzecz. - Rozbierał się powoli. Traktuje mnie jak młodego konia, pomyślała. Wedle zasady:

zachowuj się spokojnie, nie wykonuj gwałtownych ruchów, nie pozwól zwierzęciu dać odczuć własnego strachu. Zdjął ubranie, objął ją i zaczął znowu całować, póki, jęcząc i drżąc, nie zapomniała o stole, o biskupach, o możliwości przyłapania ich. Nagle oderwał się od niej, z uśmiechem na ustach, ze śmiejącymi się oczami. Próbowała go pocałować, zrobił unik. Roześmiani ocierali się o siebie niczym dwa węże; wreszcie splekli się w długim uścisku.

Odkrywała serdeczne porozumienie ciał. Samokontrola zniknęła. Uczucie przyjaźni łączącej ich od czasu, gdy byli nastolatkami, sprawiało, że intymność miała w sobie coś swojskiego. Palce Abdullaha, jak przed chwilą pocałunki, pieściły jej ciało.

Całował jej brwi, delikatną nasadę nosa, podbródek, całował piersi, pieścił wargami brodawki, ssąc najpierw delikatnie, potem gwałtowniej. Poznawanie mojego ciała zajmie mu całe popołudnie, pomyślała, drżąc z oczekiwania.

Gdy wsunął od tyłu dłoń w jej bawełniane majteczki, całym sercem pożałowała, że nie ma na sobie zapinanych na boku, jedwabnych fig z koronkami od Keturaha Browna. W dreszczu bezbronności poczuła delikatne, ciepłe pocałunki na wzgórku Wenery. Jego język zaczął delikatnie penetrować ciało pod kępką włosów. Wszystko zamieniło się w pożądanie, w obezwładniającą rozkosz. Wsunął dłonie pod jej pośladki, przygarnął mocno do siebie.

Doprowadzał ją wielokrotnie do granicy orgazmu. Znowu pocałował ją w usta, wreszcie zlecił na niej całym ciężarem ciała: zaczął wchodzić w nią powoli, po troszeczkę. Jego uważne, powolne ruchy sprawiały, że miała uczucie, iż śni. Już przy pierwszym spotkaniu przed laty zastanawiała się jak by to było kochać się z Abdullahem. Wtedy też postanowiła, że nigdy do tego nie dopuści, i nigdy nie żałowała tej decyzji nastolatki ani też dopuszczała myśl, że mogłaby czegokolwiek żałować.

Nigdy przecież nie wyobrażała sobie, że tak to będzie wyglądało.

- Otwórz oczy, Poganko - szepnął.

Wszedł w nią do końca, a jej zdawało się, że unosi ją fala z grafik Hokusaiego. Krzyknęła cicho, kiedy przyszło szczytowanie, i oddała się rozkoszy. Abdullah przytulał ją mocno, szczęśliwy, że wreszcie są razem.

Nie płakała, jak się spodziewał. Leżała cicho w jego ramionach, całując go delikatnie. Zastanawiał się, czy raz jeszcze doprowadzić ją do orgazmu, uznał jednak, że poczeka, aż lepiej pozna jej smukłe, białe ciało. Oddawał jej lekkie pocałunki; sam teraz zaczął dochodzić. Wiedział, że może łatwo zdominować nieśmiałą Pogankę, chciał jednak, by go pokochała i czuła do niego pełne zaufanie. Później pokaże jej, jak go pieścić, nauczy ją sztuki miłości, tak jak uczono jego. Leżeli potem przytuleni do siebie w zielonym półmroku sali bilardowej. Z baru piętro niżej, gdzie biskup ze swoimi przyjaciółmi nadal popijał szampana serwowanego w srebrnych kubałkach, dochodziły słabe odgłosy śmiechów.

- Kiedy cię poznałem, próbowałem sobie wyobrazić, jak wyglądasz naga, i nie potrafiłem - szepnął, dotykając wargami jej włosów. - Wtedy chyba zrozumiałem, że jesteś dla mnie kimś innym niż cała reszta kobiet. Nie mogłem cię do niczego zmusić. Nie potrafiłem cię rozebrać nawet w wyobraźni.

Przytuliła go do siebie. Sala bilardowa gdzieś odpłynęła, razem z jej smutkiem, zmieszaniem, nieśmiałością. Były tylko ich ciała i wargi. Wtedy nastąpiła eksplozja. Budynek zatrzęsł się w posadach, zadrżał ciężki stół bilardowy służący im za posłanie.

Cisza, która zaległa natychmiast potem, zdawała się trwać całe wieki. W chwilę później posypała się kaskada szkła z okien.

Zwinnie jak wąż Abdullah chwycił nagie ciało Poganki i zanurkował z nią pod stół. Z dołu dochodził gwar zdenerwowanych głosów.

- Chyba powinniśmy się ubrać - mruknął.

Informacja przekazana z budki telefonicznej w Kilburn, a odebrana w redakcji „Daily Mail”, była niejasna. Głos w słuchawce oświadczył, że przed wejściem do klubu Blacka podłożono bombę i że rozmówcy życzą ministrowi obrony miłego ostatniego lunchu na tym padole.

Kiedy brygada antyterrorystyczna zastała króla Abdullaha przy partyjce bilarda z lady Swann, zrozumiano, o ile poważniejsze mogły być skutki ataku. Tym razem obeszło się bez ofiar. Zamiast zwykłej bezsensownej krwawej miazgi, która pozostawała po kolejnych akcjach IRA, skończyło się ledwie lekkim zadrapaniem na policzku portiera. Delikwenta mrużącemu, że świat się kończy, jeśli w Londynie dzieją się podobne rzeczy, odwieziono, nie bez oporów z jego strony, na ostry dyżur do Świętego Tomasza. W drodze nie przestawał utyskiwać do sanitariusza na wszystkie niegodziwości tego padole: Irlandczyków mordujących staruszki i dzieci, amerykańskich zakładników w rękach Irańczyków, wojnę domową w Libanie, Syryjczyków porywających samoloty, Nigeryjczyków wprowadzających obcych dyplomatów. Czasami wołałby znaleźć się na powrót w okopach. Nad Sommą człowiek wiedział przynajmniej, kto jest wrogiem i gdzie kryją się Fryce.

- Następnym razem musimy poszukać sobie jakiegoś spokojniejszego miejsca - podsumował Abdullah.
- Kierowca usłyszy, Abdi. - Poganka siedziała skulona w kącie Rollsa.
- Nie usłyszy. To gruba, kuloodporna szyba. - Po raz pierwszy nazwała go tym zdrobnieniem z przeszłości.
- Spędzisz ze mną weekend? Możemy pojechać gdzieś, gdzie nikt cię nie zna. - Położył dłoń na jej udzie w geście prośby.
- Nie mogę - mruknęła. - Ludzie będą plotkować. Christopher zmarł pięć miesięcy temu. A ja bardzo byłam do niego przywiązana.
- Dlatego właśnie musisz się wyrwać na kilka dni. Weekend w Wenecji. Nikt nawet nie zauważy twojego dwu-trzydniowego zniknięcia.
- Co rozumiesz przez „weekend”? - wahała się Poganka. Czowała, jak jego palec wędruje po jej kostce, dochodzi do kolana i sunie wyżej. Głupio, że ma na sobie tanie rajstopy. Oby zamieniły się w czarne jedwabne pończochy z czarnymi podwiązkami przybranymi mnóstwem koronek. Przed wyjazdem do Wenecji musi koniecznie pójść do Keturaha Browna.

Szła powoli po schodach z takim uczuciem, jakby od sypialni dzieliła ją niezmierna odległość. Przez chwilę mocowała się z szufladą komódki w stylu królowej Anny. Gdzie ja podziałam swój kostium kąpielowy? - zastanawiała się. Bezmyślnie zaczęła wyjmować ubrania i rzucać je na podłogę. Nagle poczuła pod dłonią twardy kształt. Wpatrywała się przez chwilę w znaleziony przedmiot, nim pojęła, co trzyma. Stara czerwona obroża, zawinięta na końcach; pod metalową klamerką ciągle tkwiło kilka kłaczek sierści Bustera.

Zobaczyła go znowu leżącego na szosie, po czym w wyobraźni pojawił się inny obraz. Szpitalne prześcieradło okrywające zniekształcone ciało męża. Usta wykrzywiły się do krzyku, po policzkach popłynęły łzy. „Christopher!” - wołanie odbiło się od ścian pustego pokoju. Dlaczego płaczę? - zadała sobie pytanie bez odpowiedzi. Nie powinna. Christopher zmarł wiele miesięcy temu. To idiotyczne. Musi przestać. Przypomniała sobie jedno ze zdjęć wojennych Marka Scotta. Zbombardowany budynek, odsłonięte wnętrza, jak w domku dla lalek. Ze ścian zwisają strzępy kwiecistych tapet, przekrzywione obrazy, na stercie poprzewracanych mebli leży krzesło i rozbity telewizor. Na wieszakach w ocalałej części przedpokoju ciągle jeszcze wiszą płaszcze. Tak być nie powinno, zdawał się mówić zniszczony dom. Podobnie czuła się teraz ona. Jakby jej egzystencja legła w gruzach; jeszcze przed chwilą wszystko było na swoim miejscu i wszystko w jednej sekundzie obróciło się w perzynę. Część jej życia gdzieś się zapadła, jak zapadły w nicość fragment holu, w którego końcu wiszą jeszcze płaszcze.

Nagle uzmysłowiła sobie, że życie, do którego przywykła, zniknęło bezpowrotnie. Potrafiła zaakceptować myśl, iż jej sytuacja uległa zmianie, że musi teraz znaleźć własną drogę. Rozumiała, że nie ją jedną dotknął los, że przed śmiercią Christophera doświadczała zarówno dobrego jak złego i że tak będzie nadal, ale nic już nigdy nie będzie takie samo. Życie płynie, a ona musi poddać się jego biegowi.

Nie mogła powstrzymać łkania. Kiedy Sophia wróciła do domu ze szkoły, zastała matkę zwiniętą w kłębek na dywanie w sypialni, z obrozą Bustera w zaciśniętej dłoni, zanoszącą się głośnym szlochem.

- Mamusiu, co się stało? Dlaczego płaczesz? - dziewczynka zaczęła głaskać ją po głowie, zastanawiając się, jak pomóc, kogo zawołać.

- Nie wiem - zanosła się Poganka. - Nie moogę przestać. Sophia usiadła obok niej i też zaczęła beczeć, dzieląc z matką jej żalność.

Rozdział dziesiąty

Koniec czerwca 1979 roku

Muszą poczekać na pieniądze, krwi nie utoczę. - Judy zmęczonym gestem zrzuciła plik rachunków z kolan. Zsunęły się na przykrywającą łóżko narzutę z lisów. Ich szelest zabrzmiał Tomowi złowróźnie.

- Przynajmniej opłaciła się zmiana drukarni. Zaoszczędziliśmy trochę w tym miesiącu - głośno wytarła nos. Atak letniej grypy sprawiał, że świat wydawał się jeszcze okropniejszy.

- Nie chciałem o tym rozmawiać poza biurem - Tom pokręcił głową - ale powiem ci, że kolorowe zdjęcia do lipcowego numeru są poniżej krytyki.

- W drukarni przysięgali, że w przyszłym miesiącu już się to nie powtórzy. Mówią, że uczą się na błędach.

Tom ponownie pokręcił głową.

- W przyszłym miesiącu będzie za późno. Lady Mirabelle Cosmetics wycofało swoje reklamy. Jakość reprodukcji jest fatalna.

- Kiedy wycofali? - Błada twarz Judy stała się kredowobiała.

- Dzisiaj po południu. Dlatego chciałem z tobą rozmawiać. Ucieka nam sporo reklam, straciliśmy już kilka mniejszych firm, ale Lady Mirabelle to prawdziwy cios.

Judy doskonale zdawała sobie sprawę, co to oznacza w ich budżecie. Kampania bożonarodzeniowa Lady Mirabelle miała w dużej mierze pokryć ich wydatki od września do grudnia.

- Nie znajdziemy żadnych innych pieniędzy - oświadczył Tom bez ogródek.

- Czy ktoś jeszcze o tym wie?

- Nie.

- Jesteś pewien? - zapytała raz jeszcze.

- Pewien - Tom zaśmiał się krótko. - Nawet Tony nie ma o niczym pojęcia.

Judy opadła na poduszki. Tom obserwował ją, myśląc, że to niepodobne do Judy zachowywać się jak rozkapryszone, użalające się nad sobą dziecko. Poza tym nie było nad czym się użalać. To, że ktoś urodził się biedny, nie oznacza, że świat powinien mu to koniecznie wynagrodzić. Judy nie miała lekkiego życia, nie mogła

jednak narzekać na nudę i na brak łutu szczęścia w wędrówce na szczyt. Może była zbyt ambitna, może zresztą i on posiadał tę wadę. Tak przynajmniej uważała Kate. Kłopot w tym, że Judy nie umiała przegrywać. Obydwoje żyli ostatnio w ogromnym napięciu.

- Judy, zaryzykowaliśmy z drukarnią i przeliczyliśmy się - powiedział Tom. - Kto chce wygrywać, musi ryzykować i liczyć się po drodze z drobnymi przegranymi, to część gry. Zrozum ich. Nie mogą wyrzucać milionów na wyciąganie głębokiej fioletowej czerwieni, żeby potem oglądać własne reklamy wydrukowane w jasnym cynobrze. Zmiana drukarni to marna oszczędność. - Na zwykle pogodnej twarzy Toma malowało się napięcie. - Jest jeszcze jedna rzecz, która zapewne umknęła twojej uwagi. Wszystkie nasze kredyty są wzajemnie gwarantowane. Spółka PR nadal przynosi zyski, podobnie nieruchomości, ale stanowią one gwarancję dla pisma, które z kolei jest zabezpieczeniem na nasze papiery wartościowe...

- Same straty, chcesz powiedzieć - parsknęła Judy.

- ...co oznacza, że nie możemy zwinąć jednej części naszych interesów, nie powodując tym efektu domina, bo wtedy wszystko się zawali.

- Tom, to jakiś koszmar. Zawsze bałam się bankructwa. Zawsze mi mówiłeś, że jestem zbyt ostrożna. Namawiałeś do pożyczek, by nie przeoczyć możliwości zarobienia. Boże, jeszcze dziewięć miesięcy temu twierdziłeś, że jesteśmy w tym roku warci dwa miliony więcej. A co z procentami z Hoffmann-La Roche, które zdeponowałeś we frankach szwajcarskich?

- To było przed kłopotami z zamrożonymi akcjami miedzi. - Tom miał niewyraźną minę; Judy była zawsze przeciwna operacjom na zamrożonym rynku.

- Żałuję, że nie oddzieliśmy PRZEBOJEM! i operacji inwestycyjnych, jak radziła Kate.

- Nie oddzieliśmy i trudno. Ja żałuję, że zrobiłaś ten wywiad z Lily. Przestańmy już żałować tego, co się stało i nie stało, i zacznijmy myśleć pozytywnie! - Podał jej pudełko Kleenexow.

- Nasza sytuacja finansowa przypomina domek z kart; pożyczamy od Pawła, żeby zapłacić Gawłowi. Dłużej tak nie możemy ciągnąć. Czasami mam ochotę wsiąść do samolotu i rzucić to wszystko w diabły - stwierdziła Judy bezbarwnym głosem, wpatrując się w puste miejsce na ścianie, gdzie jeszcze niedawno wisiał jej ukochany obraz na jedwabiu przedstawiający wojownika Manczu; kilka tygodni temu podzielił los kolekcji nefrytów i wylądował u Sotheby'ego. Mimo ciepła panującego w mieszkaniu i futrzanej narzuty przejmowało ją zimno do szpiku kości. Dlaczego prawnicy PRZEBOJEM! nie ostrzegli jej przed niebezpieczeństwem kryjącym się w wywiadzie z Lili? Dlaczego Pierwsza Poprawka dotycząca gazet nie stosuje się do czasopism? Jak jeden głupi akapit opublikowanego tekstu może przekreślić cały jej dorobek? Gdyby mogła wymazać z życia pięć minut, byłyby to minuty, kiedy usłyszała od Lili o senatorze Ruskingtonie.

Tom wstał i sięgnął po grubą teczkę z zeznaniami do przesłuchania, które miało się odbyć następnego dnia.

- Przeczytaj to jeszcze raz i podpisz, Judy - powiedział łagodnie. - Nie możesz popełnić żadnego błędu.

Westchnęła, wzięła papiery i zaczęła czytać.

- Jeśli wygramy, wyciągniemy od senatora kilka tysięcy. My zaskarżymy go o zniesławienie.

- Wiesz doskonale, że w takich sprawach nie ma wygranych. Nawet jeśli dostaniemy odszkodowanie, i tak będziemy kilka tysięcy do tyłu.

- Żadne „jeśli”, Tom, tylko „gdy” - poprawiła go Judy.

To, co osiągnęła, osiągnęła uporem i nieustępliwością. Tom nic nie odpowiedział; zapatrzył się w swoje mokasyny od Gucciego.

- Chcesz usłyszeć, co przydarzyło się Kate? - zapytał chcąc zmienić temat.

- Naturalnie - Judy rozpromieniła się na widok koperty lotniczej zaadresowanej drobnym, starannym charakterem pisma, którą Tom wyciągnął z kieszeni.

- Pisze, że partyzantka staje się coraz bardziej agresywna. Napadają na banki, atakują osady cywilne, koszary. Uważa, że planują akcję przeciw kompaniom naftowym. Przypuszczam, że chodzi o Shella. Ukradzono jej maszynę, ale myśli dostać nową na czarnym rynku i ma zamiar przykuwać ją na noc łańcuchem do nadgarstka.

- Nie zdajesz się zbyt zmartwiony, Tom.

- Znasz Kate. Nie znosi nudnego życia, niech więc cieszy się z tego, co ma teraz. Jasne, że się o nią martwię.

- Czy nikt nie ma dla mnie żadnej miłej wiadomości? - Judy sięgnęła po kolejny dokument sądowy.

- Co u Marka?

- Mówiłam ci już, że skończyłam z nim kilka miesięcy temu.

- Skryła twarz w dłoniach. - Nie daję już sobie rady - wyszeptała.

- Jak to się dzieje, że gdy tylko człowiek się potknie, natychmiast sępy spadają mu na kark? Mark jest w Nikaragui, bo nie chce mieć nic wspólnego z moimi niepowodzeniami.

Tom bez słowa podał jej kolejną chusteczkę z pudełka, które odstawiła na szafkę nocną.

- Judy, nie mogę sobie wyobrazić, że ktoś mógł cię zostawić tylko dlatego, że znalazłaś się w tarapatkach, wpadłaś w rozpacz i nie masz już szesnastu lat. Jesteś wspaniałą kobietą, uczciwą kobietą. Najuczciwszą jaką kiedykolwiek spotkałem, i już tylko za to należałoby cię kochać.

Potrząsnęła głową i otarła zaczerwienione oczy.

- Markowi podobało się we mnie jedynie to, że tak naprawdę wcale go nie potrzebowałam. Kiedy tylko okazał się potrzebny, rzeczywiście potrzebny, natychmiast uciekł jak szczur. - Z kącików jej oczu znowu popłynęły łzy. - Miałam dla niego nieodparty urok, dopóki byłam dzielną kobietą interesu, która troszczy się o jego błyskotliwą karierę i domowe wygody. To bardzo przyjemnie mieć kogoś dysponującego siłą za dwoje: żył moją energią a kiedy okazało się, że to ja potrzebuję wsparcia, nie podolał. - Głos Judy załamał się raptownie i przeszedł w szloch.

- Człowiek cierpi, kiedy kończy się jakiś związek, to normalne - powiedział Tom. - Zadrasnął swoją miłość własną i poturbował nieco dumę. Nie są to radosne przeżycia - próbował ją pocieszać.

- Dość jednak spojrzeć na statystyki rozwodowe, by przekonać się, jak łatwo rozpadają się więzi między ludźmi, niezależnie od wieku. Jesteś ciągle bardzo pociągająca...

- Wspaniale, Tom, po prostu wspaniale. Czuję się jak matka Matuzalema. „Jesteś ciągle bardzo pociągająca” oznacza, że patrząc na mnie ludzie widzą, iż lada dzień już nie będę. Czas płynie nieubłaganie. - Znowu wysiadała nos. - Nie chcę skończyć sama w łóżku ze swoją pracą. Nie taką przyszłość przewidywałam, kiedy uciekałam z Rossville, by zrobić fortunę. - Otarła twarz chusteczką, zostawiając czerwone ślady na policzkach.

- Bądź bardziej wyrozumiała dla Marka - wstawił się Tom.

- Obydwoje nie należymy do łatwych ludzi, kiedy pojawiają się kłopoty.

- Nie w tym rzecz - Judy przecesała włosy gestem pełnym udręczenia. - Ludzie mają o mnie fałszywe wyobrażenie. Mark nie był wyjątkiem. Dla niego kobieta, która zrobiła karierę, jest osobą twardą, zaradną, niezależną - uosobieniem tego wszystkiego, czym on musi być chcąc utrzymać się na szczycie. Fakt, iż cechy te są mi niezbędne w pracy, wcale nie oznacza, że przenoszę je na swoje życie prywatne, ale on tego akurat nie potrafił zrozumieć. Jak wszyscy mężczyźni, Mark wychodził z założenia, że kobieta interesu nie potrzebuje czułości, tkliwości, delikatności. Ja potrzebuję. Jestem tak samo spragniona miłości jak każda kura domowa wychowująca dzieci i chodząca do klubu gospodyń. Jedyna różnica w tym, że ja chodzę do swojej firmy.

- Skończ z tymi papierami, Judy. Chcę je zabrać. - Tom uśmiechnął się przymilnie. - Płacz nie pomoże na nasze kłopoty.

Judy otarła oczy i skończyła czytać swoje zeznanie. Tom włączył telewizor.

Zaczynały się właśnie wiadomości. Jak przewidywał, u boku senatora Ruskingtona pojawiła się przed kamerą lojalna małżonka o twarzy poważnej i pełnej słusznego oburzenia. Senator odpowiadał na pytania dziennikarki:

- To bardzo niemiła sprawa. Ja i żona czujemy się w obowiązku poinformować opinię publiczną o faktach i zadać kłam pomówieniom.

Obeznany z mediami Ruskington zwrócił się wprost do obiektywu kamery.

- Bardzo niemiła sprawa, obrzydliwa próba zwiększenia poczytności brudnego pisma poprzez sprośne insynuacje i niechrześcijańskie kłamstwa. Pieniądze, które otrzymamy tytułem odszkodowania, postanowiliśmy przekazać instytucji dobroczynnej, którą wskaże moja żona - oświadczył senator świętoszkowatym tonem.

- Żąda pan aż dziesięciu milionów - przypomniała dziennikarka.

- Każda suma zasądzona przez sąd, niezależnie od wysokości, zostanie przekazana na cele dobroczynne - potwierdził senator. - Moja żona i ja podkreślamy z całą mocą: nie ma żadnych dowodów, które mogłyby potwierdzić oszczerstwa opublikowane w PRZEBOJEM!. Wychodzimy z założenia, że ludzie publikujący podobne brudy powinni zadośćuczynić za swoje wymysły.

Judy pogroziła pięścią w stronę ekranu i zaczęła zbierać rozrzucone na łóżku papiery.

- Chcę przejrzeć to wszystko raz jeszcze, Tom - powiedziała.

- Ludzie zadają sobie pytanie, czemu zaangażował się pan z takim impetem w sprawę PRZEBOJEM! - dopytywała się dziennikarka.

- W pytę kobitka! - krzyknęła Judy. - Założę się, że nas czyta. Senator znowu zwrócił się wprost do kamery.

- Moja żona i ja uważamy, że jeśli nie zajmiemy jasnego stanowiska, każda aktoreczka może próbować ściągać na siebie uwagę łącząc własne nazwisko z nazwiskami ludzi piastujących odpowiedzialne funkcje publiczne - senator przerwał na chwilę dla nabrania oddechu. - Chcę, by wszyscy wiedzieli, że nasza rodzina solidarnie przeciwstawia się wszelkim próbom szargania naszego dobrego imienia przez nazywanie mnie cudzołożnikiem i wiarołomnym mężem.

- Ale czy nie jest to z pana strony próba zdobycia pokaźnej sumy pieniędzy? - zadała kłopotliwe pytanie dziennikarka.

- Moja reputacja warta jest więcej niż jakakolwiek rekompensata finansowa - odparł senator. Wywiad skończył się, Tom wyłączył telewizor.

Pożegnali się około północy.

- Uważaj na siebie - powiedział Tom wychodząc. Nic innego nie robię od trzydziestu lat, pomyślała. Przypomniła sobie, jak przygnębiona czuła się w Szwajcarii, gdzie wieczorami i w weekendy dorabiała jako kelnerka w Chase, by móc spędzać całe dni w laboratorium językowym. Nigdy nie nauczyła się jeździć na nartach, nie chodziła potańczyć, nie nosiła zabójczych strojów, jak Maxine i Kate. Ciągle miała w oczach Pogankę, która bez chwili namysłu zwraca brylantowy naszyjnik ofiarowany jej przez księcia Abdullaha, klejnot, za który ona mogłaby przeżyć w Europie cały rok.

Nigdy nie wracała pamięcią do tego uczucia biedy. Paniką przejmowała ją myśl o posiadaniu jednej jedynej pary butów i cerowanej sukni. Kiedy przypominała sobie strapioną twarz matki, ciężką, napiętą atmosferę w ich domu w okresie, gdy ojciec musiał wyjechać na dwa lata w poszukiwaniu pracy, odczuwała przemożną wolę dopięcia swego, niezależnie od tego, jaką cenę przyszłoby jej zapłacić.

Tom powiedział, by uważała na siebie, pomyślała z goryczą, biorąc z szafki nocnej oprawne w kość słoniową lustro. Przyjrzała się swojemu odbiciu, rysującym się na twarzy śladom napięć ostatnich miesięcy.

Siedziała długo w noc nad swoim zeznaniem. O szóstej rano była gotowa. Usłyszała w drzwiach zgrzyt klucza.

- Nie rób śniadania, Francetto, i obudź mnie o ósmej, jadę znowu do Filadelfii - krzyknęła do wchodzącej gospośki i poszła spać.

O której wrócisz, Curtis? - zapytała Debra Halifax męża. Podszedł do pomocnika kredensowego i nałożył sobie drugą porcję jajecznicy.

- Myślę, że o zwykłej porze. - Zastanawiało go zmęczenie odczuwane od samego rana. - Jakie masz plany na dzisiaj, Debro?

- Żadnych szczególnych. - Debra potrafiła nadać temu zwykłemu stwierdzeniu ton oskarżenia.

Przynajmniej zaczęła jeść, pomyślał Curtis, choć nie wydaje się przybywać na wadze. Zdaniem doktora Josepha jej bezpłodność miała związek z anoreksją.

- Pamiętaj, co powiedział doktor Joseph. Jeśli chcesz w pełni wrócić do zdrowia, musisz żyć własnym życiem, powinnaś zacząć planować rozkład dnia. Może poszłabyś na zakupy z Jane?

- Człowiek nie wychodzi z załamania chodząc na zakupy. Cały kłopot w tym, że nic innego nie robiłam przez całe życie!

- Posłuchaj, Debro, doktor Joseph powiedział wyraźnie, że to nerwowe...

- Ależ naturalnie!

Jest z tego niemal dumna, pomyślał znękany Curtis; oto jej jedyne życiowe osiągnięcie. Jedyna rzecz, jakiej dokonała samodzielnie - zafundowała sobie załamanie nerwowe.

- Doktor Joseph powiedział też, że potrzebuję miłości i wsparcia ze strony męża.

- Kocham cię, Debro, i nie odmawiam ci wsparcia.

- Dlaczego więc nie poświęcasz mi więcej czasu? Jeśli nie siedzisz w banku, to jedziesz do klubu albo na golfa czy ryby z przyjaciółmi.

- To nie tak. Spędzam z tobą mnóstwo czasu, Debro.

- Ale nigdy we dwoje - oświadczyła cierpko. - Wydajemy przyjęcia, chodzimy na przyjęcia i ciągle spotykamy tych samych ludzi.

- Ależ to nasi przyjaciele - zaprotestował.

- Uważasz, że mamy jakichś przyjaciół? Nie powiedziałabym. Twoi współnicy od interesów, twoi znajomi od polityki i ich rodziny, ale nie ma wśród nich prawdziwych przyjaciół. To moje na pozór wypełnione po brzegi życie jest w gruncie rzeczy puste i jałowe - w głosie Debry odprawiającej swoje cotygodniowe godzinki cały czas brzmiał ton oskarżenia. W takich razach Curtis nigdy nie wiedział, co powiedzieć, co poradzić, jak zareagować.

- Posłuchaj, muszę wychodzić, jestem już spóźniony. Może poszłabyś z Jane do muzeum?

- Wiesz świetnie, że muzea działają na mnie przygnębiająco. Żadne muzeum nie rozwiąże moich problemów. Nie teraz, gdy już wiem, na czym polegają - głos jej drżał. - Jest ktoś inny, prawda? Zakochałeś się? W tej kobiecie, którą widziałam w twoim biurze. Wiem, że wczoraj jedliście razem lunch. Widziałam w twoim kalendarzyku. Ciągle do ciebie przychodzi. Masz romans z tą sławną Judy Jordan, czy tak, Curtis?

- Nie, spotykamy się w interesach! - odparł wyczerpany natrętnymi pytaniami żony. Sceny zazdrości zaczęły się niemal zaraz po ślubie. Zdaniem doktora Josepha były to klasyczne objawy urojeń paranoidalnych. Schylił głowę, jakby próbował chronić się przed gradem oskarżeń. Miał w końcu powód do wyrzutów sumienia, chociaż był pewien, że Debra niczego nawet się nie domyśla.

Po chwili zrozumiał, że jej zarzuty nie mają racjonalnego oparcia, że jego żona mówi, jakby była... niespełna rozumu. Doktor Joseph użył określenia: „na granicy zaburzeń psychotycznych”. Po dwudziestu latach małżeństwa Curtis Halifax wiedział, jak łatwo potrafiła tracić kontakt z rzeczywistością. Jej rodzina zdawała sobie z tego sprawę od dawna, teraz także Halifaxowie znali prawdę, ale nikt nigdy nie poruszał tego nietykalnego tematu. Debra była odrobinę nerwowa i tyle.

- Jeśli Judy Jordan przyszła do ciebie wyłącznie w interesach, to dlaczego płakała? - nie ustępowała Debra.

- Nie przypominam sobie, żeby płakała.

- Tak, płakała. Widziałam jej oczy.

- Naprawdę nie mam czasu rozwodzić się na jej temat akurat w tej chwili.

Zapewniam cię, że między nami nic nie ma. - Curtis wstał od stołu, złożył przelotny pocałunek na czole żony i wyszedł spóźniony na spotkanie.

Gdy zniknął, Debra poszła do swojej różowej sypialni. Nachylona nad umywalką włożyła dwa palce do gardła i zwymiotowała śniadanie. Chcąc pozbyć się nieprzyjemnego odoru, przepłukała usta wodą kolońską i szybko wypluła obrzydliwy w smaku płyn. W ten sposób karała się za zjedzenie dwóch grzanek. Nic dziwnego, że Curtis już mnie nie kocha, pomyślała szczypiąc się w udo. Jestem gruba, brak mi woli i dyscypliny, jestem do niczego.

Za każdym razem, gdy spoglądała w lustro, zamiast drobnej, szkieletowatej postaci widziała w nim otyłą niechlujną kobietę. Rankami do utraty tchu pedałowala na rowerze, zamęczała ciało ćwiczeniami gimnastycznymi, by pozbyć się tego, co według niej było tłuszczem na udach i na brzuchu.

Po odbyciu porannego rytuału snuła się bez celu po wymarłym domu. Większość dnia upływała jej w dziwnym stanie rozproszenia; traciła poczucie czasu, nie bardzo wiedząc, gdzie jest ani co robi. Kartkowała pisma, czytała kilka zdań i odkładała magazyn. Na jej stoliku do pracy poniewierał się tamborek z zaczętych przed miesiącami i nigdy nie dokończonym haftem. Wzięła go teraz w dłoń, zrobiła kilka ściągów i odłożyła robótkę. Podlała piękną kliwię, którą ogrodnik i tak podlewał na wszelki wypadek raz w tygodniu. Często się zdarzało, że kwiaty usychały, gdyż zapominała o nich.

Po raz czwarty tego ranka podniosła słuchawkę z zamiarem zatelefonowania do Jane, ale rozmowa wydała jej się czymś ponad siły. Poza tym Jane akceptowała jej towarzystwo tylko dlatego, że Jane nie miała pieniędzy. Być może interesowała się Curtisem. To miałyby nawet sens z jej punktu widzenia, chociaż była mężatką i miała dwoje dzieci. Debra nie mogła pozbyć się zawsze obecnej w zakamarkach mózgu myśli, że Curtis musi ją zdradzać. Około południa, gdy pojawiła się pokojówka z lunchem, Debra miała gotowy obraz anonimowej uwodzicielki, która zabierała jej męża. Wczesnym popołudniem, gdy cień magnolii na trawniku znacznie się wydłużył, nienawidziła już rywalki z morderczą zazartością.

W ogrodzie było zbyt gorąco, przeniosła się do biblioteki, usiadła na mężowskim krześle za biurkiem. W wyobraźni rola obrazu Curtisa rozmawiającego przez telefon z bezimienną kochanką, w czasie gdy ona niczego nieświadoma spokojnie śpi na górze. Słyszała, jak szepcze gorące miłosne zaklęcia z pełną zmysłowej czułości miną, którą zapamiętała z pierwszych tygodni po ich ślubie. Późnym popołudniem wizja zdrady nabrała tak realnych kształtów, że wyparła wszelkie rzeczywiste doznania.

Zaczęła kolejno otwierać wszystkie szuflady biurka i szperać w papierach, pewna, że natrafi wreszcie na ukryte listy miłosne. Gdzie mógł je schować? No tak, zamknął

małą, górną szufladę na klucz. Rozrzuciła długopisy i pisaki na tacce, wydobyla spod nich nożyk do papieru i zabrała się do forsowania delikatnego zameczka. Wewnątrz znalazła czarno-białe zdjęcia małej dziewczynki, wycinki prasowe i przewiązany białą wstążką pukiel ciemnych włosów. Chudymi jak pazurki palcami wczepiła się w wycinki. Lili będzie grać Mistinguette - przeczytała tytuł pierwszego z brzegu. A więc Curtis kręci z jakąś aktoreczką. Zatrzęsła się z wściekłości. Możesz być sobie młoda, piękna i sławna, Lili, ale pieniądze potrafią wszystko.

Mignął czarny Spear, wyraźnie odróżniający się wśród białych, zielonych i pomarańczowych karoserii samochodów biorących udział w wyścigu Branda. Gregg spływał potem; w czasie kilkunastu okrążeń siedzący w rozgrzanej kabinie kierowca może stracić na wadze nawet do sześciu funtów. Białe BMW przed nim za szybko weszło w wiraż Stirlinga, straciło przyczepność, rąbnięto w bandę, przekoziółkowało i stanęło w płomieniach w chwili, gdy właśnie je mijał.

Wstrząsnął się na myśl, że i jego może to spotkać. Spear z wyciem silnika śmignął obok głównej trybuny i zaczął piąte okrążenie. Zredukował bieg, przygotowując się do wejścia w niebezpieczny łuk Druida. Po wyjściu na prostą zobaczył tuż przed sobą Mazdę-Dinetti. Ma kłopoty, pomyślał, wezmę go na prostej Coopera. Pod koniec pierwszej godziny wyścigu jechał siódmy, ale odległości między samochodami były na razie zbyt małe, by mogło to mieć znaczenie. Jeden pechowy ruch i zawodnik w ułamku sekundy wypadł z toru.

Wziął wiraż Stirlinga, dodał gazu przed Clearaway, przygotowując się już w myślach do wejścia w łuk Clarka, którego zwodnicza łagodność przy maszynie mocy Speara wymagała nie lada koncentracji. Miał właśnie zamiar wyprzedzić Astona Martina Nimroda. Ruchem powiek strzepnął pot zalewający oczy. W jadącym o trzy pozycje przed nim zielono-białym Jaguarze nieoczekiwanie odpadło tylne koło. Samochód poleciał w stronę bandy i wśród iskier odbił z powrotem na tor. Siedzący mu na ogonie Porsche przyspieszył gwałtownie i otarł się o Jaguara. Kierowcy udało się zapanować nad maszyną i pomknąć dalej. Zawodnik w Nimrodzie źle obliczył, trzasnął w wirujący jak bąk siłą bezwładu wrak. Obydwie maszyny szczepiły się w jedną masę gnącego się metalu i wypadły z toru dwie sekundy przed tym, nim Gregg zdążył się z nimi zrównać.

Zlany zimnym potem, nie mógł opanować drżenia nóg. Całym wysiłkiem woli usiłował zapomnieć o kraksie, która o włos byłaby i jego udziałem, i skoncentrować myśli na trasie. Nagle poczuł przeszywający ból w lewej nodze, stopa docisnęła gwałtownie sprzęgło. To znowu ta kostka. Dzięki Bogu, że zdjął dławik. Musi coś z tym zrobić, gdy następnym razem podjedzie do swojego stanowiska.

Cztery godziny później był ciągle za Porsche'em. Trzymał się na tej pozycji od dwudziestu siedmiu okrążeń nie mogąc wziąć jadącej przed nim maszyny, gdy wreszcie przed wirażem Paddocka odległość między nimi zaczęła się powoli zmniejszać.

Na przedzie były dwa dublowane samochody. Gregg obliczał, że zacznie wyprzedzać na łuku Druida, zanim dojdą do tamtych maszyn. Na wzniesieniu Hailwood dodał gazu i wystrzelił przed Porsche'a na zakręcie.

Trzymał się wewnętrznej, dopiero na wyjściu przeszedł na otwartą. Porsche został z tyłu, nie mając miejsca, żeby wyjść do przodu. Przemknął obok południowej trybuny przy ogłuszającym aplauzie widzów. Miał przed sobą jeszcze szesnaście okrążeń. Kostka dokuczała, ale ból był do zniesienia, ot, paskudna uciążliwość. Zamknięty w swojej kabinie nie mógł słyszeć podnieconego głosu komentatora: „... jeszcze tylko trzy okrążenia... Gregg Eagleton na Eagle Spear wychodzi zdecydowanie na prowadzenie... wysforował się przed Porsche'a...”

Kiedy po raz sto pięćdziesiąty mijał Dingle Dell, z wysiłkiem usiłował wpatrywać się w trasę. Ból w nodze narastał. Nagle pociemniało mu w oczach. Boże, nie pozwól mi zemdleć.

Przed główną trybuną nie zmienił biegów. Każdy ruch nogą przyprawiał o tortury.

Usłyszał w mikrofonie wbudowanym w hełm głos z garażu Eagle:

- Tak trzymaj, Gregg, odsądziłeś się kawał do przodu.

- Ile? - żołądek ścisnął mu się z bólu.

- Czternaście sekund.

Żadnej szansy na zmianę kierowcy przy ich stanowisku na te kilka ostatnich okrążeń. Musi wytrzymać do końca.

Przy kolejnym wyjściu z wirazu Paddocka znowu nie zmienił biegu. Noga była teraz tak spuchnięta, że ledwie mógł nią ruszać.

- Masz Porsche'a na ogonie - ostrzegł głos w słuchawkach. Spear mknął.

Kiedy wychodził z Hawthorn Bend, z wysiłkiem wcisnął sprzęgło; zbierało mu się na wymioty. Na chwilę stracił panowanie nad maszyną.

Przeszedł niebezpiecznie blisko Nimroda, wypadł z linii. Porsche wziął go na Dingle Dell.

Jak przez mgłę słyszał podniecone krzyki widzów. Gdzieś z boku mignęła chorągiewka Eagle oznaczająca ostatnie okrążenie.

Przełknął wracającą do ust treść żołądkową. Znowu na sekundę stracił kontrolę nad sytuacją. Głos w słuchawkach pozbawiony był wszelkich emocji.

- Dochodzi cię Stephenson na BMW. Jak stopa? Wytrzymasz?

- Tak - odpowiedział chrypiącym głosem, usiłując zapanować nad bólem. Po raz ostatni okrążył tor. Ledwie zauważył mijające go BMW.

- Tak, Spear ma najwyraźniej kłopoty. To wielki zawód dla Eagle - paplał komentator, gdy weszli na prostą Brabhama. - Ostatnie machnięcie chorągiewką i zwycięzcą zostaje Werner Hentzen na Porsche'u, na drugim miejscu Stephenson na BMW i Eagleton dopiero na trzecim, na Spearze z... coś się dzieje ze Spearem...!

Lili obserwowała z trybuny pędzącego na trzecim miejscu Gregga, gdy nagle Spear wytracił niebezpiecznie prędkość i zбочzył z toru. Rozpędzone maszyny gwałtownymi manewrami omijały Speara, wszystkie - poza jedną.

Lili krzyknęła przerażona. Biało-pomarańczowa Lancia ukośnie uderzyła całym impetem w tył samochodu Gregga, który poleciał na bandę. Nie zważając na ostrzegający krzyk Jacka, rzuciła się w stronę powyginanego wraku, z którego unosił się słup dymu.

- Cofnij się, cofnij się, idiotko, w każdej sekundzie może wybuchnąć. - Sanitariusz chwycił ją z całej siły i nieomal rzucił za bandę.

Drugi z sanitariuszy otwierał już drzwi samochodu, usiłując wydobyć nieruchome ciało Gregga. W ciągu kilku minut helikopter zabrał rannego do szpitala Marii Panny.

- Eagleton musiał odnieść ciężkie obrażenia - unosił się komentator.

Przyczyną kłopotów jest ucisk tych złamanych kości - doktor pokazywał coś długopisem na kliszy rentgenowskiej. - Po pierwszym wypadku nie postawiono właściwej diagnozy. Obawiam się, że opuchlizna i zniekształcenia to skutek tamtego źle rozpoznanego urazu.

- Jak długo nie będę mógł jeździć? - Gregg pobladł, na jego twarzy malowało się napięcie.

- Trudno powiedzieć. Zaaplikujemy panu naturalnie środki przeciwbólowe i serię zastrzyków, które zlikwidują opuchliznę, ale jeśli chodzi o samo pęknięcie, niewiele możemy zrobić. Tutaj tylko czas jest w stanie pomóc.

- Ile czasu? Za trzy tygodnie mam wyścig we Francji.

- Na co najmniej dwa miesiące niech pan zapomni o jakichkolwiek wyścigach. To najlepsza rada, jakiej mogę panu udzielić. - Doktor wsunął zdjęcie do koperty. -

Powinien pan przez sześć tygodni nie ruszać się z łóżka. Żadnego wysiłku fizycznego, dopóki nie wróci pan całkowicie do zdrowia. Przy tego typu schorzeniu trzeba pozwolić działać naturze.

Ledwie po wyjściu lekarza Gregg zaczął przeglądać pocztę, przyszedł Jack z wiadomościami o stanie Speara.

- Nie jest źle, Gregg. Pompa paliwowa w idealnym stanie. A co z tobą? Mamy wziąć Pete'a na twoje miejsce?

Lili czekała cierpliwie, aż pójda sobie inni odwiedzający. Kiedy wreszcie mogła podejść do Gregga i przywitać się, w drzwiach pojawiła się jasna główka pielęgniarki:

- Koniec odwiedzin na dzisiaj. Polecenie doktora. Pan Eagleton musi odpocząć!

- Nie mogłam zamienić z tobą choćby jednego słowa - powiedziała ze smutkiem, gdy inni goście ruszyli do drzwi.

- Wybacz, kochanie, nawet tutaj próbuję pilnować swoich spraw. Poza tobą musiałem zobaczyć się z sekretarką, Jackiem, sponsorami, ojcem, a wolno mi przyjmować wizyty tylko przez godzinę dziennie. Wiem, że niewiele się widywaliśmy od chwili poznania, ale nie chcę, żebyś odniosła mylne wrażenie. Znasz już nasz zespół i wiesz, ile mam obowiązków.

Lili westchnęła.

- Nie jestem sam, kochanie - tłumaczył Gregg. - Jestem odpowiedzialny za ludzi pracujących w Eagle Motors i od nich uzależniony. To ja muszę dbać o to, by mogli przynieść do domu wypłatę pod koniec miesiąca. Potrafią pracować dla nas po dwadzieścia cztery godziny na dobę nawet w czasie urlopu, tylko dlatego, by ich kapitan mógł reprezentować Anglię na kolejnych wyścigach. Nie mogę ich zawieść, Lili. - Ujął jej dłoń i przyciągnął dziewczynę do siebie. - Nie mogę robić, co mi się podoba, spędzać czasu gdzie i jak chcę, a potem wsiąść do samochodu w choćby trochę gorszej kondycji. To byłoby nieuczciwe i nieodpowiedzialne. Musisz zrozumieć, że te sprawy są dla mnie na pierwszym miejscu; nie mogę sobie pozwolić,

by coś mnie od nich odrywało, nawet ty, kochanie. Nachyliła się i pocałowała go bez słowa. Poczekaj.

Wsparta na poduszkach z angielskim haftem Debra Halifax obojętnie przeglądała gazetę, póki nie natrafiła na rubrykę Liz Smith. Nagle coś przyciągnęło jej uwagę.

„Lili wystąpi na benefisie dobroczynnym...” - przeczytała na głos.

Ożywiła się.

- Na to czekałam - powiedziała cicho.

Rozdział jedenasty

Początek lipca 1979

Różowa tapeta w hortensje harmonizowała z zasłonami z ciężkiego kretonu podpiętymi złotymi sznurami. Nad biurkiem portret Byrona w ramie z drewna klonowego, na biurku fotografie w srebrnych ramkach, małe miseczki z potpourri, srebrny kalendarzyk walczący o miejsce ze stertą listów przyciśniętych króliczą łapką na szczęście, która należała jeszcze do pradziadka Poganki. Całe to otoczenie dawało wrażenie królewskiego przepychu, ale nie tworzyło raczej warunków do pracy.

- Coś jeszcze? - Pytanie Poganki skierowane było do jedenastu pozostałych członków komitetu przygotowującego galę Lili na rzecz Anglo-Amerykańskiego Instytutu Onkologicznego, zebranych w jej salonie. Omówili już koszt prób i roszczenia związku techników teatralnych w sprawie nadgodzin za pracę w niedzielę.

Zaakceptowali projekt graficzny programu i ustawienie krzeseł w łoży królewskiej. Poganka zakomunikowała radośnie, że wszystkie bilety zostały już wysprzedane i skreśliła z agendy ostatni punkt zebrania.

- To byłoby wszystko. - Sekretarka podsunęła jej list na firmowym papierze Grosvenor House Hotel.

- Jest ktoś, kto chce wydać dla nas przyjęcie przed spektaklem.

- Jakie to miłe. Kto taki?

- Fundator pragnie pozostać anonimowy, lady Swann. Poganka szybko przesunęła wzrokiem po tekście.

- Przyjęcie z szampanem na dwa tysiące osób! To wspaniała wiadomość.

- Ktoś, komu musi bardzo leżeć na sercu sprawa Instytutu.

- Albo ktoś, kto robi to przez pamięć Christophera - powiedziała Poganka ze smutkiem.

- Albo przez wzgląd na Lili - rzuciła żona milionera, właściciela wielkiej sieci sklepów. - Może jakiś jej wielbiciel?

- Musi mieć niezłe pieniądze, żeby podejmować dwa tysiące gości szampanem - orzekł siwowłosy bankier palący cygaro.

- Roześliśmy zaproszenia razem z biletami. - Poganka szukała czegoś w swojej teczce z papierami.

- Zdamy wydrukować jeszcze zaproszenia? - dopytywała się zatroskana szkocka diuszesa.

- Tak - odparła sekretarka. - Porozumiałam się już z drukarnią. Poganka, znana ze skrupulatności w sprawach pieniężnych, gdy chodziło o finansową stronę przygotowywanych przez nią imprez dobroczynnych, zajrzała do papierów.

- Masz czek?

- Pieniądze zostały przelane bezpośrednio na konto Grosvenor House Hotel.

- O wszystkim pomyślał - stwierdziła Poganka. Wstała i otworzyła okno.

Nienawidziła dymu z cygar, potem całymi tygodniami nie można było pozbyć się przykrego zapachu. Przeszła w stronę dość paskudnego kominka z czarnego marmuru, na którym królowało pomieszanie z poplątaniem: rokokowe talerze z chińskimi motywami, szklany klosz, pudełko na biszkopty z epoki Regencji i niebiesko emaliowany zegar z tarczą wysadzaną brylantami, darowany jej prababce przez królową Aleksandrę.

- Przepraszam, że nasze spotkanie przeciągnęło się nieco - Poganka uśmiechnęła się do zebranych. - Musieliśmy jednak omówić tę niespodziewaną a hojną ofertę. Teraz, jeśli państwo pozwolicie, już się pożegnaj, inaczej spóźnię się na samolot do Wenecji.

Wiatr targał jej włosy. Motorówka szybko mknęła laguną w stronę Wenecji.

Widziała już w oddali szare kopuły Św. Marka, wyniosłą dzwonnice na Piazzecie, pomalowane w cukierkowe pasy, wystające z wody pod różnymi dziwacznymi kątami słupy, przy których cumują gondole, stada gołębi na tle błękitnego nieba.

Przylecieli prywatnym jetem Abdullaha na lotnisko Marko Polo, a teraz płynęli do hotelu Cipriani. W drugiej motorówce znalazło się czterech ochroniarzy Abdullaha i sterta walizek; większość z nich stanowiła własność Jego Wysokości.

Podniecona Poganka pochłaniała wzrokiem sylwetkę wynurzającego się wprost z wody miasta.

- Och, Abdi, jakie to piękne. Jak unoszący się na falach złoty miraż.

- Nie wpadaj w zbyt romantyczny nastrój - przestrzegł ją Abdullah. - Mnóstwo ludzi nie znosi Wenecji.

- Dlaczego, na Boga?

- Smród, tłok, klaustrofobia i to paskudne, tandetne szkło.

- A więc nie będzie złotych gondoli - roześmiała się Poganka.

- Złote gondole pojawiają się tylko raz w roku, w czasie wyścigu gondolierów.

Zniszczona walizka z krokodylej skóry, należąca niegdyś do prababki Poganki, spoczęła na jasnokoralowym dywanie ich utrzymanego w pastelowej tonacji apartamentu; ścienne freski z leśnymi pejzażami komponowały się z zielenią kanap i srebrno-zielonymi zasłonami Fortuny'ego. Wyszła na taras, gdzie stały donice z miniaturowymi cyprysami i skąd roztaczał się wspaniały widok na całą Wenecję.

- Podoba ci się? - Usłyszała za plecami głos Abdullaha.

Czuła się speszona. Nie wiedziała wcześniej, że zamieszkają razem.

- Mam apartament obok. - Abdullah wykrzywił się w paskudnie domyślnym uśmiechu. - Jeśli będziesz mnie potrzebowała. Niestety nie ma tutaj sali bilardowej. W Wenecji przestrzeń jest rzeczą bardzo cenną.

Następnego ranka stali na przystani Ciprianiego. Poganka przytuliła się do ramienia Abdullaha.

- Spójrz, nie miałaś racji. - Po zielonych falach sunęła ku nim złota gondola.

- Prawdę mówiąc, to twoja. Mam nadzieję, że nie jest zbyt wystawna.

Siadła na czerwonych wypłowiałych poduszkach pod złotym baldachimem. Przed oczami miała złociste plecy Neptuna wznoszącego trójząb nad rufą łodzi. Z rozczarowaniem odkryła, że wspianały okręt został wyposażony w prychający silnik bardziej na miejscu w rybackiej krypie niż w ceremonialnej barce.

Parskająca gondola sunęła po Canale Grande pośród łodzi dostawczych z węglem, colą, nowymi partiami japońskich turystów lub robotników zmierzających do pracy. Mijali różowe i piaskowe pałace o fasadach znaczone wielowiekowymi przyływami i odpływami wody, z mchem wrośniętym w spoiny cegieł i pajęczynami pokrywającymi złuszczone tynki.

- Nie proś tylko gondoliera, żeby zaśpiewał ci Santa Lucia - mruknął Abdullah. - To neapolitańska pieśń, narazisz się.

Uszcześliwiona, pociągnęła nosem.

- Wszystko jest tutaj cudowne, nawet zapach.

- To zapach niszczonego miasta i zatęchłej wody, fascynujący dopóki nie musisz żyć z nim na co dzień.

Chodzili później po mieście. Gdy opuścili zatłoczone ulice i zawędrowali w wąskie, kręte zaułki, stanęła zdeorientowana.

- Wszystkie te zakamarki wyglądają kubek w kubek tak samo. Tracę rozeznanie.

Zbliżył się jeden z ochroniarzy i powiedział kilka gardłowych słów do Jego Wysokości. Ruszyli za nim, przeszli po moście z barierkami z kutego żelaza i znaleźli się koło czekającej cierpliwie złotej gondoli.

- Wenecja jest mała, ale łatwo się tutaj zgubić. To znana rzecz. Te mosty i domy zdają się zmieniać z przyływami i odpływami, a uliczki tworzą nieprzenikniony labirynt. Człowiek ani się obejrzy i traci poczucie kierunku.

Abdullah uparł się, żeby zrobić zakupy w sklepach w pobliżu Świętego Marka. Zdjęto jej miarę na srebrne pantofle z wężowej skóry, potem wybrała klasyczne czerwone półbuty.

- Bardzo eleganckie - uznał Abdullah. - Weź po parze w każdym kolorze, jaki mają. - Skinął ręką na pożegnanie podnieconemu sprzedawcy i wyszli ze sklepu.

- Po co mi na Boga dwadzieścia siedem par butów?

Kiedy popijali Bellinis (wenecki koktajl z szampana i soku brzoskwiniowego), ochroniarze pilnowali łodzi z zakupami, a były tam: komplet waliz z cielęcej skóry ze złotymi zamkami i okuciami, dwadzieścia jardów delikatnych koronek, które postanowiła zachować na suknię ślubną dla Sophii, oraz tyle strojów, ile nie miała razem wzięwszy w całym swoim życiu, w tym trzy oryginalne, stare suknie Fortuny'ego, koralowa, brązowa i ciemnozielona, wreszcie żółta jedwabna peleryna do opery.

Spędzili niezapomniane popołudnie w łóżku.

Wasza Wysokość, to jest Sala del Maggior Consiglio, kolebka zachodniej demokracji, gdzie Wielka Rada Wenecji zbierała się, by wybierać władze.

Poganka i Abdullah posłusznie wodzili wzrokiem za palcem kustosza wskazującym malowidła na suficie. Roztańczone refleksy światła odbitego od wód laguny igrały na barwnych płaszczyznach.

- Proszę zwrócić uwagę na fryz z portretami siedemdziesięciu sześciu dożów, a tutaj widzimy Raj pędzla Tintoretta, tam zaś Apoteozę Wenecji ręki Veronesa.

- Kolebka demokracji! - parsknął rozbawiony Abdullah. - Renesansowa Wenecja to skorumpowane państwo, rządzone przez szpiegów i morderców, republika ciemnych lochów, sztyletów i trucizn.

Zmęczyło ich wreszcie kilkugodzinne zwiedzanie pałacu. Poganka miała sztywny kark od nieustannego zadzierania głowy i podziwiania bogatych sztukaterii kolejnych plafonów. Bolały ją nogi od wędrówki po niezmiernych marmurowych posadzkach.

- Ale tylko Wenecjanie wybierali swoich władców - wdała się w sprzeczkę.

- Tak, lecz wyłącznie spośród arystokracji. To nie wolne wybory w demokratycznym znaczeniu słowa - sprostował Abdullah.

- Pięćset lat temu Wenecja była bardziej demokratyczna niż dzisiejsza Sydonia - odparowała urażona protekcyjnym tonem Abdullaha. - Waszej Rady Pięciu nikt nie wybiera przez powszechne głosowanie.

- Nie bądź głuptasem, Poganko. Demokracja może funkcjonować tylko w światłym społeczeństwie, o wysokiej stopie życiowej, bez endemicznego zepsucia. Przeciętny obywatel mojego kraju gotów głosować na każdego, kto obieca mu dwie kozy i bransoletę dla żony.

- Zrób więc coś, żeby to zmienić.

- Wiesz, że próbuję - odparł lodowatym tonem.

- Mam wrażenie, że podoba ci rola dobrego tyrana - prychnęła.

- Demokracja nie uzdrowi państwa. Dobre rządy - tak.

- Demokracja nie pozwoliłaby, aby całe bogactwo kraju znajdowało się w rękach kilku klanów plemiennych, jak to się dzieje w Sydonii.

- To głupie, co powiedziałaś.

- Nie bądź taki cholernie nadęty! - warknęła Poganka. Wściekła obróciła się na pięcie i znalazła w kolejnej wielkiej sali.

Usłyszała kroki za plecami; to jeden z ochroniarzy sunął w ślad za nią. Tymczasem Abdullah najspokojniej w świecie rozmawiał z przewodnikiem. Królewska turystyka jest czymś jeszcze gorszym niż chodzenie do szkoły, pomyślała rozeźlona. Cały czas nie spuszczała z człowieka oka. Już po jednym dniu czuła się przytłoczona tą ustawiczną kontrolą. Przyspieszyła kroku. Niech to diabli, nie pozwoli się niańczyć. Szła coraz szybciej przez opustoszałe, zamknięte dla zwiedzających na czas ich wizyty sale Pałacu Dożów. Zbiegła po schodach, przemierzyła nerwowym krokiem dziedziniec. Już w arkadzie prowadzącej na Piazzę usłyszała tupot spieszącego za nią ochroniarza.

Niech mnie diabli, jeśli pozwolę temu cholernemu owczarkowi Abdullaha zagonić się z powrotem, pomyślała gniewnie, przedzierając się przez zbite stadko jakichś niemieckich turystów.

Dojrzała w pobliżu restaurację, gdzie w południe pili Bellinis. Wpadła tam i na oślep skierowała się w stronę zaplecza, szukając toalet. Pchnęła jakieś drzwi i znalazła się w kuchni. Odprowadzana wzrokiem zdumionych kucharzy i kelnerów przemknęła między skrzyniami pełnymi owoców i warzyw ku tylnemu wyjściu. Stała w wąskim, śmierdzącym zaułku. Łagodne popołudniowe światło docierało tylko do najwyższych balkonów zawieszonych nad restauracyjnym śmietnikiem.

Odczekała chwilę, upewniając się czy na pewno zgubiła ochroniarza, po czym ruszyła przed siebie z zamiarem wrócenia do hotelu.

Chociaż zwiedzali dzisiaj miasto dokładnie, nagle zdała sobie sprawę, że nie wie, gdzie jest, ani nie pamięta adresu hotelu. Nie szkodzi. Wenecja jest mała. Dojdzie do pierwszego kanału, tam złapie taksówkę wodną i każe się wieźć do Ciprianiego. Nigdy nie było w niej lęku, że może zgubić się w obcym miejscu. Jako dziecko często zapuszczała się daleko od domu, wędrowała po komwalijskich wrzosowiskach i zawsze potrafiła znaleźć drogę powrotną do Trelawney. Prawdę mówiąc nawet podoba jej się to, że nie wie, gdzie jest, pomyślała skręcając w następny zaułek. Gdy się człowiek zgubi, życie odkrywa przed nim tyle cudownych, nieoczekiwanych możliwości. Ciekawe, dlaczego tak lubi niespodzianki, a nienawidzi rutyny, pomyślała rozważając, czy skręcić w lewo przez kamienny most, czy zanurkować w labirynt uliczek po prawej.

Na szczycie wygiętego w łuk mostka stanęła i zapatrzyła się na moment w brudną, szarą wodę kanału zatłoczonego różnorakimi łodziami. Niedaleko dojrzała przystań dla taksówek. Ruszyła w tamtą stronę, ale kiedy była już prawie na miejscu, nagle zmieniła zamiar. Godzina wolności w Wenecji to cenny czas. Szkoda go stracić tylko dlatego, że boją nogi. Odwróciła się i powędrowała w przeciwnym kierunku.

Zobaczyła przed sobą uchylone wielkie drewniane odrzwia; weszła do środka i znalazła się w przesyconym zapachem kadzidła kościele, zupełnie innym od wspaniałych świątyń, które zwiedzała razem z Abdullahem, a które bardziej przypominały galerie obrazów niż miejsca kultu. To prawdziwy kościół. Kilka na czarno ubranych kobiet modli się w skupieniu przed figurą świętego Antoniego Padewskiego, otoczoną kręgiem wotywnych świec, wokół wota ze srebrnej i złotej blachy ofiarowane świętemu na znak dziękczynienia za wysłuchane modlitwy i wstawiennictwo niebieskie. Blaszone dłonie, stopy, nogi oznaczają uleczone cudownym sposobem członki; blaszane dzieciątka - to od bezdziejnych par w podzięce za potomka; blaszane serduszka z koroną, różyczką albo kokardką zostawili tu szczęśliwi nowożeńcy. Ci ludzie nie kryją swoich pragnień, pomyślała. Oto jedna z różnic między Włochami i Anglikami.

Olbrzymie drzwi skrzypnęły. Wyszła w gasnące światło popołudnia. Skręcała właśnie za róg, gdy usłyszała ponowne skrzypnięcie, potem lekkie kroki za plecami. Uświadomiła sobie raptem, że są zbyt szybkie jak na którąś z artretycznych staruszek z kościoła. Szła szybko w gwałtownie zapadającym zmierzchu w stronę kanału. To nie kanał, odkryła stając nad wąskim przesmykiem wodnym. Rozpoznała asparagus na balkonie pierwszego piętra w domu po swojej lewej. Widziała go już dzisiaj rano. Szła w dobrym kierunku.

Ufnie ruszyła dalej. Znowu usłyszała lekkie, skradające się stapanie za plecami.

Stanęła, by spojrzeć za siebie; serce zabiło jej niespokojnie. Uświadomiła sobie, że od dłuższej chwili nikogo po drodze nie minęła.

Odgłos kroków zamarł także. Zaczęła iść spieszenie wzdłuż starych, sypiących się murów. Znowu stanęła; lekkie stąpnięcia umilkły.

Odwróciła się błyskawicznie; wokół śladu żywej duszy. Musiał zatrzymać się tuż za rogiem. Była pewna, że ktoś za nią idzie. Już na dobre wystraszona zaczęła biec w zapadających ciemnościach. To nie może być ochroniarz Abdullaha, myślała nerwowo, przecież na pewno go zgubiła. Może to rabuś? Wróci do kościoła, poprosi o pomoc którąś z tych starych kobiet. Nikt jej przecież nie obrabuje w kościele.

Zaczęła biec jeszcze szybciej.

Uciekała krętymi uliczkami, rozglądając się na próżno za jakimś znajomym widokiem, wreszcie w panice stwierdziła, że nie ma pojęcia, gdzie jest. Tupot za nią był coraz bliżej. Stanęła bezradnie na jakimś kolejnym skrzyżowaniu.

Nagle jakaś silna dłoń chwyciła ją za ramię i obróciła ku sobie.

Abdullah!

Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Myślałam, że już nigdy mnie nie znajdziesz.

- Czemu biegłaś?

- Bo ktoś mnie gonił - powiedziała z ociąganiem, nie chcąc przyznać, jak bardzo była wystraszona.

- Wiesz, gdzie jesteś?

- Nie. Gdzie?

- Nie mam bladego pojęcia. - Objął ją. - Wiesz, że to najbardziej mylące człowieka miasto na świecie.

- Chyba gdzieś blisko targu rybnego. - Poganka zmarszczyła nos.

- W całej Wenecji jest taki fetor. - Abdullah zlekceważył jej domysły. Zaraz za rogiem trafili na opustoszały targ rybny.

- No to wiemy, gdzie jesteśmy. Tam jest kanał - wskazała triumfalnie. - Teraz musimy tylko znaleźć taksówkę.

Abdullah popatrzył w jej zmęczoną twarz, przyciągnął do siebie i pocałował.

- Powinieneś być się tak zachowywać cały dzień. - Przytuliła się mocniej do niego. - Jak to miło nie mieć obok tych twoich goryli.

- Nie przywykłaś do nich jeszcze? - Musnął wargami jej czoło.

- Nigdy chyba do nich nie przywyknę. Duszę się w ich obecności. Całe szczęście, że ich zgubiłam.

Abdullah rozejrzał się wokół niespokojnie.

- Mam nadzieję, że ci się to nie udało. Jeśli tak, musimy natychmiast wracać do hotelu.

Ruszyli szybko przed siebie. Kiedy przechodzili przez targ, znowu usłyszała skradające się kroki za ich plecami i ponownie przeszedł ją dreszcz strachu.

- Adbi, ktoś chyba za nami idzie. Może jednak ochroniarze nas znaleźli.

- Nonsens, to tylko echo naszych kroków. Zawsze je słyszysz w wąskich zaułkach Wenecji.

- Tak, oczywiście. - W głosie Poganki dało się słyszeć powątpiewanie. Gdzieś między straganami za nimi rozbrzmiewały czyjeś kroki.

Dochodzili już do kanału, gdy z bocznej uliczki wyszło dwóch młodych ludzi i zagroziło im drogę.

Jedną ręką Abdullah pchnął Pogankę w stronę najbliższej sieni, drugą chwycił bliżej stojącego z mężczyzn za szyję, szukając palcami miejsca, gdzie ucisk na tętnicę może pozbawić przytomności.

Błysnęła stal sprężynowca. Drugi z napastników szykował się do skoku.

- Poganko, uciekaj, oni mają noże!

Abdullah poślizgnął się na bruku i upadł, pociągając za sobą napastnika.

Poganka zapomniała o strachu. Z zimnym spokojem zdjęła z nogi but i zakończoną metalem szpilką zdzieliła w głowę leżącego. Gdy drugi przyskoczył ku nim z nożem, Abdullah zdążył chwycić go za nadgarstek i jednym potężnym pchnięciem posłał do kanału. Obrócił się, by pomóc Pogance; w tej samej chwili drugi z napastników poderwał się do ucieczki, Abdullah skoczył za nim. Rabuś był szybki, ale miał pecha. Już zniknął za rogiem, gdy wpadł prosto w objęcia ochroniarzy Abdullaha.

- Ty też nosisz noż - powiedziała zadyszana Poganka. - Jezu, co za brudna walka. - Odgarnęła opadające na oczy włosy.

- Tak właśnie walczą królowie - odparł zasapany Abdullah i poprawił krawat. - Jeśli jest się królem, walczy się, by wygrać.

Tego wieczoru jedli kolację na tarasie apartamentu. Po drugiej stronie laguny iskrzyły światłami Plac Świętego Marka. Gdy skończyli pić kawę, Abdullah nachylił się ku Pogance, wystrojonej w nową zieloną suknię Fortuny'ego.

- Zamknij oczy.

Usłyszała skrzypnięcie odsuwanego krzesła. Stał za nią, odgarnął jej włosy na karku.

- Jesteś już chyba na tyle duża, że tym razem przyjmiesz ode mnie naszyjnik.

Podbiegła do wielkiego lustra w saloniku. Platynowa plecionka wysadzana szmaragdami.

Zobaczyła odbicie Abdullaha. Podszedł i położył jej dłonie na ramionach.

- Stanowiliśmy dzisiaj zgrany zespół...

- No, powiedzmy, że nie jesteś tylko malowanym chłopcem - zgodziła się łaskawie.

- Nie taki z ciebie twardziel, jak myślisz - odwzajemnił się Abdullah z paskudnym uśmiechem.

- Naprawdę byłeś protekcyjny.

- Naprawdę byłaś agresywna. Nie możemy wytrzymać ze sobą choćby dwóch dni?

- Nie wiem - odpowiedziała niepewnie.

- Spędzisz resztę wakacji u mnie w Cannes?

- Nie wiem.

- Przyjedziesz, jeśli zaproszę Maxine i Charlesa?

- Nigdy dotąd nie pomyślałam o roli przyzwoitki dla Maxine. - Cały opór zdawał się powoli rozplywać wobec nalegającego spojrzenia Abdullaha. - Myślę, że to... - chciała powiedzieć - niemożliwe, ale zamiast tego usłyszała, jak mówi - cudowne!

W tej samej chwili wody laguny rozbłysły zielono-różowymi refleksami fajerwerków wystrzelonych gdzieś na Rialto.

Abdullah obrócił ją ku sobie. Zamknęła oczy i uniosła lekko głowę oczekując pocałunku.

- Posłuchaj, Poganko - zaczął z powagą. - Muszę ci wytłumaczyć kilka rzeczy, jeśli idzie o Sydonie. Fundamentalisci mają silne wsparcie bloku komunistycznego. Jeśli nie uporam się wkrótce z ich partyzantką, będę miał w kraju wojnę domową, a nie uporam się bez amerykańskiej broni i pomocy, tych zaś ciągle nie mogę uzyskać. Nie spodziewała się wykładu politycznego.

- Wiem, że modernizacja kraju wywołała mnóstwo konfliktów - odparła, próbując ukryć rozczarowanie.

- Jeszcze innym problemem są kobiety.

- W jakim sensie? - zapytała niezbyt zainteresowana problemami kobiet w Sydonii czy w ogóle jakichkolwiek innych kobiet.

- W każdym. Im jest jeszcze trudniej niż moim rodakom, mężczyznom, wyzwolić się z przeszłości i żyć w nowoczesnym świecie. Dawniej, z zakwefionymi twarzami, były całkowicie uzależnione od swoich mężczyzn, ale też całkowicie bezpieczne pod ich opieką. Boją się niezależności, a przecież nie sposób dalej żyć trzymając się kurczowo niegdyś wizerunków.

Na niebie rozsypała się kaskada złotych ognii.

- Żal im zachodnich kobiet, które muszą sobie radzić bez męskiego wsparcia...

- Ale tak nie jest! - zawołała Poganka.

- Wedle prawa Koranu mężczyzna ma obowiązek utrzymywać wszystkie kobiety żyjące pod jego dachem. Na Zachodzie mężczyzna może rozstać się z żoną bez wielkich zobowiązań, a kobieta nie ma aż tak absolutnego poczucia bezpieczeństwa, jak się jej z pozoru wydaje.

Poganka przypomniała sobie rozwód ze swoim pierwszym mężem. Musiała zgodzić się z Abdullahem.

- A jednak młode kobiety w Sydonii zaczynają kwestionować tradycyjny model życia.

- W jaki sposób?

- Jak wiesz, nadal praktykuje się infibulację. Ciało kobiety należy do jej ojca czy męża, jakby była koźlą.

- Wiem o tym, Abdi, ciągle to powtarzasz. Dlaczego teraz o tym rozmawiamy? -

Poganka była zdezorientowana.

- Ponieważ dopóki kobiety nie złączą się z resztą współczesnego świata, nigdy nie dołączymy do reszty współczesnego świata.

Samotna zielona raca przecięła nocne niebo i zniknęła w wodzie.

- Potrzebuję u swego boku kobiety doświadczonej, wyrobionej, obdarzonej talentem dyplomatycznym. Tego potrzebuje mój kraj.

- Jakbyś układał ogłoszenie do rubryki „dam pracę” - oświadczyła Poganka. - „Doświadczenie ginekologiczne mile widziane”.

Abdullah puścił ją i podszedł do balustrady tarasu.

- Potrzebuję kogoś, kto rozumie Zachód, zachodnie kobiety, jak i potrzebę emancypacji w moim kraju.

- Czemu nie zwrócisz się do Glorii Steinem?
- Poprzysiągłem sobie, że zachowam zimną krew - odparł z gniewnym grymasem. - Nie pozwolę, byś znowu źle mnie zrozumiała. - Podszedł do niej i potrząsnął za ramiona. - Wiem, że jesteś uparta, porywcza i...
- Samodzielna? - dokończyła Poganka. - Nie zapominaj o tym. Dlatego tak często kłóciliśmy się w młodości. Ty byłeś zadufanym w sobie nerwusem, a ja tylko nerwusem.

W oddali pyszniła się w blasku reflektorów koronkowa fasada Pałacu Dożów.

- Młodość się skończyła.

- Jakiś ty taktowny - roześmiała się Poganka. - Ja, Abdi, nadal czuję się młoda. Kiedy jestem z tobą, tracę pewność siebie, zaczynam się denerwować.

- Przyzwyczaisz się do mnie.

Nagle zrozumiała, po co był ten wykład na temat polityki.

- Tak, chcę, żebyś za mnie wyszła. Nie psujmy tego, Poganko.

- Nie mogę uwierzyć.

- Wiedziałem, że to powiesz. - Wstał i znowu podszedł do balustrady. Jego sylwetka rysowała się ciemnym konturem na tle rozświetlonego złotymi fajerwerkami nieba. Zbliżyła się do niego i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Nie rozumiesz... - zaczęła.

- Rozumiem... - przerwał jej. - Boisz się ponownego upokorzenia, boisz się, że mogę znowu odejść, jak wtedy, kiedy miałem dziewiętnaście lat. - Westchnął. - Pamiętaj, że to było dawno temu.

- To prawda, nie chcę narażać się na ból, jak wtedy, kiedy miałam dziewiętnaście lat. Nie chcę niepewności ani... poczucia, że w moim wieku niepotrzebnie się łudziłam i znowu zrobiłam z siebie idiotkę, ale tym razem na oczach całego świata. Ujął jej dłonie.

- Ja cię naprawdę potrzebuję, właśnie ciebie, ty też zostawiłaś za sobą świat tradycji, by zanurzyć się we współczesności. Potrafisz zatem zrozumieć moich ziomków.

Czuła się jak ktoś, komu proponuje się niemiłą misję dyplomatyczną, a nie jak kobieta emablowana przez człowieka mającego zamiar się żenić. Romantyczna sceneria, myślała; księżycowe światło muska fale laguny, gondolierzy śpiewają miłosne pieśni, a Abdullah rozmawia ze mną jakby właśnie zatrudniał specjalistę do spraw bliskowschodnich.

- Pojmuję, dlaczego potrzebujesz królowej - powiedziała - ale nie bardzo wiem, po co ci żona.

- Po to, po co człowiekowi potrzebna jest żona. - Odwrócił się plecami.

- Abdi, w głębi duszy kobieta zawsze pozostaje siedemnastoletnią pannicą a siedemnastoletnia pannica chciałaby to usłyszeć.

. Zmusi go, żeby to powiedział, choćby miał paść trupem. Każda kobieta chce to usłyszeć, a oni nigdy nie potrafią pojąć, dlaczego.

- Kocham cię - wymamrotał wreszcie, ze wzrokiem wbitym w posadzkę.

- I ja cię kocham - odparła łagodnie.

- Mogę uznać, że to oznacza zgodę?

Usłyszała w jego głosie znajomą nutę dawnego animuszu. Byłby to ten sławetny kochaś? Romantyczny playboy, człowiek wyrzucający tysiące na bukiety szkarłatnych róż?

- Jest kilka klauzul, które należy przedyskutować - oświadczyła.
- Nie mam zamiaru wysłuchiwać, że jesteś za stara albo że nie nadajesz się z jakichś innych względów. Dajmy temu spokój.
- Nie, powiedzmy sobie jasno o wszystkim. Teraz. Przede wszystkim, uważam, że jestem dla ciebie za stara.
- Pozwól łaskawie mnie o tym sądzić.

Dotknęła zielonej wstęgi orderu Semiry przecinającej biały smoking Abdullaha.

- Wiem, że chwila niestosowna, by o tym mówić, ale dla mnie jest to rzecz bardzo istotna. Muszę wiedzieć. Czy masz zamiar być mi wierny?
- Dłaczego wy, ludzie z Zachodu, zawsze musicie mieszać seks z miłością? Wierność w łóżku niewiele ma wspólnego z małżeństwem.
- Czy masz zamiar być mi wierny? - Miała uczucie, jakby stąpała po cienkim lodzie, ale nie mogła się cofnąć. Musi usłyszeć odpowiedź. - A jednak na Wschodzie uważacie, że żona musi być wierna. Do tej pory zdarza się wam skracać o głowę wszeteczne cudzołżnice. A zatem, jakie są twoje zamiary, Abdullahu?
- Kiedy człowiek wie, że dość mu kiwnąć palcem, by mieć każdą liczbę zalotnych niewolnic, z lekka traci ochotę na kiwanie palcem.
- Masz odpowiedzieć na moje pytanie, Abdi. Będziesz mi wierny?
- Nie potrafię powiedzieć.
- Rozmawiamy szczerze - przypomniała mu na wszelki wypadek.
- A więc chyba nie.
- Zatem będziesz miał ochotę na kiwanie palcem?
- Rozmawiamy szczerze. Poczowała tępy ból.
- A zatem moja odpowiedź brzmi: nie - oświadczyła z godnością. Odsunęła się od niego, zła, rozczarowana. - Czemu jesteś taki niezdolnie arogancki?
- Prosiłaś, żebym był szczerzy. Znowu twoja duma wzięła górę nad poczuciem rzeczywistości. - Spojrzał na nią, powstrzymując gniew.
- Przysiągłem sobie, że nie dam się wyprowadzić z równowagi.
- Patrzcie, wyprowadzić z równowagi! - krzyknęła.
- Dajmy spokój. - Chwycił ją za rękę, z trudem panując nad sobą.
- Klócimy się o coś, co zdarzyło się trzydzieści lat temu.
- Chciałeś powiedzieć: o coś, co się nie zdarzyło. - W głosie Poganki zabrzmiała nuta gorczy.
- Coś, co mogłoby zdarzyć się teraz. - Pchnął ją łagodnie w stronę kanapy. Oto zademonstrował dokładnie, jak nie należy się oświadczać, pomyślała.
- Takie małżeństwo nie przetrwa, Abdullahu - powiedziała ze smutkiem. - Nie zniosę playboya.

Zgasł ostatni fajerwerk. Morze pociemniało. Abdullah pogodził się z chwilową porażką.

- Ale przyjedziesz do Cannes? - zapytał cichutko.
- Pewien jesteś, że chcesz mnie tam widzieć?

- Zdaje mi się, że obydwójce powinniśmy zastanowić się, co tracimy. Naprawdę tak myślisz, czy tylko tak mówisz? Przypomniała sobie odgłos podążających jej śladem kroków. Nasłuchiwanie, skąd, z którego kierunku dochodził; każda wskazówka zdawała się mylna. Nigdy się nie dowie, jeśli nie będzie miała odwagi sprawdzić.
- Przyjadę do Cannes - obiecała. - Po gali na Drury Lane.

Rozdział dwunasty

Lipiec 1979

Zebraliśmy o wiele więcej pieniędzy. To dzięki drinkom i loterii - szkocka diuszesa rozejrzała się po sali balowej. Wydekoltowane kobiety w pstrych taftowych toaletach, mężczyźni w sztywnych gorsach, wytworne maniery.

Poganka, z twarzą sztywną od ciągłych uśmiechów, niespokojna czy aby hotel przysłał dość kelnerów, słuchała jednym uchem.

- Dawno już nie widziałam tylu nie podrabianych diademów - westchnęła diuszesa. - Rzadko kto nosi dzisiaj prawdziwe klejnoty. Nicole Birmingham mówi, że po tym, jak przyszło jej zapłacić pięć tysięcy dolarów za ubezpieczenie i ochroniarzy, by pokazać się w swoich szafirach, poszła prosto na Kenneth Lane.

Poganka niespokojnie spojrzała na zegar nad drzwiami osadzony w koszmarnej, cukierkowej sztukaterii. Jeszcze pięć minut i będzie musiała przemówić, po czym wyprawi wszystkich do Teatru Królewskiego na Drury Lane.

- Można na słówko, milady? - U jej boku pojawił się nagle szef sali bankietowej.

- Coś się stało, panie Gates?

- Rozmawiałem właśnie z panem Zimmerem, dzwonił z teatru. Prosił powtórzyć, że mają drobne kłopoty techniczne, coś z kurtyną przeciwpożarową. Przeprasza, ale gala musi się rozpocząć z godzinnym opóźnieniem. Prosił też powiedzieć, żeby się pani nie martwiła. Panują nad wszystkim, inżynier potrzebuje tylko trochę czasu.

- Prawdziwa przykreść, panie Gates - powiedziała Poganka, rzucając w myślach przekleństwo. - Zaraz poinformuję gości.

Weszła na podium i wzięła do ręki mikrofon.

- Lordowie, panie i panowie...

Kurtyna powinna iść w górę dziesięć minut temu, tymczasem nikogo jeszcze nie ma.

- W oczach Lili pojawiły się łzy. Sala świeciła pustkami. Dwa tysiące pustych krzesel.

- Nie ma żywej duszy, w foyer również. Literalnie nikogo - przyświadczył zdenerwowany kierownik sceny w przekrzywionym krawacie.

Lili miała przerażenie wypisane na twarzy. Machinalnie podciągnęła długą czarną rękawiczkę, potrząsnęła główką osypując dzety ze strusich piór wpiętych w obcisłą czapeczkę.

- Nie mogę uwierzyć. Co się u diabła stało? - Zagryzła wargę, by się nie rozplakać, nerwowym ruchem wygładziła czarną, aksamitną suknię o wymyślnym kroju.

- Nie wiem. - Kierownik sceny przejechał dłonią po tłustych włosach. - Powinni byli zacząć się schodzić już pół godziny temu, a tu teatr puściuteńki.

Lili tupnęła nogą obutą w srebrny pantofelek.

- Niechże pan sprawdzi raz jeszcze bilety! Niech pan sprawdzi, czy nie ma błędu w dacie!

- Już sprawdzaliśmy. Zaproszenia są w porządku - zapewnił kierownik sceny z bezradną miną. Organizowane przez amatorów benefisy dobroczynne to istny koszmar.

Zimmer objął Lili.

- Nie płacz, kochanie, bo będziesz musiała poprawiać makijaż. Najlepiej zrobisz, wracając do garderoby. Stash dowie się zaraz, o co tu u diabła chodzi.

Agent Lili skinął głową poklepał ją po oblepionym cekinami ramieniu i pobiegł do telefonu.

Zimmer zdawał sobie sprawę, że musiało stać się coś niezwykłego. Zdarzył się jakiś potężny karambol w pobliżu hotelu, samolot spadł na Picadilly. Jego zadaniem było uspokoić gwiazdę wieczoru.

- Głowa do góry, Lili, jesteś przecież zawodowcem, prawda?

Gorsze rzeczy zdarzały się w teatrze. Nikt nie padł trupem na scenie Nikt nie zabił Lincolna. Upiór ciągle w operze paryskiej.

Lili uśmiechnęła się blado. Zimmer był niezrównany, gdy wszystko się waliło. Im większe nieszczęście, tym spokojniejszy Zimmer.

- Zagadka rozwiązana - rzucił Stash od progu garderoby. - Są ciągle w Grosvenor House. Ktoś powiadomił, że mamy problemy techniczne i że spektakl opóźni się o godzinę.. Rozmawiałem z lady Swann. Sprowadzi gości w ciągu kwadransa. Ściągają już taksówki.

- Następne piętnaście minut zajmie usadzenie gości - obliczał Zimmer. - Lili, masz pół godziny, żeby się uspokoić, wczuć w rolę i ogrzać stopy.

Miał rację. Lili sięgnęła po ocieplacze.

- I popraw makijaż, kochanie - poradził. Łzy zostawiły czarne smugi pod oczami. - A potem zapomnij o wszystkim innym i skup się na swojej roli. Ja zajmę się resztą. Zimmer wiedział, jak bardzo rozdrażnieni są aktorzy przed wyjściem na scenę. Czasami już na pół godziny przed podniesieniem kurtyny zapadają się w siebie, wchodzą w rolę, skoncentrowani wyłącznie na tym, co ma nastąpić, nieobecni. W takich chwilach nie wolno im przeszkadzać ani się do nich odzywać. Dobry aktor czerpie inspirację z własnego wnętrza, jest to proces nieświadomy; nauczył się swojej roli, przestudiował ją, próbował wraz z całym zespołem i teraz na chwilę przed podniesieniem kurtyny musi pozwolić, by rola owładnęła nim bez reszty. Świadomość ustępuje miejsca podświadomości, wyuczony i wielokrotnie próbowany tekst przeistacza się w żywą realizację.

Dwadzieścia minut później rozległo się pukanie do drzwi garderoby, weszła zdenerwowana do granic wytrzymałości Poganka w kremowej atlasowej sukni i naszyjniku ze szmaragdów, podarowanym jej przez Abdullaha.

- Nie mam pojęcia, co się stało, Lili, wiem tylko, że ktoś próbował zrujnować nasz benefis, ale my do tego nie dopuścimy. Za piętnaście minut będziesz miała pełną widownię.

- Dobrze ci mówić - powiedziała Lili zmęczonym głosem. - Nie ty wyjdiesz do nich z uśmiechem, żeby ich powalić na kolana, jakby nic się nie stało.

- Lili powinna być teraz sama - oświadczył stanowczo Zimmer. Wyprowadził Pogankę z obskurnej garderoby za kulisy, gdzie stała grupka spoconych tancerzy. Zimmer podszedł na palcach do kurtyny, zerknął na widownię i wrócił do Poganki.

- Zbierają się - przyświadczył, po czym zwrócił się do dyrektora teatru: - Proszę ze strażnikami sprawdzić cały teatr, kulisy, widownię, magazyny. Sprawdźcie zbiorniki wodne i zabezpieczcie główne wejście.

- To się nie da zrobić. Jeszcze bardziej opóźnimy przedstawienie. - Dyrektor sceny przysięgał sobie, że póki będzie tu szefem, nie dopuści, by właściciel wynajmował teatr na wieczory dobroczynne.

- Ktoś tu nie żywi specjalnej miłości do Lili - mówił Zimmer. - Musimy zachować wszystkie środki ostrożności. - Ponownie zwrócił się do Poganki: - To najgorsza rzecz, jaka może się przytrafić aktorowi. Lili będzie miała ciężki wieczór.

- Wiem. Dlatego mam zamiar powiedzieć na powitanie coś innego, niż planowałam. Na miękkich nogach ruszyła ku środkowi sceny. Jeden z techników uchylił aksamitną kurtynę. Wzięła głęboki oddech i stanęła na proscenium. Na chwilę oślepiły ją reflektory. Wyciągnęła rękę, prosząc o ciszę. Dojrzała uniesione ku niej twarze widzów w pierwszym rzędzie. Dalej była już tylko ciemność, wiedziała jednak, że widownia jest zapełniona do ostatniego miejsca. Uśmiechnęła się i zaczęła.

- Wiele rzeczy może zachwiać pewnością siebie aktora, ale najkoszmarniejszą z nich jest myśl o pustej widowni, bo bez publiczności nie ma przecież spektaklu. - Przez salę przeszedł pomruk. - Dzisiejszego wieczoru przez prawie godzinę zdawało się, że koszmar ten stanie się rzeczywistością. Lili, nasza gwiazda...

Skończyła odprowadzana huraganem oklasków. Wróciła za kulisy. Kurtyna poszła w górę, przygasły światła, ciemną scenę oświetlił punktowy reflektor skierowany na drobną sylwetkę Lili na szczycie ozdobnych schodów.

Aplauz przerodził się w owację na stojąco. Witana nieustającymi okrzykami i oklaskami, Lili dopiero po pięciu minutach mogła zacząć śpiewać C'est Paris...

- „...pozostaje tylko wyrazić podziw dla jej dzielnej postawy”, to „Mail”. - Agent rzucił gazety na łóżko Lili, zdjął czarne, skórzane rękawiczki i rozpiął płaszcz z wielbłądziej wełny. - „Times” pisze że jesteś następczynią Piaf i Garland, a „Sun” poświęcił ci całą pierwszą stronę - Dramat królowej seksu. Wszyscy zrobili z tego prawdziwego newsa. Masz olbrzymią prasę.

- Nadal nie wiesz, kto był autorem tego okropnego wygłupu?

- Wiemy tylko, że musi mieć wielkie pieniądze. Ta operacja musiała go mnóstwo kosztować - a propos pieniędzy, wysłałeś czek Teresie?

Na szafce nocnej leżały małe złote kajdanki od Van Cleefa z Cannes. Pusta butelka po Bollingerze i kieliszek do szampana ze śladami szminki, obok plastikowy woreczek z wacikami i małe pudełeczko z azotynem amylu. Drugi kieliszek leżał rozbity na podłodze obok ciemnoczerwonego szlafrocza z czarną koronką.

Teresa w wymyślnym skórzanym kostiumie w stylu Barbarelli, wysokich, sięgających ud botach na sześciocalowych szpilkach, szczebiotała miłośnie skatologiczne obscena w ucho leżącego obok niej na łóżku grubaska.

- Przestań, proszę - błagał. - Nie bądź okrutna, nie chciałem tego.

- Chciałeś. Okłamujesz mnie. - Odepchnęła go z całych sił. Stoczył się z łóżka wprost na odłamki szkła, jęknął i zaczął się odczołgiwać na czworakach. Teresa jednym skokiem znalazła się przy nim, kopnęła w trzęsący się, owłosiony tyłek; uniosła wprawnym ruchem czarny pejcz nad głową, omal nie zawadzając nim o plastikowy zyrandol.

- Nie kop, nie kop, proszę - zaskowyczał.

- Mam brudne boty - parsknęła gniewnie. - Nie wyczyściłeś ich jak trzeba! -

Wymierzyła mu kolejnego kopniaka w zadek, starając się przy tym uważać i nie zostawić śladów.

Niczym doświadczony kowboj, lekkim smagnięciem cięła go po uchu.

- Odwróć się - poleciała. Musi szybko kończyć, nie może spóźnić się na swój trening tenisa w szacownym klubie Potomac. Szturchnęła go końcem buta w obwisły brzuch.

- Liź buty.

Mężczyzna usłuchał. Dostrzegła, że jego różowy penis zaczął wreszcie reagować.

Przejechała powoli pejczem wzdłuż kręgosłupa grubasa, po czym odrzuciła biczyk na łóżko i nachyliła się, by sięgnąć po leżące na szafce waciki i tabletki.

Nie przestając wyrzucać z siebie litanii obelg, od czasu do czasu uderzała go szczotką do włosów; jednocześnie utknęła zręcznie tabletki w watę i owinęła chusteczką do nosa.

- Och... och... och - jęczał w uniesieniu. Spojrzała w dół. Był już prawie gotów.

Staruszek nie był zły, a przy tym hojny. Da mu jeszcze jednego, dwa dodatkowe kopniaki od firmy. W końcu dostaje podwójną stawkę.

- Nigdy nie nauczysz się, jak to robić, ty brudna świnię. - Cofnęła stopę, sięgnęła po pejcz. Jednym ruchem obaliła go na płask, obróciła na plecy zgrabnym szturchańcem i usiadła okrakiem na trzęsącym się jak galareta cielsku. Ujęła jego penis w lewą rękę, prawą sięgnęła po pustą butelkę po szampanie i szybko podetknęła mu pod nos. Czerwony rumieniec oblał twarz i szyję grubasa. Zaczął wydawać nieartykułowane dźwięki, charczał, jęczał, chrząkał, oczy wychodziły mu z orbit w ekstazie.

Ile jeszcze trzeba temu staremu sukinsynowi? zastanawiała się. Kiedy wróci do Paryża, jej backhand będzie nie do pobicia.

Możesz to jeszcze włożyć do czerwonej teczki, zanim wyjdiesz? - poprosiła Judy. W jej biurze wszystkie papiery dotyczące konkretnych, jednorazowych i terminowych zadań trafiały do plastikowych czerwonych teczek, rozkładanych do trzech tacek: były więc „przychodzące”, „w załatwianiu” i „wychodzące”. Te z tacki opatrzonej napisem „przychodzące” miały pierwszeństwo, zabierano się do nich zaraz po rozpoczęciu pracy, nim ktokolwiek tknął inne sprawy czy bodaj zdażył podnieść słuchawkę telefonu. Był to bezbolesny sposób załatwiania w pierwszej kolejności pozarutynowych, a nie cierpiących zwłoki spraw.

Sekretarka wyszła. Judy sięgnęła po wstępne zestawienie finansowe dotyczące reklam na sierpień. Następnym miesiącem zanosił się na jeszcze gorszy niż ten. Latem zawsze wpływało niewiele pieniędzy z reklam.

Rozległo się pukanie, wszedł Tony.

- Zostawiłaś te papiery w samochodzie, Judy. No i straciliśmy Lady Mirabelle, wielka szkoda. - Judy spojrzała na niego ze zdziwieniem. Tom twierdził, że nikt o niczym nie wie. Obydwaj zderzyli się w progu, gdy Tony wychodził.

- W porządku, Judy, niech robią z nami, co chcą, jeśli wola. Wszystko zabezpieczyłem z wyjątkiem chyba tylko naszych zegarków.

Noc w noc, sam w biurze, Tom w tajemnicy pracował nad likwidacją PRZEBOJEM!. Pomalutku przenosił wszystkie aktywa czasopisma na konta dwóch - specjalnie w tym celu utworzonych - firm holdingowych.

Teraz wszystko, na czym można byłoby położyć rękę, od dzierżawy na biuro po motorynkę posłańca, było chronione, a oni mogli zaczynać od nowa. Tom przejrzał kontrakty całego zespołu i bez wiedzy Judy wynegocjował dla dwóch redaktorów z najdłuższym stażem miejsca w konkurencyjnych magazynach, oszczędzając w ten sposób ich własnej kompanii ewentualnych kosztów odprawy. Robił to wszystko, przewidując najgorsze. Nie roztkliwiał się już nad minionymi latami sukcesów, jego poczynaniami rządziły wyłącznie chłodna determinacja oraz instynkt samozachowawczy. Miał nadzieję, że jasny sposób myślenia i głowa do interesów powinny pomóc przetrwać katastrofę obydwu jego rodzinom. Kate o niczym nie miała pojęcia; po cichu przepisał jednak na nią ich mieszkanie i dom na wsi. Jego była żona i dwóch synów posiadali fundusz powierniczy, którego nikt nie mógł tknąć. Tom był zawsze większym realistą niż Judy. Chociaż niebezpiecznie ryzykował w interesach, zawsze starannie kalkulował, na co się waży. Dobry hazardzista rozpoznaje pecha z daleka, wie, że kiedy karta nie idzie, trzeba wstać od stolika, pożegnać się i wyjść.

Obawiam się, że należy ich rozstrzelać tak szybko, jak to możliwe. Wydadź natychmiast odpowiednie rozkazy. - Generał zsalutował i wyszedł z pokoju. Abdullah odchylił się do tyłu i zamknął na chwilę oczy. Potarł czoło u nasady nosa, jakby chciał złagodzić odczuwane napięcie, po czym podniósł się i poszedł powoli przez zielone trawniki St James Park w stronę swojej londyńskiej ambasady. Poprzedniego dnia wrócił z Wenecji i trafił od razu na kłopoty.

Jego przodkowie nie znali ani komfortu, ani powikłań niesionych przez nowoczesną cywilizację. Ich życie było proste, ponieważ niewiele rzeczy mogło wprowadzić nieład w tę unormowaną egzystencję - ani dobra materialne, ani przywiązanie do miejsc. Jego beduińscy dziadowie cieszyli się wszak największym luksusem - wolnością. Ich życiem rządziły okrutne warunki bytowania na pustyni, która wymagała bezlitosnej dyscypliny, duch jednak pozostawał wolny. Abdullah poczuł nagle dobrze znaną tęsknotę za surowym spokojem pustyni. Westchnął i ruszył do salonu.

- I co? - zapytała Poganka odgarniając włosy i spoglądając z uwagą na Abdullaha. Przez ostatnią dobę, kiedy zastanawiał się nad losem trzech terrorystów, postarzał się o dziesięć lat.

- Egzekucja. - Usiadł obok niej. - Mój ojciec miał rację. Zapomnij o miłosierdziu, kiedy masz do czynienia z wrogiem.

Nie musisz uczyć kota siadać przy kominku, a Beduina, jak być okrutnym, pomyślała. Pustynia jest okrutna, a więc i ludzie, którzy potrafią na niej przeżyć. Życie w piaskach jest tak surowe, że kara musi być jeszcze surowsza. Poganka mogła zrozumieć beduińską naturę Abdullaha, ale nie potrafiła powiedzieć, czy kiedykolwiek się z nią pogodzi i do niej przywyknie.

- Twój ojciec nie miał do czynienia z muzułmańskimi fundamentalistami - powiedziała z powątpiewaniem, myśląc jednocześnie, że stary łajdak miał wyłącznie do czynienia z kliką pociotków gotowych wyrznąć się nawzajem w wyścigu o władzę.

- Nie, ale miał swoich fanatyków, których musiał pacyfikować - odparł Abdullah.

- Czy kapłani się dowiedzą?

Jeśli egzekucja się odbędzie, Abdullah mógł przysporzyć krajowi trzech męczenników.

- Nie od razu. Zorientują się, kiedy przestaną dochodzić wiadomości od uwięzionych, ale wtedy będzie już za późno. Trudno uczynić z człowieka męczennika całe miesiące po śmierci. Gdyby ci ludzie byli popularni w swojej wsi, byłoby o wiele większe zamieszanie w czasie aresztowania, tymczasem kapłanom niewiele udało się wykrzesać z tamtejszych wieśniaków. Myślę, że ich siła słabnie. Nareszcie.

Wykorzystywali ludzką ignorancję. Nasz kraj w trzydzieści lat musiał nadrobić wielowiekowe zacofanie. Tak jest na całym Bliskim Wschodzie. Nie chcę, żeby Sydonia poszła w ślady Iranu. Nie chcę, byśmy znowu popadli w przesady. Musimy wejść w dwudziesty wiek. To moje zadanie.

Poderwał się i zaczął krążyć po pokoju, przypominając sobie swój piaszczysty kraj, skrawek ziemi nad Zatoką Perską, wciśnięty między Oman a Zjednoczone Emiraty Arabskie. Myślał o Cadillacach i wielbłądach, skrajnej biedzie i na wpół asymilowanej, niby wyrafinowanej nowoczesności.

- Od chwili, gdy zostałem królem, zlikwidowałem jedenaście grup rewolucyjnych - oświadczył ponuro. - Na czele każdej stał jakiś mój krewny i wszyscy zostali straceni.

Nic dziwnego, że Abdi ma tylko jednego następcę, pomyślała Poganka.

- Wszyscy chcą jednego - władzy. Kapłani niczym się od nich nie różnią, tym chyba tylko, że posługują się świętym imieniem Proroka dla usprawiedliwienia swych zdradzieckich działań. Sieją zamęt w umysłach mojego ludu, który, jak to lud, przywiązany do tradycji, nienawidzi zmian. Nie potrafią przyjąć zachodniego, nowoczesnego sposobu życia. Tkwią nadal w średniowieczu.

- Jak ty?

- Co chcesz powiedzieć? - Abdullah spojrział na nią w zdumieniu.

- Tkwisz między dwoma światami. Nie możesz być władcą absolutnym, jak twój ojciec...

Urodzony na Wschodzie, Abdullah został celowo wykształcony na Zachodzie, by móc później stawić czoło zachodnim mężom stanu. Jego zachodnie ja odnosiło się krytycznie do własnego ludu. Odrzucił własną kulturę, a nowa go nie zaakceptowała. Poganka już dawno spostrzegła, jak bardzo jest wyizolowany.

Abdullah przysiadł na oparciu jej fotela i pocałował ją w koniuszek piegowatego nosa.

- Ojciec musiał walczyć, by przekonać nomadów do osiadłego trybu życia. Musiał walczyć, by budowali domy, a skoro już je zbudowali, by wyposażyli je w kanalizację. Kiedy ja zostałem królem, musiałem walczyć, by nauczyli się siadać na sedesie, zamiast wdrapywać się na miskę klozetową. Jeśli teraz kapłani odzyskają wpływy, cysterny wodne zamienią się w koryta dla wielbłądów. Sikanie w domu nie godzi się z nauką Allaha.

Inne kobiety czują od czasu do czasu potrzebę przemeblowywania całego domu. Maxine w takich razach zabierała się do zmian w bezcennej teraz kolekcji rodziny Chazalle. Lata temu uratowała ją przed zbutwieniem i molami, gdy postanowiła udostępnić zamek zwiedzającym, zamieniając go w historyczne muzeum, a przy okazji promując rodzinną firmę, produkującą szampana.

Ledwie Poganka przekroczyła próg Chateau de Chazalle, została poprowadzona do obszernej galerii obrazów na pierwszym piętrze, znanej turystom jako Trakt Historyczny, chociaż w rodzinie nazywano ją Zaułkiem Przodków.

Maxine w samych pończochach stała na krześle i dźgała nożem złotą ramę jakiegoś obrazu.

- Co ty wyprawiasz? - Poganka posłała jej pocałunek na powitanie. - Czemu niszczysz tę ramę?

- Nie niszczę, tylko postarzam - uśmiechnęła się Maxine. - Patynuję, żeby wyglądała, jakby wisiała tu co najmniej od stu lat, a nie od trzech dni.

- Po co to robisz?

Maxine zeskoczyła z krzesła i ucałowała Pogankę w policzek.

- Na tym polega cały szyk. Tak powinno być w arystokratycznych domach. Mając pieniądze, możesz kupić każdą nową rzecz, znacznie trudniej osiągnąć atmosferę przypadkowego, malowniczego nagromadzenia lekko nadgryzionych zębem czasu staroci, gdzie bezcenne dzieło sztuki sąsiaduje z akwarelowym pejzażem Sorrento pędzla twojej prababki.

- I po to musisz dziabnąć nożem ramę obrazu?

- Jeśli zapłacisz, otrzymasz wymuskane wnętrze zapięte na ostatni guzik. Trzeba całych pokoleń rodzinnej historii, by lekko przechodzić do porządku nad dziurą w rogu persy, zasłonami z ciężkiego płótna, które spłowiały, bo wiszą sto lat w tym samym oknie, i lubić nieco poźółkłe tapety w chińskim saloniku, ręcznie malowane przez mistrza z Chin, którego w tym tylko celu w osiemnastym wieku sprowadziła twoja rodzina do domu.

- Ale po co to wszystko?

- Snobizm, kochana Poganko. Nowa tendencja w wystroju wnętrz - shabby chic. Albo jest prawdziwy, albo musisz szukać bardzo zdolnego projektanta wnętrz.

- Nie masz zamiaru przestać pracować?

- Jeśli cieszy mnie to bardziej niż tak zwane przyjemności, to może praca jest przyjemnością?

- Do diabła, nie pytaj. Nienawidzę urządzania mieszkań. Ilekroć wreszcie znajduję coś we właściwym kolorze, okazuje się, że to nie te rozmiary. Zawsze. Sophie chce,

żeby zmienić wystrój jej sypialni. Nie wiem, jak się z tym uporam. Wymyśliła meble z sosny i mosiężne wiktoriańskie łóżko.

- Zajmę się tym - zaofiarowała się Maxine - ale nie będzie żadnej sosny ani mosiądzu, to już jest passe. - Ujęła Pogankę pod ramię. - Pozwól, zaprowadzę cię do twojego pokoju, a potem powiesz mi, skąd ta niespodziewana wizyta. Co to za ważna sprawa, o której nie chciałaś rozmawiać przez telefon i która nie mogła poczekać do naszych wakacji w Cannes?

- Chcę cię prosić o radę, ale najpierw muszę porozmawiać z Charlesem.

- Z Charlesem? O czym na Boga chcesz z nim rozmawiać?

- O polityce, o wschodniej polityce.

Po kolacji Poganka zaciągnęła Charlesa do biblioteki. Wiedziała, że ma kontakty na Bliskim Wschodzie i że zna Abdullaha od czasu ślubu z Maxine.

- Chciałabym porozmawiać o Abdullahu - zaczęła i natychmiast ogarnęło ją zakłopotanie. - Wiesz, Abdi, pierwszy playboy Zachodu.

- Tak widzą go tylko na Zachodzie, Poganko. - Charles grzał swoją brandy w kieliszku. - We własnym kraju i w ościennych państwach Zatoki uważany jest za dzielnego, oddanego przywódcę.

- Podniósł kieliszek do nosa. - Abdi jest najzdolniejszym z mężów stanu Bliskiego Wschodu. Zależy mu bardzo na modernizacji, chociaż ma teraz poważne kłopoty.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Poganka, przyzwyczajona słuchać jednym uchem, gdy Abdullah zaczynał opowiadać o sprawach państwowych, okazała nagle zainteresowanie. Teraz, kiedy byli oddaleni od siebie, wymieniała jego imię niemal w każdej rozmowie, niezależnie od kontekstu.

- Jak wszyscy, którzy przeżywają boom naftowy, oszołomieni nowoczesnością mieszkańcy Sydonii mają zachwiane poczucie tożsamości. - Charles upił łyk Napoleona. - Naprawdę chcesz dowiedzieć się czegoś więcej?

Skinęła głową.

- Fundamentalistyczna partyzantka otrzymuje pomoc od komunistów. Jeśli Abdullah nie opanuje sytuacji, nie tylko straci swój kraj, ale czerwona flaga wkrótce będzie powiewać nad jednym z najbardziej strategicznych punktów w Zatoce.

- Nie miałam pojęcia... Nie zdawałam sobie sprawy...

- Jeśli weźmiemy do tego sytuację w Iranie, władzę ajatollahów, to trzeba liczyć się z tym, że osiemdziesiąt procent światowych zasobów ropy będzie kontrolowane przez muzułmańskich fanatyków posłusznych rozkazom z Moskwy.

- Nic dziwnego, że Abdullah jest taki posępny - mruknęła Poganka.

- Sydonia to miejsce posępne, szalone. Cały obszar Zatoki jest szalony. Robiłem interesy z saudyjskimi książętami, którzy nosili jedwabne koszule, pili whisky i mówili lepiej po angielsku niż ja. A jednak ich matki i żony chodzą w długich, jak kaže tradycja, czarnych sukniach. Pod spodem kryje się najnowsza moda z Paryża i najwspanialsza biżuteria, Dior i Cartier. Kobiety nie pojawiają się w miejscach publicznych; wkładają swoje wspaniałe fatałaszkę, gdy spotykają się same na herbatkach. I tylko do tego się nadają.

- Co masz na myśli? - zapytała zaintrygowana Poganka.

- Ponieważ kobiety były dotąd wykluczane z życia publicznego, większość arabskich księżniczek nie ma poczucia odpowiedzialności społecznej. Nie robią nic, by pomóc biednym w swoich krajach.

- Jak twoim zdaniem powinna się zachowywać arabska księżniczka? - zapytała, starając się nadać swojemu głosowi obojętne brzmienie.

Ach, więc o to chodzi, pomyślał Charles.

Następnego ranka Maxine zaproponowała przechadzkę po parku.

- Chciałabym z tobą porozmawiać sam na sam - zaczęła, gdy szły przez trawnik. - Powiedz, co cię dręczy?

- Maxine - wybuchnęła Poganka - dlaczego mężczyznom tak trudno przychodzi powiedzieć słowo „kocham”?

- Ma chere, oni to mówią, tyle, że innymi słowami. Powiadają: „Nie byłoby mnie tutaj, gdyby było inaczej, nieprawdaż?” albo „Przecież ożeniłem się z tobą, czyż nie?” Poganka milczała.

- Słowa nie mają znaczenia - pocieszała Maxine. - Liczą się gesty. Byle latynoski naciągacz może ci powiedzieć: „kocham”. Sądź mężczyzn według ich postępów, a nie słów.

Poganka milczała, dopóki nie doszły do małej altany. Usiadły pod spatynowanym posagiem Apolla.

- Jak myślisz, co by ludzie powiedzieli, gdybym wyszła za Abdiego? - zapytała jakby mimochodem.

Maxine szarpnęła tak gwałtownie głową, że omal nie zrzuciła z nosa okularów przeciwsłonecznych. A więc Charles miał rację.

- Chcesz powiedzieć, że poprosił cię o rękę?

- Tak, ale nie usłyszał mojej zgody. Dlatego chciałam porozmawiać z tobą.

Pamiętasz, jaki był... za czasów naszej młodości. Dlatego właśnie się nie zgodziłam.

- Dlaczego nie? - Maxine nie wierzyła własnym uszom.

- Gdybym wyszła za niego, musiałabym poślubić jego kraj, jego zacofany lud, jego pola naftowe, jego członkostwo w OPEC, jego komunistyczną partyzantkę i jego uciśnione kobiety. - Poganka przygryzła wargę. - Nie poradzę sobie z tym wszystkim. Śmiertelnie się boję.

- Bzdura! Poradziłaś sobie świetnie z widownią w Theatre Royal. Poradziłaś sobie z chorobą Christophera, zebrałaś tysiące dolarów dla Instytutu Onkologicznego. Masz zdecydowany talent do dawania sobie rady we wszystkim... z wyjątkiem miłości. -

Maxine zdjęła okulary i spojrzała na Pogankę ze zmartwioną miną.

- A jeśli wystawi mnie do wiatru jak poprzednio?

- Tak niewiele kobiet rozumie, że od tego się nie umiera. A poza wszystkim, dlaczego miałby cię rzucić?

- Przejdźmy się - Poganka zerwała się nerwowo.

Szły w milczeniu wzdłuż żywopłotu okalającego rezydencję.

- Zapytałam, czy ma zamiar być mi wierny - wybuchnęła wreszcie. - Ten lajdak powiedział... dał do zrozumienia... Maxi, ten głupi cholernik powiedział: „Nie mogę przysiąc ci wierności, bo nie wiem, czy potrafię jej dochować, po prostu nie wiem”.

Maxine zaczęła się śmiać słysząc, jak Poganka naśladuje pompatyczny głos Abdullaha.

- To przecież bardzo rozsądne, ale wcale nie oznacza, że ma zamiar cię rzucić, wręcz przeciwnie. Jest z tobą bardzo szczery.

Poganka patrzyła na Maxine wyczekująco, jakby chciała wyczytać z jej słów wróżbę na przyszłość.

- Nie wiem, czy duma pozwoli mi przymykać oko na tłum młodych cypaty blondynek. Może w teorii, ale tak... Boję się, że to niemożliwe.

- Duma zawsze stawała pomiędzy wami. Jego porywczą dumą i twoją upartą dumą. Przekonasz się, że jedną z dobrych stron starzenia się jest fakt, że człowiek uczy się zawierać kompromisy, dawać i brać.

- Tak właśnie myślę, patrząc na ciebie i Charlesa. Ty dajesz, a Charles bierze. Doszły do ozdobnej bramy z kutego żelaza, tam zawróciły w stronę domu.

- Charles szanuje moją godność - oświadczyła Maxine. - No... powiedzmy, że nie zawsze. Ma drobne przygody, ale kryje się z nimi i nie chce mnie upokorzyć. Prawie mu się udaje.

- To było twoim celem. Godność i spokojne życie. Jaka jest różnica między twoją godnością a moją dumą Maxine?

- Zdecydowałam się na dziewięćdziesiąt procent tortu zamiast na połowę majątku w alimentach. - Maxine gniewnym ruchem zdjęła okulary.

- Widzisz, jeszcze nie zdążyłam wyjść za mąż, a już rozmawiamy o rozwodzie - zachichotała Poganka. Maxine zaczynała rozumieć, że Abdullah mógł czasami mieć dość jej bezceremonialności.

- Och, Poganko - westchnęła. - Zawsze pragnęłaś Abdullaha. Nie rozumiem, dlaczego tak wzbranasz się wyjść za niego. Przecież od lat go kochasz.

- Być zakochaną i kochać to dwie różne rzeczy! - oświadczyła Poganka. - Nie mogę sobie wyobrazić, że mogłabym go kochać tak jak Christophera. Christopherowi zależało na mnie całej, ufaliśmy sobie wzajemnie, nie musieliśmy ukrywać przed sobą własnych słabości. Czegoś takiego nie zaryzykowałabym chyba wobec Abdiego, a on nigdy nikomu nie zaufa.

Pomiędzy wieżami osiemnastowiecznego zamku świeciło purpurowe słońce.

- A co z tymi wszystkimi wspaniałymi rzeczami, których uczył go hakim, kiedy Abdi miał szesnaście lat? - przypomniała Maxine.

Poganka zawahała się.

- W łóżku jest nam cudownie, lecz Abdi nie angażuje się emocjonalnie. Kairski seksuolog nauczył go wszystkiego, co dotyczy erotyzmu, i ani krzty na temat miłości. Nie chcę związku opartego tylko na seksie. Chcę ciepła i wzajemnej troskliwości.

- Może potrafisz go zmienić? - Wierząc, że to możliwe, Maxine popełniała typowo kobiecy błąd.

- Taka głupia to ja już nie jestem!

- Jeśli jednak poprosił, byś wyszła za niego, a ty nie jesteś pewna, co powinnaś zrobić, dlaczego nie poprosisz o pół roku do namysłu. Zaręczycie się w sekrecie, tak, by nikt się o niczym nie dowiedział. Będiesz miała czas, żeby wszystko rozważyć i oswoić się z nową sytuacją.

W oddali okna zamku połyskiwały odbitym blaskiem słońca. Poganka zmagiała się z myślami. Najbardziej kuszące w propozycji Maxine było to, że mogła odłożyć decyzję na potem.

- Wydaje mi się, że rozwiązałaś problem - powiedziała, spoglądając na rząd fontann przed zamkowym tarasem i tęczowe rozpryski wody.

Rozdział trzynasty

- Sierpień 1979

Kaskady śnieżnobiałych koronek łagodnie zafalowały, gdy Sandy poruszyła biodrami. Zaiskrzyły się na wpół skryte brylanty, niczym gwiazdki na disneyowskim niebie. Skrzyżowała nadgarstki na podołku ściskając w ten sposób i unosząc piersi. Falbany robią swoje, pomyślała, ale wolałaby jednak mieć większy biust.

- Ile ona kosztuje, Ken?

- Nie mówmy o cenie, Sandy. Powiedz tylko, jak ci się podoba. - Pulchna różowa dłoń producenta wygładzała płatki różowej róży w dekolcie jej sukni.

Wiedziała, że kiedy mężczyzna mówi „nie mówmy o cenie”, rzecz musi być naprawdę droga. A jednak plotka głosiła, że Ken lubi „po bożemu” i szybko dochodzi.

- Cóż, jest po prostu piękna - zaszczebotała wcielając się w rolę ślicznotki z Południa. Dziewczyna nie ma co śnić o wygraniu konkursu piękności w sukience uszytej przez matkę, pomimo że regulamin zakazywał wieczorowych toalet droższych niż dwieście dolarów. Dlatego też Ken Sherman wypożyczał swoje suknie dla celów reklamowych, jeśli uznał, że dziewczyna ma szansę w finale, i ma się rozumieć pod warunkiem, że będzie dla niego miła.

- To najpiękniejsza stylowa suknia na świecie. - Sandy uśmiechnęła się swoim najbardziej promiennym uśmiechem. W półmroku opustoszałej salki Ken poprawił różową atlasową szarfę, cofnął się i z uznaniem pokiwał głową. Każda dziewczyna zyskuje w takiej sukni.

- No cóż - powiedział zażywnie - wypijemy koktajl u mnie w domu?

- Będę zaszczycona - odparła Sandy. Im bliżej jesteś szczytu, tym głębiej wpadasz w gówno.

Ściany i podłoga sypialni wyłożone białym futrem, perlowo lśniące lampy Lalique'a o delikatnych kształtach, okrągłe łoże obite białą skórą, na nim Ken rozciągnięty na plecach, z rozłożonymi nogami, i Sandy pochylona nad jego małym, sztywnym kutaskiem. Dziewczęta miały rację co do Kena - nigdy nie dostała żadnej sukni taniej. Nie wiedziała, że to dopiero zaliczka. Ken miał zamiar podbić cenę, tym bardziej że przed jutrzejszym konkursem nie mógł już liczyć na nic więcej.

- Przyjrzyjmy się, jak wyglądasz. - Podłożył jej pod głowę biały zagłówek, rozrzucił długie blond włosy i sięgnął do zamka błyszczącej kombinacji. - Nie musisz się martwić o jutrzejszy konkurs, dziecino. - Ściągnął z niej kombinację. - Trochę muzyki? - Nacisnął kilka guzików na wbudowanej w wezłowie łóżka konsolce, jakby żywcem wyjętej z kabiny pilotów Boeinga 747. Dolly Parton zaczęła zawodzić Stand By Your Man, ruszyła zdalnie sterowana kamera wideo, Ken mruknął:

- Łysa tam jesteś jak niemowlę. - I przewrócił ją na plecy.

Za kogo on chce robić z tym swoim lustrzanym sufitem, myślała Sandy, gdy spuszczał się jej na piersi. Posłusznie roztarła białe, przezroczyste krople wokół sutek. Nic dziwnego, że ma łóżko obite łatwą do czyszczenia skórą.

- Słoneczko, wspaniały jesteś - szepnęła wsuwając palec w różowe, gazowe majteczki. Uniosła biodra w górę i pociągnęła za gumkę. Różowa gaza pofrunęła na podłogę.

Przez pół godziny Sandy była ugniatana, pchana, wyginana, układana w setki najróżniejszych figur. Taśma wideo musiała się już skończyć, bo Ken ścisnął jej piersi, błądził gdzieś wokół jej waginy, nie mógł trafić, spuścił się na zewnątrz, wszedł wreszcie, posunął dokładnie obliczone dziesięć razy, stęknął, obrócił się i sięgnął po papierosa.

- Co się stało z twoją kępką, skarbie?

- Elektroliza. Bolało jak diabli. Gorsze niż borowanie zębów. Powinni to robić pod znieczuleniem.

- Ubiliśmy, znaczy się, interes?

- Jaki interes?

- Jeśli zostaniesz jutro Miss International, będziesz potrzebowała sukien po trzy tysiące za sztukę. - Zgasił papierosa we wbudowanej w łóżko popielnicze. -

Dostaniesz je ode mnie za dziesięć procent wartości. I nie próbuj się targować, to przyzwoita cena.

- Co zechcesz, skarbie. Ja nie mam głowy do interesów.

- W tym interesie głowa ci niepotrzebna - uśmiechnął się chytrze Ken.

Sandy zsunęła się z łóżka z uśmiechem.

- Skarbie, muszę wziąć prysznic i iść do domu, wypać się i być piękną.

Pod prysznicem ułożyła sobie plan. Kiedy Ken pójdzie się umyć, wskoczy na łóżko i poszuka za lustrzanymi taflami ukrytej kamery. W tym interesie zdecydowanie potrzebna jest głowa. Choćby w zeszłym roku: kalifornijska Królowa Cytrusów musiała zrezygnować, kiedy jej chłopak wysłał do świerszczyka zdjęcia, do których pozowała z rozłożonymi nogami.

Z okazji konkursu Clarence Plaza Hotel w Miami przeżywał najazd kobiet różnego wieku i wszelakiej postury. Niczym wyrosnięte dzieci ze swoimi lalkami Barbie, zażywe, korpulentne, traktujące całkiem profesjonalnie własne macierzyństwo damy nie spuszczały oka z ciągle jeszcze szczupłutkich córek, całkiem profesjonalnie traktujących swoje dziewictwo. Taka dziewczyna, zdrowa jak jogurt truskawkowy, potrafiła być twarda niczym kapral piechoty, ale regulamin wymagał, by każdej towarzyszyła opiekunka. Postać mamy wydatnie pomagała stworzyć atmosferę pachnącego mydłem i domową szarlotką ładu życiowego. Zgodnie z milczącą niepisaną umową taki właśnie obraz należało kreować. Konkurentki do tytułu, choćby były zazdrosne, zdesperowane, cyniczne, wściekłe, na zewnątrz obnosiły pogodne oblicze i słodki uśmiech. Miłość, przyjaźń, zgoda - taki musiał być mit. Matka Sandy w brzoskwiniowym spodniem ze sztucznego włókna siedziała na tarasie nad basenem kąpielowym. Ostentacyjnie przyszywała różową różę do ekstrawaganckiej toalety Kena Shermana. Za suknie szyte w domu jury przyznawało kilka dodatkowych punktów. Obok opalała się Sandy w kostiumie o

kroju identycznym jak w stroju konkursowym; rzecz w tym, żeby na scenie nie pokazać białego ciała. Była pewna miejsca w pierwszej trójce i prawie pewna tytułu. Podobnie inne dziewczęta. Wyciągnięta na łóżku plażowym Miss Kanady uniosła się na łokciu i zagadnęła słodko:

- Zobaczmy dzisiaj, jak posługujesz się tymi kluczami, Sandy? Sandy błyskawicznie wydobyla z torby niklowane klucze francuskie.

- Ależ nigdzie się bez nich nie ruszam, kochanie. Dobry temat do konwersacji, dobra broń. Użyję ich w dziale talentów.

- Jak na to wpadłaś? - dziwiła się Miss Kanady. Niedobrze się jej robiło na widok piegowatej Sandy, która z dziewczym uśmiechem w konkursie za konkursem błyskała kluczami ku zaskoczeniu tłumów.

- To łatwe, jeśli ma się osobowość. - Sandy pozwoliła sobie na chwilę próżności. Schowała klucze z powrotem do torby i sięgnęła po olejek do opalania. Obydwie wiedziały, że osobowość to najlepszy chwyt. To się podobało jurorom, zwykle szukającym dziewczyny, która potrafiłaby otworzyć usta w talk-show albo w czasie jakiegoś uroczystego otwarcia. Osobowość oznaczała, że dało się określić przyjętą rolę w trzech słowach, w przypadku Sandy była to CÓRKA HYDRAULIKA Z POŁUDNIA.

- Sandy zawsze miała osobowość. - Matka odgryzła nitkę i uniosła delikatną jak morska piana suknię, by się jej lepiej przyjrzeć. - I chwalić Boga, bo jak zaczyna śpiewać, to szyby pękają, a za jej taniec nikt by złamanego centa nie dał. Jedyne, w czym zawsze była dobra, to parady uliczne z pałeczkami. - Z dumą musnęła raz jeszcze atlasową różę. - Sandy, skarbie, suknia skończona.

- To najwspanialsza suknia, jaką kiedykolwiek widziałam - zachwyciła się Miss Kanady, siadając i spoglądając z podziwem na delikatne koronki. - Aż trudno uwierzyć, że kosztowała tylko dwieście dolarów, skarbie.

Sandy wkroczyła na scenę w za dużym dżinsowym kombinezonie: w kieszonce nakrapiana biało-czerwona chusteczka, w dłoniach klucze; tchnąca zdrowiem i świeżością. Zaczęła żonglować kluczami jak pałeczkami, kręconym ruchem wyrzucała je w górę i chwytowała z popisową lekkością. Tempo muzyki spowolniało, Sandy przetarła czoło chusteczką, strzepnęła i wydobyla z niej pęk kwiatów. Po tej sztuczce muzyka znowu stała się szybsza, a Sandy dobyła trzy wielkie metalowe uszczelki z tylnej kieszeni spranego drelichu i zaczęła nimi żonglować przy narastającym aplauzie publiczności. Pieprzę cię, Panno Kanada, pomyślała. Następnego wieczoru zakropiła oczy niebieskimi kroplami, by nadać im blasku, umyła zęby czerwoną pastą by nabrały olśniewającej bieli, poprawiła make-up na plecach i oceniła efekt w lustrze.

Doskonale.

Zanim włożyła białą kreację Kena Shermana, wbiła się w biały atlasowy gorsecik i halkę na obręczach.

- Pomóż mi, skarbie - mruknęła do Miss Kanady, zajętej przyklepaniem lewej rzęsy. Ostrożnie wciągnęła koronkowe arcydzieło Kena. Miss Kanady spróbowała zaciągnąć zamek błyskawiczny, zawahała się.

- Zamek jest chyba popsuty!

Sandy natychmiast zwietrzyła nieszczęście. Chwyliła ręczne lusterko z toaletki i wykręciła się, próbując obejrzeć tył sukni. Ktoś naciął wszycie w kilkunastu miejscach. Kiedy spróbowała pociągnąć, zamek odpruł się do końca. Miała ochotę rzucić od serca: „pierdolone gówno”, ale zmęła przekleństwo w ustach i wyrecytowała jak automat:

- Zamki-niespodzianki.

Używanie języka, który nie przystoi damom, oznaczało natychmiastową dyskwalifikację w konkursie.

Niech to wszyscy diabli, mówiła przecież mamie, żeby nie spuszczała oka z jej sukni. Zaczęła piskliwie wzywać kogoś z organizatorów. Nieraz już najpiękniejsza suknia w konkursie ucierpiała od żyletki. Ile to roboty.

- W porządku, wychodzisz jako jedna z ostatnich. - Organizator wieczoru ocenił sytuację w ułamku sekundy.

- Mamo, sprowadź natychmiast hotelowego technika. Niech przyniesie ze sobą narzędzia - poleciła Sandy.

Kiedy w garderobie pojawił się ubawiony hotelowy „złota rączka”, Sandy niemal wyrwała mu z rąk skrzynkę z narzędziami. Znalazła wodoszczelną taśmę samoprzylepną której zwykle używa się do tymczasowego uszczelniania pękniętych rur, szeroką i klejącą z obydwu stron. Oddawszy zgrabnie pół jarda, kazała sobie przyklepić taśmę do pleców. Matka bez słowa rozłożyła jakiś materiał na podłodze, po czym pomogła Sandy włożyć suknię. Przytrzymując białe falbany przy dekolcie, Sandy ostrożnie ułożyła się na rozciągniętym na podłodze płótnie. Teraz pozostało tylko mocno ściągnąć suknię na plecach; matka przytrzymała brzegi rozcięcia, Miss Kanady delikatnie przeszła po kręgosłupie Sandy, po czym obydwie pomogły jej wstać.

- Dzięki. Muszę uważać przy oddychaniu. Szczęście w nieszczęściu, że wylosowałam ostami numer - powiedziała dziękując w duszy Bogu, że naprawdę jest córką hydraulika; przy tym ostatnia dziewczyna miała zawsze większe szanse wyrzucić wrażenie na sędziach.

Ze swoich miejsc za stołem sędziowskim Judy i Lili obserwowały dziewczęta paradujące sztywno na wybiegu. Przed publicznością i obiektywami kamer sunął nie kończący się wąż kandydatek - uśmiechniętych, o brzoskwiniowej cerze i ciałach w kolorze masła orzechowego.

- Nie rozumiem, jak można było wybrać Miami w sierpniu - mruknęła Lili do Judy.

- Polityka, polityka - odmruknęła Judy, która przyleciała na konkurs prosto z Europy. Obydwie postanowiły, że nie zostaną tutaj ani sekundy dłużej, niż trzeba. Ilekroć opuszczały wnętrza pretensjonalnie wytwornego hotelu, zanurzały się wilgotny tropikalny żar; sprawiał on, że po sekundzie były już złane potem, z którym uchodziła z nich cała energia.

Dopiero w czasie finałowej parady publiczność mogła usłyszeć, co mają do powiedzenia ubrane w wieczorowe kreacje kandydatki i ocenić, czy posiadają „osobowość”. Innymi słowy czy dziewczyna potrafi sklecić kilka zdań z sensem i nie zblamować się przed kamerą w czasie jakiegoś talk-show.

Gdy na szerokich scenicznych schodach pojawiła się Sandy w mgiełce koronek, spowita jakby w pianę morską, która zaraz spłynie do stóp odsłaniając całe ciało, spocone kobiety na widowni wstrzymały oddech.

- Powiedz nam coś o sobie - zaczął ubrany w biały smoking gospodarz wieczoru, podsuwając dziewczynie mikrofon.

- Studiuję na wydziale humanistycznym, chcę zostać nauczycielką. Kocham dzieci. - Sandy posłała sędziom swój najbardziej promienny uśmiech. Tu chwila przerwy, oceniła.

- Masz piękną suknię - ciągnął prowadzący, podtykając jej mikrofon pod nos.

- Szyję zazwyczaj wszystko sama - zwierzyła się Sandy, pilnując, by odpowiedzi były krótkie - ale tym razem pomagała mi mama.

- Posłała pocałunek siedzącej na widowni matce.

- A co robisz w czasie wolnym, Sandy?

- Lubię narty wodne, taniec, uczę się też na wieczorowym kursie inżynierii domowej.

- Inżynierii domowej? - Prowadzący zerknął ukradkiem do swojego notesiku. - A cóż to takiego, Sandy?

- Inaczej mówiąc, kurs dla hydraulików. - Sandy uśmiechnęła się ponownie. - Mój tato jest hydraulikiem, wiele się od niego nauczyłam. Kiedy wyjdę za mąż, sama będę potrafiła zreperować pralkę.

Burza oklasków.

- Mogę zapytać, czy jesteś kimś zainteresowana?

- Pyta pan, czy mam chłopaka? - Sandy przysunęła się bliżej mikrofonu, wiedząc, że przydech w głosie dodaje zmysłowości. - Nie, nie mam. Otwiera się teraz przede mną tyle możliwości, chciałabym je wykorzystać jak najlepiej.

- A teraz, Sandy, ostatnie pytanie. Powiedz nam, co napawa cię największą dumą w naszym kraju.

Królowe piękności miały z góry przygotowane odpowiedzi, ale w słowach Sandy zabrzmiał spontaniczny entuzjazm:

- To, że Ameryka jest naprawdę piękna, naprawdę otwarta i naprawdę wolna.

Wierzę, że daje każdemu szansę, a ja jestem tego żywym przykładem. Moja mama była szwedzką tancerką, tata pochodzi z Irlandii. Gdyby nie Ameryka, nigdy by się nie spotkali.

- Sandy odwróciła się do kamery i pomachała w stronę obiektywu.

- Hej, mamó, hej, tato, jestem szczęśliwa, że wybraliście Amerykę! Widownia nagrodziła ostatnie słowa huraganową owacją. Ludzie bili brawo na stojąco, ukradkiem ocierając łzy w kącikach oczu. Sandy w myślach oceniała swoje szanse.

Delikatna Sudanka o migdałowych oczach, jak zwykle dziewczęta z Trzeciego Świata, podbiła serca publiczności. Kandydatka ze Sri Lanki zrobiła furorę, pojawiając się w stroju narodowym z błękitnego jedwabiu i bransoletach pobrządkujących wokół kostek. Czemu jednak na Boga zakwalifikowali także Miss Kanady, zastanawiała się, gdy dziesiątka zdenerwowanych dziewcząt zbiegała po schodach na zapleczu sceny. Według jej rozeznania nigdy nie wybierano równocześnie Kanady i Stanów Zjednoczonych; obecność reprezentantek dwóch sąsiednich krajów w finale uznawano z założenia za wysoce niedyplomatyczne. Może

chodzi o jakieś zakulisowe rozgrywki, może ktoś tutaj splanować w ten sposób komuś tam jakieś zobowiązania, stwierdziła, unosząc lekko sukienkę i stając pośród plataniny kabli.

Na scenie pojawiła się grupa baletowa w obsypanych cekinami szyfonach. Sędziowie zamknęli się w małej salce, by ustalić werdykt. Judy odpięła tkwiącą dotąd w klapie jedwabnego kostiumu sfatygo-wanajuż orchideę. Musiała wybrać spośród trzech białych dziewcząt, trzech Latynosek, trzech czarnych i jednej z Dalekiego Wschodu. To, że w finale pojawi się podobna mieszanka barw, było do przewidzenia jak wielość kolorów w deserze lodowym.

- Jestem za Sudanką - odezwał się jako pierwszy fotograf o międzynarodowej sławie.
- Jest niezwykle fotogeniczna, ma niesamowitą twarz, z nikim nie związana - oświadczył stanowczo.

- Sudan nie przedstawia dla nas zbyt wielkiej wartości - przerwał mu przedstawiciel Mirabelle, chcąc tym samym powiedzieć, że ich kosmetyki nie były projektowane dla czarnoskórych dziewcząt. - Głosuję za Stanami Zjednoczonymi, świetnie obyta z mikrofonem.

- A Sri Lanka? - zapytała Lili. Kilkoro z sędziów pokręciło głowami.

- Nie poradzi sobie w czasie talk-show.

- Ja wybieram Włoszkę - oświadczył agent z Hollywood.

- Trochę za stara, jak dla nas. - W ustach przedstawiciela Mirabelle oznaczało to, że skóra dwudziestotrzyletniej dziewczyny nie ma już tej dziecięcej świeżości, która tak dobrze wychodzi na precyzyjnych zdjęciach reklamowych kosmetyków. -

Amerykanka ma akurat taką buzię, jaką chcielibyśmy promować w przyszłym roku. Dyskusja trwała jeszcze dwadzieścia minut, wreszcie sędziowie zapisali swoje głosy na kartkach i wrzucili do koszyka.

- Drugą wicemiss została Włoszka, pierwszą przedstawicielką Sudanu, pierwsze miejsce przypadło Stanom Zjednoczonym - mówił z satysfakcją prowadzący.

Przy dźwiękach fanfar ogłoszono, że Miss International na rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty dziewiąty została panna Sandy Bayriver z Luizjany. Sandy zrobiła stosowną do okoliczności zaskoczoną i zachwyconą minę, uroniła wymaginowaną łzę i dała się poprowadzić gospodarzowi wieczoru do tronu zwyciężczyni. A niech to, pomyślała, czując na głowie ciężar korony.

Podpisała hotelowy rachunek opiewający na dwie szklanki soku ze świeżych cytryn i przewróciwszy się na żółtym plażowym łóżku wystawiła plecy do słońca Florydy. Lili wsypała dwie torebki cukru do swojego soku; lubiła słodkie rzeczy, Judy wołała kwaśne i gorzkie. Zamawiając sok cytrynowy obydwie były zadowolone. Po raz pierwszy od dziesięciu miesięcy po raz pierwszy znalazły coś wspólnego.

- Co za upał. Idę się wykapać. - Lili zerwała się z łóżka plażowego i pobiegła w stronę błękitnego morza.

Pomiędzy łózkami plażowymi Judy dojrzała rzuconą przez Lili małą czerwoną torebkę z węzowej skóry. Zawartość wysypała się na ziemię. Judy pochyliła się, odgarnęła piasek z błyszcząca do ust, chusteczek, nie napisanych pocztówek. Wzięła

do ręki lotniczą kopertę i zamarła: znaczek z Nikaragui, znajomy charakter pisma Marka, jego nazwisko na odwrocie.

List był nie rozpieczętowany, ale kiepsko zaklejony. Nie mogła się powstrzymać. Zaczęła otwierać kopertę, czując się przy tym jak przestępca. Zajrzała do środka, odczytała słowa „kocham”, „bezradny” i usłyszała głos Lili za plecami. Szybko wepchnęła kopertę do torebki.

- To nie do zniesienia. Człowiek myśli, że zostawią go w spokoju, kiedy wokół tyle pięknych dziewcząt. Idę odpocząć w chłodzie. - Lili sięgnęła po torebkę, włożyła na nos okulary przeciwsłoneczne i ruszyła w stronę hotelu.

Judy położyła się na brzuchu. Ukryła twarz w ręczniku, próbując powstrzymać cisnące się do oczu łzy.

Dzięki Bogu, że to tylko trzystumilowy wyścig, pomyślała Lili. Ostre słońce Riwiery odbite od pomalowanych na biało band raziło oczy nieznośnym blaskiem.

Upał był niemal tak dokuczliwy jak w zeszłym tygodniu w Miami.

Jedyna różnica między torem Paula Ricarda i brytyjskimi trasami zdawała się polegać na tym, że główna trybuna obsadzona była zakurzonymi oleandrami. Poza tym francuscy widzowie byli może odrobinę lepiej ubrani niż angielscy, a na parkingu zamiast pustych puszek po piwie poniewierały się butelki po winie. Poza tym, tak jak w Anglii, w budkach z pamiątkami można było kupić te same obrzydliwe czapeczki ze znakiem firmowym BMW, watowane kurtki z napisem Ferrari i podkoszulki z nadrukiem Lancii, startowali ci sami zawodnicy na tych samych maszynach, dokładnie w takim samym huku i smrodzie. Inne były tylko reklamy: Michelin zamiast Dunlopa, Elf w miejsce Mobilu.

Lili smętnie zapatrzyła się w zalane purpurowym światłem zarysy wzgórz na widnokręgu; wołałaby być teraz gdzieś w cienistym ustroniu sosnowego lasu, zamiast piec się w słońcu na śmierdzącym torze wyścigowym.

Śmignął właśnie niski czarny Spear, sunący po nawierzchni niczym jakiś wielki, groźny owad. Spojrzała na stoper. Dwie sekundy mniej niż najlepszy czas treningowy. Przy odrobinie szczęścia zdążą się jeszcze wykapać przed obiadem.

- W połowie trzystumilowej trasy prowadzi Werner Hentzen na Porsche'u - brzęczał komentator. - Za nim Dinetti, dalej Gautier na Lancii... Spear właśnie wyprzedził Lancię i mknie dalej do przodu...

Lili ziewnęła, włożyła stopery do uszu i ze skórzanej torby myśliwskiej wyciągnęła skrypt swojego najnowszego filmu, który dostała dzisiaj z wytwórni Omnium Pictures. Miała grać Helenę Trojańską. Po ostatniej roli Mistinguette była w znakomitej formie do zagrania w następnym musicalu.

Z torby wypadła niebieska koperta lotnicza. Lili westchnęła. Wetknęła ją tutaj dzisiejszego ranka, ukrywając przed Greggiem. Mark znał tajny kod, posługiwał się nim dla odróżnienia prywatnej poczty od tej, którą przysyłali wielbicieli. Jego listy zawsze docierały wprost do jej rąk, a ona niezmiennie wyrzucała je bez czytania. Tyle przynajmniej mogę zrobić, pomyślała ze smutkiem, drąc jasnoniebieską kopertę na wąskie paski, po czym wróciła do skryptu.

Kiedy Agamemnon rozbijał swój namiot pod murami Troi, Spear zaczął mijać Porsche'a; wychodził na prowadzenie.

- ...jeszcze tylko trzy okrążenia - krzyczał komentator. - Spear siedzi na ogonie maszyny Wernera Hentzena, pasjonujący pojedynek...

Gdy Parys zaczynał właśnie żałować, że nie dał posłuchu przepowiedniom Kasandry, komentator wykrzykiwał w uniesieniu:

- Spear zrównał się z Porsche'em... Eagleton wychodzi na prowadzenie! Ostatnie okrążenie, Spear będzie pierwszy...

Odizolowana od hałasu Lili nie wiedziała, że Gregg prowadzi, nie dowiedziała się też, śledząc triumf Hektora, że Spear stracił prowadzenie.

Dopiero kiedy widzowie zaczęli wstawać i podskakiwać na swoich miejscach, oderwała się od sceny wprowadzania do Troi potężnego drewnianego konia z ukrytymi we wnętrzu żołnierzami. Wyjęła stopery z uszu.

- ...Spear wyprzedza Porsche'a po wewnętrznej - zanosił się podekscytowany komentator... są już na ostatniej prostej... pędzą do mety... Tak, proszę państwa, SPEAR PIERWSZY... Gregg Eagleton zwycięży!

Gregg, wyciągnięty z samochodu przy akompaniamencie strzelających korków od szampana, w wieńcu laurowym, obcałowany przez pół tuzina dziewcząt reklamujących nowy koktajl, podniósł ręce, pokazując w triumfalnym geście srebrny puchar zwycięzcy. Jeszcze jeden łyk szampana, jeszcze tylko zdjęcia z Lili w otoczeniu wielbicieli.

Ustawili się do ostatniej fotki i poszli w stronę parkingu, gdzie mechanicy wprowadzali już pokrytego czerwonym pyłem Speara do przyczepy. Gregg przebrał się i wziął prysznic w małej kabinie za miejscem dla kierowcy. Mechanicy wrócili na stanowisko, by zabrać narzędzia. Lili siedziała na brzegu przyczepy machając nogami i czekając na Gregga.

Pojawił się po kilku minutach z mokrymi jeszcze włosami.

- Daj mu odpocząć - zawołała podrywając się z miejsca. Wiedziała, że Gregg nie wytrzyma, musi zajrzeć do silnika, sprawdzić, dotknąć. Nie zauważyła błysku w jego oczach, gdy zamykał drzwi przyczepy.

- Gregg, nie wyglupiaj się! Strasznie tu ciemno - rozgniewana Lili szukając na oślep drogi wpadła w jego ramiona. Pocałował ją mocno i pociągnął na kanapkę nad siedzeniem kierowcy.

- Przestań, Gregg. Tak tu duszno!

- Nie mogę przestać. Chcę cię. - Całując ją zaczął zdejmować z niej suknię, pod którą nic nie miała. Zazwyczaj nie znosiła smrodu benzyny i oleju, ale teraz wydał jej się podniecający. Poczula spocone ciało Gregga i zalała ją gorąca fala rozkoszy.

- Co w ciebie wstąpiło? - mruknęła.

- Wygrana. To naprawdę punkt zwrotny - odparł.

Jaki wspaniały widok! - Poganka wskoczyła na parapet muru okalającego dachy zamku Abdullaha i wyciągnęła ramiona w stronę wzgórz Riwiery. Wiatr targał jej suknię z czerwonego lnu.

- Cieszysz się, że przyjechałaś? - zwróciła się do Maxine. - Kto by pomyślał, wtedy w Gstaad, że nasza przyjaźń przetrwa tak długo.

- Może byłoby inaczej, gdybyśmy mieszkały blisko i zaglądały sobie do garnków, a tak nie wymagamy od siebie tego, czego jedna drugiej nie byłaby w stanie dać.

- Może sekret przyjaźni polega na tym, żeby się za bardzo nie spoufalać.

Zacęły schodzić powoli po wspaniałych schodach, zawieszonych bogatymi gobelinami i mauretańskimi zbrojami. Niestety, pomyślała Maxine, gobeliny to dziewiętnastowieczne imitacje, pozbawione delikatnej kolorystyki i wdzięku nadgryzionych zębem czasu oryginałów.

Pogance przemknęło przez głowę, co też powiedziałyby służba, gdyby zobaczyła ją zjeżdżającą po poręczy.

- Łatwo było przyjaźnić się w szkole - stwierdziła. - Wtedy wszystko nas łączyło, żyliśmy podobnie. Później nasze drogi rozeszły się, niektóre z nich opatrzone są napisem „Zakaz wstępu”. - Uniosła przyłbicę średniowiecznego hełmu i krzyknęła: - Hej!

- Nie wiem, skąd Abdi wytrzasnął projektanta wewnątrz - powiedziała Maxine. -

Wszystko ocieka złotem, od poręczy po kontakty, a meble na tych nogach w kształcie łap robią wrażenie, jakby za chwilę miały zacząć chodzić.

- Wiedziałam, że będziesz kręcić nosem - oświadczyła Poganka, gdy przechodziły koło malachitowego stołu o krawędziach ze złoczonego brązu i wspartego na dwóch tłustych cherubinkach. Zobaczysz jeszcze gorsze rzeczy.

Maxine bez słowa szła za przyjaciółką przez salon w stronę tarasu.

Abdullah siedział nad basenem. Postarzał się bardzo, pomyślała Maxine. Czarna czupryna przysypana siwizną, głębokie bruzdy na czole.

Tego wieczoru na tarasie Abdullah przytulił Pogankę i pocałował. Czula słodki lawendowy zapach bugenwilli, staromodnej wody kolońskiej, której używał, lekką woń tureckich papierosów i krochmalonej koszuli.

- Zdecydowałaś się?

- Potrzebuję czasu, by oswoić się z tą myślą - odparła nerwowo. - Martwię się. Jeśli się nam nie uda, będzie to problem nie tylko dla ciebie i dla mnie, ale także dla twojego kraju. Zastanawiałam się... co byś powiedział... na półroczne sekretne zaręczyny?

Puścił ją tak gwałtownie, że omal nie straciła równowagi.

- Sekretne? Wstydzisz się mnie?

Uczucie szczęścia ulotniło się raptownie. Poczula niemiły ucisk w żołądku.

- Nie, Abdi, boję się przyszłości.

- Nie możesz w życiu kierować się strachem. Kto nie ryzykuje, nie wygrywa. - W głosie Abdullaha zabrzmiał gniew. - Przykro mi, Poganko, ale w ten sposób do niczego nie dojdziemy.

- Muszę mieć pewność. - Uderzyła pięścią w udo.

- Nigdy nie będziesz miała pewności. - W jego głosie dało się słyszeć smutek i znużenie. - Poganko, życie to nieustanne ryzyko. Albo otworzysz prowadzące doń drzwi, albo na zawsze zostaniesz w zagonie kapusty.

- Prosisz o bardzo wiele, Abdi, o całe moje życie.

- Tak, proszę o wiele i wiele mam do zaofiarowania. Przykro mi, że nie chcesz tego przyjąć. - Odwrócił się i wyszedł, zostawiając ją samą na tarasie.

Rozdział czternasty

1 września 1979

Courtis Halifax pokazał swojemu adwokatowi telegram. Harry nie okazał się tak surowy, jak się obawiał. Chociaż adwokaci mają zwyczaj wyciągania na światło dzienne najgorszych rodzinnych tajemnic, wysłuchał bez mrugnienia okiem długo ukrywanego sekretu. Curtis z ulgą oparł się o zapiecek fotela. Wreszcie komuś powiedział.

- „Kochany tato, jeśli nie zapłacisz im dziesięciu milionów w ciągu dwóch tygodni, zabiją mnie. Przekazanie pieniędzy w Istambule. Dalsze wskazówki zostaną przesłane mamie do hotelu. Całuję, Lili” - czytał Harry unosząc brwi. - Curtis, ten telegram brzmi jak tekst z jakiegoś filmu Andy'ego Hardy'ego. Pewien jesteś, że to nie głupi kawał?

- Nie, rozmawiałem już z jej matką.

- To ta gwiazda filmowa Lili? Curtis przytaknął.

- Pewien jesteś... nie masz wątpliwości, że ty jesteś jej ojcem?

- Najmniejszych, Harry. Wiedziałem od samego początku. Mieszkała z przybranymi rodzicami w Szwajcarii. Mnie i jej matce powiedziano, że umarła mając sześć lat. Harry sączył powoli whisky z wodą. Trudno się dziwić, że bezdzietny w małżeństwie Curtis był dumny ze swojego ojcostwa. Halifaxowie należeli jednak do filadelfijskiej elity, ponadto taka wiadomość mogła być fatalna w skutkach dla Debrzy.

- Curtis, jesteś pewien, że chcesz się w to aż tak angażować? Naprawdę masz zamiar polecieć do Istambułu? Co powiesz Debrze?

- To żaden problem. Często wyjeżdżam do Europy w interesach.

Debra nie będzie miała nic przeciwko mojej podróży, bylebym tylko wrócił na Dzień Dziękczynienia. Harry spojrział na wiszące w gabinecie portrety ojca i dziadka Curtisa.

- Radziłbym ci zastanowić się nad tym, co jeszcze może wyjść na światło dzienne, i rozważyć dokładnie sprawę twojego ojcostwa.

Curtis wiedział, że Harry robi aluzję do kredytów udzielanych przez jego bank kompaniom Judy Jordan.

- To stare dzieje, nie lepiej o wszystkim zapomnieć? - mówił dalej adwokat.

- Może, ale mam wyrzuty sumienia wobec jej matki. Nie powinienem był tak jej potraktować. - Curtis nachylił się przez biurko i sięgnął po telegram. - To proste. Byłem wychowywany na odpowiedzialnego człowieka i nie mam zamiaru zrzekać się odpowiedzialności wobec własnej córki, skoro znalazła się w niebezpieczeństwie.

- Powiadasz przecież, że nigdy jej nie widziałeś!

- Chciałem ją poznać. - Curtis przypomniał sobie zeszłoroczne październikowe spotkanie z Judy w dyskretnym półmroku nowojorskiej restauracji. Ze złością wydobyl wtedy egzemplarz „New York Timesa” z artykułem o poszukiwaniach Lili próbującej odnaleźć matkę. Napadł na Judy za to, że nie powiedziała córce o nim i

wymyśliła jakąś historię o ojcu żołnierzu, który zginął. Judy mruknęła na usprawiedliwienie, że zrobiła to, by chronić małżeństwo Curtisa. Jak by się czuła Debra, gdyby dowiedziała się o jego nieślubnym dziecku? Jak pogodzić jej pozycję towarzyską w Filadelfii z posiadaniem w rodzinie gwiazdki, która zaczynała karierę w filmach pornograficznych? Jak konfrontacja z piękną pasierbicą wpłynęłaby na samopoczucie starzejącej się kobiety, która gdyby nie zagłodziła się niemal na śmierć, gotowa była bez przerwy poddawać się operacjom plastycznym?

- Musisz chronić Debrę. Zostaw Lili samej sobie. Judy jak zwykle subtelnie grała na jego poczuciu winy. Curtis zawahał się.

- Ależ ona jest moją...

- W końcu przecież zostawiłeś mnie, prawda? - przerwała mu Judy. - Dokonałeś wyboru dwadzieścia lat temu. Nie wiedziałeś, żeniąc się z Debrą że wybierasz samotność, ale ja wiedziałam, że z twojego wyboru zostanę sama.

Adwokat popatrzył na oprawione w srebrną ramkę zdjęcie na biurku.

- Wiesz, co może stać się z Debrą, jeśli cokolwiek do niej dotrze - powiedział, jakby czytał w myślach swojego klienta.

- Posłuchaj, Harry, poprosiłem, żebyś tu wpadł i powiedział, jaka jest moja sytuacja prawna, a nie po to, żebyś udzielał mi porad małżeńskich. - Curtis przypominał w tej chwili do złudzenia swojego dziadka z portretu.

- Curtis, jeśli przyznasz się do ojcostwa, narazisz się na... Przerwał mu niecierpliwie:

- Słyszę, co mówisz, ale podjąłem już decyzję. Przejdźmy może do konkretów. Jak mogę uzyskać te pieniądze?

- Nawet jeśli uda się nam zebrać taką sumę w tak krótkim czasie, nie możesz zapłacić okupu porywaczom. Nasze prawo tego nie akceptuje. Wywożąc pieniądze z kraju, dopuścisz się wykroczenia.

- Ile moglibyśmy zebrać na Bahamach, Harry? - Curtis znowu przypominał swojego dziadka. - Są nieruchomości w Rio, poza tym jest jeszcze Tokio. Dość tam mamy zabezpieczonej gotówki. Nie powiesz mi, że nie możemy wyciągnąć głównianych dziesięciu milionów poza granicami kraju!

- Radzę ci zostawić całą tę historię. Lili i jej matka mają swoje wpływy, wpływowych przyjaciół. Zanim dotrzesz do Istambułu, może się okazać, że turecka policja już ją znalazła.

- Oby było, jak mówisz, ale jeśli się mylisz? Wyjmij pieniądze z brazylijskich dzierżaw i zrób transfer do Istambułu. Mów, co chcesz, ja i tak polecę tam dzisiaj wieczorem. Nie mogę do cholery siedzieć z założonymi rękoma za tym pieprzonym biurkiem, gdy moja córka jest w niebezpieczeństwie.

Przez dwadzieścia lat znajomości Harry nie słyszał żadnego przekleństwa z ust Curtisa.

- W porządku, Curtis. - Adwokat wstał. - Działaj jednak w granicach prawa. Nie chcę być twoim obrońcą.

2 września 1979

Przestań rzucać talerzami, Maggie. Wszystko ci wyjaśnię. - Angelface Harris schował się za drzwi kuchennej szafki, unikając lecących w jego stronę kosztownych naczyń.

- Dość mam twoich cholernych kłamstw - wrzasnęła Maggie, chwytając włoską wazę z czarnego kuchennego blatu i rzucając nią w męża. U jego stóp piętrzyła się już sterta skorup, czarne półki zaczynały świecić pustkami.

- Kłamałeś przez całe nasze małżeństwo. Mam ci teraz uwierzyć?

- Czerwony półmisek na pieczyście powędrował w ślad za żółtą wazą

- Po jakiego diabła szperasz mi po kieszeniach?

- Szukałam tylko trawki. Inaczej nie natrafiłabym na ten telegram.

- Maggie posłała w jego stronę imbryk Carol McNicholl. - „Kochany tato, jeśli nie zapłacisz im dziesięciu milionów w ciągu dwóch tygodni, zabiją mnie”. - Maggie sięgnęła po szybkowar, po czym zmieniła zdanie i chwyciła ekspres do kawy. - Nie polecisz do Istambułu, Angelface, i nie pošlesz żadnych pieniędzy tej pieprzonej porno-królowej.

- Mówiłem ci już, że nie mam pojęcia, o co tu chodzi.

- Skąd masz dziesięć milionów? - wrzeszczała Maggie. - Gdybym wiedziała, nigdy nie podpisałabym intercyzy. - Maggie wytlukła już wszystko, co mogła unieść. Półki kuchenne opustoszały.

- Bądź rozsądna! - Angelface wyjrzał zza drzwi. - Ma się rozumieć, że nie mam dziesięciu milionów, a z tego, co mam, nie oddam ani centa.

Maggie z wysiłkiem dźwignęła szybkowar, który wylądował na drzwiach, porysował farbę i rozpadł się na części.

Widząc, że wyczerpała już cały zapas amunicji, Angelface ostrożnie wynurzył się zza drzwi.

- Nie mam zamiaru płacić okupu za Lili, lecieć do Turcji czy wdawać się w kłopoty z pieprzoną turecką policją. - Przeszedł między skorupami siódmego już serwisu rozbitego za czasów ich małżeństwa. - Przyrzekniesz, że nic nie powiesz o telegramie?

- Może tak, może nie - krzyknęła Maggie.

- Lepiej nie, ty głupia krowo. - Angelface spojrział na nią z groźnym błyskiem w oku. Uniosła dłoń i wymierzyła mu siarczysty policzek. Chwycił ją za rękę i pchnął w stronę blatu. Maggie nie spokorniała, dyszała podniecona. Rozerwał jej bluzkę na piersiach.

- Nauczę cię! - wysapał, czując, jak twardnieje mu penis. Maggie usiłowała kopnąć go w krocze, potem zamierzyła się wolną dłonią wreszcie namacała w zlewozmywaku patelnię i rąbnęła nią męża w głowę.

Z wściekłym rykiem Angelface uderzył ją w twarz.

Trzasnęła głową o ścianę i upadła na podłogę.

Angelface skoczył za stół, jakby szukając ochrony przed żoną.

- Nie powinnaś była walić tym żelastwem. To mało zabawne - mruknął.

Zapłakana Maggie uniosła głowę, z rozciętych ust płynęła krew, rozmazana po całej twarzy razem z tuszem i szminką.

- Zamknij się i chodź tutaj - rzucił niepewnie. Nie miał zamian pomóc jej wstać.

Maggie pozbierała się z podłogi. Objął ją i zaczął zlizywać krew z ust

- Przepraszam, dziecko - wyszeptał niezdarnie. - Nie trzeba mnie było prowokować.

- Delikatnie ściągnął z niej do końca jedwabną bluzkę, otarł pomazaną twarz, uszczypnął w sutek. Ułagodzona Maggie pociągnęła nosem.

- Mogę mieć setki dzieciaków po całym świecie, ale niech mnie kule biją, jeśli któremuś coś się ode mnie należy - powiedział pokornie. A jednak to cholerna frajda wiedzieć, że jedno z nich wyrosło na taką rewelacyjną laskę. Nie powie nic Maggie, bo rzeczywiście gotowa rozkwaśić mu głowę.

Powoli zaczął rozpinać zamek w jej dzinsach.

- Wiesz, jak dziewczyny za mną latają. Majtki w dół i nogi do góry. Tłoczą się jedna przez drugą. - Wsunął rękę w jej spodnie i przesunął po pupie. Maggie była tak drobna, że jej pośladek mieścił mu się niemal w dłoni.

- Mam chrapkę na ciebie. - Położył sobie jej dłoń w kroku, by dowieść, że nie rzuca słów na wiatr. - Lubisz to przecież, dziecko.

Objęci poszli na górę do sypialni i padli na nie rozesłane czarne łóżko.

Dwie godziny później, gdy posługacz Filipińczyk sprzątał kuchnię, a Angelface zamknął się ze swoją kapelą w studio nagraniowym, Maggie wyciągnęła się wygodnie w czarnej pościeli, zapaliła skręta i sięgnęła po słuchawkę telefonu w kształcie Myszki Mickey. Dzwoniła do najbliższej przyjaciółki.

- Nie wiem, co robić, Joannie - jęknęła bez zbędnych wstępów. - Znowu rozkwaśił mi wargę i jak nic wywichnął nadgarstek. Mam go zostawić?

Joannie zapytała, o co się pokłócili, po czym obydwie zagłębiły się w rozważanie rozpetanej tragedii i właściwego postępowania, jakie powinna przyjąć była grupie, której się poszczęściło, wobec sławnej i pięknej pasierbicy.

Następnego dnia o ósmej rano, kiedy zionący jeszcze brandy Angelface wygramolił się z łóżka, a Maggie spała po proszkach nasennych, Joannie zadzwoniła do działu muzycznego londyńskiej popołudniówki. O jedenastej redaktor zdecydował opublikować jej historię. O pierwszej w całym mieście przy stanowiskach gazeciarzy można było przeczytać napisy krzyczące: LILI. SENSACYJNE PORWANIE.

La Divina otworzyła szeroko czerwone, pełne usta, jakby posyłała doskonałe wysokie C pod kopułę La Scali, zamknęła je wokół penisa i zaczęła powoli masować wargami, myśląc z satysfakcją, że jest w tym znacznie lepsza niż młodsze i piękniejsze od niej. Dwadzieścia lat praktyki pozwalało jej bezbłędnie ocenić, jakie tempo przyjąć i czy nie zabiera się do rzeczy zbyt delikatnie (częsta skarga mężczyzn). Ops! Penis drgnął, La Divina o mało się nie udławiła. Oto, co się dzieje, gdy człowiek na chwilę traci koncentrację. Mężczyzna powinien czuć się tak, jakby nowo narodzone ciele lizało mu rękę.

Jej myśli wypełniły raptem cielaki, szczeniaki, kociaki. Zdawało się jej, że spogląda na scenę w łóżku gdzieś spod sufitu. Wielkie nieba, dlaczego to robi? Co ma wspólnego z miłością ssanie z takim oddaniem tego czerwonego serdelka? To tylko kwestia praktyki, żalсна desperacja, oszukiwanie zmysłów, ostami ratunek z lęku przed utratą Spyrosa i wszystkiego, co dla niej oznaczał. Miłość przestała być miłością, zamieniła się w strach, strach przed samotnością przed publicznym

upokorzeniem, przed porzuceniem. La Divina mocniej zacisnęła wargi. Jak długo jeszcze? Zaczęła liczyć. Dziesięć... dwadzieścia... trzydzieści posunięć. Szczęki już jej drętwiały.

Młodzi efebowie, którzy ją otaczali, gdy była najbardziej uwielbianą diwą na świecie, teraz podśmiewali się, że jej miódopłynny głos stracił skalę i bogactwo na skutek owych sypialnianych praktyk, ale ona nie zważała na plotki o jej romansach z braćmi Stiarkoz, powtarzane w operowych foyer. Była śmiertelnie zmęczona całym tym cyrklem, pełną uwielbienia a żadną krwi publicznością gotową wywoływać ją po raz trzydziesty przed kurtynę. Buenos Airel wspominała jak jeden wielki koszmar. Pierwsza połowa recitali poszła dobrze, dopiero w arii Normy posypała się przy wysokim C przy niskich tonach w głosie pojawiło się dziwne skrzeczenie.

Rozległy się gwizdy, śmiechy, krzyki. Kiedy następnego dnia przeczytała recenzje, odwołała resztę tournée i wróciła do Europy, schronić się na pokładzie „Persefony”, odbywającej rejs między greckimi wyspami. Poprzedniego wieczoru spotkała się znowu ze Spyrosem. Teraz pragnęła tylko jednego, być z nim sam na sam na którejś z wysp albo na jachcie, zapomnieć, że jest primadonną, nie pamiętać o lękach, odpowiedzialności i uwielbieniu, spędzać dni w zmysłowym półśnie, w nocy czuć, jak Spyros wnika w jej wygłodniałe ciało, nadać na powrót sens swojemu życiu, otoczyć się nienaruszalną skorupą bezpieczeństwa.

- Zapomniałem już, jak dobrze jest z tobą. - Spyros wyciągnął dłoń i zaczął pieścić jej pierś.

Ona nie zapomniała niczego. Pamiętała, jak czuła się nieszczęśliwa, kiedy Jo Stiarkoz porzucił ją z dnia na dzień, zahipnotyzowany urokiem tej suki, Lili. Najpierw była odrętwiała z rozpacz, później zatopiła się w bólu. Tygodnie, miesiące całe żyła jak w transie, nie mogąc otrząsnąć się z szoku, smutku, upokorzenia. Stała się apatyczna, nie wstawała z łóżka, z nikim nie chciała się widywać. Kiedy Jo zginął w wypadku samochodowym, nie popadła, jak oczekiwano, w histerię. Od lat go przecież oplakiwała.

A potem nieoczekiwanie, wkrótce po jego śmierci, pokojówka wniosła do jej sypialni kosz wiosennych kwiatów. Między cyklamenami i leśnymi anemonami znalazła delikatny osiemnastowieczny naszyjnik z brylantów i wizytówkę Spyrosa Stiarkoza. Uśmiechnęła się. Wiedziała, że to dopiero początek. Nie oczekiwał podziękowań; zapowiadał w ten sposób swój kolejny ruch.

Gdy następnego ranka odwijiała gorącego croissanta, z serwetki wypadły brylantowe kolczyki do kompletu. Ledwie je podniosła, chcąc się im uważniej przyjrzeć, odezwał się telefon przy łóżku.

- Właśnie skończyłem rozmowy z Hongkongiem. Możemy się spotkać? - zapytał Spyros, nie fatygując się nawet przedstawić. Odgadła, co ma na myśli. Jego młodszy brat też lubił się kochać rano, gdy kończył dobijać interesy w Hongkongu, albo późno w nocy, gdy zamierał rynek amerykański.

Dwie godziny później stała już na pokładzie „Persefony”. Posmak morskiej bryzy mieszał się z lekkim zapachem cygar i wymytego ciała. Pojawił się tego wieczoru w jej kabinie, nim zdążyła się rozebrać. Podszedł do niej bez słowa i długo trzymał w ramionach.

Potem delikatnie zaczął zdejmować z niej suknię. Stała bez ruchu, pozwalając, by jedwabisty materiał osunął się na podłogę. Spyros pochylił się i zaczął całować jej twarde sutki. Czuła jego zęby i język na piersiach, rozkoszne ciepło przeniknęło podbrzusze, jej ciało budziło się ponownie do życia. Nawet jeszcze nie wilgotna, przygarnęła go mocno do siebie, spragniona jego erekcji.

Przewrócili się na łóżko, jego dłoń wędrowała coraz wyżej po udach La Diviny. W milczeniu poddawała się pieszczocie, bez lęku, bez pośpiechu, pewna nadejścia orgazmu. Doszła, ciało wygięło się w łuk. Ujęła jego penis i wprowadziła w siebie. Później płakała z wdzięczności przytulona do jego owłosionej, spoconej piersi. Powoli wracała jej wiara w siebie, apetyt na życie, zainteresowanie karierą. Teraz, po sześciu latach, знаła jego ciało lepiej niż swój kapryśny głos.

Tak, nie zapomniała niczego. Zawsze będzie pamiętała, co dla niej uczynił. Gdy zadzwoniła dwa dni temu z Buenos Aires z wiadomością o odwołaniu tournée, próbował ją pocieszać, powiedział, by natychmiast przyleciała do Aten.

Zjawiła się dzisiaj rano. Na lotnisku czekał już helikopter, który miał ją zabrać na jacht zakotwiczony u brzegów Eginy.

Po południu kochali się przez godzinę. Obydwoje zmęczeni się, spocili, ale Spyros nie miał erekcji. Zastanawiała się po cichu nad powodami. Cóż, dawno skończył już sześćdziesiąt lat. Może ma problemy ze zdrowiem. Na tacy w łazience stał tuzin rozmaitych buteleczek z lekarstwami.

Tego wieczoru postanowiła osiągnąć cel. Pieściła z zapamiętaniem ukochane ciało, przesuwając delikatnie palcami po udach, po pośladkach, zanurzała paznokcie w gęste włosy łonowe, ale nie reagował.

Zacząła ssać mocniej. Wszystko na nic.

Zrezygnowana spojrzała na niego przez łzy.

- Później wszystko będzie w porządku, kochanie. Obiecuję. - Spyros najwyraźniej nie był zmartwiony.

- Nie, nie - rozplakała się w głos. - Nieprawda. Co robiłeś z tą kreaturą, że teraz nie możesz kochać się ze mną?

Nie odpowiedział. Nie było sensu tłumaczyć, skoro najwyraźniej zanosilo się na scenę. W głębi duszy przejął się bardzo brakiem reakcji. Nie przytrafiło mu się to jeszcze nigdy, od chwili, gdy zaczął brać serum.

- Nie wystarczy ci Powietrze Zeusa! Nie wystarczy ci, że masz więcej i większych tankowców niż Jo!

Zacząła szarpać pościel.

- Nie dość ci, że „Persefona” jest o trzydzieści stóp dłuższa niż jacht Joego! Nie dość ci, że masz mnie!

Spyros westchnął. Pierwsze starcie po dwudziestu czterech godzinach spokoju.

Jeszcze pięć minut i w powietrzu zaczną fruwać popielniczki.

- Nie dość ci, że cię kocham, tak jak nigdy nie kochałam twojego brata. Całe życie masz zamiar dowodzić, że potrafisz być lepszy od Joego? - Zacząła walić pięściami w jego klatkę piersiową. - Wiem już, czego chcesz. Nie wierzyłam, ale teraz się przekonałam. Chcesz Lili! Nie próbuj zaprzeczać. Widziałam wasze zdjęcie w „New York Post”, zrobione w zeszłym roku w listopadzie, w operze. Kochani przyjaciele

postarali się, żeby do mnie dotarło. Śpiewałam wtedy w Sydney, już następnego dnia nie mogłam się opędzić od dziennikarzy. Koniecznie chcieli usłyszeć, co mam do powiedzenia, a ja musiałam wdzięcznie się uśmiechać i wyjść po tym wszystkim na scenę!

A zatem wie o Lili. Przez dziesięć miesięcy nie zdradziła się słowem. To niepodobne do La Diviny.

- Kochanie, od miesięcy jej nie widziałem.

Tak, ale od chwili, kiedy jej dotknął, nie przestawał o niej myśleć. La Divina miała nieomylny instynkt.

Pragnął Lili z powodów, których wolał nie formułować. Prawda, że go odrzuciła, ale on nie miał zwyczaju rezygnować. Ilekroć napotykał w interesach opór, usiłował zniszczyć przeciwnika. Gdy pragnął zdobyć nowy eksponat do swojej kolekcji greckich antyków, uzbrajał się w cierpliwość. Potrafił czekać latami na okazję, gotów zapłacić dużo powyżej rynkowej ceny za upragniony przedmiot. Był bardzo bogaty, a że się starzał, niewiele pozostało rzeczy, których pragnął naprawdę.

Lili jednak pragnął.

Ucałował dłoń La Diviny i wrócił do siebie, zatrzymując się na chwilę na pokładzie, by spojrzeć na skały Egiptu rysujące się purpurą na tle ciemniejszego nieba.

Zadzwoił od siebie po lekarza okrętowego, wziął prysznic, potem doktor zaaplikował mu zastrzyk z serum, opracowanego w szwajcarskiej klinice, w której spędzał kilka dni każdej zimy. Drogocenny lek uzyskiwano z gonad świńskich embrionów; w ciągu godziny potrafił przywrócić sześćdziesięcioośmiolatkowi żywotność piętnastoletniego chłopca, w każdym razie Spyros miał taką nadzieję. Ubrał się. Do północy łyż La Diviny obeschną. Będzie wyczerpana, zaspokojona i może się uciszy, myślał, gdy służący zapinał mu platynowe spinki u mankietów.

Dzięki Bogu nie wie nic o telegramie, który przyszedł rano.

Rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł oficer w białym mundurze.

- Właśnie przyszedł radiogram, sir. Znaleźli hotel w Istambule, w którym zatrzymała się Judy Jordan. Łączył się już z nami pan Menecik z tureckiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, oferując pomoc, a pan Vlassos z Interpolu czeka za dwadzieścia minut na rozmowę z panem.

3 września 1979

Po sadzawce w parku St James naprzeciwko ambasady Sydonii żeglowały kaczkami. Abdullah przyglądał się ptakom, po czym spojrzawszy zdziwiony na Pogankę, która w niebieskim kimonie, bez makijażu wpadła właśnie do biblioteki wymachując „Daily Mail”.

- Abdi, to straszne!

Abdullah skończył dopiero co podpisywać państwowe dokumenty i rozporządzenia, a teraz przeglądał poranne raporty. Odłożył na bok doniesienia wywiadu, które napłynęły z Waszyngtonu.

- Posłuchaj, co piszą. - Poganka zaczęła czytać na głos: - „Angelface Harris i Lili - dramatyczne porwanie.” - Spojrzała na Abdullaha. - Lili uprowadzono w Istambule. Judy już tam jest. Muszę do niej natychmiast zadzwonić.

Abdullah odprawił ochroniarza z pokoju.

- Wiedzą, kto to zrobił i czego chcą porywacze?

- Nic nie wiadomo poza tym, że żądają dziesięciu milionów dolarów od Angelface'a Harrisa. Judy musi umierać z niepokoju! - Poganka krążyła po bibliotece z rozwianymi włosami, furkocąc połamami kimona. Przechodząc koło biurka zawadziła rękawem o srebrną tacę, niecierpliwie szarpnęła materiał. Tacka spadła na podłogę, posypały się dokumenty, wśród nich jakiś telegram. Abdullah skoczył, podniósł telegram, wepchnął do kieszeni i zaczął zbierać rozsypane papiery. Poganka była tak zdenerwowana, że to dziwne zachowanie uszło jej uwagi. Normalnie Abdullah wezwałby sekretarza i jemu polecił posprzątać.

- Jadę do domu spakować się i lecę pierwszym samolotem do Istambułu. Judy będzie potrzebowała w takiej chwili jakiejś przyjaznej duszy. - Narzuciła prochowiec Burberry na kimono, Adbi tymczasem dzwonił po samochód.

Godzinę później pojawił się w drzwiach jej mieszkania. Poganka wywracała właśnie w poszukiwaniu paszportu dopiero co spakowaną walizkę.

- Nie podoba mi się, że wybierasz się sama do Istambułu. Polecę z tobą. Nigdy nie ufaliśmy Turkom. Mamy tam dobrą siatkę wywiadowczą która może się okazać pomocna, i miły pałacyk w dzielnicy dyplomatycznej. Zabiorę ze sobą papiery. Suliman o wszystkim pomyślał. Samolot może startować za dwie godziny.

Poganka podskoczyła z radości i ucałowała go.

- Adbi, kochany, taki jesteś dobry! - Nie przyszło jej do głowy dziwić się, czemu Abdullah tak chętnie ofiarowuje się z nieoczekiwaną pomocą. - Gdzie się, do diabła, podział mój paszport?

- Paszport ci niepotrzebny, jeśli lecisz ze mną - wyjaśnił cierpliwie. - Proponuję jednak, żebyś poprosiła pokojówkę, niech znajdzie ci jakiś stosowniejszy strój. Dopiero teraz zauważyła, że wybiera się w podróż w niebieskim kimonie.

Panna Jordan mnie oczekuje - wyjaśniała Poganka po raz czwarty recepcjoniście podnosząc przy tym głos, jak każdy, kto natyka się na nic nie rozumiejącego obcokrajowca. Chwilę później I patrzyła ze zdumieniem, jak pulchny, spocony kierownik hotelu Harun el Rashid kłania się w pas stojącemu za jej plecami drobnemu człowieczkowi w mundurze.

Wyłożony marmurami hol hotelu pełen był dziennikarzy wszelkiej maści, dywany pokrywała plątanina kabli telewizyjnych, o które potykali się biegający jak w ukropie boye. Centralka telefoniczna świeciła wszystkimi światelkami, niczym nocne Las Vegas. Spoceni, rozhisteryzowani ludzie przekrzykiwali się w ogólnym tumultie próbując wysądować coś z napływających co chwila sprzecznych pogłosek.

Przepychający się między sobą fotografowie tłoczyli się na ulicy przed wejściem.

Jakiś nieustraszony reporter wdrapał się z teleobiektywem na dach hotelowej przybudówki, skąd miał nadzieję zrobić zdjęcia wnętrza apartamentu Judy.

Zdesperowana Poganka dowiedziała się wreszcie, że Judy mieszka na pierwszym piętrze, i zaczęła przeciskać się w stronę schodów.

- Judy, to ja Poganka, powiedz im, żeby mnie przepuścili - krzyknęła, przedarłszy się na górę.

Judy usłyszała. Otworzyły się ciężkie cedrowe drzwi apartamentu i przyjaciółki padły sobie w końcu w ramiona.

- Słowo daję, trzecia wojna światowa - wysapała Poganka, łapiąc z trudem oddech.

- Czekamy na szefa policji - wyjaśniła Judy. - Może ma jakieś nowe wiadomości. - Rozległo się pukanie. Judy skoczyła do drzwi. - To pewnie on. - W progu stał blady i zmarnowany Gregg Eagleton.

- Nie mogłem złapać wcześniejszego lotu. Co się tu u diabła dzieje?

Dziesięć minut później menedżer hotelowy wprowadził do pokoju kilku tureckich policjantów na czele z chudym człowieczkiem, którego Poganka widziała wcześniej w holu.

Pułkownik Aziz miał oczka jak paciorki i nosił mundur w kolorze piasku. Płynną angielszczyznę z lekkim amerykańskim akcentem, którego nabył w czasie stażu w Miami, zapewnił Judy, że podjęto wszystkie kroki mające doprowadzić do odnalezienia jej córki.

- Zaangażowaliśmy w poszukiwania Interpol, paryską Surete i FBI. Nigdy nie zetknęliśmy się z podobnym przypadkiem. Poinformowała pani policję o trzech żądaniach okupu, wszystkich zaczynających się od słów „Kochany tato”, a skierowanych do greckiego armatora, amerykańskiego bankiera i znanego piosenkarza. Brzmi to jak zły żart. Pani bowiem utrzymuje, jak rozumiem - nachylił głowę w stronę Judy - że ojciec mademoiselle Lili umarł przed jej urodzeniem. - Tu podniósł do góry szczupłe dłonie w geście zdumienia.

Uważa, że to chwyt reklamowy, uświadomiła sobie Judy podając mu telegram, który Curtis wręczył jej tego ranka, nim zaszył się w pokoju, by odespać podróż. Brytyjska policja dostarczyła telegram od Angelface'a. Stiarkoz rozmawiał z nią przez radiotelefon z jachtu i obiecał przekazać swój kablogram, gdy tylko „Persefona” zacumuje w Istambule.

Pułkownik Aziz porównał trzy wersje tekstu.

- Poza tym, że wszystkie brzmią jednakowo, nie sposób z nich nic wywnioskować. W apartamencie mademoiselle Lili nie natrafiliśmy na ślady przemocy, a nasi informatorzy na Wielkim Bazarze nie donoszą o żadnych niepokojach.

Co on rozumie przez niepokoje? - zastanawiała się Judy, spoglądając na zakurzony żyrandol. Przypominała sobie rojny bazar pełen spoconych, kręcących się między stłoczonymi kramami ludzi. Można by w tym tłumie wyprawić na tamten świat dwudziestu skazańców i nikt nie mrugnąłby nawet okiem.

- Pozostaje zatem przypuszczenie, że ten, kto uprowadził mademoiselle Lili, był osobą jej znaną, do której miała pełne zaufanie.

- Pułkownik usiadł wygodniej w fotelu i rozejrzał się po strapionych twarzach. - Czy mademoiselle Lili ma jakichś znajomych w Istambule? - zapytał łagodnie.

- Nic nam o tym nie wiadomo. Przyjechała tutaj po raz pierwszy.

- Judy zdjęła okulary w szylkretowej oprawie i przetarła zmęczone oczy. - Panna Bayriver, tegoroczna Królowa Piękności, i ja jesteśmy jedynymi osobami znanymi Lili, a przebywającymi w Turcji. Poza tym w grę może wchodzić tylko służba hotelowa, kierowcy i nasi przewodnicy. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek z przyjaciół Lili mógł się poważnie na coś podobnego.

Gregg siedział niedbale rozparty w kącie kanapy, z kostką jednej nogi na kolanie drugiej.

- To bez wątplenia albo sprawa kryminalna, albo porwanie zaaranżowane przez terrorystów. - Podobny lęk odczuwał tylko wtedy, gdy jego ojciec brał udział w wyścigach. Żałował, że ulegał żądaniom Lili i traktował ją jak zwyczajną kobietę, ukrywając swój zachwyt za fasadą pozornej obojętności. A przecież nie sposób było odnosić się do niej jak do zwyczajnej kobiety, bo nie była zwyczajna. Gdyby tylko bardziej się nią opiekował. Chciał jej towarzyszyć w podróży, ale uparła się, że pojedzie sama na spotkanie z matką. Nie mógł sobie wybaczyć, że okazał taką bez troskę. Gdyby, gdyby, myślał.

- Wykluczyłbym działanie terrorystów - mówił pułkownik Aziz.

- Oczywiście, nie możemy uskarżać się na ich brak tutaj, w Turcji

- AWAM, OWP, separatyści kurdyjscy. Jaka współczesna stolica jest od nich wolna?

- Pułkownik otrząsnął się z niesmakiem. - Kiedy terroryści porywają kogoś, czynią to dla dwóch powodów: by uzyskać pieniądze na zakup broni przeciwko takim jak ja - pułkownik uśmiechnął się nieznacznie - albo dla nagłośnienia sprawy, o którą walczą. - Tu odkaslnął. - Uprowadzenie międzynarodowej gwiazdy jest niezwykle skutecznym sposobem zwrócenia uwagi mediów na całym świecie, ale zachowywanie anonimowości przez tak długi czas to nie w ich stylu.

- Dopuszcza pan inną możliwość? - zapytał Gregg.

- Niestety tak. - Pułkownik zawahał się przez chwilę, spojrzał na Judy i ciągnął dalej: - Nie możemy wykluczyć, że chodzi o starannie zamaskowane morderstwo. Zabójca często pozostawia fałszywe ślady, a dziwne telegramy wskazywałyby na sfingowane porwanie. Czy mademoiselle Lili miała wrogów?

- Coś sobie przypomniałam! - Poganka zerwała się z krzesła, zrzucając mosiężną tacę ze stojaka. - Lili dawała benefis dobroczynny w Londynie. Jej występ omal nie został sabotowany. Ten, kto to zrobił, bez wątpienia jest wrogiem Lili.

Pułkownik Aziz zanotował kilka słów w swoim notesie.

- Badaliście państwo wtedy bliżej tę sprawę?

- Naturalnie. Ktoś opłacił wystawne przyjęcie dla wszystkich gości w wytwornym hotelu. To była sprytnie obmyślona operacja, podobnie jak to porwanie.

- Kto był fundatorem przyjęcia, lady Swann?

- Kierownictwo hotelu nie zdradziło sekretu. Nie było w tym nic nielegalnego, uszanowali życzenie klienta, który chciał pozostać anonimowy.

- Nie ma dowodów, że fundator i ten, kto dzwonił z fałszywą informacją o kłopotach technicznych w teatrze, to ta sama osoba - przypomniał Gregg.

- Teraz, gdy stało się coś, co jest sprzeczne z prawem, hotel musi ujawnić nazwisko fundatora, podobnie bank, w którym dokonano przelewu. - Pułkownik wyrwał kartkę z notesu i wręczył ją jednemu ze swoich podwładnych.

- Według mnie to pomylenie - oświadczył Gregg. - Jeszcze jeden świrus, tyle że z większą kasą niż reszta rąbniętych fanów Lili. Ona dostaje furę listów od szajbusów. Odbiło któremuś sukinsynowi i wymyślił porwanie.

- Wątpię, czy osoba stojąca za tą operacją należy do typu ludzi nagabujących gwiazdy filmowe. - Pułkownik Aziz rozejrzał się ponownie po twarzach zebranych. -

Obsesyjny wielbiciel to najczęściej chora, żaloszna osobowość, niezdolna do nawiązania normalnych kontaktów z realnymi ludźmi, żyjąca w świecie fantazji, w rzeczywistym życiu ponosząca na ogół klęskę.

- Tyle że od czasu do czasu udaje się im pozbawić życia jakąś gwiazdę rocka albo głowę państwa - zauważyła kwaśno Judy. Widząc tyle razy Lili obleganą przez wielbicieli, z których żaden nie zdawał się chory ani żaloszny, miała dość domorosłej psychologii pułkownika.

- Takie zamachy są częściej dziełem przypadku niż starannie zaplanowaną zbrodnią. - Pułkownik zignorował uwagę Judy. - Tutaj natomiast mamy do czynienia ze starannie przemyślanym, sprytnym działaniem. Ktokolwiek porwał mademoiselle Lili, zadał sobie wiele trudu, by zdobyć informacje na pani temat, panno Jordan. Wiedział też, kiedy mademoiselle Lili przybędzie do Turcji. Rozzłoszczony Gregg zerwał się z kanapy i zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

- Każdy, kto czyta gazety, wiedział, że Lili przyjedzie do Istambułu, z Miss International.

I jego komentarz został zignorowany przez pułkownika.

- Człowiek cierpiący na obsesję mógł pożądać mademoiselle Lili jak kolekcjoner pożąda upatrzonogo obrazu.

Gregg stanął w miejscu.

- Chce pan powiedzieć, że temu, kto porwał Lili, nie chodziło o pieniądze, tylko o nią samą?

W tej chwili Judy i Poganka pomyślały o tym samym mężczyźnie.

„Persefona” minęła latarnię Leandryjską i zakotwiczyła w płytkiej zatoce. Po kilku minutach sunęła już ku niej motorówka z Harun el Rashida z jednym pasażerem na pokładzie.

Spyros Stiarkoz podniósł się na powitanie Judy. Nic dziwnego, że napawał Lili lękiem, pomyślała, patrząc na mocne dłonie, szerokie ramiona i przenikliwe, lewentyńskie oczy gospodarza.

- Mój prawnik uważa, że nie powinienem być tu przyjeżdżać.

- Spyros zaprosił Judy gestem, by usiadła na kanapie. W tej samej chwili pojawił się steward z mosiężnym tygielkiem słodkiej greckiej kawy.

- A oto telegram. - Spyros pokazał jej sfatygowaną kartkę papieru. Zaczęła nerwowo wylamywać palce, po czym zacisnęła dłonie, chcąc powstrzymać ich drżenie. Z pytającą miną spojrzała na swojego rozmówcę.

- Nie zapłacę okupu - odparł.

- Dlaczego zatem zaprosił mnie pan tutaj? - Starła się, by w jej głosie nie wyczytał otwartej wrogości.

- Bezpieczeństwo Lili leży mi oczywiście na sercu, inaczej nie przyplynałbym tutaj. Moi doradcy przestrzegają mnie jednak przed uleganiem żądaniom porywaczy. Jeśli przystanę, stworzę niebezpieczny precedens dla kolejnych uprowadzeń. Muszę myśleć o swojej rodzinie, współpracownikach. Nie mogę, jak Getty, pozwolić sobie na ustępstwa i narazić własne wnuki na nieustanne zagrożenie.

Judy poderwała się z miejsca.

- Na czym więc ma polegać pańska troska o Lili? - Głos jej drżał.
- Będzie pan sobie żeglował po Bosforze, życząc nam powodzenia, gdy ci bandyci zaczną obcinać Lili palce, chcąc nas zmusić do płacenia?
- Jestem tu, żeby mieć kontrolę nad wszystkim. - Spyros upił łyk gęstej kawy. - Policja na całym świecie jest taka sama: banda niekompetentnych biurokratów.
- Ale... - Judy zamikła, gdy uniósł dłoń.
- Nie wiem, czy zdaje sobie pani sprawę, panno Jordan, jak łatwo popsuć coś w takiej sytuacji jak ta. - Położył lekki akcent na słowie „panno”, jakby chciał wyrazić wzgardę. - Jeśli znajdą kryjówkę porywaczy, miejscowych policjantów może ponieść, spróbują szturmować budynek. - Odstawił filiżankę i dał znak stewardowi, by napełnił ją ponownie. - Gdy do tego dojdzie, połowa bandytów zginie, sami wystawiają się na kule i narażą na śmierć niewinni gapiów. Nim znajdą Lili, ona już nie będzie żyła.

Judy z nienawiścią pomyślała, że ma rację.

- Uważa pan, że porywacze są bandytami?
- Możliwe. Moi ludzie przeważają tutaj, ale nie mają jeszcze żadnych potwierdzonych informacji. Może zrobił to Kemaiat - coś w rodzaju waszej mafii - a może AWAM, czyli, jak zapewne pani wie, Armia Wyzwolenia Azji Mniejszej. Jak dotąd zdobywali pieniądze na swoją działalność rabując banki w małych miasteczkach i porywając ciężarówki, ale może zrobili się bardziej ambitni. Judy przez pół godziny z uporem i bezskutecznie przekonywała Spyrosa, by zapłacił okup. Wreszcie wstała, zbierając się do odejścia. Dalsza rozmowa wydawała się bezcelowa.

- Chciałabym, żeby mnie pan jasno zrozumiał, Spyros. Jedyne sposoby, w jaki może się pan okazać użyteczny, to zapłacenie okupu. Lili i ja jakoś zwrócimy panu wspólnymi siłami te pieniądze.

Ten cholerny jacht musiał kosztować znacznie więcej niż dziesięć milionów. „Persefona”, mimo całego bijącego w oczy luksusu, wywarła na niej ponure, klaustrofobiczne wrażenie. Bała się, że jeśli zostanie chwilę dłużej, nie znieśie protekcyjnych uwag Spyrosa i poniosą ją nerwy i ostatecznie zrazi sobie tego wpływowego człowieka.

Bała się też z innych powodów. Stiarkoz był bogatym, sprytnym, przewidującym człowiekiem, obsesyjnym kolekcjonerem sztuki, i dostał kosza od Lili. Wszystko też gotów był poświęcić, by zdobyć to, co niegdyś należało do jego zmarłego brata.

On też, co prawda, dostał telegram z żądaniem okupu, ale przebiegły przestępca mógł wysłać taki telegram sam do siebie. Z ciężkim sercem uzmysłowiła sobie, że jeśli to on uprowadził Lili, jego obecność tutaj ma na celu jedno z dwojga: albo ma czelność otwarcie obserwować poczynania policji, albo napawa się ich bezskutecznymi próbami odnalezienia Lili. W obu przypadkach oznaczałoby to, że nie jest zupełnie zdrow na umyśle. W obu przypadkach oznaczałoby to także, że Judy nigdy już nie zobaczy córki.

Tego wieczoru przed kolacją Judy i Sandy czekały na Poganę w kojącym półmroku balkonu zawieszzonego nad Bosforem niczym wielka klatka dla ptaków.

- Ten pułkownik Aziz nie powinien był cię tak długo trzymać. - Choć w głosie Sandy słyhać było współczucie, cały czas zastanawiała się, co będzie z dalszą podróżą Miss International. Powinna być już teraz w Egipcie, ale policja nie pozwoliła jej opuścić Turcji.

- To jego praca - odparła Judy - i to dość niewdzięczna.

Jako że tłumy fotografów okupowały hotel, zdjęcia Sandy obiegiły już cały świat.

Dziennikarze nie dowierzali własnemu szczęściu. Jedna piękność porwana, druga w zasięgu ich obiektywów.

Sandy i Judy były na dobrą sprawę uwięzione w swoich apartamentach. Przez cały dzień pilnowali ich policjanci, w końcu odłączono też telefon, gdyż dziennikarze bez trudu zwodzili turecką telefonistkę, zapewniając ją, że dzwonią w odpowiedzi na telefony Judy.

- Trzeba było pluć w brodę temu pułkownikowi - oświadczyła Sandy. - Kiedy pomyślę, jak cię wymęczył, miałabym ochotę kopnąć go w jaja.

Judy ze zdumieniem wysłuchiwała tej deklaracji. Nie podejrzewała Sandy o takie słownictwo.

- Po raz pierwszy słyszę, że kogoś krytykujesz. - Judy była gotowa rozmawiać o czymkolwiek, byle zapomnieć na chwilę o porwaniu.

- Złotko, w tym interesie dziewczyna musi umieć trzymać buzię na kłódkę - oświadczyła Sandy.

Judy spojrzała na nią. Ładna, bystra, sprytna i niezwykle praktyczna, całą mądrość życiową wkładała w to, by sprawiać wrażenie głupiutkiej, niezaradnej gąski.

- Kto cię namówił do ubiegania się o tytuł królowej piękności, Sandy?

- Złotko, to dopiero pierwszy stopień. Za kilka lat będę prowadziła własny show w telewizji.

- Ale dlaczego zaczynasz akurat w taki sposób? Nikt nie będzie cię traktował poważnie.

- A Bess Meyerson? Była Miss Ameryki, a teraz siedzi w sprawach konsumenckich. Jak człowiek urodził się w Baton Rouge, uroda jest jedynym sposobem, żeby się wyrwać.

- Uroda w porządku, ale ta twoja rola ślicznotki z Południa?

Zgoda, faceci to lubią, szczególnie starsi, powinnaś jednak być... taką spolegliwą kobietką... jeśli chcesz mieć własny show.

- Złotko, na taką uległą mnie już wychowali.

- Sandy, to ci nic nie da, kiedy będziesz starsza ani kiedy przyjdzie postawić twardo na swoim. Nie ma nic bardziej żalostnego niż podstarzała Blanche Dubois, szczebiocąca jak dzierlatka.

Sandy najwyraźniej zabolalo porównanie z wyblakłą neurotyczną pięknoscią z Południa, heroiną stworzoną przez Tennessee Williamsa.

Zebrawszy się na odwagę, zadała pytanie, które nurtowało ją od wielu dni:

- Judy, czegoś nie rozumiem. Jak jej ojciec ma zapłacić okup, skoro Lili mówiła mi, że umarł dawno temu?

- Nie wiem, Sandy, jak porywacze mogą być tak szaleni albo tak okrutni.
- Sandy przypomniała sobie list od porywaczy ukryty w bukietcie róż: „Czekajcie w hotelu na wiadomość od ojca Lili. Musi zapłacić okup”.
- Ile jeszcze mamy czekać? - zapytała. Judy nie wytrzymała.
- Na Boga, nie możemy mówić o czymś innym?
- Możemy. Bardzo chcę ci zadać jedno pytanie, Judy. - Sandy wzięła głęboki oddech.
- Powiedz mi, który z tych sukinsynów jest ojcem Lili?

Rozdział piętnasty

3 września 1979

Nic ci do tego! - Głos Judy odbił się echem o wodę i zadźwięczał donośnie w pustym pokoju. - Jak śmiesz stawiać podobne pytania?

- Złotko, nie ja jedna je sobie stawiam - odparła Sandy. - Pułkownik maglował mnie przez dwie godziny. Najpierw mówiłaś wszystkim, że ojciec Lili nie żyje, a potem raptem trzech facetów dostaje taki sam telegram.

- Równie dobrze mogło go też dostać dziesięciu innych bogatych ludzi. Może w przyszłym tygodniu ten obłąkaniec napisze do Johna Travolty albo do prezydenta Cartera.

- Kto to jest, Judy? - nie ustępowała Sandy.

- Ojciec Lili był brytyjskim żołnierzem, którego zabili komuniści na Malajach.

- Sprawdź to - przestrzegła ją Sandy.

Judy zerwała się z miejsca i oparła o balustradę balkonu, odwrócona plecami do swojej towarzyszki.

- Pułkownik Aziz powiedział, że sprawdzą grupę krwi - ciągnęła Sandy. - Rozmawiał z lekarzem Lili w Paryżu, prosił o jej dane. Dzisiejsze badania krwi są bardzo precyzyjne, to nie to, co dawniejsze zgadywanki - Sandy mówiła łagodnie, ale w tonie jej głosu dało się słyszeć ostrzegawczą nutę. - Oni dojdą prawdy, Judy.

Judy odwróciła się do Sandy. W oświetlonym wnętrzu widocznym z balkonu ómy tańczyły wokół abażura lampy stojącej na stole. Judy wpatrywała się w owada, który dotknął żarówki i z trzepotem skrzydeł spadł na blat.

Sandy podniosła się i położyła dłoń na ramieniu Judy.

- Złotko, ja trzymam z tobą. W końcu sporo nas łączy. Jestem z prowincji, wiem, jak to jest być nikim znikąd i jak trudno się wybić. Mów, co chcesz, widać miałaś swoje powody - poklepała Judy po ramieniu pocieszającym gestem. - Tyle, że ja mam regularnego hopla względem prawdy, a to znaczy, że człowiek musi przejrzeć drugiego. Powiadam ci, żadna frajda było słuchać, jak ten Aziz pytał, czy spałaś z nimi wszystkimi. Uważaj, co mówisz, on nie wierzy ani jednemu twojemu słowu. W chłodnym, kojącym mroku słyhać było tylko plusk wody dochodzący z dołu. Od momentu zniknięcia Lili Judy żyła w nieznośnym napięciu. Nie spała przez dwie ostatnie noce, do tego dochodziło wyczerpanie kłopotami ostatnich miesięcy.

Teraz załamała się, coś w niej pękło. Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać.

- Nie gryź się tak, złotko. - Sandy pogładziła ją po włosach. - Nie tobie pierwszej zdarzyło się przelecieć więcej niż jednego frajera w miesiącu.
- To nie tak, Sandy, jak ty próbujesz to wyrazić - powiedziała Judy, łkając. - Nie wszyscy w jednym miesiącu, a poza tym nigdy nie zgadzał mi się kalendarzyk. - Chlipnęła, pociągnęła nosem i wysiąkała w chusteczkę. - Cały kłopot zaczął się, kiedy miałam piętnaście lat, mieszkałam w Szwajcarii, chodziłam do szkoły i dorabiałam jako kelnerka. Przez pierwsze pół roku ciężko pracowałam, nie myślałam o przyjemnościach. Jeden z kelnerów, Nick, zagiął na mnie parol, ale nie ten typ, nie dla mnie. Aż któregoś wieczoru zostałam zgwałcona. Zdarzyło się to w dniu urodzin mojej matki, siódmego lutego. Człowiek zapamiętuje takie głupstwa. Był jednym z gości hotelowych.
- Biedactwo, co za parszywy, śmierdzący sposób rozstawania się z cnotą.
- Kiedy zobaczyłam później sukinsyna w hotelu, nawet mnie nie poznał. Nic dla niego nie znaczyłam, ale to, co się stało, odmieniło całe moje życie. Czułam się poniżona. Nigdy nikomu nie powiedziałam słowa. To była moja ciemna tajemnica. - Ponownie wysiąkała nos. - Później spotkałam Curtisa Halifaxa i przy nim znowu poczułam się czysta.
Niczym ludzie, którzy nie mogąc unieść ciężaru własnych przeżyć, w przekonaniu, że nigdy ponownie nie spotkają przypadkowego powiernika, zawierzają swoje sekrety zupełnie obcej osobie napotkanej w pociągu, tak znękana Judy opowiedziała Sandy historię, której nie opowiadała nikomu przedtem, a której jeden tylko człowiek się domyślał, historię, która zaczęła się dawno temu w małym szwajcarskim uzdrowisku Gstaad.

14 lutego 1949

Przypomniała sobie gwiazdki na suficie sali tanecznej i szwajcarską orkiestrę akordeonistów grającą *La vie en rose* w dzień Świętego Walentego. Biegła właśnie z kuchni z ciężką tacą zastawioną kieliszkami, gdy nagle barman wyrwał jej ciężar z rąk, odstawił z hukiem na ławkę i warknął:
- *Aidez-moi, paresseuse!*
Judy chwyciła dwa mokre jeszcze kieliszki. Barman szybko umieszczał szkło w uchwytach nad szynkwasem.
- *Vite, vite!* - poganiał. Stanęła na palcach, nie mogła jednak dosięgnąć przegródek.
- *Mademoiselle n'est pas assez grande.*
Nigdy nie słyszała równie złego francuskiego akcentu. Od drugiej strony kontuaru uśmiechał się do niej młody Amerykanin w muszce.
- Akcent ze Wschodniego Wybrzeża. - Odwzajemniła uśmiech.
- Filadelfia. Nazywam się Curtis Halifax. Posłuchaj, wstawię te kieliszki na miejsce, a ty nalej mi bourbona.
Zmrużył niebieskie oczy w uśmiechu, na policzkach pojawiły się dołki. Wygląda jak ci wysocy, dorodni, starannie ostrzyżeni młodzieńcy, których widuje się na reklamach Coca-Coli, pomyślała Judy zbierając w pośpiechu brudne szkło.
Od swojego stolika machały do niej Kate w kremowej morze i Maxine w jasnobłękitnych jedwabkach.

- To moje przyjaciółki - wyjaśniła nowemu znajomemu. Popatrzył na nie, przesunął wzrokiem po innych zamożnych pannach siedzących wokół parkietu i odwrócił się do wszystkich plecami, najwyraźniej zafascynowany drobną, jasnowłosą amerykańską kelnerką uwijającą się za barem.

Raptem rozległ się warkot bębnow, wszystkie głowy odwróciły się ku wejściu, gdzie u boku Poganki ubranej w połyskliwe szare tiule stał sztywno wyprostowany gość honorowy, książe Abdullah z Sydonii. Curtis rzucił na nich okiem i zwrócił się do Judy:

- Wypuszczają cię czasami z za tego baru? Może wybralibyśmy się na łyżwy w niedzielę?

Nim Judy zdążyła odpowiedzieć, pojawił się kelner z zamówieniem na sok cytrynowy.

- Nick, twoje zamówienia są zupełnie nieczytelne - zawołała za nim. - Maitre posieka cię na drobne kawałki, jak nie będziesz wyraźniej pisał, słoneczko.

Nick pobiegł unosząc swoje citrons presse, a Curtis zrobił zmartwioną minę.

- Słoneczko?

- To tylko taki zwrot. Przyjaźnimy się.

Curtis jeździł na łyżwach tak samo biegle, jak mówił po francusku. Gdy Judy śmigła po lodowisku, on walczył, by ustać prosto. Za każdym razem, kiedy puszczał się bariery, szczupłe nogi zaczynały dziwne ewolucje. Wreszcie poddał się, usiedli razem na tarasie, sącząc gorący, aromatyczny poncz.

- Chodzą plotki, że zostawiłaś narzeczonego w Wirginii Zachodniej - zagadnął.

Nie była wcale pewna, czy ma ochotę opowiadać mu o swoim nie istniejącym narzeczonym. Wymyśliła Jima w charakterze zasłony dymnej, za którą mogła chować się przed natrętnymi adoratorami. Miała inne plany: nauczyć się w ciągu roku biegle francuskiego i niemieckiego, potem wyjechać do Paryża i tam zrobić majątek. Dnie spędzała w laboratorium językowym, a wieczorami pracowała w hotelu Imperial, żeby opłacić szkołę. W jej rozkładzie zajęć nie było miejsca na męczyznę.

Ale Curtis nie zważał na zbożne postanowienia Judy. Codziennie, kiedy słońce chowało się za szczyty gór i na wąskich, zaśnieżonych uliczkach kładły się długie cienie, pojawiał się w hotelowej kawiarni. Pewnego razu, gdy kierownik sali słał jej napominające spojrzenia, że marnuje czas na rozmowy, Curtis przeprosił go z galanterią wychowanka najlepszych amerykańskich uniwersytetów, na odchodnym zaś wetknął sowity napiwek do kufla przy kasie.

Następnego dnia ledwie z niewinnym i wszystkowiedzącym uśmiechem usadowił się znowu na swoim stolku, kierownik mrugnął do Judy, wskazując głową w jego kierunku.

- Przyszedł twój bogacz.

Judy była oczarowana. Chłopcy w jej rodzinnym Rossville byli nieokrzesanymi prostakami; nad dziewczęta przedkładali piwo, football i wędkowanie. Curtis miał ujmujące maniery, traktował ją jak damę. Czuli się z nim swobodnie, szczęśliwa, że znalazła towarzystwo Amerykanina, jak ona zaszokowanego Europejczyka i tęskniącego

za krajem. Opowiadali sobie, czego najbardziej im brak: barów Hersheya, zawieszonych koktajli mlecznych, mięsistych, krwistych steków.

- Nie wiem, co bym dał, żeby obejrzeć amerykański film bez dubbingu. Po francusku nic nie mogę zrozumieć - rozmarzył się Curtis.

Pocałował ją po raz pierwszy po łyżwach przy księżycu i pochodniach. Kiedy poczuła na policzku szorstki włos pelisy z wielbłądziej sierści, minęła tęsknota za domem. W jego ramionach było bezpiecznie, dobrze, ciepło, i to cudowne uczucie, jakby topniała od środka.

- Za zimno, żeby się całować na dworze - orzekł Curtis. - Chodźmy do mnie.

Oczywiście, że cię kocham. Od chwili, kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem w dzień Świętego Walentego, pamiętasz? - mówił trzy tygodnie później, siedząc na skraju jej łóżka i naciągając skarpetki.

Judy uniosła się na łóżku i zarzuciła kołdrę na ramiona.

- To dlaczego wracasz do Filadelfii, żeby ożenić się z kimś innym?

- Tłumaczyłem ci tyle razy. To małżeństwo dawno już zostało postanowione. Debra i ja zaręczyliśmy się na jej siedemnaste urodziny. Wszyscy są przekonani, że się pobierzemy, Debra przede wszystkim. Mój ojciec, a wcześniej mój dziadek prowadzili rodzinne interesy z tą myślą że któregoś dnia Halifax zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych. Temu poświęcili całe życie, a ja jestem ich jedynym spadkobiercą. Muszę. To powinność wobec nich.

A żadnej wobec mnie, pomyślała ze smutkiem.

- Żeby kandydować - ciągnął z przejęciem - potrzebuję pieniędzy.

Polityka to kosztowne przedsięwzięcie. I odpowiedniej żony. - Zakłopotany sięgnął po buty.

- Chcesz powiedzieć, bogatej żony.

- Wychowywałem się razem z Debrą. Bardzo ją lubię, na pewno nie zrobię jej krzywdy. Od roku cała Filadelfia wie, że zamierzamy się pobrać, kiedy skończy swój sezon debiutancki.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

- Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, jak cię poganiał ten barman, coś mi się stało. Chciałem cię objąć, zabrać stamtąd i zawsze już się tobą opiekować. - Nie mógł spojrzeć jej w oczy, ale próbował mówić szczerze. - Nie mogę sobie wyobrazić, jak facet może kochać dwie kobiety naraz, ale piłem ten swój bourbon i po sekundzie nie potrafiłem już myśleć o niczym innym tylko o tobie. Jesteś taka inna od dziewcząt, które znałem dotąd, masz w sobie tyle animuszu, tyle życia. Po prostu wpadłem.

- Jak możesz kochać mnie i żenić się z inną? - Judy otarła łzy skrajem kołdry.

- Mogę, bo muszę - odpowiedział rozsądnie. - Ty przecież też wyjdiesz za mąż za tego bubka z Rossville.

Nic nie powiedziała, żałując po raz kolejny, że wymyśliła sobie tego przekłętą Jima w Wirginii Zachodniej.

Mała czerwona kabina kolejki linowej sunęła bezszelestnie, zawieszona na napiętej linie wysoko nad ośnieżoną doliną. W dole nartostradą pomykali bezgłośnie narciarze maleńcy jak zabawki. Maxine słuchała pikantnych paryskich ploteczek

ciotki Hortense, modląc się w duchu, by dwie eleganckie Włoszki i chłopak w czarnym stroju narciarskim nie rozumieli słowa po angielsku. Włoszki w podbitych norkami kurtkach, w pełnym makijażu, z nieskazitelnymi fryzurami, miały co prawda ze sobą wyjeżdżone narty Heada, ale nie wyglądało, by zamierzały ich użyć po wjechaniu na szczyt.

- Oczywiście wszyscy uważają, że Roland jest tapette - opowiadała z namaszczeniem ciotka Hortense, zwracając się do Judy - więc kiedy Zizi znalazła go w... - Nagle zamilkła; kolejka zakolysała się niebezpiecznie na złączu i stanęła.

Zapadła pełna grozy cisza. Judy czuła się jak w pułapce. Na jak długo wystarczy im powietrza? Czy nadejdzie pomoc, zanim ulegną klaustrofobii i zamarzną, zawieszeni między niebem a ziemią?

- Dio mio! - krzyknęła jedna z Włoszek, rzucając się w drugi koniec wagoniku.

Kolejka zakolysała pod wpływem gwałtownego ruchu, jakby miała za chwilę runąć w przepaść.

- Niech pani stoi spokojnie - rzuciła ostro ciotka Hortense po włosku, ale kobieta przebiegła już z powrotem na swoje dawne miejsce.

- Santa Mamma mia! - dłonie uderzały nerwowo o różową podbitą norkami kurtkę. - Moje dzieci! Mój mąż! Cóż oni poczną? - Różowe norki padły w objęcia przyjaciółki: Kolejka ponownie zakolysała się nieprzyjemnie.

Ciotka Hortense z na wpół przepraszającą miną uderzyła Włoszkę narciarską rękawicą w twarz.

- Pani mąż ani pani dzieci na pewno nie chciałyby, żeby ich matka wpadała w histerię. Jeśli nie będziemy się ruszać, nie ma się czego obawiać - dodała nieco łagodniej. - Siądźmy wszyscy ostrożnie na podłodze. Tam na dole już wiedzą, co się stało, zaraz usuną awarię. Spróbujmy myśleć o czymś innym. Proponuję partyjkę pokera.

Fioletowe norki szepnęły coś do różowych, popatrujących z wściekłością na ciotkę Hortense, która tymczasem rzuciła na podłogę swoje lisy, umościła się na nich ze skrzyżowanymi nogami, wydobyła z torby srebrną piersiówkę z sherry i posłała pomiędzy pasażerów.

- Muszę mieć gdzieś tutaj karty - mruzczała ciotka, wsadzając czerwony od zimna, krogulczy nos do przepastnej torby z krokodylowej skóry. Zamiast kart wydobyła szwajcarski scyzoryk (bardzo praktyczny ze względu na korkociąg), menu od Maxima (Bebe Bernard narysował tu coś dla mnie w ostatni wieczór przed moim wyjazdem z Paryża), wymiętoszoną cygaretkę, którą szybko wrzuciła z powrotem; wreszcie dokopała się poszukiwanej talii i z szerokim uśmiechem wręczyła karty chłopakowi w czarnym stroju, jedynemu pasażerowi, który jej zdaniem mógł mieć jakieś pojęcie o pokerze.

Pół godziny później, gdy kolejka znowu ruszyła, piersiówka po sherry była już pusta, Włoszki przegrane co do grosza, a ciotka Hortense wściekła, że nie sprawdziła młodego Anglika, który przelicytował ją z parą dwójek.

Restauracja mieściła się na samym szczycie góry.

- Maman pisała, że kupiłaś mi jakieś wspaniałe letnie suknie u Diora - dopytywała się Maxine. Oparta o balustradę tarasu spoglądała na szczyty górskie pośród chmur.

- Od czego są matki chrzestne? - pobłażliwie uśmiechnęła się ciotka Hortense. Judy ze złością patrzyła na Maxine. Czuła się niepotrzebna, upokorzona, przybita. Dzięki Bogu, że nie zdradziła się nikomu, jak bardzo zależy jej na Curtisie. Nigdy nie ważyłby się wystawić do wiatru dziewczyny podobnej do Maxine. Tylko małomiasteczkowe gaśki z biednych rodzin idą do łóżka z bogatymi obłudnymi sukinsynami o uroczych manierach. Ci mają władzę, są obrotni, mogą traktować biedaków jak chustki do nosa; użyć i wyrzucić, myślała Judy. Czuła się jak szary wróbel w swojej starej kurtce. Bardziej niż pieniędzy i pozycji społecznej zazdrościła teraz Maxine szczęścia w miłości i tej zadowolonej, beztroskiej miny.

- Jesz już trzecią bezę, Maxine - stwierdziła nie bez satysfakcji. - Przestaniesz się podobać Pierre'owi, jak za bardzo utyjesz.

- Umieram z głodu - zaprotestowała Maxine.

Ilekrót Judy słyszała, gdy ktoś lekkim tonem mówi „umieram z głodu”, ogarniała ją wściekłość; przypominało jej się wtedy własne dzieciństwo spędzone rzeczywiście o głodzie i chłodzie.

Pomyślała z gniewem, że Maxine nie ma pojęcia, o czym mówi. Do piętnastego roku życia, do chwili, kiedy opuściła dom, Judy właściwie nigdy nie zaznała sytości. Jej rodzice byli na dobrą sprawę nędzarzami i być może wstyd, który z tej racji cierpiała, był jeszcze bardziej dotkliwy niż głód. Pamiętała docinki innych dzieci, kpiących z jej biedy, ich chichoty, gdy rok w rok pojawiała się w tym samym znoszonym zimowym płaszczku. Najpierw śmiano się, bo płaszcz był o wiele na nią za duży i nie mogło być wątpliwości, że go po kimś donasza; później śmiano się, gdy z niego wyrosła, a matka przedłużyła rękawy i dół kawałkami szarego koca.

- Posłuchajcie płaszcz Judy! - krzyczały za nią dzieciaki. Paletko, które zamiast podszewki podbite było gazetami, istotnie szeleściło przy każdym ruchu.

Co utkwilo jej najbardziej w pamięci z lat nędzy, to upokorzenie.

- A ty jak masz zamiar uniknąć śmierci głodowej? – zagadnęła ciotka Hortense Bobby'ego, który ograł ją w ostatnim rozdaniu w kolejce. - Masz zamiar grać zawodowo w pokera?

- Ojciec chce, żebym pracował w jego firmie maklerskiej. - W głosie Bobby'ego zabrzmiał nieszczerzy ton. - Dlatego uczę się w szkole biznesu.

- A ty sam, co chciałbyś robić?

- Ja chciałbym zostać piosenkarzem - wyszczerzył zęby do ciotki Hortense.

- Piosenkarzem? Jak Frank Sinatra? - upewniła się ciotka Hortense. Maxine oblizała palce, przeciągnęła się w słońcu, rozpięła kurtkę

i pomyślała, że mili chłopcy z dobrych rodzin nie myślą o przemyśle rozrywkowym.

- Nie, nie takim jak Frank Sinatra. Takim, jakiego jeszcze nikt nie widział. - Bobby posłał jej uśmiech ulicznika.

- A może grasz na fortepianie, jak Cole Porter? - upierała się ciotka Hortense.

- Gram, ale nie tak jak Cole Porter. - Tym razem Bobby uśmiechnął się jak cherubinek. Skromy Bobby potrafił też grać na gitarze, na flecie i na organach. Chłopcy z Westminster School, którzy mieli zamiar starać się o stypendia muzyczne w Oxfordzie lub w Cambridge, mogli ćwiczyć na potężnych organach w opactwie Westminsterskim. Ojciec Bobby'ego nie chciał co prawda słyszeć

o żadnej karierze muzycznej dla syna, ale Bobby potrzebował muzyki jak powietrza.

- Gdzie śpiewasz, Bobby? - dopytywała się nadal ciotka Hortense.

- Nie śpiewam publicznie, śpiewam dla siebie. - Bobby podrapał się po kędzierzawej czuprynie niepewnym gestem; nie miał zamiaru prowadzić uprzejmych rozmów o muzyce z żadnymi ciotkami.

- A więc co zamierzasz zrobić ze swoją przyszłością?

- Nie wiem.

Ciotka Hortense nie miała dzieci, ale w głębi duszy sama była jeszcze dzieckiem.

Uwielbiała nadażać za młodzieżowymi modami i w przeciwieństwie do młodzieży mogła sobie na to pozwolić. Miała wszystkie zabawki - samochody, karty kredytowe i pokrycie w banku, potrzebne, by realizować młodzieńcze fantazje.

- Nie wsadzą cię przecież do więzienia, jeśli nie zostaniesz maklerem. - Ciotka Hortense nachyliła się w stronę Bobby'ego.

- Jeśli nie masz na to ochoty, to marny będzie z ciebie makler. Ludziom najlepiej wychodzi to, co najbardziej lubią. A ty co lubisz?

- Piszę piosenki, trochę gram. - Bobby wzruszył ramionami i uniósł wysoko brwi.

- No to wybierzemy się dzisiaj do nocnego klubu. Poprosimy szefa orkiestry, żeby pozwolił ci zaśpiewać kilka kawałków.

- My nie możemy - naburmuszyła się Maxine. - Monsieur Chardin za nic nie pozwoli nam wyjść wieczorem.

- Ja nie mogę. - Bobby był najwyraźniej speszony. - Skończyło mi się kieszonkowe. Za lunch zapłaciłem tym, co wygrałem od pani w pokera.

- Kiedy kończy się kieszonkowe, zostają na szczęście ciotki. Zjesz jeszcze jedną bezę, Maxine? - ciotka Hortense skinęła na kelnera dłonią o szkarłatnych paznokciach. - Ja sama nie mam wiele, ale starczy na trochę rozpusty. Poproszę monsieur Chardina, żeby zrobił wyjątek dzisiejszego wieczoru. Za tobą, Judy, też się wstawię. Przetanęmy całą noc.

- Naprawdę jest na to gotowa - poinformowała Maxine Bobby'ego. - Ma siłę wołu. Piosenki, które śpiewał Bobby, nie nadawały się zupełnie do tańca, poza tym wprawiły go w zakłopotanie nalegania ciotki Hortense na publiczny popis w mrocznym małym lokalu. Z oporami podjął pertraktacje z czterema podstarzałymi muzykami w skórzanych spodniach i sukiennych kurtkach. Zaczęło się drapanie po głowie, wyjaśnianie, wreszcie Bobby powiedział:

- W porządku, panowie, dajcie mi tylko gitarę, jakoś sobie poradzę. - Przysunął stołek do mikrofonu i zaczął grać.

Nieśmiały angielski chłopiec przeistoczył się, gdy tylko otworzył usta. Zdziwiona Judy wysłuchiwała dwóch znakomitych bluesów wyśpiewanych pełnym głosem przy akompaniamencie posłusznej szczupłym palcom starej klezmerskiej gitary. Bobby skończył, odstawił instrument i zeskoczył z estrady nagradzany gorącymi oklaskami gości, ale ciotka Hortense natychmiast odesłała go z powrotem.

- Orkiestra ma półgodzinną przerwę, nie wymigasz się tak łatwo - oświadczyła stanowczo.

Judy wkrótce miała się przekonać, że Bobby nie uznaje żadnej innej muzyki poza czarną amerykańską. Pod łóżkiem w swoim niedogrzanym pokoiku miał przenośny

gramofon i całą walizkę płyt z bluesami Blind Lemona Jeffersona, T-Bone Walkera i Sunny Boy Williamsona. Obchodził się ze swoimi ukochanymi siedemdziesiątkami ósemkami, jakby były ze szkła; czyścił je po każdym odegraniu, zmieniał niemal codziennie igły w gramofonie, sprawdzał troskliwie, czy żadna z płyt nie została zarysowana.

- Nie mogłabyś napisać do kogoś ze swoich przyjaciół, żeby przysłali jakieś płyty, Judy? - Bobby uśmiechnął się swoim anielskim uśmiechem. - Strasznie trudno jest zdobyć bluesy, nawet w Londynie, a w Szwajcarii to już w ogóle niemożliwe. A więc dlatego jest taki milutki, pomyślała. Nie wierzyła już, że jakkolwiek chłopak może być dla niej miły z czystej sympatii. Wkrótce przekonała się jednak, że źle oceniła Bobby'ego Harrisa. Naprawdę ją lubił; nie miała w sobie nic ze skromnych i schludnych panienek, które tak podobały się jego rodzicom. Polubił Judy, bo była przebojowa, niezależna, przede wszystkim jednak dlatego, że była Amerykanką, a wszystko, co amerykańskie, miało dla niego coś z magii. Drobną, jasnowłosa dziewczyną w znoszonej kurteczce wydawała się równie zachwycająca jak Marylin Monroe na fotografii wiszącej w jego pokoiku.

Judy zaś polubiła Bobby'ego, bo pobudzał ją do śmiechu; pochlebiało jej, gdy porównywał ją do nieznanej blondynki z fotografii. Jego przyjaźń przywracała jej szacunek do samej siebie i poczucie własnej wartości. Znowu zaczęła spoglądać z nadzieją w przyszłość, zamiast wspominać z żalem minione smutki.

Strategia zalotów Bobby'ego polegała na puszczaniu płyt do późnego wieczora. Bez względu na to, o której kończyła pracę, zawsze na nią czekał, gotów otworzyć szeroko okno i pomóc jej wdrapać się do pokoju, gdy gospodyni, przeciwna wizytom, smacznie już spała. Pewnego wieczoru w trakcie słuchania płyt Judy usnęła na podłodze, oparta o ścianę. Obudziła się dopiero rano. Po tym incydencie uznała, że nie warto wracać do Imperialu o czwartej nad ranem nocnymi uliczkami, skoro o szóstej musi być znowu na nogach. Jakoś wytrzymywała prawie bez snu, próbując naśladować Napoleona, któremu wystarczały dwie godziny odpoczynku.

- Chłopak Maxine, Pierre, mówi, że jeśli nie będziesz się przykładał, to wyrzucą cię ze szkoły biznesu - powiedziała któregoś wieczoru, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na wytartym chodniczku w pokoju Bobby'ego. - Powiada, że jesteś arogancki wobec wykładowców i przychodzisz na zajęcia nie przygotowany.

- Ale przynajmniej nie jestem tak głupi jak Pierre. - Bobby majstrował coś przy gryfie swojej gitary, dostrajając struny. - Stary wezwał mnie na dywanik. W gruncie rzeczy chciałbym, żeby mnie wywalił. Nikt mnie przecież nie przyjmie do żadnej roboty. Będę wolny!

- W ten sposób nigdy nie dostaniesz dobrej pracy - zmartwiła się Judy. - Nie możesz tylko ciągle grać tych swoich piosenek. Powinieneś uczyć się wieczorami.

- Nie mów mi, co mam robić - zirytował się Bobby.

- To dla twojego dobra. Myślę o tobie.

- To przestań.

- Co chcesz powiedzieć? - Tylko znowu nie to, pomyślała Judy. Nie chcę stracić kolejnego chłopaka. - Dlaczego mam nie myśleć o tobie? Przecież mnie kochasz, prawda? Tyle razy mi to mówiłeś.

Bobby nic nie odpowiedział.

Telefon z Paryża, panie Harris. - W głosie gospodyni słychać było wyraźną dezaprobatę. Dzwoniła ciotka Hortense z nieoczekiwaną propozycją.

- Jesteś nieodpowiedzialną, zwariowaną staruszką - krzyknął uszczęśliwiony do słuchawki.

- I ja za tobą tęsknię - odparła słodko ciotka Hortense.

- Powiedziałaś im, że chcę śpiewać bluesy, a nie hot jazz? - Bobby wysoko uniósł brwi. Zbyt dobrze to brzmiało, żeby mogło być prawdą.

- Są zachwyceni, zachwyceni. To mały klub, bardzo louche, spodobał im się mój pomysł. Kiedy zobaczą tę twoją buzię aniołka, z miejsca się w tobie zakochają. Bobby zostawił karteczkę dla Judy, po czym wsiadł do pierwszego pociągu do Paryża.

Dwóch mężczyzn w ciągu dwóch miesięcy nie czyni cię jeszcze kobietą upadłą - orzekła Maxine w formie pocieszenia. - Nie twoja wina. - Podsunęła Judy swoją chusteczkę i rozejrzała się po służbowce, w której mieszkała przyjaciółka, myśląc przy tym, że dorastanie wymaga mnóstwa chusteczek do nosa. Raz jeszcze przebiegła oczami słowa nabazgrane w pośpiechu przez Bobby'ego:

...nie powiedziałem ci, bo byłaby awantura... nie lubisz wcale moich piosenek, ale ja muszę spróbować... chyba zrozumiesz... może zobaczysz mnie w klubie Hep Cat, jak przyjedziesz do Paryża. Nie wściekaj się. Całusy. Dbaj o siebie.

Bobby.

- Popeliłam jakiś błąd? - Judy rzuciła się na łóżko i wtuliła głowę w poduszkę. - Dlaczego wszyscy mnie zostawiają? - doszło stłumione pytanie.

- Może za bardzo... rządysz? - podsunęła Maxine. Właściwie była zadowolona, że ten niedobry jej zdaniem związek się rozpadł, choć smucił ją widok zrozpaczonej Judy. - Nie lubią, kiedy im się mówi, co powinni robić. Słyszą to od matek.

- Nie rządę, jestem tylko zdecydowana - łkała Judy. - Czemu nie mogę być, jaka jestem? Nie chcę kłamać ani udawać przed chłopakiem. Chcę, żeby mnie kochał i ufał mi, chcę być dla niego przyjacielem... i przyjaciółką, a nie żadnym powojem.

- No to będziesz miała ciężkie życie, bo chłopcy nie lubią niezależnych dziewcząt. - Maxine wzruszyła ramionami. - Okaż trochę sprytu i bądź czasami odrobinę bezradna.

- Nie umiem grać. Ja chcę być uczciwa. - Judy siadła na łóżku. - Ale skoro tak się rzeczy mają między kobietami i mężczyznami, to spróbuję udawać..

W mroku nie było widać twarzy Sandy, tylko rysujący się tle nieba ciemny zarys sylwetki. Judy słyszała jednak w jej głosie wyraźny ton sympatii.

- A więc to dlatego nie wiesz, kto jest ojcem twojego dziecka.

- Bobby wyjechał do Paryża na początku kwietnia. Pod koniec kwietnia po raz drugi już na próżno czekałam na okres, ale że nigdy nie miałam regularnych miesiączek, za bardzo się nie przejęłam a poza tym nie wierzyłam, że akurat mnie się to przytrafi. Przez wiele lat nie zwracałam potem uwagi na mężczyzn.

- Dlaczego nie zdecydowałaś się na zabieg?

- Jesteś młoda, Sandy. Nie wiesz, jak było jeszcze nie tak dawno temu, jak wyglądała sytuacja kobiety. Byłyśmy uczennicami, nie miałyśmy o niczym pojęcia. Aborcja była nielegalna, w szkole opiekował się nami lekarz katolik.

- Czy któryś z nich ci pomógł, kiedy dziecko się urodziło? - zapytała Sandy. Ona nigdy nie zajdzie w ciążę, a jeśli nawet, to pozbędzie się płodu, przy okazji zaś wydoi faceta, wykorzystując do końca sytuację.

- Początkowo nie chciałam o nic prosić żadnego z nich - odparła Judy z ociąganiem. - Potem jednak przypomniałam sobie słowa Maxine. Dlaczego nie miałabym spróbować kobiecych sztuczek? Kate, Poganka i Maxine bardzo mi pomogły, wszystkie trzy zaofiarowały się, że będą płacić na dziecko, tylko ja sama nie mogłam zarobić grosza, chociaż Lili była moja.

Balkon na chwilę rozblysnął w snopie światła z latarni morskiej i na powrót pograżył się w mroku.

- Maxine dawała pieniądze, które dostawała od ciotki Hortens - ciągnęła Judy. - Poganka też mogła bez trudu pomóc; miała zabezpieczenie w truście powierniczym. Kate korzystała z majątku ojca, a ja byłam piętnastoletnią kelnerką.

Judy przypomniała sobie dzień, w którym doktor Geneste prowadzący ją ginekolog, pozwolił jej zamówić rozmowę międzynarodową ze swojego telefonu. Przypomniała sobie reakcja Curtisa. Nawet na taką odległość słyszała w jego głosie przerażenie.

- Judy, czemu nie powiedziałaś mi wcześniej?

- Jak miałam ci powiedzieć? - krzyknęła do słuchawki. - Właśnie spędzałam miesiąc miodowy na swoim jachcie, gdzieś w drodze na Wyspy Dziewicze.

- Nie martw się. Podaj mi potrzebne szczegóły, wyślę pieniądze obiecay tylko, że Debra nigdy się o niczym nie dowie.

- Naturalnie - zawołała z wdzięcznością. - Przyrzekam ci.

W pełnym świetle reflektorów srebrna folia wokół estrady pustego klubu Hep Cat, położonego w pobliżu Pól Elizejskich, raziała tandetą. Wnętrze cuchnęło cygarami i starym tłuszczem.

- Chcesz zobaczyć swoją córkę, Bobby? - Judy podała mu zdjęcia. Przejrzał je zrazu pobieżnie, potem uważniej, wreszcie zatrzymał wzrok na dużym zbliżeniu pulchnej buzi o ciemnych, okrągłych oczkach.

- Kurde, wykapany tata! Słodka, prawda? - uśmiechnął się Angelface. - Wyciągnął portfel i troskliwie umieścił w nim zdjęcia. - Jedno tylko, Judy. Cicho-sza i mowy nie ma o małżeństwie, kapewu? Nigdy nie było, jasno stawiałem sprawę od początku. Wszystko zostanie między nami, a ja dam, ile mogę.

Judy poczuła ulgę. Nieważne, kto jest ojcem ani jak zdobywa pieniądze, póki jej dziecko ma to, czego mu trzeba. Na razie wszystko układało się pomyślnie, ale trudno przewidzieć, co zdarzy się za moment. Odłoży trochę na czarną godzinę, w razie gdyby mała zachorowała i w ogóle. Miała wyrzuty sumienia, że nie powiedziała Bobby'emu o Curtisie ani Curtisowi o Bobbym, ale wtedy może obydwaj odmówiliby pomocy.

Zza chmur wyszedł księżyc, oświetlając srebrnym blaskiem kopuły Topkapi.

- Dobrze postąpiłaś, złotko - powiedziała Sandy. - Życie dziewczyny z małego miasteczka jest ciężkie, niech tylko ruszy w świat. Trzeba robić wszystko, żeby zdobyć, co się da.
Judy postanowiła przerwać. Nawet Sandy nie zrozumiałaby chyba całej opowieści.

Rozdział szesnasty

4 września 1979

To, co Abdullah opisał Pogance jako miły pałacyk, okazało się imponującą osiemnastowieczną budowlą z arabskimi ogrodami. Szli teraz obydwójce w porannym słońcu ścieżką pośród palm i pnącz bugenwilli w stronę ozdobnej fontanny z białego marmuru. W powietrzu unosił się zapach rozmarynu, róż i jaśminów. Wśród zieleni cicho szemrały strumyki.

Poganka przycupnęła na brzegu fontanny i zanurzyła palce w wodzie.

Abdullah usiadł obok i delikatnie ujął jej moką dłoń.

- Wiem, że trudny ze mnie człowiek, Poganko, i że niełatwy mam zawód. Byłem związany z wieloma kobietami, ale ty byłaś moją pierwszą miłością i chyba na zawsze już pozostaniesz w moim sercu. - Spojrzał na nią. - Szkoda życia, Poganko. Kocham cię i potrzebuję. Zapytam tylko jeden raz i proszę o zdecydowaną odpowiedź. Wyjdiesz za mnie?

Pokiwała powoli głową. Abdullah wziął ją w ramiona i przygarnął do serca.

Obydwójce roześmiali się z widoczną ulgą.

Czuli się jak para spiskowców dzielących sekret nie znany reszcie świata. Abdullah zdawał się nie pamiętać o troskach; niczym rozdokazywany uczeń zaczął snuć plany na przyszłość.

- Nie możemy teraz ogłosić naszych zaręczyn - powiedziała Poganka dużo, dużo później. - Poczekajmy, aż ta cała historia z Lili... zostanie rozwiązana. Nie mogę znieść, kiedy widzę Judy taką przybitą. - Spojrzała z wahaniem na Abdullaha. - Naprawdę nie można jej jakoś pomóc zebrać potrzebnej sumy?

Po cichu obliczała, że dziesięć milionów to raptem nie więcej niż codzienne wydobycie ropy z szybów Sydonii.

- Nie mógłbyś... pomóc jej, Abdi?

Nie powinien był tu przychodzić. Kiedy przeczytał ten obmierzły telegram, w pierwszej chwili pomyślał, że to jakiś obłąkany żart. Kochał kiedyś Lili, zostawiła go, sprawa się skończyła. Miał zamiar zignorować to dziwne wezwanie, ale kiedy Poganka przeczytała mu wiadomość z gazety, zdał sobie sprawę, że Lili naprawdę została porwana. Przylecieli do Istambułu i tu dowiedzieli się, że identyczne telegramy dostali jeszcze inni bogaci mężczyźni, którzy przewinęli się przez życie Lili. Abdullah wolał zamilczeć, że był jednym z adresatów, i nie wywoływać rozgłosu wokół własnej osoby, uznawszy, że pogorszyłoby to tylko sytuację.

- Proszę, pomóż jej, Abdi. - Poganka rozpryskiwała dłonią wodę w fontannie.

- Tłumaczyłem ci już, że nie należy ustępować porywaczom. Pomyśl, ilu ludzi będzie zagrożonych, jeśli okup wpadnie w ręce terrorystów.

To wszystko nic go nie obchodzi, pomyślała. Nie potrafiła pogodzić się u Arabów z tym przedmiotowym stosunkiem do kobiet, szczególnie do kobiet z Zachodu. Przypuścimy, że ona zostałaby porwana. Czy mówilby wtedy tak samo? Może kobiety są dla niego rzeczywiście jak przedmioty. Jedną można zastąpić inną, następną? - To, że dostaną pieniądze, nie daje jeszcze żadnych gwarancji - ciągnął Abdullah. - Kiedy będą mieli pieniądze w rękę, Lili nie będzie im już potrzebna, mogą ją wtedy równie dobrze zabić, choćby dla własnego bezpieczeństwa. Koło fontanny pojawił się służący w czerwonej liberii z wiadomością, że na Jego Wysokość ktoś czeka. Poganka ruszyła w stronę oranżerii. Ledwie trochę się uspokoiła i wrócił jej zwykły optymizm, gdy nagle zobaczyła ruszającego wolno z podjazdu szarego Mercedesa. Na tylnym siedzeniu siedział drobny człowieczek. Sylwetka wydała się jej znajoma, ale przy swoim krótkim wzroku, choć mrużyła oczy i wpatrywała się uważnie, nie mogła wyraźnie dojrzeć twarzy pasażera.

Mark Scott, ubrany jak zwykle w pomiętą koszulę khaki i takie same spodnie, wniósł sfatygowane pudła z kamerami do holu Hanr al Rashida, postawił koło recepcji i zapytał o pannę Jordan.

Od burkliwego recepcjonisty dowiedział się tyle tylko, że panna Jordan opuściła hotel. Jego następne pytanie o wolny pokój też zostało zignorowane.

Włożył pięćdziesięciodolarowy banknot do paszportu, podał recepcjoniście, powiedział, że ma przecucie, iż znajdzie się jednak jakiś wolny kąt, po czym zapytał, pod którym numerem zamieszkała panna Jordan. Recepcjonista odparł, że postara się znaleźć wolny pokój, oddał paszport i położył delikatnie dłoń na przegrodę z numerem 104. Mark rzucił wszystkie bagaże i pognął marmurowymi schodami na pierwsze piętro.

Nie wiedzieć czemu wyobraził sobie, że zastanie Judy samą nie zaś w otoczeniu całej gromady ludzi. Na widok Gregga, Sand i dwóch policjantów zapomniał przygotowanej wcześniej przemowy Spojrzał na Judy i powiedział po prostu:

- Przyjechałem tak szybko, jak mogłem.

Pomyślał, że jest drobniejsza, o wiele bardziej smutna i starsza niż przed kilkoma miesiącami i zapragnął przytulić ją z całych sił do siebie.

- Mogę jakoś pomóc? - zapytał.

- Nie, nic nie możesz zrobić - odparła cicho. - Policja zajęła się wszystkim. Idź już stąd.

- Moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy? - Mark spojrzał na grupkę siedzącą w salonie. - Chciałem ci powiedzieć, co mnie tutaj sprowadza.

Pragnęła go dotknąć, poczuć jego zapach, wziąć w ramiona, ale wiedziała, że nie odważy się wystawić na upokorzenie.

- Wiem, co cię tutaj sprowadza. Idź już, proszę.

- Gdybyś zmieniła zdanie, dam ci znać, gdzie się zatrzymałem, jak tylko znajdę miejsce.

Na dole w holu zajął się swoimi kamerami. Pół godziny później okazało się, że dwójka niemieckich turystów, którzy nie mogą znieść rozpiętanego przez policję i

fotografów pandemonium, postanowiła opuścić hotel. Miał wreszcie pokój. Ponownie wbiegł po schodach, ale Gregg dojrzał go wcześniej i zatarasował drogę.

- Żadne takie, koleś. Szukaj innego miejsca. Judy cię tu nie chce.

- A ty czego? - odparł Mark w tej samej tonacji i pchnął Gregga. Gregg pchnął Marka. Mark stracił równowagę, chwycił się ręki Gregga. Obydwaj zaczęli zjeżdżać w dół po gładkich marmurowych schodach, obrzucając się nawzajem inwektywami. W holu wznowili zapasy. Mark usiłował się podnieść, Gregg chwycił go za nogę, Mark ponownie stracił równowagę.

Nie znali się, Gregg wiedział tylko od Lili, że podobała się Markowi. Mark natomiast nie miał pojęcia, co to za facet utrudnia mu dostęp do Judy. Gdyby nie napięcie odczuwane przez obydwu z powodu porwania, nie doszłoby do bójki, w której znaleźli wyładowanie.

Szarpiących się, kopiających, rozkrzyczanych zapaśników otoczyła grupka fotografów; zaczęły błyskać flesze, zagrzewano znanego większości obecnych Marka do walki, robiono zakłady.

Nagle zapadła cisza. Do holu wszedł pułkownik Aziz z eskortą.

- Z kim walczy pan Eagleton? - zapytał szef policji najbliższej stojącego fotoreportera.

- Z Markiem Scottem. To fotograf, wolny strzelec, ale pracuje głównie dla „Time'a” - odparł zagadnięty. Pułkownik natychmiast przypomniał sobie, że widział to nazwisko na długiej liście adoratorów, którzy według Judy naprzykrzali się Lili.

- Rozdzielić ich i aresztować tego człowieka - polecił pułkownik wskazując na Marka.

Nawykły do aresztowań przez różne obce policje Mark wiedział, że pozostaje mu tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać, póki koledzy dziennikarze, którzy byli świadkami zajścia, nie zadzwonią do redakcji „Time'a”. Redakcja oddzwoni następnie do swojego człowieka w Waszyngtonie, ten szepnie słowo we właściwym departamencie na Kapitolu, do Ambasady USA w Istambule nadejdzie nota dyplomatyczna, trafi do tureckiego MSW, a wtedy już wystarczy telefon stamtąd na policję z poleceniem uwolnienia zagranicznego dziennikarza. Cała ta zwyczajowa procedura nie powinna zająć więcej niż jeden dzień.

Był nadal święcie przekonany, że został aresztowany za udział w bójce, nie zaś jako podejrzany o dokonanie kidnapingu.

Około trzeciej nad ranem pułkownik Aziz wezwał go na przesłuchanie.

Doprowadzono go z celi i posadzono przed obliczem szefa policji.

- Został pan aresztowany za zakłócanie spokoju w hotelu Harun al Rashid.

Zatrzymałem pana dla uzyskania informacji w związku z porwaniem francuskiej aktorki, Lili. Jutro dostanie pan adwokata z urzędu. Ma pan prawo nie odpowiadać na pytania, radzę jednak, by nie utrudniał pan dochodzenia.

- Ile już tu siedzę? - zapytał zaskoczony Mark. - Chcę się skontaktować ze swoją ambasadą. Macie mój paszport, z którego jasno wynika, że wjechałem do Turcji dopiero wczoraj. To chyba wystarczające alibi? Nie sądzi pan chyba, że zorganizowałem porwanie siedząc w Nikaragui?

- Paszporty można fałszować. Na razie nikt pana nie oskarża o kidnaping, niemniej to ciekawe, że sam pan doszedł do takiego wniosku. Jak długo zna pan mademoiselle Lili?

- Nie pański interes.

- Ależ jak najbardziej. Proszę uważać na słowa, panie Scott. Mógł pan z łatwością dokonać tego przestępstwa. Jest pan przyzwyczajony działać wbrew prawu na terenie obcych państw, potrafi pan prowadzić sprytnie, nielegalne akcje, a ja wiem od panny Jordan, że coś pana łączyło z ofiarą.

- Jestem pewnie jedynym podejrzanym, jakiego udało się panu złapać?

- Proszę uważać, powtarzam. Znajduje się pan daleko od domu, panie Scott. Nie możemy wykluczyć, że jest pan wplątany w tę sprawę, ma pan motyw.

- Motywy? Dlaczego miałbym to zrobić? - Mark roześmiał się zakładając ręce na kark.

Z kąta ruszył się policjant, szturchnął Marka pod żebra, ten natychmiast opuścił ręce.

- Mógł pan działać z chęci zemsty. Mógł pan porwać mademoiselle Lili, ponieważ nie chciała mieć z panem nic wspólnego.

- Idiotyczny pomysł! Między nami nic nie było. - Mark nie był zaniepokojony, raczej zirytowany, starał się jednak nie okazywać złości. Nie powinien drażnić tego nadętego ważniaka, ale też mówić możliwie najmniej i w ten sposób przetrwać najbliższe dni.

- Ale pan mógł pragnąć, żeby coś było, panie Scott. Jest pan podejrzany, ponieważ znał pan mademoiselle Lili, a my mamy powody sądzić, że została uprowadzona przez kogoś, kogo dobrze znała. Wymyślając jakąś wiarygodną historyjkę, z łatwością zdołałby pan namówić ją do opuszczenia hotelu.

- Niech pan uważnie obejrzy mój paszport, coś takiego trudno podrobić - Mark wskazał wzrokiem na leżący na stole dokument z oślimi uszami, wyszargany, po wielokroć konfiskowany, ostemplowany dziesiątkami różnych wiz. - Moi szefowie będą wkrótce próbowali się z panem skontaktować. Ma pan także moją akredytację, wie pan zatem, jakie mam powiązania.

- Zabrać go z powrotem do celi - polecił pułkownik stojącemu za plecami Marka policjantowi.

Następnego ranka Mark został zwolniony. Zwrócono mu wszystkie jego rzeczy. Zrezygnowany podpisał odbiór, wiedząc, że na liście nie będzie ani gotówki, którą mu wcześniej odebrano, ani jego najcenniejszej kamery.

Curtis spacerował z Judy po małym parku nad Bosforem.

- Wiesz już, co myślę o tych obrzydliwych telegramach. O historii z Bobbym Harrisem powiedziałam ci tyle, ile mogłam powiedzieć. Nie byłoby tego, gdybyś mnie nie opuścił.

Po latach życia w poczuciu winy Curtis nie wierzył własnym oczom, gdy zaraz po przyjeździe do istambulskiego Hiltona natrafił w „International Herald Tribune” na notkę o telegramie wysłanym do Angelface'a.

Sam uczciwy, nie mógł zrozumieć matactw Judy.

- Pozwoliłaś mi wierzyć, że Lili jest moją córką, prosiłaś o pieniądze na jej utrzymanie, gdy była dzieckiem.

- Przykro mi, Curtis. Z trudem przychodzi mi słuchać własnych słów, ale nie wiedziałam wtedy, który z was jest ojcem. Płaciłeś dwadzieścia pięć procent wszystkich kosztów jej utrzymania, a jest bardziej niż w jednej czwartej prawdopodobne, że jesteś jej ojcem.

- To nadal nie jest wykluczone!

- Nie - stwierdziła Judy ze smutkiem, acz stanowczo. - Lili z wiekiem jest coraz bardziej podobna do swojego ojca, bardziej może nawet z usposobienia niż z wyglądu. Przykro mi, że cię w to wszystko wplątałam, ale gotowa byłam wówczas zrobić wszystko dla jej dobra. Obydwaj, ty i Bobby, łożyliście na nią do szóstego roku życia, dopóki nie dotarła do mnie wiadomość o jej śmierci. Zostały mi wtedy jeszcze jakieś pieniądze, które poszły na poszukiwania Lili w obozach uchodźców. Wydałam wszystko, wpadłam w długi.

- Tak czy inaczej, łożyłem na nie swoje dziecko. Czemu kłamałaś występując w telewizji? Czemu opowiadałaś, że ojcem Lili by brytyjski żołnierz?

Judy odwróciła się i spojrzała w zagniewaną twarz Curtisa.

- Powinieneś być raczej wdzięczny, że nie wymieniłam twojego nazwiska. - Teraz ją poniosła złość. - Czy wiesz, co to znaczy desperacja? Nigdy nie zaznałeś biedy, nigdy nie byłeś zdesperowany nie musiałeś walczyć o przetrwanie.

Przypomniała sobie ponury, zimowy dzień tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku; wróciła właśnie do Nowego Jorku z Europy, gdzie na próżno szukała Lili we wszystkich obozach dla uchodźców, którzy po upadku powstania na Węgrzech szukali schronienia w Austrii.

Wysiadła z samolotu po cztenastogodzinnej podróży, na ostatnich nogach dotarła do swojego mieszkania na Jedenastej Wschodniej, rzuciła nędzną walizkę na podłogę w przedpokoju. Czula się opuszczona, samotna. Trzy miesiące po urodzeniu Lili, nie mogąc zapewnić małej utrzymania, musiała oddać ją obcym ludziom. Nigdy później jej nie widziała, a teraz córka nie żyje i nigdy już jej nie zobaczy. Miała uczucie, że cały świat sprzysiągł się przeciwko niej. Wszystko straciło sens. Nigdy niczego nie osiągnie, życie będzie pozbawionym celu, nieustannym zmaganiem się z przeciwnościami. Po co? Wszyscy chcieli tylko brać, brać, brać. Nieważne, co potrafi, nieważne, jak się będzie zapracowywała, nigdy nie przebije się w nowojorskiej dżungli.

Zajrzała do skrzynki na listy. Rachunki, rachunki, rachunki, a do tego dług u Pat Rogers za bilety lotnicze do Europy. Pat była kierowniczką działu w biurze, w którym pracowała. Pat wiedziała jak Judy nie znosi pożyczać pieniędzy, jak bardzo ją to upokarza wiedziała także, że Judy nie przetrwa w Nowym Jorku tylko dzięki własnej sile witalnej i ambicji, o jednym hot-dogu dziennie, dzielonym na trzy części. Wpatrując się teraz w ciemne wody Bosforu, z całą wyrazistością przypominała sobie prześladowające ją w tamtych czasach uczucie głodu, biedę nie pozwalającą na jazdę autobusem, na reperację butów. Pomimo całego późniejszego luksusu, pozostała nadal tą samą dziewczyną, dzielącą hot-doga na trzy kawałki, pełną zrozumienia dla innych startujących w życie dziewczyn, którym los nie przetrzącił na

razie karku i których nie zdążyli jeszcze wystawić do wiatru młodzi cwaniacy nie znający żadnych problemów.

Spojrzała na Curtisa i nagle przestała mieć skrupuły. Czemu nie poczęstować go jeszcze jedną informacją?

- Muszę cię ostrzec. Turecka policja podejrzewa, że w porwanie może być zamieszana twoja żona.

Curtis stanął i zagapił się na Judy.

- Debra?

- Pamiętasz, opowiadałam ci o tym feralnym przyjęciu, przed londyńską galą Lili. Okazało się, że to Debra była anonimowym fundatorem. Dowiedziałam się o tym dzisiaj rano.

Z twarzy Curtisa rzadko dało się wyczytać, co czuje, ale teraz malowało się na niej przerażenie. Nie wiedzieć skąd miał pewność, że tym razem Judy mówi prawdę.

- Turcy poprosili o pomoc Scotland Yard, sprawdzono księgi hotelowe, potem bank. Przelew dokonano z konta Debry w Filadelfii.

- Dobry Boże! - Nie po raz pierwszy w życiu Curtis pożałował, że nie został w Szwajcarii z Judy, zamiast dla zaspokojenia rodzinnych ambicji żenić się z tą Puską Pandory.

- Ale po co jej dziesięć milionów dolarów? Ma znacznie więcej.

- Turecka policja uważa, że Debra mogła chcieć śmierci Lili i że ta cała zwariowana historia z okupem to tylko zasłona dymna, za którą kryje się morderstwo - głos Judy załamał się raptownie. - Powiedzieli mi, że jeśli znajdą ciało Lili, Debra będzie pierwszą podejrzaną. Przykro mi, Curtis, że ci to mówię. To nie może być prawda, ja w każdym razie nie wierzę. Tylko ktoś szalony mógłby zrobić coś podobnego.

- Muszę natychmiast wracać do domu - oświadczył. Nim pojedzie na lotnisko, jeszcze z Hiltona zadzwoni do Harry'ego i do doktora Josepha. Nie miał odwagi sięgać myślą dalej.

Ubezpieczenie na wypadek porwania? - Na twarzy Judy pojawiła się nadzieja. -

Chcecie powiedzieć, że Omnium opłaciło ubezpieczenie i że towarzystwo ubezpieczeniowe będzie mogło zapłacić okup? Cudownie! - Rozpogodzona spojrzała na trzech mężczyzn, którzy czekali w jej pokoju, aż wróci ze spaceru.

Oscar Sholto, radca prawny Omnium, pojawił się w towarzystwie puciołowatego człowieczka, niejakiego Steve'a Wooda, przedstawiciela Special Risk, Inc., paryskiej firmy ubezpieczeniowej, z której usług korzystała wytwórnia. Zmęczony, błądy pułkownik Aziz był tu jak zwykle z racji prowadzenia czynności dochodzeniowych. Ciemnowłosy Oscar Sholto musiał być kiedyś przystojnym człowiekiem; z wiekiem stracił nieco na urodzie.

- Jak się pani zapewne orientuje, panno Jordan, często ubezpiecza się gwiazdy angażowane do wielokonkładowych filmów. Omnium włożyło już miliony w produkcję Heleny Trojańskiej.

- Bardzo się cieszę, słysząc to wszystko. - Judy z uśmiechem usiadła na krześle. - Dla firmy ubezpieczeniowej może to mniej przyjemna wiadomość, ale ja odzyskam wreszcie córkę...

- Muszę panią ostrzec, panno Jordan - wtrącił Oscar - że Omnium nie może czynić żadnych kroków, które byłyby sprzeczne z działaniami policji tureckiej, ta zaś przeciwna jest wypłaceniu okupu, gdyż kłóci się to z zasadami przyjętymi przez państwo. Żadnych pieniędzy dla porywaczy, bo to stanowiłoby tylko zachętę do kolejnych aktów przemocy. Celem tutejszych władz jest odnalezienie sprawców kidnapingu, co zapewne trochę potrwa. - Złożył pulchne dłonie na obrusie i mówił dalej: - Niemniej turecka policja musi wybrać między dwiema możliwościami. Nie chcą przekraczać prawa przymykając oko na sprawę okupu, ale nie chcą też w swoim kraju międzynarodowych afer.

- Muszą przecież pozwolić na przekazanie pieniędzy! - Z twarzy Judy zniknął uśmiech.

- Próbujemy właśnie powiedzieć pani, że rząd turecki może nie wyrazić zgody - tłumaczył Oscar.

- To co zamierzacie, skoro wniesienie okupu jest wbrew tureckiemu prawu? - przerwała mu Judy.

- Musimy znaleźć jakiś kruczek, który pozwoli nam obejść przepisy. Może udałoby się wypłacić okup za granicą tureckich wód terytorialnych - odparł Oscar.

- Jedyne, co możemy w tej chwili - odezwał się Steve z towarzystwa ubezpieczeniowego - to czekać na kontakt. Porywacze zapewne zażądadają, żebyśmy oczekiwali na dalsze wskazówki pod telefonem bez podsłuchu. Dadzą nam trochę czasu.

- Czas! - zawołała Judy. - Ile? Miesiące, lata?

- Dwa tygodnie - odpowiedział Oscar. - Special Risk pokrywa także wszystkie straty wytwórni wynikłe podczas produkcji Heleny Trojańskiej. Powinniśmy zacząć zdjęcia w najbliższych tygodniach.

- To jeszcze mnóstwo czasu - włączył się Steve. - Przede wszystkim jednak musimy nawiązać kontakt z porywaczami, upewnić się następnie, że rzeczywiście trzymają Lili, potem ustalić, w jaki sposób mają zamiar ją uwolnić, wreszcie wynegocjować cenę.

- Wiemy przecież, jakiej żądają ceny! - krzyknęła Judy. - Chcą dziesięciu milionów dolarów.

- W Special Risk zawsze próbujemy się targować - odparł spokojnie Steve. - Przeciagając negocjacje, umożliwiamy policji namierzenie przestępców.

- Gdy tymczasem wasze towarzystwo oszczędza oczywiście pieniądze. Judy miała już dość uprzejmych niedomówień, chciała wiedzieć, w jaki sposób może odzyskać córkę. Doskonale pojmowała taktykę towarzystwa ubezpieczeniowego polegającą na zasadzie: czy ty ukradłeś, czy tobie ukradli - płać. Steve przyjechał tylko po to, by wyjaśnić jej, dlaczego towarzystwo nie zamierza wypłacić ubezpieczenia. Nie dziwiło jej to zbytnio. Sama niegdyś, kiedy zaczynała pracować w biznesie, wkładała sporo wyobraźni w zwodzenie właściciela jej kawalerki na Jedenastej Wschodniej.

- Kiedy tylko nawiążemy kontakt z porywaczami - prawil gładko Steve - zaczniemy się targować. Powiemy, że wypłata musi zostać potwierdzona przez szereg osób w Stanach Zjednoczonych, a pieniądze przekazane w sposób możliwie dyskretny.

Wytargujemy pięć dni zwłoki. Potem zawiadomimy, że udało się podjąć tylko pięć milionów i poprosimy, by zechcieli jeszcze poczekać. Kiedy zobaczą pięć kawałków, przystaną na naszą propozycję. W końcu zadowolą się sześcioma milionami. - Steve rozejrzał się wokół, po czym ciągnął dalej: - Będziemy cały czas grać na zwłokę. Może policja natrafi tymczasem na ślad Lili, a my unikniemy konieczności...

- Wyplacenia pieniędzy - przerwała mu gniewnie Judy. - Omnium zbiło na Lili majątek - zwróciła się do Oscara Sholto. - Jeśli zginie, wyschnie wasze źródło dochodów, prawda?

- Panno Jordan, Omnium, podobnie jak pani, chce przekazać okup możliwie najszybciej - odparł Oscar. - Dlatego opłaciliśmy tak wysokie ubezpieczenie.

- Jestem tutaj, by wręczyć pieniądze właściwym ludziom pod warunkiem, że osiągniemy swój cel - wtrącił Steve. - Uczynimy wszystko, by uwolnić Lili tak szybko, jak tylko się da.

Na twarzy Judy malowała się panika. Steve nieraz już zetknął się z wrogością ze strony rodziców, dodał więc z naciskiem:

- Proszę pamiętać, panno Jordan, że gdy tylko zaczniemy pertraktować z kidnaperami, życiu Lili nie powinno już zagrażać niebezpieczeństwo.

Judy posłała mu zimne spojrzenie.

- Jestem jej matką i uważam, że każdy dzień zwłoki oznacza zwiększanie ryzyka. Nie mogę myśleć spokojnie, że jest teraz w rękach jakichś bandytów.

- Jeśli mamy do czynienia z operacją terrorystyczną to nie bandyci - Steve próbował jakoś rozładować wrogą atmosferę. - Jeśli to terroryści, nie ma wśród nich doprowadzonych na skraj nędzy chłopów, próbujących wziąć odwet na społeczeństwie, raczej wykształceni idealisci z klasy średniej, którzy powinni łagodnie obchodzić się z pani córką, panną Jordan. Robią to tyle dla pieniędzy, co ze względów ideologicznych.

- Kimkolwiek są, nie rozumiem, dlaczego dotąd nie nawiązali z nami kontaktu i nie udzielili instrukcji, jak należy przekazać pieniądze.

- Dlatego właśnie skłonny jestem sądzić, iż to terroryści - oświadczył Steve. - Im nie zawsze zależy na pieniądzu. Chcą rozgłosu. Im dłużej zajmują uwagę opinii publicznej, tym lepiej dla ich sprawy. Terroryści grają nieczysto, bo jest ich niewielu i nie mają pieniędzy na prowadzenie takiej walki, jak by chcieli. Porwanie jest stosunkowo tanim sposobem nagłośnienia programu grupy. Do tego nie trzeba ani wielkiej armii, ani drogiego sprzętu, a można jeszcze przy tym zarobić. Ich bronią jest zastraszenie - zabić jednego człowieka i wywołać panikę wśród milionów.

- To straszne. - Spojrzała na Oscara i Steve'a, którzy zaczęli wkładać papiery do teczek.

Oscar wstał i wyciągnął ku niej dłoń.

- Proszę się nie martwić, panno Jordan. Kiedy nawiążemy kontakt z terrorystami, niebezpieczeństwo się zmniejszy. To tylko kwestia czasu.

- Martwimy się także o panią - dodał Steve. - Wolelibyśmy, żeby opuściła pani Turcję. Wkrótce zaczną napływać dziesiątki fałszywych informacji, będą się zgłaszać fałszywi świadkowie. Za każdym razem będzie się pani ludzi nadzieją i przeżywać gorzkie rozczarowanie.

Z różnych powodów Steve zawsze usiłował wyprawić jak najdalej rodzinę ofiary. Po pierwsze, po nawiązaniu kontaktu zdesperowany krewny odczuwał nieodmiennie nieodpartą chęć podzielenia się wiadomością z jednym tylko przyjacielem (co było regułą) i w ciągu dwudziestu czterech godzin sprawa stawała się tajemnicą publiczną. Po drugie, nigdy nie wiadomo, co takiemu może strzelić do głowy. Może odmówić współpracy z policją albo zgodzić się współpracować, by potem zmienić zdanie nikogo nie informując, udaremniając starannie przygotowane plany i zasady.

- Nigdzie się nie ruszę - krzyknęła Judy. - Mam prawo być tutaj, nie zostawię córki. Pan natomiast nie ma prawa zmuszać mnie do wyjazdu. Chcę wiedzieć, co się dzieje, i nalegam, by panowie informowali mnie o wszystkim.

- Twarda baba - mruknął Steve, gdy wsiadali do samochodu.

- Będziemy ją o wszystkim informować? - zapytał Oscar. Steve popatrzył na obozujących pod hotelem fotografów.

- Ma się rozumieć, że nie. To szaleństwo. Jest w takim stanie, że może w każdej chwili wpaść w histerię, nie możemy ryzykować. Będziemy jej mówili jak najmniej. Pół godziny później Judy i Poganka siedziały w saloniku hotelowego apartamentu sącząc wodę z lodem. Judy kończyła właśnie opowiadać przyjaciółce o konferencji z przedstawicielami Omnium i firmy ubezpieczeniowej.

- Nie mogę znieść tej bierności. Czekanie doprowadza mnie do szału - stwierdziła.

- Wiesz, dostałam dzisiaj list od Kate wysłany z Londynu - powiedziała Poganka, chcąc zająć czymś przyjaciółkę. - Kupiła maszynę do pisania, Remingtona z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku, zapłaciła siedemset dolarów, następne pięćdziesiąt kosztowała ją taśma w sklepie ze starociami. Pisze, że wielkie mocarstwa - Chiny, Rosja i Stany - zaangażowały się w wojnę w Chittagong i że nie jest to, jakby się z pozoru wydawało, tylko lokalna rozgrywka. Twierdzi, że zanoszą się na kosztowną, bezsensowną wojnę nie do wygrania, jak w Wietnamie.

- Jeszcze jakieś dobre wieści?

Poganka obracała w ręku pomięte, niebieskie kartki.

- Przesłuchiwali ją przez dwie godziny. Boi się, że wyrzucą ją z Bangladeszu. Poza tym wszystko w porządku, czuje się szczęśliwa, jak zawsze, kiedy wpada w tarapaty.

Judy nic nie odpowiedziała.

Zamilkły obydwie. W ciszy rozpraszanej tylko szumem z ulicy i monotonnym pluskiem wody rozległo się nagle pukanie.

Judy poderwała się i skoczyła do drzwi. W progu stał boy hotelowy z bukietem róż, identycznym jak ten, w którym porywacze ukryli swój pierwszy list. Chwyliła kwiaty i chcąc dostać się do umieszczonej między różami koperty, nerwowo rozerwała celofan.

- Bogu dzięki! Wreszcie się odezwali.

Poganka patrzyła jej przez ramię, jak rozrywa małą kopertę i wyciąga krzykliwy, firmowy bilecik kwaciarni.

Judy z jękiem rzuciła bilecik, jakby parzył ją w palce, padła na fotel i zaczęła płakać. Poganka podniosła różowo-żółty kartonik. Pod drukowanymi życzeniami dojrzała kilka linijek wystukanych na maszynie.

Proszą umieścić milion banknotów dziesięciodolarowych w walizce. Jutro o szóstej wieczorem na promie „Guzelhisar” kursującym między brzegami Bosforu odbierze ją człowiek z czerwoną przepaską na ramieniu. Dalsze instrukcje nadejdą. Nikomu ani słowa. Jeśli Pani nie posłucha, Lili zostanie uduszona jedwabnym sznurem.

Była już prawie północ. Abdullah jeszcze pracował w zielonym gabinecie. Kiedy do pokoju wpadła zadyszana Poganka, z uśmiechem wskazał na gazetę.

- Zobacz, co piszą w „Tribune”.

Na pierwszej stronie widniała krótka notka o śmierci senatora Ruskingtona. Ciało znaleziono w waszyngtońskim mieszkaniu pewnej francuskiej call girl.

- Lili jest teraz czysta, a problemy finansowe Judy rozwiązane. Poganka łapała oddech po biegu przez długie korytarze.

- To cudowna wiadomość, kochanie. To znaczy, chciałam powiedzieć, że przykro mi z powodu jego śmierci, ale stary łajdak sam prosił się o kłopoty.

- Czemu jesteś taka zadyszana? Coś się stało?

- Chciałam, żebyś to zobaczył - Poganka wyciągnęła ku niemu dłoń ze świstkiem papieru. - Judy dostała wiadomość od porywaczy. To kopia.

Abdullah przeczytał notkę.

- Ciągle nie umiem powiedzieć, czy to sprytni naciągacze, czy szaleńcy. Brzmi to jak groźby kierowane pod adresem jakiegoś osiemnastowiecznego króla. Kiedy z Topkapi chciano się pozbyć królewskiej konkubiny, duszono ją jedwabnym sznurem. Zwyczajne hurysy wsadzano do worka obciążonego kamieniami i topiono w Bosforze. Był król, który w ten sposób wyprawił na tamten świat dwieście osiemdziesiąt nałożnic. Jeszcze po latach nurkowie znajdowali te koszmarnie ładunki kołyszące się na dnie niczym w takt piekielnej muzyki.

- Wiem, kochanie, już mi o tym opowiadałeś. Dawno, dawno temu. Co myślisz o reszcie tego listu?

- Policja powinna zrobić zasadzkę na promie i na obydwu przystaniach. Często bywa jednak tak, że pierwsze spotkanie z bandytami nie dochodzi do skutku. Sprawdzają tylko, jak zareaguje adresat i policja. A jednak to ostatnie zdanie brzmi dziwnie.

Dlaczego nie napisali po prostu, że zabijają Lili?

- Nie mogę o tym myśleć. - Poganka zalała się łzami.

- Moje kochanie, już późno, obydwójecie jesteście zmęczeni. Kładźmy się spać, a rano zobaczymy, jakie wnioski potrafią z tego listu wyciągnąć moi ludzie.

Rozdział siedemnasty

5 września 1979

Poganka nie mogła usnąć. Kręciła się niespokojnie w łóżku, wreszcie o trzeciej nad ranem postanowiła wyjść do ogrodu. Niczym nie ryzykowała; teren ambasady, zabezpieczony systemem alarmowym, był dodatkowo strzeżony przez wartowników.

Wiedziała, że ktoś obserwuje jej wędrówkę wśród krzewów rozmarynu ku okrągłemu basenowi, w którym mieszkała rodzina żółwi wodnych. Człowiek nie mógł marzyć o samotności tam, gdzie zatrzymywał się Abdullah. Przy drzwiach jego sypialni czuwali ochroniarze, w korytarzach zawsze był ktoś ze służby. Siadając na kamieniu obok sadzawki, przepłoszyła szarego kota; zwierzę umknęło z prychnieniem i skryło się w ciemnościach. Coś nie dawało jej spokoju, coś, czego nie mogła sobie przypomnieć, a co tkwiło w pamięci, niczym list pozostawiony bez odpowiedzi.

Nagle poderwała się, o mało nie wpadając przy okazji do wody. Ćwiczenia gimnastyczne w biurze PRZEBOJEM!, instruktor opowiadający o swoim haremie. Wszyscy potraktowali to jako żart, ale Tony mówił poważnie i śmiechy dziewcząt najwyraźniej go dotknęły. Poganka powiedziała mu wtedy o królewskich konkubinach duszonych jedwabnymi sznurami. To nie może być zbieg okoliczności. Tony jest człowiekiem, którego Lili знаła i któremu ufała, mógł ją z łatwością wywabić z hotelu. Tony musi być jednym z porywaczy!

Zaczęła biec w stronę pałacu, gubiąc po drodze pantofel. Gdy nie udało jej się dodzwonić do Judy, zamówiła samochód u zaspanego portiera przy głównym wejściu. Hotelowa telefonistka widocznie przysnęła.

Jechała szybko pustymi ulicami, wdychając zapach zerwanego w ogrodzie jaśminu i zastanawiając się, jak bolesna musiała być dla Judy ponowna utrata córki.

Przypomniała sobie ich wspólne zdjęcie na okładce PRZEBOJEM!. Były na nim tak podobne do siebie - obydwie drobne i kruche, o dłoniach jak pazurki - i tak różne: niebieskooka, jasnowłosa Judy i egzotyczna Lili. Zdjęcie ujawniało też w jakiś sposób dystans panujący między nimi. Choć zapewne obydwie bardzo pragnęły zbliżenia, Poganka wątpiła, czy udało im się je osiągnąć. Pozostawały dla siebie obce, dalekie, tyle je łączyło, ile dzieliło. Staraly się, to prawda, pamiętały o ważnych dla siebie datach, i wysyłały okolicznościowe życzenia, zasiadały w milczeniu do wspólnych kolacji, chodziły razem do teatru czy kina, bo zwalniało je to od konieczności prowadzenia rozmów, i nie czuły się ze sobą dobrze.

Zastanawiała się nad ich zmaganiem, nad zażyłością, której nie mogły się dopracować. Czy z nią i Abdim miałyby być podobnie? Czasami, kiedy się kochali, spoglądała na swoją jasną, angielską skórę i jego ciemne ciało. Choćby był najczulszy, a jej reakcje najbardziej żywe, czuła się wtedy oddalona od niego o całe lata świetlne.

Lili w jakiś sposób przypominała jej Abdullaha. Obydwoje w defensywie uciekali się do agresji, obydwie byli porywczy, obydwie byli takimi samymi łakomczuchami. Czasami, kiedy Lili odrzuca głowę do tyłu, niczym rozdrażniony ptak, wygląda jak Abdullah.

Nagle chaotyczne, migawkowe fragmenty zaczęły układać się w groźny i ponury obraz. Cisnące się do głowy wnioski były tak niemiłe, że w pierwszej chwili próbowała o nich zapomnieć, ale uporczywa myśl wracała natrętnie. Czy to możliwe, że Judy spała z Abdullahem? Czy mógł być ojcem Lili? Przypominała sobie wszystkie kłamstwa Judy, od desperackich matactw w czasach biedy, po to dziwne kłamstwo o zastrzelonym gdzieś w dżungli Nicku, zmyślane dla Lili, a potem

powtórzone publicznie w telewizji, choć wszyscy przyjaciele Judy wiedzieli, że Nick co prawda oglądał się za nią, ale między nimi nic nigdy nie było i Nick z pewnością nie mógł być ojcem Lili. Przypomniała też sobie jeden z ostatnich przed śmiercią żartów Christophera. Powiedział, że dwoje niebieskookich rodziców nie mogło żadnym sposobem spłodzić ciemnookiej córki. I Curtis, i Angelface mieli niebieskie oczy. Spyros nie kręcił się w Gstaad, gdy one tam mieszkały, zatem to również nie on. Może nie dostałabym Nobla w dziedzinie genetyki, pomyślała podjeżdżając pod hotel, ale nie sposób ignorować oczywistych faktów.

Idę o zakład, że to Tony napisał tę kartkę - przekonywała siedzącą w łóżku zaspaną Judy. - Przypominasz sobie tę głupią sprzeczkę na temat haremów w czasie gimnastyki, wtedy w Nowym Jorku?

- Nie bardzo.

- Byłaś przecież wtedy, kiedy opowiadałam Tony'emu o duszeniu nieposłusznych konkubin jedwabnym sznurem - upierała się Poganka.

- Ten list to nie przypadek.

- Pół Istambułu zna tę opowieść dla turystów. Chcesz mi wmówić, że facet, który potrafi tylko machać hantlami na Piątej Alei, zorganizował porwanie w Turcji? - Judy jeszcze nie rozbudziła się do końca.

- Nie, nie twierdzę, że ten tępy osiłek potrafiłby sam to wymyślić

- odparła Poganka. - Musi mieć współników.

- To bardziej prawdopodobne. - Judy wyskoczyła z łóżka i naciągnęła kremowy szlafroczek. - Nadal jednak nie wiemy, gdzie ją trzymają.

- Nie wiemy. - Poganka podeszła do okna. Pomimo napięcia patrzyła oczarowana na Haghia Sophię i Błękitny Meczet, które zdawały się unosić na wodzie. - Skojarzyłam Tony'ego z listem dzięki królewskim nałożnicom. Gdzie je trzymano?

Spojrzała na kopuły Topkapi i nagle przyszło jej do głowy, gdzie Tony mógł znaleźć kryjówkę. W miejscu, w którym nikt nie będzie szukał, w pilnie strzeżonym miejscu, do którego nikt nie miał wstępu.

Pobiegły do samochodu. Kiedy limuzyna ruszyła, w ślad za nią ruszył zdezelowany Mercedes.

Po drodze Judy z ociąganiem potwierdziła, że Abdullah jest ojcem Lili i opowiedziała, jak do tego doszło.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi wtedy? - zapytała wreszcie Poganka przerywając ciężkie milczenie.

- Nie mogłam. Byłaś moją przyjaciółką kochałaś się w nim. Jak mogłam ci powiedzieć, że twoje bożyszczko mnie zgwałciło? Co dobrego by z tego wynikło? W jego oczach nie był to nawet gwałt. Ot, księciu spodobała się służąca. Jestem pewna, że nie pamięta tego epizodu i że teraz tak by nie postąpił. Wszyscy tak bardzo zmieniliśmy się od tamtego czasu.

Poganka milczała. Judy położyła jej dłonie na ramionach i obróciła twarzą do siebie.

- Proszę, nie rujnuj sobie przyszłości z powodu jakiegoś koszmarne zdarzenia, które przytrafiło się lata temu mnie, a nie tobie.

Poganka zrobiła wojowniczą minę.

- I nie powinnaś mówić o tym Abdullahowi - ciągnęła Judy. - Z tych samych powodów, dla jakich ja nie powiedziałam Lili, kto jest naprawdę jej ojcem. Wszyscy wiedzą, że łączył ich namiętny romans. Nieświadomie popełnili kazirodztwo. Po co obciążać poczuciem winy dwoje ludzi, na których nam zależy? To niepotrzebne.

- Czy ktoś jeszcze o tym wie? - zapytała wreszcie Poganka.

- Tylko jedna osoba. Maxine odgadła, kiedy zobaczyła Lili u Pierre'a. Nic wtedy nie powiedziała. Zapytała mnie dopiero dużo później, pewnej niedzieli, gdy Tony zabrał nas do Westchester na lunch z Griffinem. Powiedziała, że teraz podobieństwo jest niewielkie, ale kiedy zobaczyła Lili, natychmiast przypomniał jej się Abdullah z czasów młodości. Lili ma jego karnację, rysy, sposób bycia... i gwałtowny temperament.

Judy pamiętała, że obeszło się wtedy bez słów. Maxine odgadła z wyrazu jej twarzy, że to prawda. Co więcej, domyśliła się od razu, dlaczego Judy nie potrafiła nawiązać serdecznego kontaktu z Lili, córką jej gwałciciela. Na próżno usiłowała zapomnieć, o czym Lili nie miała pojęcia, że jest dzieckiem urodzonym z przemocą i nienawiści. Chciałybyśmy zobaczyć tę część haremu, która jest normalnie zamknięta dla turystów. - Poganka złożyła banknot i usiłowała wetknąć go w kieszonkę koszuli jednego z pałacowych przewodników.

- Przykro mi, ale to zabronione. Nic nie poradzę - odparł Turek przyzwyczajony do ciekawskich turystek mających więcej pieniędzy niż oleju w głowie, po czym wyprosił Judy i Pogankę z holu wejściowego.

- Cholera. - Poganka wyszła na zalany porannym słońcem dziedziniec. - Powinnam była zaproponować więcej.

Judy nie zwróciła uwagi na jej słowa, wcisnęła głębiej na nos okulary w szylkretowej oprawie i rozglądała się uważnie po krużgankach wokół dziedzińca.

- Poganko, to głupie, ale chyba widziałam przed chwilą Marka. Powoli ruszyły w stronę bramy, gdy nagle Judy odwróciła się gwałtownie o mało nie tratując przy okazji jakiejś pary niemieckich turystów.

- To na pewno on. Widziałam go. Mark! Mark! - Biegła w stronę podcieni, ciągle wykrzykując jego imię, gdy nagle między kolumnami pojawiła się znajoma sylwetka w ubraniu w kolorze khaki. Zatrzymała się przed nim zadyszana.

- Co tu robisz? Myślałyśmy, że siedzisz w więzieniu jako główny podejrzany.

- Wypuścili mnie, gdy tylko redakcja uruchomiła odpowiednie kanały i przycisnęła pułkownika Aziza. Jechałem za wami kierując się zasadą wozu strażackiego, która brzmi: jedź za strażakami, a natrafisz na źródło ognia. No i gdzie wasz ogień, Judy? Dlaczego wybrałyście się na tę zwariowaną przejażdżkę?

Uśmiechnęła się.

- Chyba wiemy, gdzie porywacze trzymają Lili. - Nie miała wielkiej ochoty zwierzać się Markowi, ale potrzebowała pomocy, żeby dostać się do haremu. - Myślimy, że ukryli ją w starej części pałacowego haremu, tyle że nie możemy się tam dostać. Może mógłbyś nam jakoś pomóc?

- Może mógłbym. Chodźcie, dołączymy do grupy, która będzie wchodzić o dziesiątej - odparł Mark, myśląc jednocześnie, że przy pierwszej sposobności musi przytulić Judy, skoro nie potrafi wyrazić słowami, co czuje.

Raz jeszcze przyjaciółki, tym razem w towarzystwie Marka, przemierzały rzeźbione, złożone, wykładane kaflami lub pokryte freskami sale pałacu. Obejrżeli zbrojownię, skarbiec, garderoby królewskie. Spojrzeli przez ażurowe ścianki w apartamentach Valide, przeszli pod kolumnadą domu Czarnych Eunuchów.

Przejęty własną osobą przewodnik zatrzymał grupę w pobliżu wejścia do haremu; gdy zaczął coś objaśniać, Poganka przemknęła na tył zbitej gromadki turystów. Nagle chwyciła kurczowo za ramię jakiegoś Japończyka, po czym z jękiem osunęła się na ziemię. Grupa otoczyła ją kołem.

- Cofnąć się, niech wszyscy się cofną! - wołał przewodnik. Zaplanowany manewr Poganki odniósł zamierzony skutek. Skupiła na sobie uwagę wszystkich, tymczasem Mark i Judy niepostrzeżenie skryli się w ciemnej sieni prowadzącej do haremu. Nad jakimiś drzwiami dostrzegli ozdobną kratę, między nią a kamiennym zwieńczeniem wejścia była spora przerwa. Judy ściągnęła buty i wdrapała się na ramiona Marka. Szybko przeczołgała się przez szparę i zeskoczyła w wąski zaułek po drugiej stronie. Mark poszedł w jej ślady. Wylądowali na stercie śmieci pozostawionych po jakichś pracach remontowych. Leżeli przez chwilę bez ruchu, nasłuchując chaotycznych odgłosów towarzyszących przenoszeniu Poganki do ambulatorium. Wstali dopiero, gdy ucichły podniecone głosy.

Mark chwycił Judy w ramiona i przygarnął do siebie. Poczula na wargach jego spierzchnięte od słońca usta i wszystko inne przestało mieć znaczenie.

- Czy jasno się wyraziłem? - zapytał, gdy skończył ją całować. - Kocham ciebie, a nie Lili, i tylko ciebie chcę. W skali od jednego do stu czuję coś do każdej pięknej kobiety, którą widzę. Jak każdy mężczyzna. Tyle że z tobą akurat chciałbym spędzić życie. Czemu nie odpowiadałaś na listy? - zapytał po kolejnej serii pocałunków.

- Nie otwierałam w ogóle twoich listów, za bardzo by bolało.

- Domyślałem się. Dlatego pisałem do Lili. Prosiłem, żeby spróbowała ci wytłumaczyć, jak się sprawy mają, żeby ci powiedziała, co do ciebie czuję, ale i ona nie odpisała ani razu.

- Podejrzewam, skarbie, że twoje listy spotykał ten sam los, co resztę poczty od wielbicieli. Będziemy mieli okazję zapytać o to, jeśli teraz zaczniemy jej szukać.

Judy wydobyla z torebki przewodnik z mapą pałacu. Mark wziął od niej mapkę i wyciągnął długopis.

- Harem jest na wzniesieniu, nie zgubimy się, jeśli będziemy się orientować według wysokości.

- Mądre słowa. Tutaj jest około trzystu sal. - Judy ostrożnie ruszyła brudnym korytarzem; wątle światło sączyło się tu przez niewielkie świetliki w suficie.

Szli przez labirynt małych sal, wąskich klatek schodowych i ciasnych dziedzińców, do których ledwie docierało słońce. Od czasu do czasu natrafiali na ściany wyłożone błękitnymi lub zielonymi kaflami z kwiatowymi ornamentami. Przez okratowane okna Judy widziała zakurzone latarenki wiszące nad wejściami do pokoi dawno zmarłych nałożnic, spoglądała na mgliste refleksy słane przez ozdobne stare lustra, nadal tkwiące na swoich dawnych miejscach. W opustoszałych pomieszczeniach natrafiali na rozpadające się okiennice, pajęczyny, zleżałe resztki różowych ak-samitów, podarte baldachimy.

Mark metodycznie skreślał na planie kolejne salki, przez które przechodzili, by po półgodzinie stwierdzić, że turystycznej mapie daleko do dokładności... Sprawdził położenie korytarza, w którym się znaleźli, sąsiednich pokoi, sprawdził jeszcze raz, wreszcie nabrał pewności, że mapa jest do niczego, nic jednak nie powiedział. Wędrował obok Judy w milczeniu, patrząc, jak coraz bardziej gorączkowo zagląda do kolejnych pomieszczeń.

Część korytarzy wiodła na niższe piętra pałacu. Natykali się na zrujnowane schody, na wnętrza cuchnące wilgocią uryną, zbutwiałyymi materiałami. Gdzieś przepłoszyli szczury uczujące na kociej padlinie.

- Tutaj na pewno już byliśmy - powiedziała w pewnym momencie zdezorientowana Judy. - Pamiętam te kafle z cyprysami.

Stali na środku maleńkiego dziedzińca, na który wychodziło czworo drzwi; dwoje było zamkniętych na głucho, dwoje szeroko otwartych.

- Niestety, ten plan jest niedokładny, Judy. Miałem nadzieję, że znajdziemy drogę powrotną nim będę ci to musiał powiedzieć. Wpadliśmy w tarapaty, poza tym zapalki prawie się skończyły.

- To beznadziejne, nigdy jej nie znajdziemy.

- Znajdziemy. - Mark mocno przytulił Judy. Poczowała się bezpieczniej, pewniej.

Raptem doszedł ją znajomy zapach. Nie było w nim nic zleżałego, odpychającego; świeży, wyraźny, wspaniały zapach goździkowego olejku do kąpieli, którego używała Lili.

Wyswobodziła się z objęć Marka, uniosła dłoń i położyła mu na ustach. Pociągnęła nosem. Mark zrobił to samo i kiwnął głową na znak, że rozumie. Rozejrzeli się wokół. Cisza, żadnego ruchu. Mark potrząsnął głową. Poniosła ich wyobraźnia. Znowu doszedł ich wyraźny zapach goździków.

Zaniepokojona Poganka czekała w podcieniach głównego dziedzińca. Mark i Judy nie wracali całe wieki. Zadzwoiła przed chwilą do pułkownika Aziza, by podzielić się z nim swoimi podejrzeniami, ale jak wcześniej zauważyła Judy, pułkownik traktował je jak dwie robiące tylko zamieszanie fiusteryczki. Judy miała rację twierdząc, że należy najpierw zdobyć dowody, dopiero później rozmawiać z Azizem.

Poganka gotowa już była wdrzeć się jakoś do haremu i zacząć szukać Judy.

Rozejrzy się szybko i jeśli nie znajdzie przyjaciółki, wróci tu i zadzwoni do Abdullaha, a on już ustawi pułkownika Aziza.

Wymyśliła rewelacyjny sposób dostania się do niedostępnego wnętrza. Zwiedzanie pałacu obejmowało krótką wizytę na dachu. Poczekaj, aż zbierze się następna grupa, wejdzie z nią i ukryje się na dachu. Kiedy wszyscy już sobie pójda, przejdzie górą do haremu.

Upewniwszy się, że grupę prowadzi inny przewodnik niż ten, w obecności którego zemdlą, wprowadziła swój plan w czyn. Gdy zwiedzali górny pałac i podziwiali Salę Rady Ministrów Imperium Otomańskiego, ukryła się w sąsiednim pomieszczeniu, odczekała, aż reszta pójdzie dalej, po czym wyszła przez okno.

Dachy Topkapi, las złożonych wieżyczek i okrągłych kopulek wyglądał jak małe, baśniowe miasto. Bez trudu znalazła drogę, orientując się według widzianych z góry znajomych budowli i Bosforu, póki nie uznała, że jest najpewniej nad haremem. Ta

część pałacu pozostawała nie zamieszкана od tysiąc dziewięćset dziewiątego roku; niektóre ramy okien prowadzących na dach spróchniały, inne ledwie trzymały się na zawiasach.

Wybrała najbardziej zrujnowane, rozbiła szybę obcasem, ostrożnie wsunęła dłoń, otworzyła okno od wewnątrz i pchnęła obydwie skrzydła.

Znalazła się na wąskich schodach, którymi zeszła do zakurzonego przejścia pełnego mysich odchodów. Ruszyła przed siebie, do zakrętu. Nagle ktoś chwycił ją mocno z tyłu i wykręcił bezlitośnie ręce.

Pół godziny później Mark i Judy dalej bezskutecznie szukali śladów Lili.

- Zajrzyjmy jeszcze tylko tutaj, a potem zaczniemy szukać drogi powrotnej - powiedziała Judy.

- To na nic. - W głosie Marka dało się słyszeć rezygnację. - Nie mamy już zapalek, będzie nam trudno znaleźć drogę do wyjścia. Skoncentrujmy się już tylko na tym, dobrze?

W przejściu, które mijali, a które Judy chciała przed chwilą obejrzeć, uchyliły się żelazne drzwi; jakieś oko odprowadziło oddalającą się parę.

Dzięki Bogu zdjął nam kneble - syknęła Poganka do Lili. Leżały na brudnym materacu w zielone pasy, w rogu sporego pokoju.

- Wie, że nikt nas tutaj nie usłyszy, nawet gdybyśmy zaczęły w głos wzywać pomocy - odszepnęła Lili. - Gdzie jesteśmy?

- W haremie Topkapi. - Poganka usiłowała zmienić pozycję. Ręce i nogi krępowały jej sznury. Lili miała kajdanki na rękach i związane nogi. Pokój wypełniały jakieś śmierdzące kotami, rozpadające się sprzęty, nadgryzione przez szczury brokatowe poduchy, poplamione materace i sparciałe materie, zrzucone w dziwacznie malowniczą stertę wokół mosiężnej tacy na stojaku.

Lili nasłuchiwała, czy Tony nie wraca. W ciągu czterech dni niewoli poznała dokładnie jego zwyczaje. Gdy wyszedł pięć minut temu, śledziła uważnie oddalające się kroki. Teraz wokół panowała martwa cisza.

- Jak on cię tu sprowadził, Lili? - Poganka udało się wreszcie usiąść z plecami wspartymi o ścianę.

- Bardzo prosto. Poszłam na bazar, kupiłam dywan i wróciłam taksówką do hotelu. Tony czekał w holu. Zaniósł mi dywan do pokoju. Powiedział, że z polecenia Judy miał zająć się jej bagażem.

Nie zdziwiłam się, bo dwa razy już ginęły jej walizki. Potem powiedział, że Judy prosi mnie o spotkanie w herbaciarni Saguchi, że umówiła się tam z handlarzem brylantów i że chce kupić mi prezent. Pomyślałam, że to na znak zgody po naszej ostatniej kłótni - Lili westchnęła ciężko. - Przyzwyczaiłam się, że Tony służy Judy za osiłka do wynajęcia. Nic nie podejrzewałam, dopóki w taksówce nie poczułam tamponu na twarzy, chyba z chloroformem. Obudziłam się tutaj. - Otrząsnęła się. - W sąsiednim pokoju ma pistolety, granaty i Bóg wie, co jeszcze. Zachowuj się potulnie, Poganko, nie drażnij go, to może nas rozwiąże.

Nagle Lili uniosła głowę i zaczęła nasłuchiwać. W korytarzu rozległy się kroki Tony'ego.

- Coś mu chyba pokrzyżowało plany, bo panikuje, jest agresywny i zachowuje się jak człowiek złapany w pułapkę.

Obite blachą drzwi skrzyknęły i do wnętrza zajrzał Tony. Lili uśmiechnęła się; w jej mniemaniu miał to być uśmiech przyjacielski, pozbawiony cienia zalotności.

- Mógłbyś rozwiązać nam stopy, Tony. Mam zupełnie zdrętwiałe palce u nóg.

- Może później. - Tony podszedł do okna zalanego złotym blaskiem popołudniowego słońca. Gdy się ściemni, będą musieli opuścić pałac.

- Mogłybyśmy dostać wody? - spróbowała szczęścia Poganka. Tony chwycił cynowy dzban z tacy i podszedł do niej. Napił się najpierw sam, potem podsunął dzban Pogance odchylając bez ceremonii jej głowę, jakby była szmacianą lalką. Zakrztusiła się, woda zalala jej kostium.

- Może chce pani także coś zjeść, lady Swann-Mądralińska? Tony podszedł do niskiego okrągłego stolika, gdzie leżało nie napoczęte pudełko bakalii. Rozerwał opakowanie i wyjął zielony, obsypany cukrem owoc kandyzowany, wrócił do Poganki i wyciągnął dłoń w jej stronę.

- Nie znoszę bakalii, Tony.

- Otwórz usta!

- Daj spokój, Poganka nie chce... - wstawiła się Lili.

- Powiedziałem, otwórz usta.

Poganka z ociąganiem rozchyliła wargi, Tony wcisnął jej na siłę ulepek w usta. Nim zdążyła go przełknąć, wpychał już następny, potem następny i jeszcze, i jeszcze. Próbowała pluć, ale brutalnie chwycił ją za podbródek, dopóki nie połknęła wszystkiego.

- A teraz trochę ciasta. - Sięgnął po nasączoną miodem bakławę i wcisnął jej cały kawałek do gardła. Zaczęła się krztusić, przerażona, po wysmarowanych miodem policzkach popłynęły łzy.

Tony raptem podskoczył, zaczął nasłuchiwać, chwycił lekki pistolet maszynowy leżący w kącie pokoju i podbiegł do okna.

Mark i Judy z nosami na kwintę opuszczali właśnie Topkapi, gdy przed wejściem natknęli się na Gregga, pułkownika Aziza, cztery mikrobusy pełne policjantów oraz samochody pancerne.

- Dzięki Bogu, że Poganka zawiadomiła policję - powiedział Mark. Obydwoje podeszli przywitać się z pułkownikiem.

Aziz, przekonany, że trop prowadzący do Topkapi to gonitwa za cieniem i strata czasu, po interwencji wysoko postawionego przyjaciela króla Sydonii musiał dokonać pobieżnego choćby przeszukania.

Przeszli szybko przez ogrody otaczające pałac prowadzeni przez Marka do załomu, po drugiej stronie którego wedle mapki powinien znajdować się dziedziniec.

- Myślałam, że już nie wyjdziemy stamtąd żywi - mruknęła Judy, spoglądając na mury zwieńczone dziesiątkami wieżyczek i kopulek. Nagle rozpoznała znajomą twarz.

- Patrzcie! Jest tam! Tony, tam w oknie!

Rozdział osiemnasty

5 września 1979

Nikogo nie widzę. - Mark wpatrywał się w okna przez policyjną lornetkę.

- Bardziej w lewo - naprowadzała go Judy.

- Dobry Boże, rzeczywiście! To chyba Tony.

Nie mogło być wątpliwości. Pułkownik Aziz wyjął swoją lornetkę, po czym zaczął pospiesznie rzucać rozkazy do krótkofalówki.

Nieświadomy, że go już wypatrzone, Tony obserwował małą grupkę ludzi wśród drzew. Korzystając z chwili nieuwagi, Lili nachyliła się i zaczęła zębami rozwiązywać sznur na przegubach Poganki. Cienki nylon był śliski i ostry, ale skoro raz udało się jej chwycić koniec, pociągnęła z całej siły; węzeł puścił nieoczekiwanie łatwo. Poganka wpatrywała się uważnie w barczyste plecy prześladowcy, jednocześnie powoli wyplątując dłonie ze zwojów linki. Potem zaczęła ostrożnie rozwiązywać sznur wokół kostek; wiedziała, że Tony w każdej chwili może się nagle odwrócić.

Przysunęła się do Lili i rozwiązała jej linkę na nogach; pozostały tylko kajdanki. Wstrzymując oddech zsunęła się z materaca, podeszła na palcach do drzwi i delikatnie dotknęła starej antaby. Ledwie słyszalny zgrzyt zaalarmował Tony'ego. Obrócił się z krzykiem i rzucił przed siebie zapominając o ustawionym na środku pokoju trójnogu z tacą. Runął jak długi na podłogę. Poganka zatrzasnęła drzwi za sobą i umknęła, nim zdążył się pozbierać.

Wypadła na mały dziedziniec, na którym nie tak dawno szukali Lili Mark i Judy, zawahała się przez ułamek sekundy i popędziła w stronę najbliższego przejścia. Biegła ciemnym korytarzem. Po lewej stronie natrafiła na wiodące w górę kręte schody.

Zacząła się już wspinać, gdy doszło ją dudnienie kroków biegnącego przez dziedziniec Tony'ego.

Zatrzymał się w mrocznym przejściu, niepewny, w którą stronę uciekła. Dobiegł do wielkiego kominka na końcu korytarza, spojrzał do środka, zobaczył gniazdo srok, wielowiekowe sadze, ale ani śladu Poganki. Wtedy usłyszał tupot kroków na schodach.

Okręcił się na pięcie, dopadł schodów, o mało nie przewrócił się o swoje UZI, zaklął, poprawił pistolet maszynowy i pędził dalej. Schody prowadziły na dach pałacu.

Poganka nagle znalazła się pod gorącym niebem, wśród koku i wieżyczek.

Usłyszała na schodach gniewne porykiwania, w panice rzuciła się przed siebie i zatrzymała dopiero przy parapecie, za którym otwierała się przepaść.

Zdesperowana wdrapała się na murek i biegła dalej. Stanęła po chwili, rozejrzała się, ale nie dojrzała nigdzie Tony'ego. Uświadomiwszy sobie, że stanowi łatwy cel, chciała się schować za jedną z wieżyczek, skoczyła tam i wpadła wprost w ramiona swojego prześladowcy.

Uchyliła się błyskawicznym ruchem, cofnęła z powrotem na parapet i pobiegła wąską krawędzią. Tony był tuż za nią, czuła niemal na karku jego zdyszany oddech. Przerazona krzyknęła i omal nie straciła równowagi.

Stojący wśród drzew Mark usłyszał krzyk. Spojrzał w górę, zobaczył pościg po parapecie i zaczął biec w stronę pałacu.

Poganka ponownie krzyknęła, rozpaczliwie wymachując rękami, by zachować równowagę. Udało się jej, ale zrobiła nieopatrnie krok do tyłu, nadziała się na rozwścieczonego Tony'ego, poczuła pchnięcie i balansując nad przepaścią uczepiła się z krzykiem jego ręki. Chwiali się przez sekundę, dwie ciemne sylwetki na tle rozświetlonego popołudniowym słońcem nieba, jakby mieli za moment obydwójce runąć na dół.

Tony uwolnił się jakoś od Poganki i gwałtownie pchnął ją powtórnie. Z przeszywającym krzykiem poleciała w przepaść.

Oniemiała z przerażenia Judy zdążyła jeszcze zobaczyć, jak Tony znika za parapetem.

Sanitariusze biegli w stronę niewielkiej kępy drzew, gdzie upadła Poganka. Słychać było gwizdki, rzucane pospiesznie rozkazy. Ludzie pułkownika Aziza rozbiegli się po całym terenie wokół haremu. Na dachu między wieżyczkami zajęli stanowiska snajperzy.

Tony zniknął w labiryncie sal i korytarzy.

Ciągle w kajdankach, na zeszywniałych nogach, Lili brnęła jakimś ciemnym przejściem. Serce biło jej jak oszalałe, strach zlewał ją zimnym potem, ale ten lęk był niczym wobec przerażenia, jakie czuła wcześniej, gdy leżała bezbronna w tamtym pokoju, patrząc, jak Tony rozładowuje i ładuje swój pistolet, jak mierzy dla zabawy w dzban, w okno, w nią jak na niby naciska spust.

Zobaczyła w oddali słabe światło i zaczęła biec w tamtym kierunku.

Gdy dotarła do zbawczego prześwitu, stanęła zdumiona. Była w dużej sali o wielkich, zwieńczonych łukami oknach, z podniesieniem oddzielonym złożoną balustradą; złoceniami połyskiwał rzeźbiony strop, ściany zdobiły bogate ornamenty. Wspaniała złota salę pokrywała pleśń i pajęczyny, w grubej warstwie kurzu na podłodze wyraźnie było widać ślady ptasich łapek.

Po przeciwnej stronie komnaty dostrzegła drugie drzwi. Poszła tam i trafiła do nie mniej bogatego pomieszczenia o wysokich, rozświetlonych słońcem oknach. Niby w tajemniczym śnie wędrowała przez amfiladę jednakowo wspaniałych, przeładowanych ornamentami salonów zdobionych freskami; iluzjonistyczne ogrody zdawały się zapowiadać otwartą przestrzeń i wolność, a tylko okrutnie mamiły zmysły.

Doszła wreszcie do ostatniej sali - kwadratowy, wyłożony kafłami pokój bez okien czy drzwi, które prowadziłyby dalej. Na ścianach medalionowe wzory o kapryśnych kształtach wypełnione kwiatowym ornamentem, pod stropem złożony fryz z arabskimi napisami.

Gorączkowo rozejrzała się za drogą ucieczki z tego ślepego zaułka i uświadomiła sobie, że nie ma stąd żadnego wyjścia. Zniechęcona ruszyła z powrotem przez amfiladę złotych komnat, aż do ciemnego korytarza za wielką salą z podwyższeniem. Spojrzała z żalem na zwodnicze światło słoneczne. Z oddali, zniekształcony przez odległość, dochodził głos Tony'ego. Początkowo nie mogła rozróżnić wykrzykiwanych przez niego słów.

- Wiem, że tam jesteś, Lili, nie dam ci umknąć - dosłyszała wreszcie. Wmawiała sobie, że nie ma się czego bać. Musi tylko znaleźć kryjówkę i poczekać, aż nadejdzie pomoc z dołu. Serce waliło jej jak oszalałe, gdy zanurzała się na powrót w mroczny labirynt przejść i korytarzy, szukając bezpiecznego miejsca. Na przemian kuszyła, to znów próbowała biec. Raptem w jakiejś alce dojrzała uchylone drzwiczki-zapadkę, za nimi wiodące dokądś schody wydeptane przez wieki używania. Zawahała się, usłyszała gdzieś bardzo blisko szczęk drzwi i groźny głos Tony'ego. Szybko schyliła się i zanurkowała bezgłośnie w ciemności. Oczy wkrótce przywykły do gęstego mroku. Zeszła do podziemia. Tu natrafiła na kolejne uchylone drzwi. Postanowiła, że schowa się za nimi, ale drzwi nie chciały ustąpić. Napała na nie całym ciężarem ciała, pchnęła ze wszystkich sił i nagle coś wokół niej zawirowało, jakby otoczyły ją zewsząd latające demony. Poczula na twarzy spłoszony łopot drobnych skrzydeł, ostre pazurki ocierały się o policzki, wczepiały we włosy. Zniosła się przeraźliwym krzykiem. Usłyszała przekleństwa Tony'ego, tupot nóg na schodach. Nagle chwycił ją za kark. Poganka żyje? - spytała strwożona Judy, gdy Mark odnalazł ją wśród jałowców. - Tak, ale jest bardzo potłuczona. Ma chyba złamaną nogę, wstrząśnienie mózgu, połamane żebra, jest zszokowana. Na szczęście krzaki osłabiły siłę upadku. Zabrali ją do Szpitala Francuskiego. Pojechałem z nią, a zaraz potem zacząłem szukać ciebie. Pułkownik Aziz dzwoni do króla. - Tutaj nic się nie działo przez ostatnie pół godziny - poinformowała Judy. Zamilkli na chwilę wsłuchując się w buczenie głosu w policyjnym megafonie, ponawiającego bez przerwy wezwania, by Tony się poddał. - Policja zawsze w takich wypadkach gra na zwłokę - pocieszył ją Mark. - Im dłużej trwa otoczenie, tym bardziej niepewnie czuje się porywacz. Zaczyna popełniać błędy. Zobaczysz, w końcu załamie się i podda. Nagle Tony posłał serię z pistoletu maszynowego. Policjanci rozpięchli się w poszukiwaniu schronienia. Mark pociągnął Judy głębiej pomiędzy jałowce, poza linię ognia, sam zaś wyjrzał w stronę, z której dochodziły strzały. Judy podskoczyła, czując czyjąś dłoń na ramieniu. Gregg. - Jak się tu dostałeś? - Przyjechałem z reporterem „Tribune”. Bar hotelowy opustoszał, gdy tylko usłyszeli, co się dzieje. Lili ciągle tam jest? - Tak. Zanim Poganka straciła przytomność, powiedziała, że zakuł ją w kajdanki i trzyma w jakimś pustym pokoju. Nic więcej nie wiemy. Jest tam, skąd dochodzą strzały - Judy wskazała głową w stronę okna w górze. Kolejna seria z Kałasznikowa i wydawane przez megafon polecenia pułkownika Aziza skierowane do Tony'ego. Do ukrytej w jałowcach trójki dobiegł jakiś podoficer z poleceniem, by natychmiast przenieśli się w bezpieczniejsze miejsce za jeden z samochodów pancernych. - Mark, co będzie? - zapytała drżącym głosem Judy, gdy schowali się za rozgrzaną od słońca maszyną.

- Nie wiem. - Poglądził ją po włosach. - Miałem już do czynienia z takimi snajperami, podnieconymi i oszołomionymi poczuciem przewagi. Po oddaniu pierwszego strzału nie potrafią się zatrzymać. Zginą ale nie ustąpią.

- Lili jest z tym szaleńcem? - Gregg niespokojnie wpatrywał się w okno, w którym usadowił się Tony. - Czy policja dostała się już do środka?

- Są już w haremie, ale niewiele mogą zrobić, póki Lili grozi niebezpieczeństwo. Obok nich kryli się za samochodem młodzi tureccy policjanci z bronią gotową do strzału. Judy przypomniawszy sobie przestrogi Spyrosa Stiarkoza dotyczące „szybkostrzelnych młokosów”.

- Pułkownik nie pozwoli nam wejść do środka, a ja się tak boję, że kiedy zaczną szturmować kryjówkę Tony'ego, ktoś może postrzelić Lili.

- Judy ma rację. Ci chłopcy aż palą się do strzelaniny, spójrzcie na ich twarze - powiedział Gregg obserwując przez lornetkę mury pałacu. - Ściany mają mnóstwo występów. Gdyby tak spróbować spuścić się na dół z dachu po linie...

- O czym myślisz? - zapytał Mark.

- Gdyby ktoś odwrócił uwagę Tony'ego, mógłbym wrzucić petardę dymną przez okno i skoczyć do środka.

- Petardę dymną? - zdziwiła się Judy. - Skąd ją wziąć?

- Od policjantów. W najgorszym razie mają gaz łzawiący. To gorsze, ale nawet skuteczniejsze.

- Zdaje się, że chcesz, żebym im wykradł tę petardę.

- Poczęstuję kierowcę papierosem, a ty wślizgniesz się do mikrobusu.

Dziesięć minut później Mark miał już linę, dwie petardy, toporek i rakiety alarmową. W dwadzieścia minut później obydwaj z Greggiem byli na dachu nad haremem.

Wychylony przez parapet Gregg wyjaśniał Markowi swój plan.

- Okno jest za węglem tej ściany. Asekuruj mnie, a ja spuszcze się do tamtego występu, przejdę do rogu, przedostanę się na następny występ, stamtąd dosięgnę już okna, wrzucę petardę i zaskoczę drania od tyłu.

- Dlaczego nie chcesz zejść po linie wprost do okna? - zapytał Mark.

- Bo mnie zobaczy, nie będę mógł go zaskoczyć. Poza tym wygodniej dostać się do wnętrza z boku niż z góry.

Ma chłop ikrę, pomyślał Mark.

- W porządku, do roboty. Mów mi, co mam robić.

Gregg pokazał Markowi, jak umocować linę wokół wieżyczki, jak utrzymać odpowiedni naciąg. Drugim końcem owiązał się w pasie i przerzucił nogi przez parapet. Poszukał oparcia, zaczął powoli schodzić w dół ubezpieczony przez Marka i niewidoczny dla Tony'ego, okupującego okno za węglem.

Minał dwa kamienne występy, oparł się dopiero na trzecim. Tutaj powoli, cał po calu, przesuwał się w stronę załomu po prawej stronie, szukając ostrożnie zaczepienia dla rąk, póki dłoń nie namacała kamieni węgla.

Spojrzał bez słowa w górę. Dał Markowi znak głową i zręcznie przerzucił ciężar ciała przez załom, macając nogą za występem po drugiej stronie muru. Z góry widział go przecież wyraźnie.

Spociał się; panował nieznośny upał, poza tym za chwilę będzie w zasięgu strzałów Tony'ego. Walcząc z uczuciem strachu i bezbronności, mówił sobie, że tamten nie może go zobaczyć, że na pewno go nie zobaczy, nie będzie przecież ryzykował wychylenia głowy przez okno i wystawiał się na strzały policjantów.

Raptem ku swemu przerażeniu zorientował się, że występ po drugiej stronie jest znacznie węższy; nie mógł tego ocenić ani z ogrodów, ani z dachu pałacu.

Bezskutecznie próbował znaleźć oparcie dla stóp na wąziutkim, jednocalowym gzymsie. Przy każdej próbie noga ześlizgiwała się z muru; posypały się kawałki tynku.

Podniósł spoconą twarz w górę, pokręcił bezradnie głową i powoli zaczął się wycofywać. Był już na wysokości, na której stał Mark, gdy kawałek kamiennego ornamentu, służący mu właśnie za uchwyt, raptem oderwał się od muru. Gregg zachwiał się, stracił równowagę, osunął z występu i zawisł na linie niczym pajak na końcu snutej przez siebie nici.

Mark z całych sił zapał się o parapet, usiłując utrzymać naprężony sznur i obserwując w napięciu manewry szukającego ostrożnie oparcia dla stóp Gregga. Ten wreszcie namacał nogą występ i zaczął powoli piąć się w górę.

- Gównu - zaklął, gdy dotarł do parapetu. Mark ze zrozumieniem pokiwał głową.

Trzęsąca się z przerażenia Lili znowu wylądowała na materacu w ponurym pokoju, skrępowana jeszcze mocniej niż poprzednio.

- Tony, na Boga, poddaj się - błagała. - Inaczej policja zabije nas oboje.

Jedyną odpowiedzią była kolejna seria z pistoletu maszynowego puszczone w zapadający mrok.

Zamknęła oczy i złączyła dłonie w geście niemej prośby. Końcami palców dotykała pierścionka z rżniętym w koralu pączkiem róży. Prezent od matki dodawał otuchy.

Jestem pewna, że jeśli tam pójde, potrafię go przekonać. - Judy spoglądała na pułkownika Aziza ze stanowczą miną. - Zna mnie, ufa mi i jest mi oddany. Jeśli ktoś może w ogóle do niego przemówić, to tylko ja.

- On jest sam, nie mamy nic do stracenia - poparł ją Gregg.

- Skoro państwo nalegacie, można spróbować - odparł w końcu pułkownik. - Dobrze, pójdzie pani z sześcioro moimi ludźmi i spróbuje przekonać go, żeby otworzył drzwi, potem cofnie się, a tamci wpadną do środka. Dwóch postara się o bezwładnicę snajpera, dwóch będzie ubezpieczać ich z prawej, dwóch z lewej, wtedy może uda się nam odbić mademoiselle Lili żywą.

- Nie. - Judy mówiła cicho, ale zdecydowanie. - Chcę tam wejść i przekonać Tony'ego, by się poddał. Wiem dokładnie, co mam robić. Jeśli mi się nie uda, możecie przypuścić ten swój szturm, używając petard dymnych, gazu łzawiącego i karabinów, ale na razie pozwólcie mi działać bez wystawiania życia mojej córki na niepotrzebne ryzyko. Spróbuję przekonać go po dobroci.

Stała pod obitymi blachą drzwiami.

- Tony, dzięki Bogu wreszcie cię znalazłam. Jestem sama. Wpuść mnie, proszę.

- Czego chcesz?

- Wyciągnąć was stąd żywych. Wpuść mnie. Długa, pełna napięcia cisza.

- Nie.

- Tony, nie chcę, żebyś ty wychodził, to ja chcę wejść - prosiła. - Jestem twoim przyjacielem. To ja, Judy.

- Wszystko poszło nie tak, jak chciałem, Judy.

- Dlatego tutaj jestem, Tony. Razem pomyślimy, co robić dalej. Żadnej reakcji.

- Na pewno jesteś sama?

- Na pewno.

Znowu długa chwila milczenia.

- Dobrze, otworzę i będę krył drzwi. Wejdz i zaraz zamknij je za sobą. Jeśli ktoś z tobą będzie, zacznę strzelać.

Usłyszeli zgrzyt podnoszonej antaby.

Judy zaczęła dawać gorączkowe znaki. Mężczyźni stojący obok niej zniknęli natychmiast w załomach korytarza. Postąpiła krok do przodu i pchnęła ciężkie drzwi.

- Zarygluj - rzucił Tony. - O Jezu, cieszę się, że przysłaś.

Lili jęknęła, obracając się na materacu. Judy spojrzała na nią przerażona.

Opanowała impulsywne pragnienie podbiegnięcia ku córce i uśmiechnęła się pogodnie.

- Brakowało mi ciebie, Tony. - Próbowała zachowywać się tak, jakby byli w biurze PRZEBOJEM!. - Powinniśmy nadrobić zaległości. Nie jestem ostatnio w formie.

- Taaa...

- Mogę usiąść, Tony? - Wiedziała, że powinna poruszać się powoli, z rozwagą, nie denerwując niepotrzebnie obłąkanego snajpera.

- A jakże.

Usiadła na obciążonym różowym brokatem materacu.

- Mogę poczęstować się brzoskwinia, Tony?

- A jakże.

Odgoniła krążące wokół muchy, wzięła nadpsuta brzoskwinie ze stojącego na środku pokoju stolika, a właściwie z mosiężnej tacy na trójnogu, która zdążyła wrócić już na swoje miejsce. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wycelować nią w Tony'ego i nie spróbować ucieczki. Jeszcze nie teraz. Miała przecież wyprowadzić go stąd po dobroci.

Na zewnątrz panowała kompletna cisza. Wewnątrz stał Tony oparty o ścianę koło okna, z pistoletem maszynowym gotowym do strzału. Lili leżała bez ruchu na materacu.

- Na czym polegał twój plan? - zapytała Judy.

- Nie wiedziałem, że tak mi się to wymysknie z rąk. Chciałem ci tylko pomóc.

- Zawsze byłeś dla mnie wspianały, Tony. Dlaczego myślałeś, że potrzebna mi pomoc?

- Wiem, że musicie zamknąć pismo. Słyszałem, jak Tom rozmawiał z ludźmi z Lady Mirabelle, a potem któregoś wieczoru, jakem czekał, żeby zawieźć cię do domu, usłyszałem, jak mówisz do Toma, że dobrze by było, żeby ktoś porwał Lili.

- Co?

- To było wtedy, jak Tom powiedział, że małe dzieci to mały kłopot, a duże dzieci to duży kłopot. - Tony przestępował z nogi na nogę. - Judy, mówiłaś, że czekasz na cud.

Prosiłaś, Tom, porwij Lili, zgarnij dziesięć baniek i szmal dla nas. Głupek nie wiedział, jak to zrobić, no to wyzwałaś go od mięczaków. Powiedziałaś mu, że nic ci po nim, bo nie możesz na nim polegać.

- Ale mogę polegać na tobie - odparła, przypominając sobie mgliście żartobliwą rozmowę z Tomem. Sięgnęła po następny kawałek obrzydliwej brzoskwini.

- No to, myślę, wyświadczę przysługę Judy, sam coś zgarnę na boku, potem zakopię się gdzieś w Europie, zmienię facjatę i pożyję sobie, jakem nigdy nie żył w Stanach, pókim nie natrafił na ciebie. A potem jakeście mieli zwinąć magazyn, wiedziałem już, że całe to śliczne życie diabli wezmą, ale, jak piszecie w PRZEBOJEM!, niech nikt nie rezygnuje z tego, co sobie umyślił.

- Bardzo mądrze - przyświadczyła mu Judy, walcząc z nudnościami - wymyśliłeś te telegramy. Dostały się na pierwsze strony, rozumiesz? Jak na to wpadłeś?

Na twarzy Tony'ego odmalowało się zadowolenie.

- Z Grekiem była betka. Sam napraszał się robić za dobrego wujaszka Lili, stąd pomysł. Z początku... Siedziało mi to w głowie, no a potem różne takie...

- Na przykład?

- Jakem słyszał te ryki w telefonie... Niby gwiazda dzwoni, a facet nie wie, jak się zachować, prawda, nadziany i trzęsie się, że może jest tatuśkiem Lili.

- Co dalej?

- No dalej, to poczekałem, aż wyjdiesz z biura tego Halifaxa. Otwierasz drzwi... a tu lży... Właściwie to chyba ja te drzwi w końcu otworzyłem. Jego pinesa ma własny gabinet, a jakże, nie siedzi przy drzwiach szefa. Cholerny błąd. Tak czy siak słyszę, że pan Halifax kombinuje tak samo jak ta pop-gwiazda, no to se myślę: mała panna Jordan musi trzymać ich w szachu, choć lata poleciały.

- Jak się tutaj dostałeś, Tony?

- Bez problemów. Poleciałem do Anglii, złapałem prom przez kanał, potem pociąg i autobus. Spokojna głowa, Judy, żadnych śladów.

- A co potem?

- Miałem kopię twojej trasy, boś ją zostawiła w biurze. Wiedziałem, gdzie się zatrzymasz, wiedziałem, że weźmiesz sobie apartament pierwsza klasa, z widokiem na Bosfor, no to wynająłem pokój po azjatyckiej stronie, kupiłem trochę żelaza na bazarze. Namierzyłem cię, jak tylko przyjechałaś. Wiedziałem, że Lili też się pojawi. Czekałem tylko sposobności. Szybko poszło, anim się spodziewałem.

- Co miałeś zamiar zrobić po odebraniu pieniędzy?

- Ten z bazaru, co kupiłem od niego spluwy, spiknął mnie z takim jednym. Miał mi spuścić motorówkę. Zaplanowałem, że zwinę walizkę, jak prom będzie w połowie drogi. Skoczę przez burzę, i do motorówki.

- Ułożyłeś bardzo ryzykowny plan, Tony.

-- Wiesz, Judy, że ze mnie pływak pierwsza klasa. Jakeśmy zrobili próbę, trwało wszystkiego pół minuty. Prom nie może nagle stanąć, ot co. Wiedziałem, że na pokładzie będzie policja, ale trafiliby z płynącego promu do motorówki, co leci po slalomie?

Chyba nawet nie zdaje sobie sprawy, że porwanie jest przestępstwem karanym w niektórych stanach wyrokiem śmierci, pomyślała przerażona Judy.

- Co zamierzałeś potem? - zapytała łagodnie.

- Miałem posłać ci jeszcze jeden bukiet róż z wiadomością, gdzie jest Lili.

- Bardzo mądrze, Tony.

- Mowa. Potem myślałem lecieć do Egiptu, spotkać się tam z tobą i odpalić ci pół kasy. No, może pożyczyć, póki nie wyjdiesz na swoje. - Uniósł nagle pistolet, zaniepokojony jakimś ruchem za oknem. Przeleciał ptak.

Judy i Lili znieruchomiały, przerażone.

- Musiała być z ciebie szybka laska, jakeś była młodsza, panno Jordan - wyszczerzył się uspokojony już Tony.

Judy uraczyła go wymuszonym uśmiechem.

- Potem posłałem czwarty telegram do twojego królewskiego przyjaciela - ciągnął. - Pamiętam, jakeście rozmawiały z Maxine, wtedy w drodze do Westchester, zeszłej jesieni. Mówiła, że domyśla się...

Zaskoczona wzmianką o czwartym telegramie Judy przerwała mu gwałtownie:

- Maxine miała rację. Ty też słusznie postąpiłeś, pisząc do ludzi, którzy mają mnóstwo pieniędzy, ale teraz musimy pomyśleć, jak się stąd wydostać.

- Mowa. Wykombinowałem coś, tyle że sprawy nie poszły, jak sobie ułożyłem.

- Musimy wyjść stąd możliwie najszybciej. Mam pod pałacem limuzynę z przydymionymi szybami. Jeśli się do niej przedostaniemy, jest szansa.

- A co z nią? - Tony wskazał głową na skutą kajdankami Lili.

- Teraz powinniśmy myśleć wyłącznie o sobie, Tony. Oni chcą tylko jej, więc im ją zostawimy - powiedziała Judy rzeczowym, stanowczym głosem - a my dwoje spróbujemy przedostać się jakoś do samochodu.

- Wyrzucimy ją przez okno, odwrócimy ich uwagę.

Judy poczuła gwałtowny skurcz w żołądku. Miała nadzieję, że uda się jej zostawić Lili w pokoju i wyciągnąć Tony'ego na zewnątrz.

- Lepiej będzie, jeśli użyjemy jej jako zakładniczki. Weźmiemy ją ze sobą.

Tony uśmiechnął się chytrze.

- A jak zrobili zasadzkę?

Judy przełknęła z trudem ślinę. Niech to diabli, pospieszyła się, jak zwykle.

- Ja pójdę przodem, ty za mną, z pistoletem - tłumaczyła cichym, kojącym głosem. - Przecież nie wejdziesz na linię ognia, prawda? - dodała rozsądnie. - Policja nie wie, że tu jestem.

- Byłaś tu już wcześniej. Z tym łebkiem.

- No więc widzisz sam, że nie z policją. Marka też się pozbyłam. Już od miesiący nie chciałam mieć z nim nic wspólnego, po tym jak przyłapałam go w łóżku z nią! - Spojrzała z pogardą w stronę Lili.

Tony rozważał przez chwilę jej słowa, potem mruknął coś, co miało oznaczać zgodę.

- Jak chcesz to rozegrać, Tony? Znowu się zadumał.

- Rozwiąż jej nogi.

Judy podniosła się, powoli podeszła do materaca. Nie patrząc na Lili rozwiązała linkę wokół kostek, potem pomogła jej wstać.

Lili ledwie mogła ustać, nogi jej ścierpły, czuła bolesne mrowienie. Wbiła wzrok w podłogę, unikając spojrzenia Tony'ego.

- Co teraz? - zapytała Judy i natychmiast uświadomiła sobie, że popełniła kolejny błąd. Tony zrobił zaszępioną minę, najwyraźniej nie miał pojęcia, co robić.

- Chcesz, żebym ja otworzyła drzwi? Pójdiesz za mną, z pistoletem, ta mała suka pójdzie z tyłu. Kiedy będziemy już bezpieczni, niech zjeżdża.

Tony odszedł od okna i stanął przy drzwiach.

- Dobrze, Judy, otwórz drzwi.

Wyszła ostrożnie z pokoju. Na jej widok strzelcy wyborowi pułkownika Aziza skryli się w cieniu korytarza; zniknęli z oczu. Nie mogli zaatakować Tony'ego. Szedł za Judy z pistoletem wrażonym w jej plecy, gotów strzelać w razie najmniejszego podejrzanego ruchu.

Posuwała się korytarzem z takim uczuciem, jakby była zupełnie naga i bezbronna.

Wyszli na dziedziniec, Tony cały czas z tyłu, z pistoletem wycelowanym w jej plecy.

Lewą ręką trzymał Lili za kajdanki.

Judy podjęła szybką decyzję.

- Wielki Boże, Tony, na dachu jest policja! - krzyknęła. Spojrzał w górę.

Padła na ziemię, kryjąc twarz w ramionach. Lili szarpnęła się gwałtownie. Tony stracił równowagę, zachwiał się.

Rozległy się strzały. Kule poszły rykoszetem po kamiennej posadzce i ścianach dziedzińca. Potem nagle zapanowała cisza.

Judy powoli podniosła głowę i rozejrzała się dookoła. Przed nosem zobaczyła parę czarnych, policyjnych butów, dalej strużkę krwi sączącej się po kamieniach.

Tony leżał martwy na środku dziedzińca. Nagle wokół zaroilo się od ludzi.

Wstała i podbiegła do Lili.

- Nic ci się nie stało? Nie jesteś ranna?

Lili pokręciła głową. Zapłakana Judy skinęła na policjanta, dając mu znak, by rozciął knebel na twarzy córki.

- Gdzie są kluczyki od tych kajdanków?

- W kieszonce koszuli Tony'ego.

Judy podbiegła do zabitego i drżącymi dłońmi przeszukała mu kieszeń na piersi.

Wyjęła kluczyk, wróciła do Lili. Ręce tak jej się trzęsły, że nie była w stanie nic zrobić. Podszedł pułkownik Aziz, wziął od niej klucz i oswobodził Lili.

Lili rzuciła się w ramiona Judy.

- Przyszłaś po mnie - powiedziała ze łzami szczęścia i ulgi w oczach. - Moja prawdziwa matka w końcu po mnie przyszła.

KONIEC